

JOSE FRÈCHES

JEDWABNA CESARZOWA

UZURPATORKA



JOSE FRECHES

UZURPATORKA

Dzięki wysiłkowi, czujności, dyscyplinie i panowaniu nad sobą mędrzec tworzy wyspę, której nie zaleje powódź.

Budda

Główne postacie

- Addai Aggai*** — biskup Kościoła nestoriańskiego w Dunhuangu.
- Buddhabadra*** — przełożony Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze (Indie), przywódca buddyjskiej szkoły Małego Wozu, który wyruszył w tajemniczą podróż do Samye (Tybet) i zginął.
- Czysta Uroda*** — pierwsza konkubina cesarska, usunięta przez Wu Zhao.
- Czystość Pustki*** — przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu (Chiny), przywódca buddyjskiej szkoły Wielkiego Wozu.
- Dobrodziejstwo Potwierdzone*** — przełożony Klasztoru Wielkiego Wozu w Turfanie. ***Gaozong*** — zwany Li Zhi, gdy był następcą tronu, syn Taizonga, cesarza Chin.
- Klejnot Doktryny*** — mnich rywalizujący z Orężem Prawa.
- Kłębek Kurzu*** — chiński sierota, przyjaciel Umary.
- Kosz na Ofiary*** — mnich odpowiedzialny za słonie z klasztoru w Peszawarze.
- Lama Gampo*** — przełożony klasztoru buddyjskiego Samye (Tybet), niewidomy.
- Lama Tö Ling*** — sekretarz wielbnego lamy Gampo.
- Li Hong*** — syn Wu Zhao i Gaozonga, ustanowiony księciem następcą tronu, na miejsce Li Zhonga.

- Li Jingye** — prefekt, Wielki Cenzor Cesarski.
- Li Zhong** — syn Czystej Urody i Gaozonga.
- Madżib** — herszt bandy perskich rozbójników.
- Maty Supelek Łatwy do Rozwiązania** — sprzedawca ziół leczniczych na Jedwabnym Szlaku.
- Manakunda** — młoda mniszka z klasztoru Samye, zmarła przy wydawaniu na świat Niebiańskich Bliźniąt.
- Manipa** — wędrowny mnich, przyjaciel Pięciu Zakazów.
- Napelniony Spokojem** — zwany Mistrzem Doskonałym, zwierzchnikiem Kościoła manichejskiego w Turfanie.
- Nefrytowy Księżyc** — chińska robotnica ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa, kochanka Świetlistego Punktu.
- Niebiańskie Bliźnięta** — dziewczynka i chłopiec o imionach Klejnot i Lotos, wydani na świat przez Manakundę. Dziewczynka ma owłosioną połowę twarzy.
- Niemowa** — niewolnik Wu Zhao turecko-mongolskiego pochodzenia.
- Oreż Prawa** — prawa ręka Buddhabadry, wyruszył na poszukiwanie mistrza.
- Pani Wang** — pierwsza oficjalna małżonka Gaozonga, usunięta na rzecz Wu Zhao.
- Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię** — mnich z Luoyangu.
- Pięć Zakazów** — mnich z Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu (Chiny), wysłany przez swego przełożonego do Samye (Tybet), odpowiedzialny za los Niebiańskich Bliźniąt.
- Skupienie Powagi** — przełożony Klasztoru Zbawienia i Miłosierdzia (Dunhuang).
- Skuteczność Pozorów** — minister jedwabiu.
- Szalony Obłok** — hinduski wyznawca tantryzmu, narkoman i morderca.
- Szlachetna Ośmioraka Ścieżka** — mnich buddyjski z klasztoru w Peszawarze, urodzony w Turfanie.
- Świetlisty Punkt** — Uczeń z Kościoła manichejskiego w Turfanie, odpowiedzialny za nielegalną hodowlę jedwabników, kochanek Nefrytowego Księżyca.

Taizong — ojciec Gaozonga, cesarz Chin.

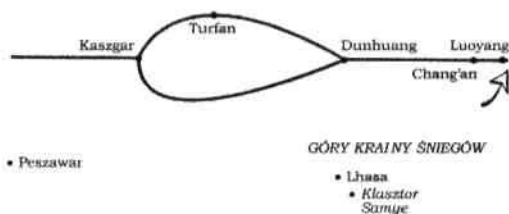
Ulik — tłumacz z bandy perskich rozbójników.

Umara — córka biskupa nestoriańskiego Addaia Aggaia.

Wu Zhao — piąta nałożnica cesarska, później oficjalna małżonka cesarza Gaozonga.

Yarpa — kapłanka bon-po w Krainie Śniegów.

Zhangsung Wuji — stryj Gaozonga, generał, najwyższy wódz armii, były premier.



1

Luoyang, letnia stolica Tangów, Chiny, 19 czerwca 658 roku

—Niemowo, dopilnuj, żeby dziewczynka nie pochylała się nad wodą rzeki Luo. Nie chciałabym, żeby zobaczyła swoją twarz! Byłby to dla niej wielki wstrząs! —powiedziała słodkim, ale bardzo stanowczym tonem cesarzowa Wu Zhao do olbrzymiego Turko-Mongola.

—Postaram się, Wasza Wysokość! — odparł z niezadowoloną miną Niemowa specjalnym językiem, który rozumiała tylko cesarzowa.

Od czasu gdy oficjalna żona Gaozonga skumała się z hinduskim magiem Białym Obłokiem, odsunęła od siebie Niemowę. On zaś, jako niewolnik muszący spełnić jej kaprysy, dał się jednak wciągnąć w perwersyjną grę swej kochanki. Zadurzył się w tym giętkim i zmysłowym ciełe, którym posługiwała się tak dobrze, aby przyciągać mężczyzn. Bardzo źle znosił liczne miłostki cesarzowej, a zwłaszcza jej niekończący się związek z osobnikiem o nabiegłych krwią oczach, który zawsze przybywał na białym słoniu, oznajmiając w ten sposób swoją obecność całemu dworowi.

W oczach Niemowy Biały Obłok był jego jedynym rywalem, który umiał jak on sam zapewnić Wu Zhao doznania niezwykle i dzikie.

Ta przykra sytuacja zmieniła nawet wygląd zaufanego władcy. Na jego zwykle pogodnej, szerokiej twarzy długie wąsy opadały smutno po obu stronach grubych mięsistych warg.

Niemowa był przygnębiony, ale nikt, nawet władczyni, tego nie widział.

Ponieważ Biały Obłok przebywał obecnie w Chang'anie, gdzie cesarzowa umieściła go Pawilonie Rozrywek, jej pobytu w Luoyangu pozwalały słudze z obciętym językiem dostarczać jej rozkoszy, do czego jego ogromny nefrytowy drążek, sterujący niczym maszt okrętu, był stworzony.

Gdy przebywała w Luoyangu, który uczyniła letnią stolicą cesarstwa, gdyż o tej porze roku powietrze było tu świeższe niż w Chang'anie, Wu Zhao zapewniała sobie także zupełnie inne przyjemności, „pożyczając” Niebiańskie Bliźnięta od Czystości Pustki.

Wielki mistrz *dhyany* odnosił się do tego niechętnie, ponieważ dzieci sprawiały, iż coraz liczniejsi i bardziej żarliwi wierni, którzy przybywali do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, żeby oddać im cześć, składali hojne dary. Nie mógł jednak odmówić prośbie władczyni.

Bo czyż .to nie Wu Zhao powierzyła je przełożonemu z Luoyangu po-ucieczce Pięciu Zakazów i Umary?

Niemowa przyprowadzał dzieci do letniego pałacu, wspaniałej rezydencji z białego marmuru, zwieńczonej dachówkami pomalowanymi na niebiesko i zielono, którą cesarzowa kazała wznieść w głębi Parku Drzewiastych Piwonii.

Wu Zhao mogła gościć tu dzieci, które nazywała „małymi książkami”.

Nic nie było dość słodkie, jedwabiście miękkie, drogie ani zbyt rozkoszne dla Niebiańskich Bliźniąt, którym kazała podawać najwykwintniejsze ciastka i najsmaczniejsze placki z owo-

cami, a potem prowadziła je do zakątka ogromnego parku, żeby pobawiły się lalkami przedstawiającymi zwierzątka, tworzącymi cudowną menażerię.

Znajdowała wielką przyjemność w przyglądaniu się Klejnotowi, zwanej Klejnotką, i Lotosowi, którzy, oczarowani mnóstwem gęsi, kaczek mandarynek i hinduskich świnek, nie wiedzieli, na co patrzeć, biegając na małych nóżkach i wydając radosne okrzyki.

Tego popołudnia po raz pierwszy cesarzowa postanowiła pospacerować z dziećmi brzegiem rzeki, co wymagało przejścia przez łąkę, opadającą łagodnym stokiem z położonego nieco wyżej parku.

Dokładnie w miejscu, gdzie rzeka się poszerzała, tworząc rodzaj jeziora, w głębi mulistych wód powinny spoczywać słynne głązy z napisami, o których władczyni nie przestawała myśleć od swej pierwszej wizyty na placu budowy w Longmen.

Wciąż miała w pamięci słowa Czystości Pustki potwierdzające, że legendarne kamienie leżą na dnie, a napisów na nich nikt dotąd nie odczytał, ponieważ nie wiedziano, gdzie ich szukać.

Według informacji, jakie z zachowaniem największej dyskrecji zdobyła na temat owych głązów, jedna rzecz była pewna: chodziło o święte kamienie, na których wryto prococtwa odnoszące się do przyszłych dynastii Chin.

Na początku była to jedynie niejasna myśl, której zarysy uległy stopniowo wyostreniu: a gdyby wykorzystała je jako sprzymierzeńców? Gdyby zapowiedziały wstąpienie na chiński tron cesarzowej Wu we własnej osobie? Czyż nie byłby to znak, że jej marzenie może się pewnego dnia spełnić?

Albowiem w Chinach przyszłość była zawsze gdzieś zapisana.

Proroctwa były już pierwsze zapiski Chińczyków, ponieważ najstarsze archaiczne znaki języka chińskiego naśladowały

dziwne pęknięcia, jakie pojawiały się na kościach owiec i skopkach żółwi, gdy wróżbiarze lub osteomanci ogrzewali je w ogniu, żeby je odcyfrować.

W niektóre letnie wieczory, kiedy łagodniało oślepiające światło słońca odbite od rzeki i bardzo lekki wietrzyk kołysał zwisającymi gałęziami płaczących wierzb, Wu Zhao nie odmawiała sobie spaceru wzdłuż rzeki, w głębinach której miały się kryć te prorocze inskrypcje.

Zdawała sobie sprawę, że tylko jakieś niezwykle wydarzenie mogłoby jej pomóc w pokonaniu ostatniego stopnia schodów, które przebyła od czasu, gdy dostrzegł ją stary cesarz Taizong, i zdobyciu pozycji samodzielnego cesarza Chin, na równi z mężczyznami, którym niebo udzielało błogosławieństwa.

Aż do chwili obecnej udało jej się pokonać wszystkie przeszkody, udaremnić spiski prefekta Li i generała Zhanga, a także tych wszystkich cesarskich dworaków, którzy chcieli jej upadku, oburzeni, że taka plebejuszka dochodzi do władzy. Jej przymierze z buddystami stanowiło dodatkowe wielkie zagrożenie dla politycznych instytucji państwa.

Pod tym względem zdrada Zielonego Kolca skomplikowała nieco zadanie, jakie postawiła sobie cesarzowa.

Za sprawą raportów na jej temat, spisanych przez różne policyjne służby, jej wrogom udało się w końcu zaszcześcić wątpliwości w umyśle Gaozonga. Oskarżano jego żonę o chowanie handlarzy jedwabiu i o czyny niezgodne z prawem, polegające na goszczeniu w pałacu cesarskim osób ściganych przez policję.

Pewnego wieczoru cesarz poruszył ten temat, z posępną miną i trochę zdenerwowany.

— Moja droga, wielu stawia ci poważne zarzuty! Co masz mi, pani, do powiedzenia? Mógłbym uciszyć twych wrogów, którzy są coraz liczniejsi!

Wu Zhao stwierdziła z ulgą, że cesarz raczej stara się jej

bronić, niż wyciągać wnioski z plotek, które jego zdaniem miały na celu wyłącznie podkopanie autorytetu małżonki.

Zaprotestowała więc żywo, twierdząc, że chodzi o pomówienia ze strony ludzi pragnących ją z nim rozdzielić. Zapewniła, że gotowa jest oddać się w ręce policji, jeśli tylko on uzna to za konieczne.

— Nie zrobisz czegoś takiego! To rozkaz cesarza! Prawa nie stanowią tu twoi wrogowie, pani! — szepnął cesarz. Aby ratować, co się da, rzuciła się przed nim na kolana, z ustami na odpowiedniej wysokości, tuż przed wypukłością utworzoną przez jego nefrytowy wisiorek pod materiałem spodni.

Gdy tylko dokończyła dzieła, ku wielkiemu zadowoleniu małżonka, ten zmienił swoje stanowisko, jakby jego łaska zależała jedynie od hołdów składanych przez doświadczonego język Wu Zhao jego dostojnej, władczo sterczącej lancy. Gaozong po prostu przepadał za tymi pieszczotami, a ona obdarowywała go nimi nader rzadko.

Wu Zhao odniosła wrażenie, iż małżonek wie, w jaki sposób przybywa do Chin przemycany jedwab, ponieważ wymienił oazy Turfan i Dunhuang, opisując, jaką rolę odgrywali w tym procederze manichejczyści i nestorianie.

Coraz bardziej zakłopotana Wu Zhao stwierdziła, że prefekt Li, Zhang i inni, ciągle pełni nienawiści, dostarczyli Gaozongowi obciążający materiał, żeby postawić ją przed sądem!

— Mówią mi, że dałaś, pani, schronienie młodej dziewczynie o imieniu Dziubara i młodzieńcowi, który ma na imię Osiem Nakazów. Pałac cesarski nie powinien gościć osób winnych naruszenia prawa! Chyba że, oczywiście, ja bym tak zdecydował! — powiedział półzartem cesarz, zapinając spodnie.

I tym razem, jak zawsze, gdy znalazła się w wyjątkowo niebezpiecznej sytuacji, Wu Zhao przeszła samą siebie: okazała dość tupetu, lub może geniuszu, aby przyznać się do winy!

—No tak, Wasza Wysokość! Próbowałam zdobyć jedwab, ale postąpiłam tak również z myślą o was i o waszej przyszłości! Błogosławię chwilę, w której zmuszona jestem wam to wyjawić. Coraz bardziej ciążyło mi utrzymywanie tego w sekrecie! — powiedziała ze łzami w oczach, po czym wyjaśniła cesarzowi, iż pragnęła ofiarować Klasztorowi Wielkiego Wozu jedwab na malowidła, przed którymi medytują mnisi.

—Moja droga, co ma z tym wspólnego Wielki Wóz? Nie uważasz, pani, że buddyści, których budżet znacznie, jak mówią, przekracza wydatki cesarskich armii, są już wystarczająco bogaci? — spytał sceptycznie Gaozong.

—Mnisi obiecali mi w zamian lata modlitw i nieprzerwanych inwokacji przed obrazami Buddy i bodhisattwów. A wszystko to, Wasza Wysokość, na intencję waszej osoby i waszych potomków...

—Potęga Państwa Środka powstała dzięki wojnie i krwi, nie dzięki modlitwom bigotów! — odparł zirytowany cesarz.

—Nie powinniście lekceważyć Błogosławionego Buddy! Więcej jest wśród ludu jego wyznawców niż konfucjanistów, którzy pochodzą z elit. Czy władca bardziej nie potrzebuje ludu niż wyższych warstw społecznych, które zawsze myślą o sobie, ponieważ ciągną korzyści z istniejącego porządku? — odcięła się Wu Zhao.

—Niestety, tak! — zgodził się cesarz, poruszony jej argumentacją.

—Ci, którzy przyjdą po was, będą musieli się z tym liczyć! — dodała.

Gaozong, który poczuł się znowu w siódmym niebie, objął ją namiętnie w nadziei, że małżonka wróci do rozkosznej zabawy jego nefrytowym trzonkiem, który z powodu wieku i choroby właściciela reagował coraz bardziej niemrawo.

Jeszcze raz, dzięki swym wdziękom i wierze, cesarzowa zdołała zebrać siły, które pozwoliły jej wydostać się z groźnego położenia, w jakim znalazła się za sprawą swoich wrogów.

Subtelny manewr, dzięki któremu zdołała wyjść cało z opresji pod nosem swych oskarżycieli, szalejących z wściekłości na wieść, że i tym razem nic nie wskórali, wzmocnił tylko jej opinię o tym, jaką wagę ma opieranie się na Buddzie i jego Szlachetnej Prawdzie.

Im więcej czasu mijało, tym większą czuła potrzebę odwoływania się do jego pomocy. Niezachwiane wsparcie Buddy było jej potrzebne tak bardzo, że jako dobra i szczerą buddystką doszła w końcu do wniosku, że przyjdzie ono od głązów z prorocत्वami, spoczywających w głębi wód o kilka kroków stąd.

Poczuła więc wzruszenie, gdy zbliżyła się do Luo He, trzymając za ręce Lotosa i Klejnotkę. Przed nimi kroczył Niemowa, który niósł na ramieniu wielki wiklinowy kosz z podwieczorkiem dla Niebiańskich Bliźniąt.

Popołudnie tego wyjątkowo ciepłego i wilgotnego początku lata, przychylnego wszelkiego rodzaju kwiatom, których rozkoszne zapachy napęłniały powietrze, zapowiadało się wspólnie.

— Woda! Woda! Chcemy do wody! — wykrzyknęły dzieci na widok rzeki, nad której lśniącej powierzchnią kręciły się z brzęczeniem ważki.

Wu Zhao trzymała je mocno za rączki, aby mała Klejnotka nie zbliżyła się zbyt blisko do tafli i nie ujrzała odbicia swej owłosionej w połowie buzi.

Cesarzowa domagała się od Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, żeby umieszczono dzieci w specjalnym pawilonie, z którego zostaną usunięte wszystkie lustra, i Czystość Pustki jej to przyrzekł. Dopilnowała też, aby wszystkie lśniące powierzchnie, posadzki, stoły i parawany okryto kobiercami albo obrusami. Mniszki, które zajmowały się dziećmi, otrzymały ściśle instrukcje, aby nie podawać im żadnych naczyń, których rozmiary pozwalałyby zobaczyć w środku odbicie twarzy.

Wu Zhao obsesyjnie pragnęła, by Klejnotka nie odkryła nagle tego dziwu, jakim obdarzyła ją natura, czyniąc z dziewczynki, mimo uderzającej piękności jej rysów, stworzenie tak odmienne od innych, że można było dostrzec w niej cechy boskości, dzięki czemu już teraz tysiące wiernych marzyło o tym, żeby dotknąć rąbka jej sukienki.

—Wasza Wysokość, wydaje się, że kochacie Klejnotkę jak własne dziecko! — mówił często Czystość Pustki, gdy cesarzowa zachwycała się w jego obecności postęпами dziewczynki, która zaczęła chodzić i mówić trochę wcześniej niż jej brat Lotos.

—To wyjątkowe dziecko, już teraz bardzo wrażliwe. Z pewnością potrzebuje dużo miłości — odpowiadała Wu Zhao surowemu przełożonemu, który kwitował to spostrzeżenie uśmiechem.

Jeśli chodzi o Klejnotkę, to promieniowała radością, gdy tylko widziała swoją dostojną opiekunkę.

Trzeba było widzieć, jak wystrojona niczym księżniczka, klaskała i wołała wesoło, gdy Wu Zhao pokazywała się na werandzie letniego pałacu, niedaleko miejsca, do którego mnich doprowadzał dzieci udające się z wizytą do władczyń.

Albowiem Klejnotka nie wiodła takiego życia jak inne dziewczynki.

Gdy umieszczano ją razem z braciszkiem na małym podium na dziedzińcu Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, do którego natychmiast ustawiał się długi ogonek wiernych, pragnących złożyć ofiarę i poprosić o uleczenie, cuda i inne łaski, robiła zawsze poważną, niemal zmartwioną minę, jakby nie odpowiadała jej rola żywej relikwii.

Mimo iż była dzieckiem, wywiązywała się ze swego zadania z powagą osoby dorosłej.

Mnisi bez ceregieli tłumili uderzeniami trzcinki mistyczne porywy tłoczących się wiernych, dając im tylko tyle czasu, aby mogli skłonić się u stóp dziewczynki i wymruczeć łaskę, której się po niej spodziewali.

U boku kobiety, którą nazywała ładnie „ciocią Wu”, Klejnotka, spędzająca większość dni ubrana w złoto i jedwab, stawiała się znowu zwykłą małą dziewczynką.

Ciocia Wu poleciła Niemowie rozłożyć na murawie matę ze słomy ryżowej i zaczęła wykładać na nią ciastka, postawiła też dzbanek z sokiem pomarańczowym, którym chciała poczęstować dzieci.

Zmieniły się od czasu ostatniej wizyty w letnim pałacu.

Umiały już trzymać kawałek bambusa, który im dawała, i posłużyć się nim jak rylcem w piaskownicy małego ogródka miniaturowej zagrody, gdzie uwielbiały robić babki.

Tego popołudnia miała nadzieję, że po spacerze nad rzeką zacznie uczyć je znaków języka pisanego.

—Ja kółko! Ty kwadrat! — szepnęła dziewczynka do braciszka, a potem dodała, posyłając swój najpiękniejszy uśmiech cesarzowej, która rozczuliła się jeszcze bardziej, patrząc na swoją małą ulubienicę: — Zgoda, ciociu Wu?

—Ja kółko! — wykrzyknął Lotos, trochę silniejszy od siostry. I tym razem postanowił nie dać się przekrzyczeć.

Pochylona nad kuczającymi na ziemi Niebiańskimi Bliźniętami, które rysowały z wielkim przejęciem właściwym małym dzieciom, Wu Zhao zamyśliła się nagle nad własnymi potomkami.

Już cztery razy była matką; dwoje jej dzieci żyło, ale dwie dziewczynki urodziły się martwe.

Pierwszą z nich wydała na świat dokładnie w rok po Li Hongu, starszym z urodzonych przez nią chłopców, który został księciem następcą tronu w lutym 656 roku, w miejsce Li Zhonga, następcy wybranego przez usuniętą cesarzową panią Wang.

Drugą była dziewczynka, którą jej brzuch wydał czternaście miesięcy temu, trzy miesiące przed terminem, w obecności prostackiej położnej cesarskiego pałacu w Chang'anie. Ta powiadomiła ją bez ceregieli, że z jej ciała wyszedł mały trupek, cały pomarszczony i siny, ale że to nic strasznego, „bo to tylko dziewczynka”.

Po tym przedwczesnym porodzie Wu Zhao uważała się za niepłodną, co dawało jej jeszcze większą swobodę w używaniu swego ciała, by manipulować mężczyznami*.

Wu Zhao nie potrafiła zapomnieć o tym dziecku zmarłym w jej brzuchu, którego ojcem nie był Gaozong, ale najprawdopodobniej przystojny *fangshi*, taoistyczny czarownik, który oczarował ją na kilka tygodni, czas wystarczający na to, aby docenić jego seksualną dzielność, toteż obecność Klejnotu była dla niej prawdziwym pocieszeniem.

Nie mogła powstrzymać się od myśli, że Niebiańska Bliźniaczka jest reinkarnacją tamtej istotki z jej krwi i kości, która niestety nie przeżyła.

Jeśli chodzi o żyjących potomków, to nie śmiała wyjawić nikomu, że jej chłopcy, Li Hong i Li Xian, są dalecy od spełnienia oczekiwań i ambicji, jakie miała prawo żywić wobec nich.

W końcu zaczęła pogardzać Li Hongiem, ponieważ przeczuwała, że ten już teraz gnuśny i roztrzepany chłopiec skończy jak inni: będzie oddawał się z zamięłowaniem zarówno polowaniom i galopowaniu po wiejskich okolicach, jak i snuciu subtelnych dworskich intryg. Mały książę Li Xian, jego brat, co do którego wielu na dworze wątpiło, czy jest synem Gaozonga, nie miał jeszcze dwóch lat i było za wcześnie, aby osądzić, czy potomek, którego narodziny pogrzyżyły klan jej wrogów we wściekłości i konsternacji, będzie godnym następcą swojej matki.

Jakże by chciała, aby Li Hong, chociaż dużo młodszy, był podobny do Pięciu Zakazów! Równie gorąco życzyła sobie, żeby jej mały Li Xian, gdy przyjdzie czas, okazał równie silny charakter i bystrość umysłu, co ten dzielny mnich.

Skądinąd, od czasu, gdy ten ostatni opuścił Chang'an, aby udać się do kraju Bod, wciąż myślała o nim ze wzruszeniem.

* W rzeczywistości cesarzowa Wu urodziła swoją ostatnią córkę, Taiping, w 664 r.

Po nerwowej reakcji Czystości Pustki, gdy wspomniała mu o jego byłym pomocniku, nie śmiała więcej poruszać tematu Pięciu Zakazów, ale obiecywała sobie, że przy pierwszej okazji znowu poruszy sprawę młodzieńca i w końcu nakłoni przełożonego, aby mu wybaczył.

Nie było też dnia, żeby nie rozmyślała o Umarze, młodej chrześcijance, która przed ucieczką z Chang'anu wyjawiała jej w tak urzekający sposób, iż uważa się za przybraną matkę Niebiańskich Bliźniąt, baraszkujących teraz na brzegu rzeki!

Sprawiała jej przyjemność myśl, że młoda para, którą darzyła taką czułością, oddała w jej ręce los boskich dzieci.

Co oni teraz robią, młody buddysta i młoda chrześcijanka, tak uroczy, inteligentni i obdarzeni owym szczególnym darem wychodzenia naprzeciw innym i obdarzania ich zaufaniem?

Czy zdolali dotrzeć do Tybetu? Czy nie zamierzają wrócić do środkowych Chin, teraz, gdy nielegalny handel jedwabiem zupełnie ustał? Czy słodka Umara nie oczekuje może dziecka? Czy Czystość Pustki przebaczy w końcu Pięciu Zakazom i zwolni go ze ślubów czystości? A czy stanie się to dzięki niej, jak o tym marzyła?

Pytania krążyły w jej głowie, prowadząc ku sprawom jej własnego, tak wyjątkowego przeznaczenia.

Co przyniesie przyszłość?

Czy zrealizuje swoje cele?

Nie wiedział tego nikt, z wyjątkiem być może tych kamieni zatopionych o kilka kroków od niej, w mule rzeki Luo... Świętych gładów o szorstkiej powierzchni, na których z całą pewnością wypisana jest jej przyszłość... Kamieni czekających tu na nią od niepamiętnych czasów...

Z marzeń wyrwał cesarzową cienki głosik Klejnotki:

—Ciociu Wu, ja chcę do wody! — powtarzała dziewczynka, klepiąc ją łagodnie po rękę małą łapką.

—Och, tak! Iść do wody! Iść do wody! — zawtórował siostrze Lotos.

—Woda jest zimna, moje kochane! Gdybyście się zamoczyły, nie miałabym w co was przebrać! — odparła cesarzowa, zdecydowana nie dopuścić, aby Klejnotka zbliżyła się do rzeki.

—Iść do wody! Iść do wody! Ciociu Wu, iść do wody! — zaczęły wołać razem.

Trzeba było widzieć, jak obejmowały ją za szyję i okrywały pocałunkami jak własną mamę, przekonane, że w końcu ustąpi.

Jednak cesarzowa nie zamierzała się ugiąć. Aby odwrócić ich uwagę, zaproponowała, żeby spróbowały smacznych ciasteczek z mąki ryżowej i miodu, przygotowanych przez cukierników z cesarskiej kuchni.

Ale tego dnia Niebiańskie Bliźnięta, niesforne i podniecone już na samą myśl, że mogłyby zamoczyć rączki w płynącej wodzie, której ciche szemranie słyszały pierwszy raz, nie tknęły nawet smakołyków, na które zazwyczaj się rzucały.

— Iść do wody! Iść do wody! Ciociu Wu! Woda ładna!

Prośby dzieci stawały się coraz bardziej natarczywe; rozłoszczone, zaczęły uderzać małymi piąstkami w drzewa i Wu Zhao czuła, że za chwilę wybuchną płaczem.

A ona nie chciała, aby Niebiańskie Bliźnięta rozpląkały się przy niej jak zwyczajne dzieci, którym nianka czegoś odmówiła, choć pragnęłaby przychylić im nieba!

Cesarzowa uwielbiała zachwycającą Klejnotkę, której śliczne błyszczące oczy, teraz wypełnione łzami, tak bardzo ją rozczulały!

W końcu ustąpiła.

— Ale nie wolno wam puszczać mojej ręki! Zgoda? — powiedziała, podnosząc się z ławki.

Świadome swego zwycięstwa dzieci wydały okrzyk radości i rzuciły się na szyję cesarzowej, niezdolnej oprzeć się ich urokowi.

— Niemowo, możesz włożyć do koszyka jedzenie? Inaczej zajmą się nim ptaki. Niebiańskie Bliźnięta nawet go nie tknęły i będą głodne, gdy wrócimy znad rzeki! — poleciła słudze,

który nadal boczył się ostentacyjnie, siedząc w cieniu jarzębiny i tnąc gałąź małym nożykiem.

— Zrobione, Wasza Wysokość! — mruknął.

Wu Zhao mocno ujęła dzieci za rączki, żeby nie uciekły, i skierowała się powoli ku rzece.

W poprzednim tygodniu w okolicy Luoyangu spadły obfite letnie deszcze, ożywiając nurt rzeki. Jej zielonkawe wody niosły pnie drzew, a nawet trupy zwierząt, które przybór musiał zaskoczyć powyżej letniej stolicy. Rozfalowany kobierzec, płynący na oczach Wu Zhao i Niebiańskich Bliźniąt, sprawiał, iż rzeka przypominała cielsko ogromnego smoka, który zszedł z gór na równinę i pełzł, strosząc łuski.

Po raz pierwszy dzieci oglądały nurt tak bystry i burzliwy, powierzchnia wody pod działaniem promieni migotała tysiącem unoszących się w powietrzu kropelek.

— Ja chcę tam iść! Ja chcę na wielki dywan! — wykrzyknęła dziewczynka, oczarowana płynnym żywiołem mknącym z ogromną prędkością.

— Z pewnością nie, moja droga! To nie dywan! To woda! Gdyby ktoś do niej wpadł, mógłby się utopić! — wykrzyknęła zaniepokojona cesarzowa.

Potęga nurtu uniemożliwiła dojrzenie jakiegokolwiek odbicia od jego powierzchni, które pozwoliłoby Klejnotce zobaczyć swoją twarz, ale też nie dawała żadnej szansy nieostrożnemu, który by wpadł do wody.

Zafascynowana płynnym dywanem dziewczynka uparła się jednak i nadal ciągnęła cesarzową za rękę. Mały Lotos, mniej śmiały od siostry i przerażony dziwnym szumem zielonej wody, w końcu rzucił się na ziemię, żeby nie zbliżyć się zbytnio do nieznanego mu żywiołu.

— Ja chcę tam! Ja chcę tam! — krzyczała dziewczynka, wskazując płaczące wierzby, rosnące rzędem na przeciwległym brzegu, podczas gdy jej skulony w trawie braciszek czekał grzecznie, aż Wu Zhao weźmie go na ręce.

Zdezorientowana cesarzowa schyliła się, żeby go podnieść, i puściła rączkę Klejnotki.

Gdy rzuciła się za dziewczynką, wołając, żeby się zatrzymała, było już za późno. W tej samej chwili, w której ujrzała fontannę wody, dotarł do jej uszu przeszywający krzyk, dając znać, że stała się rzecz nieodwracalna. Klejnotka, dziecko o niezwyklej buzi, dziewczynka, którą tybetańska mniszka Manakunda wydała na świat jednocześnie z jej bratem i którą Pięć Zakazów i manipa przewieźli przez cały Tybet i Chiny, wpadła na oczach cesarzowej Chin między łuski wielkiego smoka, który zszedł z gór na równinę...

Niemowa zauważył, co się stało, i dołączył do niej, w chwili gdy zatrzymała się zdyszana na brzegu zielonkawego dywanu o srebrzystym odcieniu, niknącego z oszołamiającą prędkością. Czując na sobie przerażone spojrzenie swej pani, nie tracił czasu na zdjęcie ubrania, tylko rzucił się do rzeki, uderzył potężnie nogami i zniknął pod powierzchnią, żeby przeszukać dno.

Mijające chwile wydawały się cesarzowej wiecznością. Ścisła Lotosa w ramionach tak mocno, że omal go nie udusiła. Kiedy wpatrywała się rozpaczliwie w miejsce, w którym Niemowa tak odważnie się zanurzył, w niczym nie przypominała nieugiętej władczyni.

— O Błogosławiony, pozwól żyć temu dziecku! Nie dopuść, żeby tak wcześnie zjawilo się u ciebie! Ona nie dożyła swego czasu na tym padole! — szeptała, bliska płaczu.

Przymknęła oczy i złożywszy ręce, zaczęła modlić się głośno i żarliwie, przyciskając do siebie małego Lotosa. Jej słowa wyrażały najgorętsze pragnienie, aby olbrzym wyłonił się, ociekając mułem niczym wielki posąg z brązu, ze zdrowym i całym maleństwem w potężnych wytatuowanych ramionach.

Bardzo potrzebowała Klejnotki i wykrzykiwała to wiatrowi, drzewom, słońcu, a nawet tej przeklętej rzece!

Wzywała Buddę, ale na wszelki wypadek także różnych bodhisattwów, którzy byli bardziej dostępni ludziom i zarazem bardziej czuli na ich nieszczęścia, jako że, będąc o krok od nirwany, jedną nogą stali wciąż w świecie ludzi.

Na początek zwróciła swe błagalne prośby do Guanyin o Tysiącu Pomocnych Ramionach. Czyż nie miała ona dość rąk, aby wydobyć dziewczynkę z mułu? Potem przyszła kolej na Guanyin dzierżącą „niezawodny sznur”, łączący ludzi z Wielką Istotą, władną dać im wszystko, czego sobie zażyczą, pod warunkiem że im się to należy. Podjęła nawet próbę wysondowania Guanyin Wodno-Księżycowej, dzięki której wierni mogą medytować nad odbiciem księżyca w wodzie, symbolem ułudy, jaka zwoździ istoty ludzkie.

Potem błagała Maitreję, Buddę Przyszłości, królującego w niebie Tuszita, i jego towarzysza Mandżuśriego, który dosiada lwa, a nawet Puxiana, znanego z mądrości, a przede wszystkim z wszechogarniającej dobroci, do którego odwoływali się tylko szczególnie wykształceni wierni, z powodu ezoterycznego charakteru jego nauk.

Rozgorączkowana zwracała się po kolei do wszystkich, nawet do Panteonu Tysiąca Buddów, gdy nagle, z gardłem ściśniętym od recytowania mantr, ujrzała tę, którą tak żarliwie pragnęła zobaczyć.

Z wody koloru nefrytu o miedzianych prążkach wyłonił się Niemowa z głową w algach, które wyglądały jak długie włosy. Ukazał się niczym zjawą, przyciskając do piersi nieruchome ciało dziewczynki.

Olbrzym, o włos od utraty przytomności, odnalazł Klejnotkę!

Cesarzowa nie zdążyła nawet zadać sobie pytania, czy Klejnotka jest martwa, czy żyje: krzyki dziewczynki, która natychmiast odzyskała oddech i zaczęła szlochać, były najwspanialszym podarunkiem dla Wu Zhao.

Wdzięczna bóstwom, które wysłuchały jej błagań, podbiegła, aby obsypać dziecko pocałunkami. Dziwne znamię na twarzy

dziewczynki było wyraźnie mniej zaczerwienione niż zwykle, dzięki działaniu zimnej wody, łagodzącemu przekrwienie.

—Moja droga, napędziłaś mi strachu, jakiego nie zaznałam w życiu! Na szczęście czuwa nad tobą tyłu buddów... — szepnęła, rozcierając Klejnotkę od stóp do głów, rozebrawszy ją przedtem, żeby osuszyć jej ciało.

—Bać się wody! Bać się wody! Woda niedobra! — wrzeszczał Lotos, tuląc się do siostry i głaszcząc ją.

—Obiecuję, ciociu Wu, ja już nigdy nie chodzić po wodzie! Woda nie dywan! — szepnęła dziewczynka, podczas gdy Wu Zhao, zawinawszy ją w chustę z jedwabnego moltonu, kołysała ją jak matka.

Nie tracąc ani chwili, zadała olbrzymiemu Turko-Mongołowi pytanie, które paliło jej wargi:

— Powiedz mi, zauważyłeś w mule jakieś głązy, tam gdzie skoczyłeś, by ratować Klejnotkę?

Czekała na odpowiedź, wstrzymując oddech.

—Tak, Wasza Wysokość!

—Były na nich jakieś napisy? — wykrzyknęła podniecona cesarzowa, klaszcząc w dłonie.

— Muł był gęsty, a ja szukałem małej... — odparł Niemowa.

Wykorzystując jeszcze raz swe wdzięki, rzuciła mu wymowne spojrzenie, musnęła ustami jego wargi, które zadrżały pod długimi węsami.

— Chciałabym, żebyś zanurkował znowu do tych głązów. Są na nich napisy, które mogłyby się okazać bardzo ważne dla naszych interesów... jeżeli rozumiesz, co mam na myśli! — szepnęła mu do ucha.

Powiedziała celowo „naszych”, aby obudzić w Niemowie złudzenie, że jej sukcesy mogą przynieść korzyść także jemu.

— Rozumiem! Twoje życzenia, pani, są dla mnie rozka zem! — odparł olbrzym, szczęśliwy, że zadowolony swą panią, po czym zawrócił ku rzece i zanurzył się dostojnie w jej zielonych wodach, żeby przyjrzeć się legendarnym głązom.

Kiedy wyszedł z wody, ukazawszy się przedtem z dziesięć razy na jej powierzchni, Wu Zhao poznała po jego zawiedzionym spojrzeniu, że coś się nie zgadza.

—Wasza Wysokość, leży tam osiem kamieni pociętych ludzką ręką. Ale nie ma napisów! Trzeba by dla pewności wyjąć je z wody... — powiedział cicho, zmartwiony i bez tchu.

—Masz rację. Jakiej są wielkości?

—Ogromne. Udało mi się poruszyć nieco jeden z nich, tylko dlatego, że się pod nim zaparłem!

—Ciociu Wu, chcę ciastko! Ciastko bardzo dobre — wykrzyknęła cienkim głosikiem Klejnotka, u której emocje wywołane kąpielą zaostrzyły apetyt.

Wu Zhao pospiesznie rozdzieliła między Niebiańskie Bliźnięta placuszki i inne łakocie.

Popatrzyła w zamyśleniu na burzliwe wody Luo He, która nadal niosła swój łup — zwierzęta, pnie i całe drzewa, porwane z brzegu gwałtownym wylewem.

To pod tym płynnym żywiołem, gęstym jak zupa, spało spokojnie osiem głązów, mogących się okazać jej najlepszymi sojusznikami, pod warunkiem że się do nich dobierze.

Uświadomiła sobie, że musi zrobić wszystko, aby te głązy ukryte w głębi mułu przemówiły! Tam gdzie są teraz, pozostawały nieme, a więc nieprzydatne.

Już miała polecić Niemowie, żeby pozbierał resztki podwieczorku do wiklinowego kosza, kiedy poczuła za plecami czyjąś obecność.

Odwróciła się szybko.

Był to Czystość Pustki, który wyszedł jej na spotkanie.

—Klejnotka wpadła do wody! Na szczęście Niemowie udało się ją uratować. Najadła się tylko strachu! — wyjaśniła mu, wciąż jeszcze przejęta, gdy tylko się zbliżył.

—Mam nadzieję, że dziewczynka nie zobaczyła swego odbicia w wodzie! — mruknął wielki mistrz *dhyany*, spoglądając na Niebiańskie Bliźnięta, które bawiły się w trawie biedronkami.

Lubiły patrzeć, jak te małe owady wdrapują się na źdźbła i łodygi.

Mahajanistę prześladowała obsesja ta sama, co i Wu Zhao: za żadne skarby nie chciał, żeby mała Klejnotka zbyt wcześnie odkryła ten tak dziwny podarunek od natury.

—Na szczęście nie. Podbiegła do rzeki i nie miała nawet czasu, żeby się nad nią pochylić, bo od razu wpadła w mulistą wodę! To dobre, co się dobrze kończy!

—Błogosławiony osobiście czuwa nad Niebiańskimi Bliźniętami! — dodał przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa i ruszył za Niemową, który szedł przodem z dziećmi.

—To prawda, mistrzu Czystość Pustki!

Cesarzowa uznała za zagadkową tę nieoczekiwaną wizytę, ponieważ Czystość Pustki miał zwyczaj się zapowiadać. Nie musiała jednak długo czekać, aby poznać powód zjawienia się wielkiego mistrza *dhyany*.

— Wasza Wysokość, chciałbym was o coś zapytać. Jakiego rodzaju kobietą była Umara, córka biskupa nestorianów z Dunhuangu, w której Pięć Zakazów zakochał się tak bardzo, że złamał śluby? — zapytał znienacka, korzystając z tego, że szli obok siebie, daleko za dziećmi.

Serce biednej Wu Zhao zaczęło bić jak oszalałe.

I tak już wyrażona z równowagi, doszła do przekonania, że słowa przełożonego mahajany są wstępem, po którym przejdzie on do rzeczy i przypomni jej obietnicę dostarczenia jedwabiu na chorągwie.

—O ile mi wiadomo, Umara jest zachwycającą dziewczyną, o bardzo dobrym charakterze! Ale dlaczego mnie o to pytacie? — powiedziała ostrożnie, udając zdziwienie, że Czystość Pustki zadał jej tak bezpośrednie pytanie, co było niezgodne z jego zwyczajami.

—Jeden z mnichów przyłapał ją na kradzieży relikwii ze skrytki z księgami jego klasztoru...

—To niepodobne do Umary, która względem mnie zachowywała się zawsze bez zarzutu. Jesteście pewni, że mnich miał na myśli tę młodą kobietę? — zapytała cesarzowa, która nie uwierzyła ani jednemu słowu przełożonego.

—Nestoriański biskup z Dunhuangu, Addai Aggai, nie miał dwóch córek o tym imieniu! A ten mnich nie jest z tych, co miewają przywidzenia. Zapewnił mnie, że widział na własne oczy, jak przeszukiwała skrytkę na księgi Klasztoru Zbawienia i Miłosierdzia, bo chodzi o ten właśnie klasztor! — wykrzyknął przełożony, dotknięty do żywego tym, iż Wu Zhao wątpi w jego słowa.

—Być może natrafiła na tę skrytkę przypadkiem i została zaskoczona przy odwijaniu jednego czy dwóch rękopisów! Klasztory mają w górach mnóstwo skrytek na księgi. Na Jedwabnym Szlaku trudno by znaleźć klasztor, który nie miałby takich schowków. Co do przywłaszczenia sobie relikwii, to całkowicie wykluczam możliwość, aby ta młoda dziewczyna mogła zrobić coś takiego!

—A jednak tak było!

—Ale o jakich relikwiach mówicie? — zapytała Wu Zhao, którą ta rozmowa coraz bardziej denerwowała.

—Wasza Wysokość, nie chodzi o jakieś drugorzędne pamiątki! Skupienie Powagi, bo tak nazywa się ten przełożony, zapewnił mnie, że dziewczyna ukradła najświętszą relikwię, Oczy Buddy, którą przechowuje najczcigodniejszy klasztor w Peszawarze, indyjskim mieście, gdzie znajduje się święty relikwiarz bardzo pobożnego króla Kaniszki.

—Mistrzu Czystość Pustki, nie powinniście wierzyć plotkom, zwłaszcza gdy ktoś rozpusza je po to, żeby mąciły innym w głowie! — ucięła oschle władczyni.

Wydawało się jej niemożliwe, aby Umara, z którą tak się zaprzyjaźniła, ukryła przed nią podobny uczynek.

— Nie pozwoliłbym sobie na tego rodzaju podejrzenia, gdybym uważał je za nieuzasadnione! Wasza Wysokość, wiem, co mówię! — odparł stanowczo Czystość Pustki.

Wobec takiego zapewnienia cesarzowa mogła tylko milczeć. Bardziej niż kiedykolwiek zamyślona, przyglądała się Niebiańskiemu Bliźniętom baraszkującym na murawie Parku Drzewiasnych Piwonii, do którego zaprowadził je Niemowa.

Pewność siebie Czystości Pustki wstrząsnęła nią. Duchowy zwierzchnik chińskiej mahajany nie mógł kłamać, i jeśli przyszedł aż do letniego pałacu, żeby poruszyć tę kwestię, znaczyło to, że sprawa jest poważna.

Stopniowo, niczym trucizna wsączona do żył, wątpliwości zaczęły drążyć jej umysł.

—Jakim sposobem tak ważna relikwia znalazła się w Klasztorze Wielkiego Wozu w Dunhuangu? — zapytała w końcu.

—To największa zagadka, Wasza Wysokość, i bardzo bym chciał ją rozwiązać...

—W takim razie, czy nie należałoby zapytać o to samą zainteresowaną? Wyślijcie posłańca do Samye. Ostatecznie, raz już to zrobiliście, polecając tam jechać Pięciu Zakazom! — odparła cesarzowa.

—Wasza Wysokość, gdyby mój klasztor mógł pokazać wiernym Oczy Buddy, wyciągnąłby z tego wielką korzyść... Mogłoby to być decydujące dla naszych wspólnych zamiarów, mam na myśli działania Wielkiego Wozu, ale przede wszystkim wasze, Wasza Wysokość... — rzekł Czystość Pustki, który wystrzegał się udzielenia odpowiedzi wprost.

Znając metody Wu Zhao, przyjął jedyną możliwą taktykę i wywnioskował ze zmiany wyrazu twarzy władczyni, na której nieufność ustąpiła ciekawości, że trafił w sedno.

—O jakich wspólnych działaniach mówicie?

—Mówię o waszej wspaniałej karierze jako głowy państwa. Wszystko, co wzmocni Wielki Wóz, będzie korzystne i dla Waszej Wysokości. Czyż nie wyrażałem się zawsze jasno na ten temat?

—Jeśli dobrze rozumiem, sugerujecie, że wasz klasztor mógłby przejąć Oczy Buddy?

—Niekoniecznie przejąć, Wasza Wysokość, ponieważ jest

to relikwia Małego Wozu, która we właściwym momencie powinna wrócić do wysokiej i czcigodnej Wieży Kaniszki w Peszawarze, wzniesionej w tym właśnie celu! Odpowiadałoby mi natomiast doskonale tymczasowe jej przechowanie... Ma się rozumieć, mówię to w imieniu mojego klasztoru... — wyjaśnił Czystość Pustki.

— Zaczynam lepiej rozumieć sens waszych słów! — mruknęła Wu Zhao i zamyśliła się głęboko.

Sugestia Czystości Pustki otwierała przed nią nieoczekiwane możliwości.

—Dlaczego chcecie posłużyć się mną, skoro nie mogę dostarczyć wam jedwabiu, który przecież obiecywałam wam tyle razy? — zapytała w końcu, szczerze zaniepokojona.

—Wasza Wysokość, wszyscy wiedzą, że doskwiera wam brak jedwabiu. Ale dla klasztoru, którym mam zaszczyt kierować, Oczy Buddy więcej znaczą niż zwykłe chorągwie! — pospiesznie odparł Czystość Pustki, zdecydowany wykorzystać jak najlepiej swoją przewagę.

—Rozumiem doskonale, że możliwość dysponowania Oczami Buddy przyniosłaby Klasztorowi Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa mnóstwo pieniędzy!

—Czy w tej sytuacji Wasza Wysokość byłaby gotowa mi pomóc?

Wu Zhao zamilkła na chwilę, a potem odezwała się znowu, jakby zdecydowała się myśleć głośno w obecności wielkiego mistrza *dhyany*.

— Trzeba by urządzić to tak, żeby Pięć Zakazów i Umara tu wrócili. To wydaje się możliwe, zwłaszcza gdyby zatrzymali się w Luoyangu, pod warunkiem że pomoglibyście mi znaleźć im schronienie. Tam, w kraju Bod, ryzykują mniej niż tutaj, gdzie agenci Wielkiego Cenzoratu nadal kręcą się wokół mnie i szpiegują moje najdrobniejsze poczynania, przekonani, że prędzej czy później każę wrócić tej młodej parze, która zdołała im się wymknąć...

—Wasza Wysokość... przyznajcie, oni nie są w błędzie! Przecież bez wahania ugościliście tę parę w samym sercu cesarskiego pałacu w Chang'anie! — wykrzyknął mahajanista, pragnąc przypodobać się cesarzowej i ostatecznie zapędzić ją w kozi róg.

—Zgadza się, nigdy zresztą nie ukrywałabym tego przed wami! Wiedźcie też, że wcale nie żałuję! Ci młodzi ludzie w pełni zasługiwali na moje wsparcie. Gdybyście wiedzieli, jacy byli dla mnie mili... — odparła ze smutnym uśmiechem Wu Zhao, którą wspomnienie tego czasu wprowadzało zawsze w nostalgiczny nastrój.

—Wasza Wysokość, nie trzeba kłopotać się szukaniem Umara w Samye. Ona znajduje się teraz parę kroków stąd, w Klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa — oświadczył Czystość Pustki, patrząc jej prosto w oczy z nieco teatralną pewnością siebie.

Słyszac te słowa, Wu Zhao omal się przewróciła.

—Czy jest z nią Pięć Zakazów? — zapytała, zaszokowana słowami Czystości Pustki.

—Jego tu nie ma. I nie wiem doprawdy, gdzie jest!

—Umara i jej ukochany zostali rozdzieleni! To bardzo smutne. Ci młodzi ludzie na to nie zasługują. Są jak para ptaków *bijinia*, które nie mogą wzlecieć jedno bez drugiego, ponieważ każde z nich ma tylko jedno skrzydło! — szepnęła cesarzowa.

—Powiedziałem wam, co o tym myślę! Ten młody mnich popełnił ciężki grzech. Zmierza prosto do Awici. Dziś, Wasza Wysokość, chodzi o Umarę, nie o Pięć Zakazów!

Nigdy dotąd przełożony z Luoyangu nie pozwolił sobie na tak ostrą wypowiedź w obecności cesarzowej Chin.

— Za to ja nie widzę jednego bez drugiego — odcięła się Wu Zhao.

— Gdyby Umara okazała się trochę bardziej rozmowna, wy i ja moglibyśmy wejść w posiadanie Oczu Buddy!

—Mistrzu Czystość Pustki, nie rozumiem, dokąd zmierzacie! Jesteście moim przyjacielem czy wrogiem? — wykrzyknęła wściekła Wu Zhao, uświadomiwszy sobie, że przełożony z Lu-oyangu nie zamierza ustąpić.

—Czy moja obecność nie świadczy o moim niezłomnym wsparciu? — zaoponował mahajanista.

—Mówcie jaśniej! Czego tak naprawdę pragniecie?

—Wasza Wysokość, pomóżcie mi dowiedzieć się od Umara, jaki los spotkał Oczy Buddy. Bez wątpienia język tej młodej kobiety rozwiąże się jak za sprawą cudu, gdy Wasza Wysokość z nią porozmawia. Wam wyjawi chętniej niż mnie swoje myśli! Mimo poważnych podejrzeń, które ją obciążają, uparcie odmawia wytłumaczenia...

—Mistrzu Czystość Pustki, wasze słowa i wasza postawa są nie do przyjęcia! Umara to dobra dziewczyna. To nie złodziejka świętych relikwii! A co do odegrania roli śledczego, ja niezbyt się do niej nadaję!

Przygnębiona mina i nieufne spojrzenie władczyni świadczyły o rozczarowaniu, jakie czuła. Nie znosiła zarówno własnych pomyłek, jak i wprowadzania jej w błąd, toteż poczuła się urażona zuchwałością Czystości Pustki, dostrzegając jego dwulicowość i skłonność do kręactwa.

— To nieporozumienie. Myślałem, że dobrze zrobię, jeśli porozmawiam z wami na ten temat — odparł przełożony z urażoną miną i oddalił się. Z wściekłości Wu Zhao złamała gałązkę leżącą pod drzewem.

Aby się uspokoić, pospieszyła do miejsca, w którym bawiły się Niebiańskie Bliźnięta, w nadziei, że przytuli je do serca, ale ich już tam nie było.

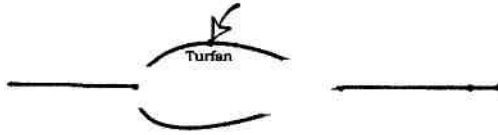
Popychany przez nowicjusza wózek z dziećmi zniknął w bramie letniego pałacu, a za nim wysoka sylwetka wielkiego mistrza *dhyany*.

Jak we wszystkich trudnych chwilach, Wu Zhao była sama.

O zmierzchu, siedząc na kamiennej ławce marmurowego

pawiloniku, do którego wezwała śpiewaczki i tancerki, stwierdziła, że muzyka nie pozwala zapomnieć o wydarzeniach minionego dnia — wpadnięciu Klejnotki do wody, wiadomości o ośmiu niedających się wyciągnąć głazach w łożysku rzeki Luo, a wreszcie o niewiarygodnym oświadczeniu Czystości Pustki, że uwięził Umarę!

Nie miała nawet głowy, żeby porozmawiać z opiekunką małego Li Xiana, któremu poświęcała mniej uwagi niż Niebiańskim Bliźniętom, jakby już teraz przeczuwała, że synowie sprawią jej zawód i nie będą pomocni w jej działaniach, a co gorsza, że przysporzą jej mniejszych lub większych kłopotów, zmuszając ją do usunięcia ich ze swej drogi...



Kanzgar /

V

^Ss J3unhuang Luoyang

^N*^^

Chang'an

Peszawar

OÓRY KRAINY ŚNIEGÓW •

• Lhasa •
Klasztor
Samye

2

Oaza Turfan, tajne tkalnie manichejczyków

— Brawo, Świetlisty Punkcie! Stwierdzam z przyjemnością, że nie zajmie ci wiele czasu postawienie na nogi tego, co Tujue zniszczyli tak beztrasko! Manichejczycy znowu będą mogli zabrać się do tkania jedwabiu.

Pochwała ta padła z ust buddysty Oręża Prawa. Przyglądał się on łąkowie skrawkowi zielonego jedwabiu, który wręczył mu z dumą Świetlisty Punkt.

Brokatowa tkanina lśniła w słońcu niczym tafla jeziora, dzięki właściwemu zamontowaniu na tkackim warsztacie dodatkowej szpulki z nawiniętą srebrną nicią.

— Na razie żaden z tych Tujue nie przybył tu, żeby kupić od nas choć jeden zwój —

odparł kuczanin żartobliwie.

—Trochę cierpliwości. Kiedy zaczniesz tkać więcej jedwabiu, wieść o tym rozniesie się na całym Jedwabnym Szlaku. Możesz mi wierzyć, to najlepszy sposób, żeby do zainteresowanych dotarło co trzeba — zapewnił mnich z Peszawaru.

Oręż Prawa nawiązał do decydującego argumentu, którym przekonał młodego manichejczyka, żeby został w Turfanie i nie rzucał się jak szalony w pogoń za Nefrytowym Księżycem.

Nie miałby szans na jej odnalezienie, ponieważ bandy grabieżców przemieszczały się błyskawicznie na chyżych jak strzała wierzchowcach.

Mnich z Peszawaru bez trudu wyperswadował mu pomysł ruszenia w nieznaną ku miastu, które znał tylko z nazwy.

Mimo iż herszt porywaczy Nefrytowego Księżycza oświadczył, że zmierza do „Bagdadu nad rzeką Tygrys”, Świetlisty Punkt nie potrafił powiedzieć, czy był to żart, czy nie.

Podsumował to, co wie, i doszedł do wniosku, że Bagdad leży gdzieś na końcu świata, choć miasto to położone było bliżej niż Palmyra, i o dobry kawał drogi przed zachodnim krańcem Jedwabnego Szlaku, który według tego, czego uczono go w szkole, kończył się w porcie Bejrut!

Młodemu manichejczykowi wydało się, iż rozsądniej będzie wziąć pod uwagę perspektywy, jakie roztoczył przed nim mnich z Peszawaru. Sprowadzały się one do odkupienia Nefrytowego Księżycza od Turków za cenę jedwabiu, którego będzie tyle, ile młoda kobieta waży.

Takie transakcje zdarzały się bardzo często między Tangami i Tujue, toteż wymiana zakładników nie napotykała żadnych przeszkód.

Łagodna perswazja dwóch mnichów Małego Wozu przemówiła w końcu do kuczana i przekonała go, że w istocie rozsądniej będzie nie opuszczać Turfanu. Teraz dawał z siebie wszystko, żeby wznowić produkcję jedwabiu.

— Trochę cierpliwości! Jestem pewny, że ci zbóje w końcu się pokażą! Czuwa nad tobą Błogosławiony! — nie przestawał powtarzać mnich z Peszawaru, od czasu gdy zauważył na twarzy niepokieszonego męża Nefrytowego Księżycza pierwsze oznaki zniechęcenia.

Późnym popołudniem, w cieplarni w Turfanie, troskliwie odbudowanej po grabieży, wśród połamanych morw odżywających w nowych donicach gawędzili w piątkę, popijając sok morelowy. Był tu manipa, manichejczyk Świetlisty Punkt, Oręż

Prawa, Szlachetna Ośmioraka Ścieżka i Pięć Zakazów, który czerpał ów sok z dzbana, do którego wycisnął dojrzałe owoce подарowane przez jakiegoś ogrodnika, a potem wymieszał go ze świeżymi liśćmi mięty. Lapika ułożyła się na podwiniętych łapach i nie ruszała na krok, zmęczona upałem.

Przyjemnie było odprężyć się tak w środku lata w cieniu ząbkowanych, błyszczących liści morwy, w tej porze dnia, kiedy robiło się tu nieco chłodniej.

Wszyscy stwierdzali zgodnie, że dzięki wiedzy i wytrwałości Świetlistego Punktu jakość jedwabnej przędzy i tkanin podnosi się z każdym dniem.

— Nie znam się na tym zbyt, ale wydaje mi się, że wykwiint tego zielonego jedwabnego brokatu sięga górskich szczytów kraju Bod! Cesarzowa Wu Zhao będzie mile za skoczona, kiedy manipa dostarczy jej pierwszy zwój! — wykrzyknął uradowany Pięć Zakazów, oddając Świetlistemu Punk towi tkaninę, którą ten przedstawił mu do oceny.

Wraz z półkami, na których rozłożone były kokony, troskliwie umocowane do gałązek wysuszonego wrzosu, cieplarnia z morwami była sercem nielegalnej tkalni jedwabiu, pracującej już na pełnych obrotach dzięki dwudziestu turfańczykom, których Świetlisty Punkt szkolił niczym małą armię.

Trzy wiejskie, ale błyszczące nowością warsztaty tkackie, naprawione przez Persa Azję Moghula, klekotały od rana do wieczora. Ustawione w sąsiednim budynku, który dopiero co wzniesiono, tkwały codziennie coraz grubszy jedwab, miękki w dotyku i przyciągający oko połyskiem.

Zapewne nie była to jeszcze tkanina mieniąca się jak mora ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa w Chang'anie, lecz tylko brokat wysokiej jakości, prawdopodobnie jednak dałoby się go sprzedać bez najmniejszych kłopotów w środkowych Chinach.

— Znasz się na tym! — zażartował manichejczyk. — Czyż nie jesteśmy obaj rycerzami jedwabnego zakonu, którzy złożyli

śluby przedzenia i tkania? Nic dziwnego, że tak dobrze nam idzie!

—Jako obserwator mogę cię zapewnić, Świetlisty Punkcie, że wkrótce wasz jedwab będzie godzien najpiękniejszych tkanin chińskich! — dodał uprzejmie Oręż Prawa.

—Mogę tylko podpisać się pod słowami Oręża Prawa — wtrącił Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, który miał zwyczaj zgadzać się ze swoim towarzyszem.

—Jeśli Napelnionemu Spokojem uda się przekonać Wu Zhao, żeby przysłała nam chińskiego inżyniera, potrafiącego skonstruować warsztat do tkania mory, partia będzie wygrana! — zauważył Świetlisty Punkt.

W istocie, trzy miesiące temu Wielki Doskonały Kościoła Światłości w Turfanie wyruszył do Chang'anu. Mimo ograbienia przez Turków cieplarni, której odnowienia podjął się obdarzony przez niego pełnym zaufaniem Świetlisty Punkt, Wielki Doskonały zdecydował się na tę podróż, zachęcony dekretem cesarskim, który otwierał manicheizmowi drogę do środkowych Chin.

— Jeśli chodzi o farbowanie, to trzeba pogratulować Pięciu Zakazom! — podjął młody manichejczyk. — Umie spożywać barwniki nie gorzej niż mistrzowie farbiarze ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa w Chang'anie. Bez niego wciąż uzyskiwalibyśmy na pół ufarbowane wyblakłe szmaty...

Prawdą było, że aby stłumić rozpacz i smutek, w jakie popadli po stracie małżonek, buddysta i manichejczyk pogrążyli się w pracy przy jedwabiu, która zajmowała im większą część dnia.

Jeden i drugi całymi godzinami nadzorowali czynności konieczne do przekształcenia surowej nici z odwiniętego kokonu w miękką przędzę, której złotawy blask dawał oku niczym niezastąpioną przyjemność, a miękkość zawsze zaskakiwała ręce, które dotykały jej po raz pierwszy.

Jedwab pozwalał im zapomnieć o nieszczęściu, jakie ich dotknęło, i myśleć o czymś innym niż o zaginionych ukochanych...

Minęło już sześć miesięcy, odkąd Pięć Zakazów zjawił się tutaj, uciekwszy w ostatniej chwili z lubieżnych ramion, a przede wszystkim od ognistego języka pięknej Yarpy, młodej kapłanki bon-po.

Nie było to łatwe.

O chwili, w której postanowił ją porzucić, aż do ostatecznego wyrwania się z jej objęć, minęło wiele tygodni, w czasie których piękna Tybetanka użyła wszystkich swych wdzięków, aby zatrzymać go przy sobie.

Nie zabrakło niczego.

Czary, do jakich się odwoływała, przekraczały granice wszelkiej przyzwoitości, zmuszając za każdym razem biednego kochanka do odłożenia na jutro nieodwołalnej decyzji, żeby ruszać w drogę...

Każdego wieczoru wślizgiwała się naga do jego łóżka, używając odpowiednich gestów i przyjmując wymowne pozy, zdolne w jednej chwili rozpalić na nowo ów nieugaszony ogień, który ciągle w nim się tlił.

Dzięki temu, że bez wstydu i niedomówień oferowała mu swoją tylną furtkę, należycie posmarowaną masłem jaka, przyciągając jego dłonie do twardych i drżących czubków swoich piersi, a potem zaczynała poruszać się gwałtownie, aby pogrzyźć się w krótkiej, ale piorunującej ekstazie, udawało jej się zatrzymać go przy sobie.

Postanawiał więc ze wstydem, że zostanie dzień dłużej, dla jeszcze jednego i ostatniego uścisku, przyrzekając sobie, że będzie on naprawdę ostatni.

Ale następnego dnia gra rozpoczynała się od nowa, jeszcze bardziej kusząca i namiętna niż dzień wcześniej...

Aż do ostatniego wieczoru, gdy wreszcie zdarzyło się coś, co pozwoliło Pięciu Zakazom zrozumieć, że jeśli nie wyruszy natychmiast, skończy u boku Yarpy.

Nieprzytomny z rozkoszy po ostatnim jej uścisku, wpatrywał się w sufit z drewnianych bali, a piękna Tybetanka, równie jak on wyczerpana, spała w jego ramionach.

W oślepiająco jasnej aureoli ujrzał słodką twarz Umary.

Jego ukochana spoglądała na niego z uśmiechem, niczym *apsara*.

Uszczęśliwiony wpatrywał się w nią, szepcząc: „Umaro!”.

Wydawało mu się, że dostrzega w jej oczach cień nieufnego zdziwienia, a nawet smutku, lub może nostalgii, jakby czegoś się domyślała.

Palce śpiącej Yarpy musnęły przypadkiem jego brzuch i poczuł łaskotanie zapowiadające erekcję.

Znowu spojrzął na sufit.

Ale twarz Umary znikła.

Zrozumiał, że jeśli będzie zbyt długo zwlekał, utraci ją. Takie było niewątpliwie znaczenie pustki, jaką pozostawiło po sobie piękne oblicze córki Addaia Aggaia.

Pięć Zakazów przelamał się wreszcie, wysliznął cicho z łóżka, zebrał swoje rzeczy i położył obok śpiącej Tybetanki kwiat goryczki, po który wyszedł na dwór, w czarną noc. I niczym złodziej, na palcach i ze ściśniętym sercem, które nie pozwoliło mu obejrzeć się za siebie, porzucił domek kapłanki bon-po, a za nim popędziła Lapika, szczęśliwa, że znowu może biegać po ogromnych łąkach, poprzecinanych tysiącem strumieni.

Znalazłszy się na dworze, uwolniony z aksamitnych szponów tybetańskiej czarodziejki, ruszył w drogę, myśląc tylko o tym, żeby uciec od Yarpy.

Pomyśl, żeby pójść do Turfanu i podjąć próbę odnalezienia Świetlistego Punktu, młodego kuczanina i manichejczyka, którego spotkał rok wcześniej w pobliżu Nefrytowej Bramy, wydawał mu się dość sensowny.

Wędrowka od wsi Yarpy w środku Tybetu do oazy na Jedwabnym Szlaku, gdzie usadowili się manichejczycy, zajęła mu niecałe trzy i pół miesiąca.

Wyćwiczony w sztuce walki, ciągle w pełni swych możliwości fizycznych, tak bardzo pragnął tam dotrzeć, że postanowił wykorzystać niezawodną metodę stosowaną przez piechurów z niektórych elitarnych pułków, która polegała na biegu i marszu na zmianę.

Gdy znalazł się wreszcie u celu, po niekończących się dniach pokonywania gór, podobnych stopniom gigantycznych schodów prowadzących wędrowca z niegościnnych okolic Dachy Świata ku roześmianym ogrodom i winnicom na zboczach, które w cudowny sposób wyłoniły się z otaczającej Turfan pustyni, były mnich Wielkiego Wozu był chudy jak szczapa.

Dotarłszy do Turfanu, bez kłopotu trafił do cieplarni z morwami, w której zaskoczony Świetlisty Punkt podlewał właśnie drzewka w donicach.

Gdy tylko Pięć Zakazów zobaczył twarz młodego manichejczyka, natychmiast zrozumiał, że coś się stało. Za to Świetlisty Punkt z zaciekawieniem przyglądał się postaci w łachmanach, która majaczyła w otwartych drzwiach. Patrząc pod światło, nie dostrzegł z początku rysów twarzy gościa, zauważył jednak natychmiast jego skośne oczy, ujmujące spojrzenie i szczery uśmiech.

— Wejdziesz do środka, Pięć Zakazów! Witaj w Turfanie! Co za niespodzianka! Niech będzie pochwalony Mani, który po zwolił ci dotrzeć aż tutaj, bracie! — wykrzyknął, rozpoznawszy w końcu przybysza.

Wielką radością było dla nich obu zobaczyć się znowu, po jedynym spotkaniu przed dwoma laty koło Nefrytowej Bramy w Wielkim Murze, kiedy to przysięgli sobie, iż się odnajdą.

— *Om!* Coś takiego! Pięć Zakazów, co za śliczna niespodzianka! Co tu robisz? Myślałem, że jesteś z Umarą

w Chang'anie! — wykrzyknął manipa, pędząc z głębi pomieszczenia, gdzie sortował według kolorów zwoje jedwabiu.

—To długa historia. A nawet trochę niewesoła. Umarty też tam nie ma, zaginęła w Samye! Od tego czasu na próżno jej szukam... — zaszlochał Pięć Zakazów.

—Co się stało?

—Nie mam pojęcia! Poszedłem przejść się z Lapiką, a gdy wróciłem, Umarty nie było!

—Jakże to, przecież nie odeszła z własnej woli! — wykrzyknął Świetlisty Punkt.

—Pewnie, że nie. Została porwana i wiem nawet, jak wygląda szubrawiec, który ją uprowadził!

Nie ulegało wątpliwości, że gdyby Kłębek Kurzu był w pobliżu, Pięć Zakazów stłukłby go, tak bardzo był pewny, że to on dopuścił się tego strasznego postępu!

—Ja też jestem nieszczęśliwy. Sześć miesięcy temu Tujue porwali Nefrytowy Księżyc i od tamtej pory nie mam o niej żadnych wiadomości! — powiedział z posępną miną Świetlisty Punkt.

—Dokąd ją uprowadzili?

—W kierunku Bagdadu nad rzeką Tygrys! Tak przynajmniej mówił jeden z bandytów wyglądający na herszta!

Dwaj przyjaciele, którzy spotkali się po długiej rozłące, zaczęli opowiadać sobie o tym, co ich spotkało. Ich spojrzenia przesłaniał welon smutku po stracie ukochanych.

—Szczerze ci współczuję! Los ugodził nas jednakowo i w tym samym momencie! Wszystko odbyło się tak, jakby nasze żywoty biegły równoległymi ścieżkami — podsumował bliski płaczu manichejczyk.

—Gdybyś wiedział, jak mi was żal! Miałem nadzieję, że będę świadkiem waszego szczęścia! — dodał Pięć Zakazów, a po jego twarzy spływały łzy. — Ale cieszę się bardzo, że cię odnalazłem. Chcę nabrać tu odwagi i znaleźć pocie-

szenie. Nadal oblewa mnie swoim światłem miłosierdzie Błogosławionego!

— Ja też się cieszę. Prorok Mani zlitował się nad swym biednym synem! — odparł młody kuczanin.

Zamilkli i padli sobie w ramiona, wzruszeni i szczęśliwi.

Świetlisty Punkt pokazywał właśnie Pięciu Zakazom swoje urządzenia, gdy ten, przyjemnie zaskoczony, ujrzał na progu szklarni sylwetkę Oręża Prawa.

— Jestem szczęśliwy, że mogę cię poznać z Orężem Prawa, mnichem Małego Wozu, który przybył tu z Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze! To on przekonał mnie, żebym został po ograbieniu nas przez Turków i wznowił tkanie jedwabiu! — wykrzyknął Świetlisty Punkt.

Pięć Zakazów nie czekał, aż manichejczyk skończy, tylko rzucił się w jego ramiona, pamiętając, jak wiele mu zawdzięcza.

—My się znamy! Oręż Prawa to mój najdroższy przyjaciel, pomógł mi uwolnić się ze szponów perskich zbójów, którzy chcieli uprowadzić Niebiańskie Bliźnięta do Persji, gdzie praktykuje się żenienie braci z siostrami! — wykrzyknął maha-janista, ogromnie uradowany tym spotkaniem.

—Błogosławiony bez wątpienia uznał, że nasze drogi powinny się przeciąć! Przedstawiam ci Szlachetną Osmioraką Ścieżkę, który przyszedł ze mną z Peszawaru i nie czuje się tu obco, ponieważ jest turfańczykiem z urodzenia! — wykrzyknął zaskoczony Oręż Prawa, a potem dał znak Szlachetnej Ośmio-rakiej Ścieżce, żeby się zbliżył.

—Nigdy nie zapomnę, że porzuciłeś poszukiwanie Budhabadry, żeby iść ze mną. Byłeś niezłomnym towarzyszem moich złych dni... Ośmielam się mieć nadzieję, że od tamtego czasu usłyszałeś w końcu wieści o swoim przełożonym? — zapytał drżącym głosem Pięć Zakazów.

—Nie mam żadnych wiadomości! Ale nie poddałem się. Na pewno go odnajdę. Wierzę, że jest cały i zdrowy — powiedział Oręż Prawa.

Pięć Zakazów, który znał ponury los Buddhabadry, nie wahał się długo, czy ma wyjawić przyjacielowi prawdę, czy też ją zataić.

Okłamywanie Oręża Prawa nie wchodziło w rachubę, a jeszcze mniej dawanie mu płonnej nadziei.

—Niestety, mój przyjacielu, Buddhabadra nie żyje. Został brutalnie zamordowany przez osobnika o imieniu Szalony Obłok! — rzekł, zdobywszy się na odwagę, a głos mu drżał.

—To niemożliwe! — jęknął mnich Małego Wozu, którego twarz zbieleła jak kokon jedwabnika.

—Dowiedziałem się tego z ust jedyne go świadka, który był przy tym straszliwym wydarzeniu!

—Kto to jest? Muszę natychmiast go odnaleźć... Chcę wiedzieć ze szczegółami, co się stało. Jeśli nawet Błogosławiony głosi powstrzymywanie się od przemocy i zabrania się mścić, nie mogę pozwolić, żeby taka zbrodnia pozostała bez kary!

—Chodzi o Umarę! Nieszczęsna dziewczyna widziała wszystko.

—Umara spotkała Buddhabadrę przed jego śmiercią? — krzyknął z niedowierzaniem Oręż Prawa.

—To dla niej bolesne wspomnienie. Mam nadzieję, że któregoś dnia będzie mogła opowiedzieć ci osobiście, co się stało... — odparł Pięć Zakazów, a potem przedstawił okoliczności, w jakich dziewczyna znalazła się w zrujnowanej pa-godzie w pobliżu Dunhuangu, gdzie Szalony Obłok, odprawiając krwawy rytuał, zamordował przełożonego Jedynej Dharmy.

—Wymieniłeś imię, które coś mi mówi! — wtrącił pod koniec opowieści Pięciu Zakazów Świetlisty Punkt.

—Coś takiego! Ty też spotkałeś Buddhabadrę? — wykrzyknął Oręż Prawa.

—Pamiętam, że jeszcze przed moją wyprawą do Chang'anu wpadłem tu na Hindusa, który nosił takie imię... Potknął się na

progu cieplarni i zranił w łuk brwiowy, zderzywszy się ze mną w chwili, gdy stąd wychodziłem. Opatrzyłem go!

Scena, której poświęcił wówczas tak mało uwagi, stała mu teraz przed oczami.

—Miał smagłą cerę? Nosił srebrny kolczyk w lewym uchu? — dopytywał się z przejęciem Oręż Prawa.

—Teraz, kiedy mi o tym mówisz, przypominam sobie dokładnie, że ten człowiek o bardzo ciemnej skórze i ogolonej czaszce rzeczywiście miał kolczyk w uchu!

—Co ci powiedział? Dokąd się udawał? Co tu robił? — indagował mnich, a jego serce waliło jak oszalałe.

Jakże żałował w tym momencie swojej nadmiernej ostrożności i niechęci do głębszego zastanowienia się nad niewytłumaczalnym zniknięciem Buddhabadry, a także wszystkich związanych z tym wydarzeniem kwestii, takich jak lojalność i uczciwość przełożonego Klasztoru Jedynej Dharmy z Pieszawaru!

Okazało się też, że Oręż Prawa aż do tej chwili nie wymówił imienia Buddhabadry w obecności Świetlistego Punktu!

Ale w tej sytuacji, w obliczu straszliwej wiadomości, którą przyniósł Pięć Zakazów, nie było czasu na wyrzuty. Liczyła się tylko odpowiedź na pytanie, które postawił młodemu manichejczykowi.

—Chciał tego samego, co i ty! Jedwabiu! — odrzekł Świetlisty Punkt. — Zapewnił mnie, że nie będę żałował, jeśli mu go dostarczę. W każdym razie takie były jego słowa, zanim odszedł z zadowoloną miną, obejrzawszy dokładnie mój warsztat. Na koniec zapewnił mnie, że niedługo wróci.

—Buddhabadra chciał więc tu wrócić? — spytał z naciskiem Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—W istocie. Ale już go więcej nie zobaczyłem! Teraz przypominam sobie coś jeszcze. Kazał mi przyrzec, że nie powiem nikomu o naszym spotkaniu — dokończył Świetlisty Punkt.

— Czy Buddhabadra, zanim zamordował go ten Szalony Obłok, nie próbował tak jak my wymienić za jedwab jakiejś relikwii? — zapytał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, żeby przezwyciężyć ciężkie milczenie.

Wówczas Oręż Prawa wyjawiał Świetlistemu Punktowi i Pięciu Zakazom, iż z przełożonym klasztoru mahajany w Turfanie, Dobrodziejstwem Potwierdzonym, pragnęli dobić targu. Liczyli na to, że przejmą Święty Paznokiec Błogosławionego, będący w jego posiadaniu, w zamian za jedwab potrzebny do uszycia chorągwi, przed którymi medytowali mnisi.

— Teraz lepiej rozumiem, dlaczego tak ci zależy, żebyśmy wytwarzali możliwie najpiękniejszy jedwab! Czemu dotąd mi o tym nie powiedziałaś? — wykrzyknął manichejski ekspert od hodowli jedwabników i tkania jedwabiu.

— Nie śmiałem wyjawiać ci naszych planów z obawy, że wydam ci się zarozumiały, a nawet śmieszny... — odparł zawstydzony Oręż Prawa.

— Jeśli dobrze rozumiem, to po dodaniu zamówienia Dobrodziejstwa Potwierdzonego do tego, co chcieli dostać Wu Zhao i Czystość Pustki, wasza lista zamówień jest bardzo długa! — powiedział żartobliwie Pięć Zakazów, rozładowując napiętą atmosferę.

Do reszty rozśmieszył ich manipa, który z takim entuzjazmem rzucił się w ramiona Pięciu Zakazów, że aż potknął się o donicę, co natychmiast skwitował głośnym *Om*.

Tym sposobem ciepłarnia z morwami manichejczyków z Turfanu, za sprawą zdumiewających wydarzeń, stała się miejscem przecięcia się niezwykłych ludzkich losów. Pięciu mężczyzn, tak różnych zarówno pod względem rasy, jak i religii, poczuło niezwykłą solidarność wobec przeciwności, z którymi przyszło się im zmierzyć.

Dość powiedzieć, że wielkie nieszcześcia, które niesprawiedliwie ich dotknęły, zmuszając każdego, aby porzucił swoją

drogę z poczuciem klęski, zbliżyły ich niczym towarzyszy broni zjednoczonych w walce.

Bo co w gruncie rzeczy mieli ze sobą wspólnego Pięć Zakazów, Świetlisty Punkt, Oręż Prawa, manipa i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, jeśli nie to, że znaleźli się tu wszyscy, w cieplarni z morwami w Turfanie, choć powinien się tu znajdować tylko jeden z nich...

Pięciu mężczyzn pracowało odtąd razem niczym palce jednej ręki w tej prowizorycznej wytwórni jedwabiu, starając się zbliżyć do wyznaczonego celu, jakim było tkanie jedwabiu godnego najlepszych manufaktur środkowych Chin, materii, której jakość byłaby taka, że mogłaby rywalizować ze zwojami zastrzeżonymi do użytku cesarza Państwa Środka.

Po kilku miesiącach spędzonych w Turfanie także Pięć Zakazów stał się ekspertem „jedwabnictwa”.

Nauczył się przeplatać w odpowiednio wykonanej drewnianej ramie jedwabne nici, pionowo osnowę i poziomo wątek, a przede wszystkim zakładać osnowę na warsztacie, żeby osiągnąć wyjątkową jakość tkania, które z tych samych nici mogło dać materiały o bardzo różnym wyglądzie, od tafty po rozmaite rodzaje krepy, której nici były specjalnie skręcone, poprzez muśliny i organdyny, satyny, w których punkty krzyżowania nici musiały być niewidoczne, nie zapominając oczywiście o szantungu, w którego tkaniu bardzo trudno było naśladować biegłość chińskich tkaczy.

Pomimo skupienia, jakiego wymagał nowy zawód, byłemu mnichowi mahajany nie udawało się przepędzić z głowy obrazu Yarpy, starał się jednak jak najmniej myśleć o pięknej Tybetance i o tym, jak też mogła zareagować, kiedy stwierdziła, że uciekł, zostawiwszy jej jako jedyną pamiątkę kwiat goryczki złożony na poduszce.

Czy wypuścił z ręki zdobycz, żeby gonić za cieniem? Gdy opadały go wątpliwości, Pięć Zakazów starał się unikać za wszelką cenę rozważania za i przeciw swoich działań. Czyż

wyrzuty sumienia nie są czymś, co niszczy ludzkie istoty? Czy wyobrażanie sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby dokonał innych wyborów, nie było zajęciem daremnym? A zamiast pograżać się w smutku i snuć domysły, czy nie lepiej było spojrzeć w twarz przyszłości i spróbować tak pokierować sprawami, aby jutro wynagrodziło złe wspomnienia, jakie pozostawiło wczoraj?

W każdym razie takie były zasady, jakich Pięć Zakazów próbował się trzymać, żeby nie poddać się rozpaczce.

Przed zaśnięciem często spędzał kilka chwil ze Świetlistym Punktem, rozmawiając o ukochanej. Obaj podtrzymywali się w ten sposób na duchu, co dowodziło, że nadal są zakonchani.

Nabierali wówczas sił i snuli plany, jak odszukają miłości swego życia.

Prędko doszli do wniosku, że lepiej jest zaczekać, aż jakoś jedwabiu wytwarzanego w warsztacie będzie wystarczająco wysoka, aby zaprezentować go cesarzowej Wu. Liczyli, że osobiście staną przed władczynią i opowiedzą jej słowami płynącymi prosto z serca o losie, jaki ich spotkał.

Bo rzeczywiście, czy jest ktoś, kto lepiej niż ona pomoże im w odnalezieniu Nefrytowego Księżycza i Umary?

Czy nie wystarczy, że wyda odpowiednie polecenia tajnej policji, a będzie wiadomo, co stało się z Umarą i Nefrytowym Księżycem? Nie podejrzewali nawet, że Wu Zhao nie tylko nie ma takich możliwości, ale sama jest pod obserwacją Wielkiego Cenzoratu Cesarskiego. Pozostawali w złudnym przekonaniu, że w tak policyjnym kraju, jak Chiny dynastii Tang, nic nie może umknąć wszechpotężnej cesarzowej.

Według nich była to więc sprawa kilku miesięcy, czasu potrzebnego na udoskonalenie tkania i farbowania.

Ich szalęncze nadzieje legły w gruzach, gdy pewnego ranka, tuż przed przybyciem robotników, oddział uzbrojonych mężczyzn w mundurach chińskiej policji wdarł się do tkalni,

wywracając długi stół, na którym manipa rozłożył do oceny ostatnią próbkę jedwabiu.

Pięciu przyjaciół dopiero po pewnym czasie zrozumiało, że czekają ich poważne kłopoty.

Sprawy nie mogły potoczyć się gorzej, gdyż zanim zdążyli zareagować, zostali związani.

Manip, który próbował wyjąć z pochwy swój rytualny sztylet *phurbu*, dostał potężny policzek i rozciągnął się na ziemi.

—Co to wszystko znaczy? Mieszkam w Turfanie od lat i moje papiery są w porządku! Jakim prawem tu weszliście?
— zaprotestował Świetlisty Punkt.

—Mamy nakaz podpisany przez gubernatora Honga Czerwonego! — oświadczył jeden z osiłków, wyglądający na dowódcę, machając przed nosem manichejczyka długim papierem, na którym Pięć Zakazów dojrzał ze strachem nazwiska całej piątki.

—Znajdujecie się w pomieszczeniu Kościoła Światłości, który ma zezwolenie na krzewienie wiary na terytorium chińskim! — dodał pobladły małżonek Nefrytowego Księżycy.

—To, co robicie, jest zakazane. Obserwujemy was od dłuższego czasu. Dzięki temu mogliśmy zidentyfikować was wszystkich. Pierwszy donos wymieniał tylko Oręż Prawa i Szlachetną Ośmioraką Ścieżkę — wyjaśnił dowódca, a jego uśmiech ukazywał uzębienie nienadające się już do użytku, mimo młodego wieku jego właściciela.

Zostali zadenuncjowani!

Ale kto mógł dopuścić się tak niegodziwego czynu?

Sądząc po wściekłości w oczach Oręża Prawa, można się było założyć, iż domyśla się, kto zadał im ten cios.

Gubernator Hong, niski i otyły człowieczek z przetłuszczonym warkoczem, siedział rozwalony w ogromnym hebanowym fotelu, pogryzając pestki słonecznika. Gdy rzucono ich jak worki mąki przed jego oblicze, oznajmił bez ogródek:

— Jesteście aresztowani za nielegalne tkanie jedwabiu; jest

to działalność zabroniona przez prawo Państwa Środka. Doniósł na was indyjski mnich o imieniu Klejnot Doktryny, który przybył tu specjalnie z Peszawaru.

— Podlec! Byłem pewny, że to jego dzieło! Zasłużył sobie na piekło Awici! — krzyknął Szlachetna Ośmioraka Ściezka.

Niestety, Oręż Prawa, który wyrzucał sobie, że wyjawił temu zdrajcy cel swojej wędrówki, miał dobre przecucie: oskarżył ich jego rywal, który wbrew regułom *sanghi* zamienił się w donosiciela.

—Gubernatorze Hong, jeżeli jest tu ktoś winny, to tylko ja! Niech prorok Mani zamieni mnie natychmiast w kupkę popiołu, jeżeli ci ludzie kiedykolwiek dotknęli choćby jednej jedwabnej nici! — zaprotestował Świetlisty Punkt, wskazując swych przyjaciół.

—Zostaliście aresztowani wszyscy, i tak też zostaniecie stąd wywiezieni! — uciał oschle gubernator.

Przyłapanie tych pięciu mężczyzn było jedynym odważnym czynem, na jaki zdobył się od wielu miesięcy. Przede wszystkim jednak mogło to pchnąć do przodu jego karierę.

—Wywiezieni? Ale dokąd? — zaniepokoił się Pięć Zakazów.

—Do Chang'anu, u licha! Wszystkich winnych naruszenia interesów państwa oddaje się w ręce służb Wielkiego Cenzo-ratu — odparł gubernator Hong, wypluwając łupinę pestki słonecznika tuż pod nogi mahajanisty.

—Uważajcie, szanowny panie Hong, bo popełnicie czyn niesprawiedliwy! — odezwał się znowu manichejczyk, szarpiąc się rozpaczliwie, gdy na rozkaz Honga Czerwonego zaczęto im zakładać na nogi ciężkie łańcuchy.

Po ośmiu dniach spędzonych w maleńkiej celce polowego aresztu, w której ledwo mogli się wyprostować, zostali wsadzeni do skrzyni na kołach, zaprzężonej w trzy muły.

Z tą chwilą dla całej piątki rozpoczęła się droga przez mękę.

Dość powiedzieć, że przebycie pod koniec lata Jedwabnego Szlaku od Turfanu aż do Nefrytowej Bramy w pobliżu Wielkiego Muru, u stóp szarawych zboczy górskiego łańcucha Mazong, było torturą, którą manichejczycy mogli porównać do męki Maniego, a chrześcijanie do cierpień Chrystusa. Jechali bez możliwości poruszenia się choćby o piędź, wystawieni na gwałtowne wichury, czasami na słońce, a kiedy indziej smagani ulewnymi deszczami.

Ledwo mogli przekrócić głowę, by zobaczyć niewielkie twierdze na pustyni, służące także za więzienia, z których nie było ucieczki. Oglądali uwięzionych tam mandarynów, którzy, zgodnie ze straszliwym zwyczajem, rzucali małe kamienie na zachodni mur fortecy, gdzie mieli spędzić resztę swoich dni. Czyż nie mówiono, że jeśli kamień odbije się jak kaczka na wodzie, wygnaniec może liczyć na łaskę, która da mu pewnego dnia prawo powrotu w ojczyste strony, żeby pochylił się nad grobem rodziców?

—Jakżebym chciał rzucać w te mury małymi kamykami! — wykrzyknął Oręż Prawa, gdy po raz pierwszy ujrzał dziwne zachowanie upadłych dygnitarzy.

—Gdybym miał taką możliwość, to celowałbym raczej w głowy naszych strażników! — syknął z wściekłością Świetlisty Punkt, którego nie opuszczał bojowy duch.

Docinki, obelgi i splunięcia dzieci z mijanych wiosek wiele mówiły o losie, jaki ich czeka u kresu podróży. Prawda, że kartki, które zawieszono im na szyi, jak wszystkim nieosądzonym jeszcze przestępcom, okrywały ich hańbą i budziły nieufność ludzi, już i tak sterroryzowanych przez władze. Wszyscy widzieli w tych mężczyznach, stojących z rękami przywiązanymi do bambusowych drążków, o wynędzniałych brudnych twarzach i oczach podkrążonych białymi skorupami utworzonymi przez spływający pot, jedynie zwykłych złodziei, którzy nie utrzymają długo swych głów na karku, gdyż dobra połowa

spośród około pięciuset artykułów, jakie liczył już wtedy kodeks karny Tangów, przewidywała dla przestępców karę śmierci.

Przekonany, że jest to doskonały sposób na pokonanie kolejnego szczebla kariery, mały chiński gubernator Hong Czerwony osobiście konwojował swoją zdobycz. Liczył na to, że w stolicy będzie mógł się puszyć przed Han Yuanem, wielkim kanclerzem cesarstwa, któremu podlegało ośmiuset prefektów i prowincjonalnych gubernatorów. Ci starannie dobrani urzędnicy stanowili główne oczka policyjnej i administracyjnej sieci, działającej w całym kraju od chwili nominacji pierwszego prefekta cesarskiego przez pierwszego cesarza Qin Shi Huangdiego. Istniała między nimi ostra rywalizacja, każdy marzył o otrzymaniu wyższego stanowiska.

Tak też było w przypadku gubernatora Turfanu, który postarał się, aby Han Yuan przyjął go drugiego dnia po przybyciu do Chang'anu. Wystarczyło, że wyjawiał specjalnemu sekretarzowi wielkiego kanclerza imperium Tangów, dlaczego prosi o audyencję, a także podał nazwiska ujętych osobników.

—Panie gubernatorze, trafiła się panu niezwykła zdobycz. Od miesięcy policja cesarstwa poszukuje byłego mnicha Wielkiego Wozu, Pięć Zakazów, a także manichejczyka o imieniu Świetlisty Punkt — oświadczył gruby Han Yuan małemu Hongowi Czerwonemu.

—Był ze mną duch mistrza Konga*. Aresztowałem tę piątkę dzięki donosowi! — wykrzyknął onieśmielony gubernator Turfanu, ale zaraz potem zagryzł wargi, obawiając się, że ta niezręczność może pomniejszyć jego zasługi i zmniejszyć szanse na nominację w mieście bliższym ośrodkowi władzy.

* Chodzi o Konfucjusza.

—Opowiedz mi, jak ich złapałeś! — rozkazał ogromny kanclerz, którego zadek przelewał się przez krawędzie ażurowego fotela jak wielka jedwabna poducha, na którym siedział.

—Pewnego dnia złożył mi sekretną wizytę indyjski mnich, niejaki Klejnot Doktryny, i zapewnił mnie, że manichejczycy z Turfanu poświęcają się nielegalnemu tkaniu jedwabiu! Z początku myślałem, że mam do czynienia z jakimś oszustem. Ale człowiek ten tak się upierał, że w końcu nakazałem śledzenie ludzi z Kościoła Światłości. Po kilku dniach moi szpiedzy natrafili na szklarnię z morwami, przed którą kazałem postawić trzech tajniaków. Potem musiałem tylko zaczekać, aż tych pięciu znajdzie się tam razem, no i zgarnąłem ich, gdy oglądali zwój jedwabiu. Wiercie mi, panie, nie była to łatwa sprawa... — opowiadał, pusząc się, Hong Czerwony.

—A co zrobiłeś z tym zdrajcą mnichem? Aresztowałeś go?

—Niestety, nie!

—Dlaczego? Nie wiesz, co mówi prawo? Nigdy nie należy puszczać wolno donosicieli — rzekł wielki kanclerz, zadowolony, że dokuczył małemu prefektowi.

—On się domagał, aby ceną donosu była zgoda na jego powrót do siebie! Więzienie gubernatora w Turfanie, z jedną celą, przypomina raczej izbę wytrzeźwień! — wyjąkał zdeorientowany gubernator.

—My tutaj zawsze zatrzymujemy donosicieli. Nie zasługują na żadne względy! — rzucił Han Yuan, po czym dodał dwuznacznie: — Ładnieś się spisał!

—Czy mam to rozumieć jako pochwałę, czy jako naganę?

— spytał nieśmiało gubernator, wytrącony z równowagi słowami ministra, znanego z sadystycznych zapędów.

—Twoi więźniowie są bardzo cenni! — stwierdził krótko wielki kanclerz cesarski, wybuchając śmiechem.

—W takim razie, czy wasza wielmożność nie uważa, że mój trud zasługuje na nagrodę? — zapytał pospiesznie Hong Czerwony.

—Masz na myśli awans! Chciałbyś zakończyć na tym swoją pracę w Turfanie, czy nie to dajesz mi do zrozumienia?

—Wasza wielmożność jest ministrem obdarzonym wielką intuicją i jeszcze większą przenikliwością! — wykrzyknął najpoważniej w świecie mały Hong, zadowolony, że zatuszował swoją gafę pochlebstwem.

Ale gruby Han Yuan zdawał się tego nie doceniać, wydało mu się to raczej zuchwałością ze strony małego prefekta piątego stopnia, najniższego w administracyjnej hierarchii.

—Zobaczymy później! Cesarz Państwa Środka ustalił listę awansów już w czasie ostatniego zimowego księżyca! Gdy przyjdzie pora, sam zobaczysz, czy cię na niej umieszczono! — oznajmił, ku wielkiemu strapieniu Honga, którego marzenia właśnie się rozwiały.

—Mam nadzieję, że Jego Wysokość będzie zadowolony z mojej służby, którą starałem się pełnić jak najlepiej... — wyjąkał mimo tego gubernator, w chwili gdy odźwierny dał mu znak, że audyencja dobiegła końca i czas skierować się ku wyjściu.

Następnego dnia pięciu więźniów poprowadzono przed oblicze prefekta Li, do sali dochodzeń Wielkiego Cenzoratu, pomieszczenia o murach tak grubych, że nie przenikały przez nie krzyki torturowanych.

Kiedy stanęli przed nim z łańcuchami na szyjach, szef tajnej policji nie ukrywał zadowolenia.

Miał w końcu coś, czym mógł wysadzić z siodła cesarżową Wu Zhao, i wyobrażał sobie wesołą minę starego generała Zhanga, do którego zamierzał udać się tego samego wieczoru.

Miał prosty plan: zmusić Pięć Zakazów do przyznania się, iż Wu Zhao nie tylko gościła go w pałacu cesarskim, ale także ułatwiła ucieczkę, gdy agenci Wielkiego Cenzoratu

szukowali się, żeby go aresztować. Następnie, idąc tym tropem, wyciągnął torturami z manichejczyka Świetlistego Punktu, że to on zamordował sprzedawcę jedwabiu o imieniu Żywy Karmin.

Ale tym razem postanowił nie dopuścić, aby Wu Zhao zniweczyła jego plany dzięki swemu wpływowi u Gaozonga. Zabezpieczając się przed nieuchronną reakcją cesarzowej, dopilnuje, aby dowiedziała się najpóźniej, jak to możliwe, że jego służby położyły łapę na mnichu Pięciu Zakazach i jego towarzyszu Świetlistym Punkcie. Wyjaśnił już wielkiemu kancelarzowi, że lepiej jest nie rozgłaszać wyczynu małego gubernatora Honga Czerwonego.

Wąskie jak szparki oczy prefekta Li groźnie wpatrywały się w pięciu mężczyzn w łańcuchach.

— Niech każdy z was się przedstawi i opowie krótko o sobie. Wszystkie wasze słowa zostaną zapisane przez kancelistę i będą mogły posłużyć za oskarżenie przeciwko wam. Tak mówi kodeks karny — oświadczył.

W tym momencie do pomieszczenia wszedł sekretarz o mizernej twarzy, ubrany na czarno, z pulpitem wiszącym na szyi.

Przesłuchanie rozpoczęło się od Oręża Prawa i Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki.

Dwaj indyjscy mnisi podali swoje imiona, po czym prefekt Li zapytał *pro forma* Oręż Prawa o powód jego pobytu w ciepłarni z morwami w Turfanie. Sekretarz zapisywał wszystko cienkim pędzelkiem na papierze odwijanym ze zwoju.

—Potrzebujemy jedwabiu do naszych obrzędów religijnych. W Peszawarze za żadną cenę nie można zdobyć tego szlachetnego materiału — wyjaśnił zapytany.

—Rozumiem! Mów dalej... — mruknął prefekt z roztargnioną miną.

Najwyraźniej zależało mu głównie na Pięciu Zakazach i Świetlistym Punkcie, których obserwował kątem oka.

—Czy po raz pierwszy znaleźliście się w środkowych Chinach? — zwrócił się do Oręża Prawa i Szlachetnej Ośmio-rakiej Ścieżki.

—Tak. Peshawar położony jest daleko stąd. Zwykle to raczej chińscy mnisi docierają aż do nas, żeby udać się potem śladami Błogosławionego Buddy, pielgrzymując po świętych miejscach, w których żył* — odparł skromnie Świetlisty Punkt.

—Jeżeli o mnie chodzi, to pochodzę z Turfanu... — oświadczył Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Powiadają, że aby upiec w Turfanie mięso, wystarczy położyć je na słońcu, tak tam gorąco... To prawda? — zapytał prefekt Li.

—Istotnie, całkiem słusznie Turfan nazywają „ognistą patelnią". Dzieci, zwłaszcza te najmniejsze, zawsze chodzą w butach. Podeszwy ich stóp nie wytrzymałyby żaru.

Wielki Cenzor nie słuchał go jednak, tak mu było spieszno przesłuchać tych więźniów, którzy naprawdę go interesowali.

— Straże, uwolnić tych ludzi! Nie mają tu nic do roboty! Niech wydadzą im przepustki, potrzebne do przejścia punktów celnych! — wykrzyknął nagle prefekt Li ku zdumieniu obu przesłuchiwanym, którzy, czując ulgę i zarazem zawód, że muszą porzucić towarzyszy niedoli, zostali wyprowadzeni bez ceregieli z pomieszczeń Wielkiego Cenzoratu i oddalili się spieszenie.

Zostali już tylko kontemplujący swoje stopy manipa, wpatrzeni w prefekta Li Świetlisty Punkt i Pięć Zakazów, który spoglądał na urzędnika wyzywająco.

— Kim jesteś? — zapytał z nieufną miną Wielki Cenzor Cesarski, zwracając się do manipy.

* Najslawniejszy pielgrzym chiński, Xuanzang (602—664), opuścił w roku 624 Chiny, aby udać się do Indii, gdzie spędził dwanaście lat. Oprócz dziennika podróży przywiózł stamtąd kilkaset tekstów buddyjskich, które przetłumaczył na język chiński.

—*Om!* Wędrownym mnichem buddyjskim z kraju Bod! — wyjąkał zapytany, przerażony trzaskaniem mieczy strażników, którzy właśnie weszli.

—Zostaniesz tutaj! Nie można ufać Tybetańczykom... — mruknął prefekt, wydymając wargi.

Ruchem ręki dał znak strażom, aby wyprowadziły manię ukrytymi drzwiami.

Wielki Cenzor Cesarski zwrócił się teraz do Pięciu Zakazów, i aby zrobić na nim większe wrażenie, zerwał się i zaczął chodzić między swymi agentami, którzy stali z groźnymi minami.

—Mam za co posłać cię na szafot: działałeś w bandzie zajmującej się naruszaniem państwowego monopolu, nielegalnie przybywałeś na cesarskim dworze, w części zastrzeżonej dla rodziny cesarskiej, spiskowałeś przeciwko bezpieczeństwu państwa... Mam kłopot z wyborem! Ale mnie się nie spieszy. Potrzebuję twojego zeznania na piśmie!

—A jeśli odmówię?

—Więźniowie Psiego Fortu zawsze się w końcu załamują, nawet jeśli są tak twardzi jak ty — mruknął prefekt.

—Potrzeba będzie dużo czasu, zanim przyznam się do zbrodni, których nie popełniłem! Nie jestem ani spiskowcem, ani pokątnym handlarzem. Jestem byłym mnichem mahajany, któremu przełożony powierzył misję nieco bardziej skomplikowaną, niż można się było spodziewać — odparł wcale nieprzestraszony Pięć Zakazów.

Nie miał złudzeń co do swego losu i od chwili, gdy policjanci Honga Czerwonego kazali mu wejść do skrzyni na kołach, złożył swe życie w ręce Błogosławionego, prosząc go tylko, na wypadek gdyby miał zginąć, aby sprawił, by Umara o nim zapomniała.

Za żadne skarby nie chciał, żeby żyła jak owe zapłakane wdowy, które prowadziły jałową i ponurą egzystencję, wypełnioną żalobą i wspomnianiem ukochanego mężczyzny.

— Poczekamy, zobaczymy! — rzucił oschle prefekt Li.

Strażnicy chwycili łańcuch, który Pięć Zakazów miał na szyi, żeby wyprowadzić go z sali przesłuchań.

Nie miał nawet czasu, żeby życzyć odwagi Świetlistemu Punktowi. Wywleczono go i zamknięto w maleńkiej lektyce, pozbawionej najmniejszego otworu.

— Do Psiego Fortu! — wykrzyknął jeden ze strażników do dwóch tragarzy, którzy unieśli skrzynię.

Psi Fort był znany w całych Chinach, bali się tam trafić nie tylko przestępcy, ale także niewinni ludzie, których często zamykano bez sądu.

Wysokie, przebite wąskimi strzelnicami mury, przeznaczonego dla najgroźniejszych zbrodniarzy, wznosiły się w wiejskiej okolicy, o dobrą godzinę marszu od centrum miasta.

Posępna szarość kamieni potwierdzała ponurą opinię tego miejsca, które można było opuścić tylko nogami do przodu. Więzienie zostało celowo zbudowane z czarnej wulkanicznej skały, i ci, którzy odkrywali ten symbol państwowego totalitaryzmu dynastii Tangów, mieli wrażenie, jakby strawił je pożar.

Ten przybytek cierpienia, tortur, samotności i śmierci był dobrze strzeżony: otaczały go fosy zasilane przez podziemną rzekę, w której pływały, jak mówiono, wielkie karpie ludojady o bardzo smacznym mięsie. Wzdłuż fos, w których próbowali szczęścia okoliczni rybacy, spacerowały bezustannie oddziały strażników uzbrojonych w długie włócznie; nocą można było zobaczyć iskrzący taniec ich pochodni oświetlających mury twierdzy.

Aby dostać się do tego przeklętego miejsca, trzeba było przejść przez zwodzony most prowadzący do jedynej bramy, gdzie wchodzących i wychodzących czekała drobiazgowa kontrola.

Pięć Zakazów był zaskoczony, gdy po pospiesznym wyciągnięciu go z lektyki przywitał go młody strażnik o miłej twarzy.

— Witaj w paszczy psa! — wykrzyknął.

Dźwięczne słowa, rzucone żartobliwym tonem, wywołały potężny wybuch śmiechu umorusanych i hałaśliwych żołnierzy, którzy pilnowali wejścia.

Gdy młody strażnik poprowadził go ciemnym korytarzem, Pięć Zakazów poczuł zapach wilgoci. Wzmocnił się on jeszcze, gdy zeszli po spiralnych schodach, prowadzących do cel najlepiej strzeżonych więźniów.

Położone w dolnej części gmachu, głęboko pod ziemią, wychodziły z obu stron na fosę wypełnioną czarną lśniącą wodą, którą oświetlał drżący płomień świecy trzymanej przez młodego strażnika.

—Rozumiem, skąd tu taka wilgoć! — zauważył Pięć Zakazów, idąc wzdłuż niekończącej się ściany pokrytej mchem i pleśnią.

—Psi Fort stoi na podziemnej rzece. Różdżkarze cesarza Taizonga wyjaśnili, że woda ta bierze się z potu wielkiego smoka, który śpi dokładnie pod spodem! — wyjaśnił młody mężczyzna, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Jego głos zdradzał lęk przed potworem, w którego obecność w głębinach ziemi święcie wierzył.

—Ta rzeka powinna zasilać fosy — stwierdził mahajanista.

—Zgadza się. Popatrz na tego karpia. Przy pływa z fos, żeby złożyć jaja w chłodnej wodzie. Gdybym zanurzył w niej palec, mógłby mi go odgryźć! — powiedział strażnik, przyglądając się wielkiej rybie, która kręciła się pod powierzchnią czarnej wody.

Gdy drzwi celi się zatrzasnęły, Pięć Zakazów dopiero po dłuższej chwili zauważył smugę światła, która płynęła z jedyne go okienka umieszczonego pod sklepieniem pomieszczenia tak niskiego, że nie można było się wyprostować.

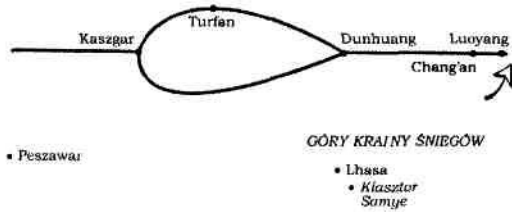
Pogrążony w wilgotnej i ciemnej nocy zadrżał na myśl o tym, co go czeka.

Najbardziej przerażało go to, że będzie musiał żyć bez światła.

Gdyby przynajmniej potrafił medytować, łatwiej byłoby mu znieść ten pobyt. Przecież pustelnicy nieraz pozostawali przez rok w grocie położonej w samym środku niedostępnych gór. Wracali stamtąd wypoczęci, zapewniając, że czas minął im niezauważenie po prostu dlatego, że umieli wytworzyć w sobie pustkę!

Co przyniesie przyszłość? — zadał sobie pytanie były mnich mahajany, który w pierwszym odruchu pomodlił się do Błogosławionego Buddy i poprosił go, żeby poświęcił mu choć okruszek swego niezmiernego miłosierdzia.

Bo i co innego mógł zrobić w takiej chwili biedny Pięć Zakazów, w wilgotnym i rozpaczliwym mroku złowieszczonego lochu?



3

Luoyang, Klasztor Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa

Po raz pierwszy, odkąd ją tu zamknięto, Umara usłyszała drapanie w drzwi!

Postanowiła nie odpowiadać. Za bardzo się bała.

A zresztą, czy wkrótce nie zapadnie noc?

Schowała więc głowę pod poduszkę, żeby nie słyszeć tego hałasu. Miała nadzieję, że ucichnie.

Ale ktoś, kto stał tuż za drewnianymi deskami, nie przestawał.

Umara pomyślała, że gdyby osobnik ten chciał wyważyć drzwi, wystarczyłoby jedno pchnięcie ramieniem.

W końcu podniosła się z bijącym sercem, żeby otworzyć.

— Kłębek Kurzu! Co ty tu robisz? — wykrzyknęła, rozpoznając młodego Chińczyka, mimo iż miał ogoloną głowę i był odziany w mnisią szatę.

Na pięknej twarzy córki biskupa Addaia Aggaia odmalowała się mieszanina zdumienia i smutku wobec tak nagłego wdarcia się jej dawnego towarzysza zabaw do celi, w której trzymał ją Czystość Pustki.

—Poświęciłem dużo czasu na dotarcie do ciebie tak, żeby mnie nie zauważono!

—Jak mnie znalazłeś? — zapytała nieufnie.

Jej podniecenie objawiało się tylko niedostrzegalnym drżeniem rąk.

Na ostatnie piętro budynku administracji, w którym znajdowała się jej izba, nie wpuszczano nigdy pielgrzymów ani gości.

Żyła tu od miesięcy, odcięta od świata, w zupełnej samotności. Nie widywała nikogo prócz mnicha o długich zwisających uszach i imieniu Pierwsze z Czterech Słońc Oświełających Ziemię, który przynosił jej jedzenie.

Nieoczekiwane zjawienie się dawnego towarzysza było dla uwięzionej wielką niespodzianką.

— Żeby do ciebie dotrzeć, przebrałem się za mnicha! Potem wystarczyło wmieszać się w tłum pielgrzymów i mnichów, którzy wchodzi do klasztoru o świcie, zaraz po otwarciu bram. Na szczęście nikt nie zwrócił na mnie uwagi! — wyjaśnił jej z uśmiechem Kłębek Kurzu, wskazując szatę w kolorze szafranu.

Nietrudno było wtopić się w tłum dziesięciu tysięcy mnichów Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, kiedy miało się na sobie taką samą szatę i ogoliło się głowę.

—Odkąd Czystość Pustki pozwala pielgrzymom wchodzić i dotykać ubranek Niebiańskich Bliźniąt, codziennie przybywają tu tłumy! — szepnęła młoda chrześcijanka, która ciągle nie mogła ochłonąć z podniecenia wywołanego tak nieoczekiwaną wizytą.

—Przełożony znalazł sposób na zapelnienie skrzyń swojego klasztoru! — rzucił żartobliwie Kłębek Kurzu.

—A jak się dowiedziałeś, że tu jestem? Mistrz Czystość Pustki kazał umieścić mnie tu w sekrecie zaraz po moim przybyciu, i nie widuję nikogo prócz mnicha z odstającymi uszami, który mnie porwał Pięciu Zakazom i teraz przychodzi, żeby mi przynieść miskę ryżu polaną zupą z jarzyn!

—Przysięgam na Wyspy Nieśmiertelne, nie straciłem cię z oczu od Samye! Śledziłem twoich porywaczy! Na krętych górskich drogach było dość skał, żeby się ukryć przed ich wzrokiem i nie pozwolić im oddalić się na krok!

—Nawet ja cię nie zauważyłam! — powiedziała oszołomiona Umara.

—Nieraz przychodziło mi biwakować tuż koło was, za jakimś wielkim głazem!

—Gdybym wiedziała, że tam jesteś, może udałoby nam się pozbyć ich towarzystwa! — westchnęła.

—Ja byłem sam, a ich trzech... No i zniechęcały mnie miecze, jakie mieli u pasa...

Kłębek Kurzu bezwstydnie kłamał. Jeśli nie podjął żadnych działań, to przede wszystkim dlatego, że miał do Umary żal i był zazdrosny.

Przyglądając się z otwartymi ustami, niemal z radością, jak trzech ubranych po chłopsku nieznajomych obezwładnia młodą kobietę, postanowił ruszyć za nią, popychany chorobliwą ciekawością, pewny, że padła ofiarą zbójców z gościńca.

Dopiero po dwóch dniach, gdy porywacze przebrali się w szafranowe szaty, odkrył, że ci Chińczycy są mnichami mahajany.

Zauważył, że im bardziej Umara oddala się od Pięciu Zakazów, w tym większe popada przygnębienie, a gorycz, która pozostała mu w ustach po odprawie, jakiej mu udzieliła, zamienia się w rozkoszny smak zemsty.

Rozpacz Umary, która płakała niemal bez przerwy, cieszyła nieszczęśliwie zakochanego, toteż za nic w świecie nie podjąłby żadnych kroków, żeby pomóc dziewczynie.

Zadowolił się więc maszerowaniem jej śladem aż do Luoyangu. Porywacze zaś nie obejrzeni się za siebie ani razu, nie okazali też podejrzliwości.

Kłębek Kurzu deptał im po piętach, śpiąc tuż koło nich i żywiąc się resztkami ich posiłków aż do środkowych Chin.

W końcu zatrzasnęła się przed jego nosem ciężka brama klasztoru, odcinając go od młodej kobiety o dwubarwnych oczach, którą nadal gorąco kochał i której jedyną winą było to, że nie odwzajemniła jego uczucia!

Młody Chińczyk znalazł się nagle sam w Luoyangu, ogromnym mieście, w którym nie przypadkiem nigdy dotąd nie postawił stopy.

Nie miał najmniejszej ochoty żebrać, co pozwoliłoby mu dostać miskę stawy w którymś z setki buddyjskich klasztorów w letniej stolicy Tangów, więc aby przeżyć, znalazł pracę u rodziny pracy.

Członkowie rodu, który wywiódł swe nazwisko od wody i kijanki, już od kilku pokoleń prali bieliznę bogatych i szlacheckich rodzin w jednej z wielkich miejskich pralni w Luoyangu.

W ciągu kilku miesięcy na chudych ramionach i tułowiu Kłębka Kurzu pojawiły się mięśnie, dzięki uderzaniu kijanką i wykręcaniu bielizny od rana do wieczora, na płaskich kamieniach basenów pralni.

Mimo iż praca nie była zbyt ciekawa, pozwalała przynajmniej nie myśleć o niczym innym, kojąc wściekłość, jaką nosił w sercu.

Na początku ucieszył się, że Wielki Wóz zgotował Umarze gorzki los, choć nie znał powodu takiego postępowania.

Koniec końców, młodą nestoriańską chrześcijankę dosięgła tylko ręka sprawiedliwości po tym, jak odrzuciła jego miłość, choć kochał ją przecież tak samo mocno jak Pięć Zakazów!

Jednak z czasem, osamotniony i zbity z tropu młody Chińczyk, poddając się wyrzutom sumienia, doszedł do wniosku, że nie zbuduje własnego szczęścia na nieszczęściu Umary. Nie widział większego sensu w dalszym praniu bielizny, podczas gdy dziewczyna rozpacza w klasztorze. Dochodziło do tego, że z nadejściem wieczoru, wyczerpany po dniu ciężkiej pracy, upodabniał się do jednej ze szmat, które wykręcał przez tyle godzin.

Zrozumiał, że ciesząc się z cudzego nieszczęścia, wyrządza krzywdę sobie samemu.

Tak więc pewnego pięknego ranka Kłębek Kurzu postanowił pomóc Umarze wydostać się z więzienia, w jakim z tajemniczych powodów zamknął ją mistrz Czystość Pustki.

Udało mu się schwytać młodego nowicjusza z Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, który, jak zauważył, miał skłonność do podkradania smakołyków ze straganów cukierników. Śledził go dyskretnie, aż pewnego razu złapał na gorącym uczynku — młody mnich zwędził właśnie owoc mango.

—Od pewnego czasu przyglądam się twoim sztuczkom. Przynosisz wstyd swojej wspólnoty! Pójdiesz ze mną do klasztoru. Trzeba, żebyś oddał ten owoc swoim przełożonym! — wykrzyknął, złapawszy chłopaczka za kołnierz.

—Jeżeli to zrobisz, będę zgubiony! Mistrz Czystość Pustki, przełożony mojego klasztoru, to człowiek nieubłagany i surowy! Proszę cię, miej dla mnie litość! —jęknął tamten, wykręcając się i szarpiąc.

Za cenę milczenia Kłębek Kurzu wymógł na nowicjuszu, że ten pożyczycy mu swoją szatę. Poszedł do fryzjera ogolić sobie głowę, a potem wmieszał się w potok mnichów i pielgrzymów, jaki płynął przez bramę ogromnego klasztoru, która była otwarta od wschodu do zachodu słońca.

Znalazłszy się w środku, długo myszkował z ryżową szczotką w rękę, udając, że sprząta, aż w końcu odkrył miejsce, w którym przetrzymywano Umarę.

Ubrany na żółto, wrócił tam późnym popołudniem następnego dnia i postanowił zapukać do drzwi jej izby.

— Od dawna stawiam sobie pytanie, na które nie znajduję odpowiedzi: dlaczego mistrz Czystość Pustki kazał cię porwać? — zapytał wprost.

—Nie mam pojęcia. Widziałam tego człowieka tylko raz, w wieczór mojego przybycia tutaj!

—Co ci powiedział?

—Poprzestał na zapewnieniu, że nie stanie mi się żadna krzywda, i mimo moich sprzeciwów zamknął mnie tutaj! Od tej pory nie miałam okazji go widzieć!

Nieufna Umara powstrzymała się od wyjawienia Kłębkowi Kurzu szczegółów swojego przybycia do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa.

Albowiem nie ograniczyła się do protestów, gdy Pierwsze z Czterech Słońc Oświełających Ziemię wprowadził ją, spowitą w woale, do komnaty wielkiego mistrza *dhyany*.

W rzeczywistości młoda kobieta dała upust całej swojej rozpacz i wściekłości.

Po tygodniach wytężonego marszu, w czasie których mnich Pierwsze z Czterech Słońc Oświełających Ziemię raz tylko otworzył usta, ograniczając się do podania jej swego imienia, Umara nie wytrzymała z niepokoju i wściekłości. Dotarła do Luoyangu wyczerpana wędrownką i przygnębiona nagłą rozłąką z ukochanym. Wyobrażała sobie jego ogromny smutek, z pewnością dorównujący jej rozpacz.

Znalazłszy się twarzą w twarz z Czystością Pustki, córka nestoriańskiego biskupa, oburzona takim traktowaniem, wykrzyczała wszystko, co leżało jej na sercu.

—Rozdzieliliście mnie z ukochanym, uprowadziliście jak zwykłego zakładnika, i to bez żadnego powodu! Czy to są metody godne buddyjskiego mnicha? Wasz Błogosławiony Budda bez wątpienia osądzi was stamtąd, gdzie przebywa, z najwyższą surowością! — wykrzyknęła, nie podejrzewając nawet, że zwraca się do duchowego przywódcy chińskiej szkoły Wielkiego Wozu.

—To nie było porwanie! Po prostu konieczność, by coś sprawdzić! Będiesz, pani, traktowana z szacunkiem... Co do osądu moich uczynków przez Buddę, nie masz, pani, żadnego

prawa, żeby o tym mówić. Ja nie próbuję stawiać się na miejscu waszego Jedynego Boga! — odparł chłodno Czystość Pustki, bynajmniej niespeszony gwałtownością jej słów.

—Mnich nie porywa ani nie więzi niewinnej kobiety!

—Dobrze wiem, co robię!

—Ja też wiem, co bym zrobiła, gdybym mogła stąd wyjść: poszłabym ze skargą do policji waszego kraju. Zobaczylibyście, jakie by to wywołało zamieszanie! — odcięła mu się, czując narastającą wściekłość.

Przełożony z Luoyangu zorientował się, że ma przed sobą osobę upartą, obdarzoną silnym charakterem, toteż uznał za właściwe odłożyć na później przesłuchanie, jakiemu pragnął ją poddać.

Przerwał więc rozmowę i polecił zaprowadzić Umarę do tej maleńkiej izby, położonej w najdalszym zakątku klasztoru, do której mimo to udało się trafić Kłębkwowi Kurzu.

Gdy się w niej znalazła, opadła na posłanie i zalała się łzami.

Miała co oplakiwać!

Wciąż pamiętała przerażający moment, gdy ci ludzie wyrosli przed nią na progu chatki, w której pędziła szczęśliwe dni z Pięcioroma Zakazami.

Robiła, co mogła, żeby im się wyrwać, szarpiąc się jak dzikie zwierzę i zmuszając ich, żeby ją związali jak wiązkę chrustu, a potem nieśli przez pierwsze dwa dni. W nadziei, że Pięć Zakazów usłyszy jej wołanie o pomoc, nie przestawała wykrzykiwać jego imienia, aż echo błędziło po górach.

Niestety, nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Zrozpaczona, zgodziła się w końcu iść obok swych porywaczy, od chwili gdy postanowili wdziać znowu mnisie szaty, ale nie udało się jej wydrzeć z nich najmniejszego wyjaśnienia. Prędko jednak zorientowała się, że wędrują tą samą drogą, którą przemierzyła z ukochanym, i że kierują się do środkowych Chin.

Szata mnicha była na terytoriach kontrolowanych przez chińskie władze najlepszą przepustką, toteż bez najmniejszych

trudności pokonali wszystkie punkty celne, zanim dotarli w okolicy Chang'anu, który obeszl, aby udać się prosto do Luoyangu, wspaniałego miasta, w którym znajdowało się tyle pagód i parków, że nie dawały się zliczyć. Dopiero tam odkryła, że jej porywacze są członkami wspólnoty największego buddyjskiego klasztoru.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Umaro? Jestem tu tylko po to, żeby ci pomóc!

Szczerłość, z jaką Kłębek Kurzu powiedział te słowa, nie budziła wątpliwości.

—Pomóż mi uciec z tego ponurego miejsca! Zawiadom Pięć Zakazów, że tu jestem! Masz kłopot z wyborem! Jednak abyś mógł urzeczywistnić swoje zamiary, teraz musisz stąd wyjść. Właśnie o tej porze mnich z odstającymi uszami przynosi mi jedzenie!

—Nie zawiodę cię! — rzucił tajemniczo Kłębek Kurzu i zniknął.

Gdy Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię przyniósł Umarze miskę ryżu polanego zupą z kapusty i marchewki, ku jej wielkiemu zaskoczeniu powiadomił ją, że zostanie przyjęta przez Czystość Pustki. Kilka minut później wprowadził ją do komnaty wielkiego mistrza *dhyany*.

— Od dawna pragnę odbyć z tobą szczerą rozmowę, pani! Przeszkodziły mi w tym moje zajęcia... Mam nadzieję, że jesteś spokojniejsza! —powiedział mistrz do Umara, poprosiwszy ją, żeby usiadła naprzeciwko niego na wąskim, raczej niewygodnym krześle.

Gwałtowna reakcja młodej chrześcijanki w wieczór jej przybycia skłoniła Czystość Pustki do zostawienia jej w spokoju na długie tygodnie.

W istocie, wielki mistrz *dhyany* miał podstawy, aby sądzić, że czas i samotność to najlepsze sposoby na przywrócenie niepokornym duszom równowagi.

Kiedy młodzi nowicjusze, umieszczeni w klasztorze wbrew swej woli, odmawiali wykonywania obowiązkowych prac lub,

co gorsza, dawali do zrozumienia, że nie zamierzają zestarzeć się w szafranowej szacie, najlepszym remedium było odizolowanie ich w którejś z maleńkich pustelni w górach Longmen, gdzie mieli za towarzyszy nielicznych taoistycznych czarowników, medytujących u stóp drzew i skał nawiedzanych przez duchy.

—Cieszę się, że otrzymam w końcu wyjaśnienia, jakie jesteście mi winni! — powiedziała Umara, starając się nad sobą zapanować.

—Czy wiesz, pani, coś o Oczach Buddy?

Na szczęście przełożony z Luoyangu nie zawracał sobie głowy przydługim wstępem.

—Dlaczego o nie pytacie? — Umara postanowiła stawić mu czoło, a przede wszystkim poznać powody swojej tutaj obecności.

—A czy ktoś mówił w waszej obecności o mandali wadźrajany? — ciągnął z niezmaconą powagą przełożony.

—Nie powiem wam nic, dopóki nie wyjaśnicie mi, dlaczego mnie porwaliście! Rozdzieliliście mnie z człowiekiem, który jest mi najdroższy na świecie! To nie do pomyślenia! — odparła Umara, dając do zrozumienia, że nie pozwoli, aby traktowano ją jak małą dziewczynkę.

—Przede wszystkim, Pięć Zakazów był moją prawą ręką i we właściwym momencie miał mnie zastąpić. Jeśli ty straciłaś, pani, ukochanego, to ja straciłem jedyne go człowieka godnego zająć moje miejsce!

—Bądźcie pewni, że nic i nigdy nie zdoła zniszczyć naszej miłości! — wykrzyknęła, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

—Pytam cię, pani, jeszcze raz, czy wiesz coś o Oczach Buddy i świętej mandali wadźrajany! — naciskał wielki mistrz *dhyany*.

—Chcę połączyć się znowu z Pięcioma Zakazami. Kocham tego człowieka! Bez niego moje życie nie ma sensu!

—Gdybyś zechciała, pani, odpowiedzieć na moje pytania, mógłbym pomyśleć o sprowadzeniu go tutaj, a wtedy moglibyśmy omówić razem sprawę jego powrotu do stanu świeckiego... Moglibyście wówczas się pobrać, bo teraz wasz związek jest dla niego grzechem... — powiedział Czystość Pustki, który za wszelką cenę chciał udobruchać młodą kobietę.

—On z pewnością mnie szuka, więc jak go odnajdziecie? Chyba że kazaliście porwać także i jego! — odrzekła tonem wymówki Umara.

—Nic mi nie wiadomo, jakimi drogami wędruje obecnie Pięć Zakazów. Ale gdybym rozesłał wieść do klasztorów w całym kraju, bez wątpienia prędko bym go odnalazł...

—Na pewno błąka się po kraju Bod! — jęknęła Umara.

—Jestem przekonany, że masz, pani, Oczy Buddy, a także świętą mandalę wadzrajany! Nie powinien kłamać ani ten, kto wierzy w Jedyne Boga, ani wyznawca Błogosławionego Buddy! — rzekł Czystość Pustki, i tym razem w jego głosie pobrzmiwała groźba.

Ale krnąbrna Umara, siedząc z założonymi rękami na małym krzeselku, niczym uparta uczennica, postanowiła milczeć.

— Powiedz mnichowi Skupieniu Powagi, żeby tu przy szedł! — polecił wielki mistrz *dhyany* nowicjuszowi, który zjawił się na dźwięk dzwonka.

Usłyszawszy to, córka Addaia Aggaia zrozumiała powody swej obecności w tej komnacie, twarzą w twarz z duchowym przywódcą chińskiej szkoły Wielkiego Wozu.

Skupienie Powagi!

Tak miał na imię ów niegodziwiec, przełożony Klasztoru Zbawienia i Miłosierdzia w Dunhuangu, któremu tak naiwnie próbowała sprzedać serce z sandałowego drewna z całą jego zawartością, a który omal go jej nie ukradł.

Teraz wszystko się wyjaśniało.

Więc to on zdradził jej tajemnicę Czystości Pustki, który z kolei kazał ją porwać, myśląc zapewne, że nadal ma relikwie...

—Łajdak z was! Wykorzystaliście moją naiwność! Próbowaliście ukraść mi to, co wam pokazałam, doskonale wiedząc, ile to jest warte! — krzyknęła Umara do przełożonego z Dun-huangu, gdy tylko wszedł do komnaty.

—Pani pamięć zdaje się wracać lotem strzały... — zauważył ironicznie Czystość Pustki.

—Myślałam, że pomogę mojemu ojcu, sprzedając cenne przedmioty, które wpadły mi w ręce za sprawą najzwyczajszego przypadku, i z których znaczenia nie zdawałam sobie sprawy! Ten mnich dobrze się pilnował, żeby mi nie powiedzieć, o co naprawdę chodzi. Niestety, dopiero później dowiedziałam się, że w istocie były to najświętsze relikwie Małego Wozu i lamaiz-mu tybetańskiego — tłumaczyła Umara, szlochając.

—Skupienie Powagi powiedział mi zupełnie co innego o waszych zabiegach względem niego! — rzucił z poirytowaną miną wielki mistrz *dhyany*, spoglądając prosto w oczy przełożonemu z Dunhuangu, na którego twarzy malowało się zakłopotanie.

—Mówię prawdę! Na głowę Pięciu Zakazów! — krzyczała dziewczyna. — Ten człowiek zachował się wobec mnie jak oszust. Żeby wyrwać się z jego szponów, musiałam skłamać, że mój ojciec wie o mojej wizycie u niego. Gdyby nie to, zabrałby mi skarby, które mu pokazałam! Próbował także nakłonić mnie do milczenia, strasząc, że na tego, komu powiem o tych relikwiach, niechybnie sprowadzę nieszczęście!

—Skupienie Powagi, czy możesz potwierdzić słowa tej dziewczyny? Jeśli dobrze rozumiem, nie zaskoczyłeś jej wcale w trakcie kradzieży tych relikwii ze skrytki z księgami twojego klasztoru! Wiedz, że każde kłamstwo zaprowadzi cię nieuchronnie do piekła Awici! — zagrzmiał Czystość Pustki.

—Mistrzu, czy każdy inny mnich nie postąpiłby tak samo, mając przed sobą Oczy Buddy i świętą mandalę z Samye? Wasz pokorny sługa uważał, że czyni dobrze — jęknął zbity z tropu Skupienie Powagi.

— W przeciwieństwie do was nie uważam, by cel uświęcał środki! — syknęła Umara.

Jej słowa podziały na przelożonego z Luoyangu jak kuleł zimnej wody.

—To, co wydarzyło się w Dunhuangu, jest godne ubolewania. Ale teraz, droga Umara, chciałbym wiedzieć, gdzie znajdują się te relikwie! Wystarczy, że mi to powiesz, pani, a natychmiast odzyskasz wolność! — rzekł łagodnie Czystość Pustki, który chwilę wcześniej dał znak Skupieniu Powagi, żeby wyszedł.

—Nie dowiecie się tego dopóty, dopóki nie będę miała wieści od Pięciu Zakazów!

—Umara, upór jest złym doradcą!

—Kpię sobie z tego! Mogę pozostać w zamknięciu. Nie chcę żyć bez tego, którego kocham!

Tak zazwyczaj opanowany Czystość Pustki, zbity z tropu jej stanowczością i wytracony z równowagi okolicznościami, które, mówiąc prawdę, kłamstwo Skupienia Powagi nadzwyczaj skomplikowało, chodził teraz tam i z powrotem niczym niedźwiedź w klatce.

—Robisz, pani, błąd, upierając się. Nie zamierzam uczynić ci krzywdy! — powiedział w końcu.

—Będziecie musieli pogodzić się z tym, że wrócę do więzienia, w którym mnie zamknęliście... — szepnęła po dłuższym milczeniu dziewczyna.

—Widzę, że nic mi nie powiesz. Mam nadzieję, że będziesz, pani, trochę bardziej rozmowna, kiedy staniesz przed cesarzową Chin! Zdaje się, że bardzo ją szanujesz! — zagrzmiał Czystość Pustki.

—Myślę, że szacunek jest wzajemny. Wiedźcie, że powiem Wu Zhao o tym, co mi zrobiliście! — odcięła się dziewczyna.

—Cesarzowa już wie, że pani tu jest!

—Kłamiecie! Przyszłaby mnie odwiedzić!

—Oczy Buddy byłyby nieocenioną pomocą dla jej przed-

sięwzięć! Oddaj je, pani, a w zamian otrzymasz wszystko, czego zapragniesz! — skłamał bez wahania.

—Do czego Wu Zhao miałyby być potrzebne te relikwie?

—Powie to pani sama, kiedy się zobaczycie!

—Czy za przekazanie Oczu Buddy cesarzowej Chin Pięć Zakazów otrzyma wasze przebaczenie? — zapytała Umara zniecierpliwiona, pragnąc dać mnichowi do zrozumienia, że nie da się oszukać.

—Z pewnością! Zaręczam moim słowem i przysięgam, nie obawiając się, jak to osądzi Błogosławiony Budda! Masz, pani, dwie noce na przemyślenie sprawy! — oświadczył duchowy zwierzchnik Wielkiego Wozu, w chwili gdy wściekła i przygnębiona Umara opuszczała jego komnatę w towarzystwie Pierwszego z Czterech Słońc Oświecających Ziemię.

Nazajutrz opowiedziała Kłębkowi Kurzu, który znowu ją odwiedził, co zdarzyło się poprzedniego dnia.

—Nawet jeśli wygląda na to, że ten podlec Skupienie Powagi nadużył jego zaufania, zachowanie wielkiego mistrza jest niewybaczalne! Nie zawahał się nawet wmieszać w swoje knowania cesarzową Chin! — wykrzyknął młody Chińczyk, wysłuchawszy opowieści dziewczyny.

—To wielki mistrz, więc wykorzystuje środki, jakie uważa za konieczne, żeby bronić interesów Małego Wozu. Co do Wu Zhao, to przyznaję, że nie wiem, jak się zachować względem niej... — szepnęła Umara, zamyślona i smutna.

—Co ty mówisz? Chcesz powiedzieć, że twój ojciec w podobnych okolicznościach postąpiłby tak samo? — prychnął z pogardą Kłębek Kurzu.

—Być może nie posunąłby się tak daleko... chociaż w imię interesów Kościoła nestoriańskiego nie wahał się podjąć działalności zabronionej przez chińskie prawo! — odparła Umara, czyniąc aluzję do nielegalnego handlu jedwabiem.

—Co do Wu Zhao, to jest to władczyni pragnąca piąć się

coraz wyżej. Ale nie wiedziałem, że tak samo jest z Kościołami! — wykrzyknął wzburzony Kłębek Kurzu.

—Wszystkie instytucje, łącznie z religijnymi, to niestety także bardzo ludzkie instytucje! — mruknęła w zamyśleniu Umara, której miłość do Pięciu Zakazów była silniejsza niż jej wiara w Jedyne Boga.

—Myślę, że jeśli nie przyjąłem dotąd żadnego wyznania, na pewno nie zrobię tego także i jutro! — oświadczył Chińczyk.

—Przypominam sobie bardzo dobrze, co mówiłeś w obecności lamy Gampo: że ani nie wierzysz w Boga, ani nie masz mistrza... Być może racja jest po twojej stronie! — westchnęła Umara.

—Im więcej przybywa mi lat, tym bardziej się w tym utwierdzam!

Córka biskupa Addaia Aggaia podeszła do Kłębka Kurzu i łagodnie położyła rękę na jego ramieniu. Czując jej dotyk, młody Chińczyk drgnął.

—Od naszej rozmowy w Samye miałam dużo czasu na rozmyślania... Kiedy opuszczałam Dunhuang, nic ci o tym nie mówiąc, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo cię zraniłam, Kłębku Kurzu. Powinnam była zachować się rozważniej... jednym słowem, pamiętać o tym, co razem przeżyliśmy — powiedziała.

—Ja też, Umaro, zastanawiałem się nad tym. W końcu poskromiłem lwa, który spał w moim sercu, i gorzko żałuję mojego zachowania względem ciebie. Kierowałem się urazą. Byłem zraniony — wyznał Chińczyk ze łzami w oczach, rzuciwszy się do kolan dziewczyny.

—Bardzo bym chciała, żebyśmy pozostali przyjaciółmi, zwłaszcza że przechodzimy ciężkie próby! — odparła Umara, nie precyzując, co ma na myśli.

—Umaro, porwano cię i rozdzielono z mężczyzną, którego kochasz! Mnie nikt niczego takiego nie zrobił! Cieszę się wolnością...

—Kłębku Kurzu, to miło z twojej strony, że tak myślisz i mówisz! Twoje słowa trafiają mi do serca — szepnęła Umara, biorąc go za rękę.

—To twoje słowa, droga Umara, leczą moje rany niczym najlepszy balsam... — szepnął młodzieniec, uśmiechając się do Umary, która w końcu powiedziała mu to, co pragnął usłyszeć.

—Nie powinieneś się o mnie martwić. Jeśli przełożony popełni błąd i pozwoli mi opowiedzieć cesarzowej Chin o jego uczynkach, będę uratowana... Jestem przekonana, że Wu Zhao dobrze mi życzy.

—Czystość Pustki nie jest naiwnym młokosem!

—W takim razie jeszcze długo będę jego więźniarką! — jęknęła.

—Mogłabyś nią nie być, gdyby udało mi się przywrócić równowagę zachwianą niepowodzeniem spotkania w Same... Mahajaniści trzymają cię tu, ponieważ myślą, że masz relikwie dwóch innych szkół. Nie liczą się z umową zawartą na spotkaniu w Lhasie!

—Ośmielasz się myśleć, że uda ci się przywrócić pokój między religijnymi nurtami, choć nie jesteś nawet człowiekiem wierzącym? — zdziwiła się Umara.

—Myślałem o tym przez całą noc. Jest ktoś, kto może powiązać zerwane nici...

—Któż to taki?

—Wielebny lama Gampo! Prawdę mówiąc, tylko on ma wystarczająco duży autorytet i rozsądek, żeby nakłonić Czystość Pustki do uwolnienia cię... Wystarczy nowe spotkanie, które przypieczętuje pogodzenie się buddyjskich szkół, a wtedy Oczy Buddy przestaną służyć do szantazu i manipulacji.

—To prawda, że ten niewidomy staruszek, w przeciwieństwie do Czystości Pustki, obdarzony jest rozsądkiem i wielką mądrością...

—A więc nie niepokój się, jeśli nie zobaczysz mnie prędko, Umara. Wyruszam do Same powiedzieć czcigodnemu Gampo,

że mistrz Czystość Pustki cię uwięził. Jestem pewny, że nie będzie czekał z założonymi rękami.

— Ale Same leży tak wysoko, prawie na Dachy Świata! Można stracić siły, wspinając się tam! Wielu woli nie wracać i zostają na górze... — szepnęła Umara.

Przypomniała sobie niekończące się dni wyczerpującej wędrówki, którą trzeba było podjąć, żeby dojść ze środkowych Chin aż do kraju Bod, po wąskich i stromych ścieżkach, być może tych samych, które Pięć Zakazów przemierzał teraz, nie wiedząc, dokąd pójść, by odnaleźć ukochaną...

—Moje nogi nie mają jeszcze dwudziestu lat i jestem w pełni młodzieńczych sił. Wyruszam jutro! Ten mądry człowiek powinien wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, co znaczy współczucie. Nie pozwoli, aby niesprawiedliwość czyniła takie spustoszenia...

—Dlaczego chcesz zadać sobie tyle trudu? — zapytała Umara, coraz bardziej świadoma, jak bardzo zraniła młodego Chińczyka.

—Gdybym mógł powiedzieć sobie, Umaro, że pomogłem ci odnaleźć szczęście, byłbym najszczęśliwszym z ludzi... Dzięki tobie zawarłem pokój z samym sobą. A to dla mnie rzecz bezcenna! — rzekł Kłębek Kurzu.

Patrząc na niego, Umara odniosła wrażenie, że znowu ma przed sobą chłopca o włosach pokrytych kurzem, który pewnego dnia zawołał do niej, siedząc na drzewie w ogrodzie biskupstwa w Dunhuangu.

Stał przed nią wesoły, skory do zabawy chłopak, wolny od wszelkich ukrytych myśli, ten sam, który potrafił sprawić, że ośmieliła się przekroczyć mur biskupstwa. W niczym nie przypominał owego urażonego młodzieńca, który w Same tak uparcie unikał jej wzroku.

Kłębek Kurzu znowu dobrze jej życzy!

— Pamiętam doskonale, co powiedziałaś u lamy Gampo: że wierzysz w szczęście i w zły los... No cóż, podpisuję się pod

tym i ja! Życzę ci, Kłębku Kurzu, żebyś i ty mógł być szczęśliwy! — Umara była wzruszona, a w jej oczach zabłyśły łzy.

—Jeśli o to chodzi, to zobaczymy, co przyniesie mi przyszłość — odparł z uśmiechem Kłębek Kurzu, starając się mówić możliwie najbardziej pogodnym tonem.

—Będę się modliła do Boga, żeby kierował twoimi krokami tak, jak na to zasługujesz, Kłębku Kurzu.

—Znalazłem w tobie pośrednika, który wyjedna mi u niego miejsce w twoim raj... — zażartował chłopak, rozśmieszając Umare.

Gdy jednak przy pożegnaniu dotknęła ustami jego policzka, zadrżał i nie mógł powstrzymać się od myśli, że choroba zwana miłością jest prawdopodobnie jedyną, na którą nie ma lekarstwa.

Przytulając się z łkaniem do jego piersi, młoda chrześcijanka doznała dziwnego wrażenia, w którym mieszał się niepokój, smutek i współczucie, jakby podświadomość szeptała jej, że nigdy już nie zobaczy Kłębka Kurzu, chińskiego chłopca, który zjawił się znikąd, samotny jak palec na tym świecie, a ona zorientowała się tak późno, że płonął miłością do niej...



Kaszgar/

V

^*^N Dunhuang

b

^^0000^^

Luoyang

Chang'an ^A

• Peszawar

GÓRY KRAINY ŚNIEGÓW

• Lhasa •
Klasztor
Samye

4

Pałac cesarski w Luoyangu, 1 października 658 roku

Wu Zhao była podniecona jak mała dziewczynka przed zabawą z najlepszą przyjaciółką.

Była pewna, że ten jesienny dzień, całkiem ciepły dzięki wspaniałemu słońcu, które nie przestawało świecić od tygodnia, będzie dla niej ważny.

Nigdy dotąd cesarzowa Chin nie zapraszała Białego Obłoku do letniej stolicy Tangów, gdzie udawała się nadal, mimo zbliżania się pierwszych przymrozków.

Zażyczyła sobie obecności mistrza w Pawilonie Storczyków, eleganckim ośmiokątnym budyneczku, stojącym w ustronnym zakątku Parku Drzewiastych Piwonii, którego oddalenie pozwalało jej przyjąć gościa dyskretnie, ponieważ miała nadzieję, że kiedy zakończą seksualne praktyki, weźmie on udział w pewnym przedsięwzięciu.

— Jestem szczęśliwa, że zgodziłeś się przybyć aż do Luoyangu! Mam nadzieję, że biały słoń pokonał drogę bez większych kłopotów — powitała gościa słodkim głosem, podeszła do

klatki ze świerszczem i przykryła ją jedwabną chustą, żeby go uciszyć.

Święty słoń z Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze, teraz nieodłączny towarzysz Białego Obłoku, fascynował chińską cesarzową, która marzyła, że wejdzie na jego grzbiet, aby doświadczyć rozkoszy dosiadania tej góry mięsa pokrytej różowawą sierścią, którą Biały Obłok posypywał mąką, gdy chciał wzbudzić sensację na głównych ulicach stolicy Tangów. Przeszkodą była jednak etykieta, jakiej musiała przestrzegać władczyni, nie licząc tego, że zwierzę przebywało zwykle w zagrodzie położonej w okolicy Chang'anu, dokąd Wu Zhao nie mogła udać się w tajemnicy.

—Zostawiłem białego słonia w stajni Pałacu Gości, gdzie masztalerze otaczają go wielką troską! — powiedział z uśmiechem Hindus.

—Poprosiłam służbę, żeby zostawiła nas w spokoju na cały dzień! — odparła Wu Zhao, obejmując mnicha, a potem włożyła rękę do jego bufiastych spodni.

—Połączenie *lingarn* i *joni* można praktykować zarówno w letniej, jak i w zimowej stolicy Państwa Środka! — zażartował Biały Obłok.

Minęło już prawie dwadzieścia miesięcy, odkąd Szalony, alias Biały Obłok, przybył do środkowych Chin z określonymi zamiarami wobec cesarzowej.

Nauczył się wystarczającej liczby chińskich słów, żeby mówić poprawnie tym językiem, nawet jeśli przy ich wymawianiu nie potrafił pozbyć się obcego akcentu.

Od ich pierwszego spotkania Wu Zhao nie mogła się obyć bez Szalonego Obłoku. Rok wcześniej sama wezwała do cesarskiego pałacu w Chang'anie tego wyznawcę tantryzmu, gdy wieść o jego przybyciu obiegła miasto lotem błyskawicy. Skłoniła ją do tego ciekawość, a także pociąg do niezwykłych osobników.

Od tygodni krążyła pogłoska na temat bliskiego pojawienia się w Chang'anie tego człowieka o nadzwyczajnych talentach, którego poprzedzała pochlebna reputacja maga i uzdrowiciela,

związana z sukcesami, jakie odnosił wspólnie z niezwykłym białym słoniem. Tłum tłoczył się wokół niego, żeby uzyskać łaskę lub uleczenie.

Po raz pierwszy usłyszała, aby wygłaszano o jakimś człowieku tak sprzeczne opinie. Dla jednych był potworem i złem wcielonym, podczas gdy inni uważali, że przeciwnie, uosabia dobro, które zstąpiło na ziemię.

A zresztą niczego nie ryzykowała, pragnąc osądzić rzecz osobiście.

Sam zainteresowany, który starannie przygotowywał swoje występy, w godny uwagi sposób wkroczył do komnaty Wu Zhao, odziany jedynie w przepaskę na biodrach, dzięki czemu cesarzowa mogła przyjrzeć się zadziwiającym znakom na jego ciele, a także dwóm pierścieniom z brązu, które przebijały jego piersi.

—Wydaje się, że lubisz cierpienie! — powiedziała żartobliwie, zafascynowana posępnym pięknem, którym odznaczało się ciało ascety.

—Cierpienie i rozkosz są sobie tak bliskie! Zwłaszcza gdy udaje się doprowadzić je do skrajności! — odparł, cedząc słowa.

Następnie zaczął wyjaśniać, że połączenie *lingam* i *joni* prowadzi do nieporównywalnej z niczym ekstazy.

Oszołomiona swobodajego obejścia, z początku nieufna Wu Zhao, poprosiła go, żeby wyjaśnił dokładniej swoją myśl. On ujął jej rękę i położył ją na swoim płaskim, umięśnionym i zagadkowo ponacinanym brzuchu — nie wiedziała jeszcze, że wypisane jest na nim słowo „tantra” — a potem pozwolił jej musnąć swoje sutki przebite pierścieniami, które dowodziły, jak u wszystkich wtajemniczonych joginów, że doskonale panuje nad bólem.

Wu Zhao pamiętała jeszcze drzenie, jakiego doświadczyła, kiedy jej dłoń dotknęła prawie czarnej skóry dziwnego Hindusa. Stali twarzą w twarz i blask jego przekrwionych oczu przeniknął ją na wskroś.

— Wasza Wysokość, spróbuj, a sama zobaczysz! Wystarczy wydać polecenie sługom, żeby nie przeszkadzali nam przez dwie godziny. Obiecuję, że nie będziesz, pani, tego żałowała! — oświadczył Szalony Obłok, wkładając wskazujący palec lewej dłoni w otwór utworzony przez kciuk i wskazujący palec prawej.

Zakłopotana tym obscenicznym gestem i świadoma, że ma do czynienia z kimś niezwykłym, Wu Zhao omal nie poleciła jednemu ze strażników, aby natychmiast odprowadził tego człowieka do drzwi, mimo że wciąż jeszcze czuła w dłoni dziwne i przyjemne mrowienie.

Jej gość zrobił wówczas coś niewyobrażalnego: stojąc przed kobietą, którą widział po raz pierwszy, uniósł przepaskę, żeby pokazać jej swój ciemny i nabrzmiały członek, uniesiony jak kobra mająca zaraz zaatakować.

— Wasza Wysokość, ten *lingam* sprawia, że kobieta, która pozwoli mu zagłębić się w *swej joni*, poczuje się szczęśliwa jak bogini! — szepnęła, wbijając spojrzenie w przejrzyste niczym dwa szmaragdy oczy Wu Zhao.

Z pewnością nie przypominał żadnego z mężczyzn, których uwiodła do tej pory. Bez wątpienia był najbardziej niezwykłym ze wszystkich mniej lub bardziej dziwnych osobników, których poznała i, w większej części, przyjęła do swego łóża. Przede wszystkim jednak był jedynym, który poważyl się na podobne zachowanie.

Zafascynowana tak wielką zuchwałością cesarzowa nie potrzebowała wiele czasu, aby ocenić ten *lingam* gotowy do usług i ulec wrażeniu, że stoi przed istotą przebywającą już tylko jedną nogą na tym świecie, zasługującą na to, żeby poświęcić jej nieco uwagi. Podobny do włóczni uniesionej do ataku narząd Hindusa nie przypominał żadnego z tych, które miała okazję pieścić. Był to istny rytualny sztylet, który powinien zadawać najślodsze rany.

Ale jednocześnie budził w niej strach...

Przez chwilę wahała się, jak ma postąpić.

W tym samym momencie zdała sobie sprawę, że w cudowny sposób przestała boleć ją głowa.

Nagle zniknięcie bólu, który od dwóch dni nieprzerwanie ścisnął jej czaszkę, i to w chwili, gdy Hindus pokazał jej swój narząd, kazało cesarzowej pójść dalej. Zrobiłaby zresztą wszystko, żeby ustało okrutne rwanie, które rozchodziło się po jej twarzy z nadejściem ataku migreny.

Natychmiast poleciła Niemowie, żeby aż do późnego popołudnia nikogo nie wpuszczal do jej komnaty.

Gdy tylko Szalony Obłok upewnił się, że są sami, poprowadził cesarzową, i to najkrótszą drogą, na ekstatyczne ścieżki tantry. Swoją dziwny obrzęd zaczął tak, jakby kartkował księgę boskich przepowiedni, od rozebrania jej powolnymi i dokładnymi ruchami, godnymi najświętszych rytuałów. Pozwoliła mu na to, rozdziawiwszy szeroko usta wobec takiej pewności siebie: albowiem Biały Obłok, którego znała zaledwie od kilku minut, poczynął sobie z nią tak, jakby od dawna był jej kochankiem!

I Wu Zhao, która niczego nie lubiła tak, jak zaskakujących sytuacji, otrzymała to, co jej się należało.

Hindus nadział ją na swój *lingam*, nabrzmiały i prężny niczym dzida.

Wystarczyło, że przeciągnął dwoma palcami po rozchylonym już i wilgotnym pączku cesarzowej Chin, a potem w nią wszedł, a rozkosz, która przyprawiła ją o szaleństwo, zatarła poczucie przestrzeni i czasu.

Doznanie było dużo silniejsze, a przede wszystkim dużo przyjemniejsze niż te, których doświadczyła z innymi, tak przecież licznymi mężczyznami — łącznie z taoistycznym *fangshi*, którego członek smakował tak dziko — jacy znaleźli się przed Białym Obłokiem między spragnionymi udami cesarzowej Chin. Były one teraz miękkie i gorące niczym piaszczyste wydmy pustyni Gobi, czekające na deszcz.

Na szczęście drzwi jej komnaty były masywne, mogła więc ryczeć jak lwica za każdym razem, gdy zagłębiał się w niej potężnymi pchnięciami sękaty *lingam* Białego Obłoku, który sterczał w dole jego śniadego, płaskiego i muskularnego brzucha.

Po pierwszym cudownym seansie przyszły następne, bardziej wymyślne, i za każdym razem doznawała coraz bardziej intensywnych wrażeń w ramionach tego osobnika, który nie przypominał innych i uczył ją stopniowo, na kolejnych spotkaniach, wszystkich pozycji Kamasutry.

Jedna z ulubionych pozycji Wu Zhao polegała na tym, że wsuwała wskazujące palce w brązowe pierścienie na sutkach Szalonego Obłoku, a potem kuciała okraciem nad jego sterzącym narządem, aby lepiej odczuć przyjemność, którą dzięki temu dawkowała sobie sama.

Wystarczyło, że uniosła się lekko i opadła kilka razy, aby wywołać pierwszą, a potem następne fale rozkoszy, aż do końcowej eksplozji, podczas której wszystko, co miała w sobie, uciekało z niej nagle, tak jakby cała siła i energia, ukryte w głębinach jej duszy, uwalniały się za jednym zamachem. Wywoływało to oszołamiającą ekstazę w wyniku rozwinięcia się węża *kundalini*, który pełznął z otwartą paszczą od strefy położonej między końcem jelita prostego i organami płciowymi aż do Lotosu o Tysiącu Płatków, ulokowanego w *sahasrara*, miejscu na czubku głowy odpowiadającym za postrzeganie życia z boskiej perspektywy.

Albowiem dokładnie w tym momencie wąż *kundalini*, pożerający energię zamkniętą w ludzkim ciele, zamieniał ją w najwyższą szczęśliwość.

W takiej chwili wczoraj zdawało się prawie zupełnie zatarte i bardziej mgliste niż dziś, a każde następne doznanie było bez wątpienia jeszcze intensywniejsze.

Nie potrafiła już obejść się bez tego wychudzonego ciała, pokłutego i pociętego, którego ciemniejszy niż cała reszta

narząd, unoszący się na jej oczach, przypominał wizerunek boga, któremu zdawała się składać ofiarę ustami, gdy połykała dziko ten mięsisty miecz, pozbawiony jakichkolwiek ozdób, ale dostarczający Najwyższej Rozkoszy, na której powolne rozpląnięcie się w swoim ciele czekała z niecierpliwością, ukrywaną z coraz większym trudem.

Kopulując z Białym Obłokiem we wszystkich pozycjach, łącznie z najdziwaczniejszymi, Wu Zhao odnosiła wrażenie, że dominuje nad kochankiem, tak jakby należał do niej bez reszty.

Rzeczywistość była jednak inna.

Albowiem okazało się, że to tantrysta zawładnął ciałem tej kobiety do tego stopnia, że nie mogła się już obejść bez jego pieszczot...

W tej osobliwej parze to raczej władczyni stała się posłuszną uczennicą, a pod pewnymi względami wręcz niewolnicą swego nauczyciela.

Biały Obłok nie oszczędzał się, aby doprowadzić cesarzową Chin do odkrycia szczytów seksualnej ekstazy. Za każdym razem, gdy kochankowie łączyli się sekretnie za grubymi drzwiami komnaty Wu Zhao, odsłaniał przed nią nowy rytuał.

Jakże było jej przyjemnie składać hołd narządowi Szalonego Obłoku...

Tuż przed seksualnym aktem Wu Zhao z rozkoszą przyglądała się żyłkom pod cienką skórą, które gotowe były nabrznieć w każdej chwili i świadczyły o wyjątkowej zdolności narządu Białego Obłoku do prężenia się jak rozszoszczony wąż naga, gotów rzucić się na ofiarę.

Ale tym, co budziło jej najżywsze zainteresowanie, niczym najcenniejsza relikwia Buddy, był sam koniec tej umięśnionej dzidy, różowy jak pąk piwonii, ale także twardy i gładki jak wnętrze muszli, kiedy z rozbijającą gorączkowością szykowała się do zaaplikowania mu niezawodnej pieszczoty, polegającej na wżarciu się weń językiem.

W dzieleniu przyjemności dostarczanych przez rozpasane pieśczoćy, a potem we wspólnej ekstazie narząd Szalonego Obłoku stał się czymś w rodzaju ryłca, który wypisywał ognistymi literami na skórze cesarzowej tajemny tekst jogi *kundalini* i głoszonej przez nią perfekcji stopienia w nierozłączną całość ciała i duszy.

Ciekawy umysł Wu Zhao uderzyły wyjaśnienia Białego Obłoku na temat rytualnego wykorzystania stosunków płciowych, którym oddawali się z takim zapałem.

Nie myśląc nawet o zastosowaniu tantrycznych rytuałów w buddyzmie, celem dodatkowego wzmocnienia Szlachetnej Prawdy Błogosławionego, do czego Szalony Obłok żywo ją zachęcał, Wu Zhao pragnęła po prostu podjąć próbę oswojenia tej nadzwyczajnej siły, która rodziła się z połączenia czerwonej energii niewieściego sromu, który Biały Obłok określał ładną nazwą *joni*, i białej energii, którą tryskał narząd jej partnera.

Epoka i pomyślne okoliczności nie sprzyjały wyhamowaniu tego rodzaju zapędów u chińskiej cesarzowej. Ufna w niezachwiane wsparcie jej sprawy ze strony wspólnoty chińskiego Wielkiego Wozu, uspokojona tym, że ma pod pantoflem małżonka, którego postępująca choroba osłabiała z każdym dniem, zdolna odpierać nieustanne ataki wrogów, czuła się coraz silniejsza.

Tego dnia uznała więc, że może spróbować eksperymentu z Białym Obłokiem, będąc poza zasięgiem ataków, które ta nowa miłostka musiała sprowokować.

Po kilku miesiącach egzaltacja jej zmysłów wywołana cotygodniowymi ćwiczeniami seksualnymi, którym się oddawała, uczyniła ją pogodniejszą niż kiedykolwiek przedtem.

Jedynie ziarnko piasku, które mogło zakłócić tę słodką euforię, miało na imię Umara. Cesarzowa Chin uważała za rzecz głęboko

niewłaściwą i niesprawiedliwą uwięzienie tej ujmującej młodej chrześcijanki.

—A może powierzycie ją mnie? Będę pilnowała jej równie dobrze jak wy, ale zmieni przynajmniej otoczenie; mogłaby się przechadzać po Parku Drzewiastych Piwonii! — zasugerowała Czystości Pustki podczas jednego ze spotkań.

—Ta młoda dziewczyna doskonale wie, gdzie znajdują się relikwie niezbędne dla naszych wspólnych projektów! A ponieważ nie chce tego zdradzić, nie może być mowy, żebym ją wypuścił! — oświadczył bez ogródek wielki mistrz.

—A gdybym dostarczyła wam zwoje jedwabiu na malowidła, zgodzilibyście się zrobić ten krok? — zapytała cesarzowa, trochę zrażona jego uporem.

Po niedawnym zwalczeniu epidemii, która niszczyła jedwabniki, cesarskie fabryki podejmowały powoli produkcję jedwabiu, zmniejszając niedobory na rynku, dzięki czemu pojawienie się w środkowych Chinach jedwabiu wytwarzanego przez manichejczyków nie miało już tak wielkiego znaczenia dla interesów władczyni. Wu Zhao wiedziała, że bez większych trudności może dotrzymać obietnicy złożonej Czystości Pustki.

— Ruch należy do was, Wasza Wysokość! — odrzekł na to z uśmiechem wielki mistrz *dhyany*, który posiadał sztukę pozostawiania zawsze otwartych drzwi.

Po raz kolejny Wu Zhao musiała użyć całej swojej zręczności, aby dotrzeć do celu.

Dzięki naciskom na ministra jedwabiu Skuteczność Pozorów, wywieranym w imieniu samego Gaozonga i za pomocą argumentów, że potrzebuje jedwabiu na stroje dla cesarza, zdobyła dla przełożonego z Luoyangu kilka zwojów wspaniałej czerwonej i białej jedwabnej mory, które on natychmiast przekazał do pracowni hafciarskiej i malarskiej Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, skąd niebawem wyszło dziesięć

wotywnych chorągwi, a jednocześnie wezwała go pospiesznie, żeby znowu zadać mu pytanie, czy wreszcie gotów jest powierzyć jej Umarę.

—Wasza Wysokość, nie mówią nie — odpowiedział wymijająco Czystość Pustki. — Z tym że powinniście dobrze się zastanowić... — dodał cicho, tym nieznoszącym sprzeciwu tonem, którym tak skutecznie umiał się posługiwać.

—Tę młodą kobietę spotkał niesprawiedliwy los. Jesteście pewni, że ona wie, gdzie znajdują się te relikwie, skoro ograbiono grootę, w której były ukryte?

—Tak święta relikwia nigdy nie ginie bez śladu! Błogosławiony czuwa nad tym, co zostawił ludziom!

—Sądziłam, że doktryna Wielkiego Wozu przywiązuje większą wagę do medytacji niż do oddawania czci świętym relikwiom, co praktykują mnisi w Indiach...

—Potęga Wielkiego Wozu opiera się na wielkiej liczbie mnichów, a ich kształcenie i utrzymanie kosztuje coraz więcej. Potrzebujemy więc coraz więcej pieniędzy, Wasza Wysokość...

—Jeśli dobrze rozumiem, waszym celem jest zorganizowanie jednej pielgrzymki więcej! Nie wystarczają wam już Niebiańskie Bliźnięta — odparła z ironią.

—Odkąd pokazuję dzieci tłumom wiernych, pieniądze napływają jak nigdy! Gdybym dodał do tego Oczy Buddy, nasz klasztor mógłby zakupić ogromne tereny w środku miasta!

—A to w jakim celu?

—Żeby odprzedać je państwu! A tu, Wasza Wysokość, decydujące byłoby wasze cenne współdziałanie! — powiedział prosto z mostu zwierzchnik chińskiej mahajany.

—Jeśli dobrze rozumiem, liczycie na mnie, żeby w odpowiedniej chwili osiągnąć ogromny zysk... — stwierdziła Wu Zhao, zadziwiona pokrętnym, pozbawionym skrupułów rozumowaniem przełożonego.

— Zgadza się. Skłamałbym, gdybym zaprzeczył!

—Jak miałyby mi to ułatwić wstąpienie na chiński tron? — zapytała ze ściśniętym gardłem. Po raz pierwszy słowa te tak otwarcie wyszły z jej ust.

—To całkiem proste, Wasza Wysokość: umieszczając odpowiedni tekst na drzwiach kilkudziesięciu tysięcy chińskich pagód, Wielki Wóz stanąłby oficjalnie po waszej stronie.

—Zwykła deklaracja z pewnością by nie wystarczyła! Trzeba by przekonać dwór cesarski, że cesarzem Chin, który otrzymuje w Mingtangu polecenie niebios, aby wziął w swoje ręce losy chińskiego ludu, może być kobieta! — wykrzyknęła Wu Zhao, której zaparło dech już na samą myśl, że aby urzeczywistnić swoje marzenie, musiałaby pokonać tyle przeszkód.

—Bez wątpienia. Ale myślę, że znam rozwiązanie... — dorzucił tajemniczo Czystość Pustki.

Wu Zhao musiała długo nalegać, zanim jej rozmówca zgodził się sprecyzować, o co mu chodzi.

—Pewien bardziej od innych wykształcony wierny spośród tych, którzy każdego ranka przychodzą dotknąć ubranek Niebiańskich Bliźniąt, wiedząc, że jesteście, pani, oficjalną opiekunką tych dwojga dzieci, utrzymywał, że uosabiacie Buddę Przyszłości, Maitreję. To podsunęło mi pewne pomysły...

—Mówcie jaśniej! — wykrzyknęła Wu Zhao, podniecona nadzieją, którą te słowa obudziły w jej sercu.

—Trudno nie zgodzić się z tym, co mówi ten człowiek, gdyż chodzi o Buddę Jutra, którego, prawdę mówiąc, nikt nie zna, nikt nie wie, kiedy nadejdzie ani pod jaką postacią... Autorytet, jakim się cieszę, pozwoliłby mi więc uwierzytelnić tę myśl, Wasza Wysokość, bez ryzyka, iż zaprotestują wasi zaprzysięgli wrogowie. Wystarczy, że napiszę na przykład sutrę, która uwiarygodniłaby tę hipotezę. Zostałby w niej nakreślony, oczywiście bez wymieniania waszej osoby, portret tego wyobrażenia, w którym wszyscy rozpoznaliby bez trudu was! Mam

nawet pomyśl na jej tytuł: mogłaby nazywać się *Sutrą Wielkiego Obłoku** — oświadczył ze znaczącą miną Czystość Pustki.

— To dziwne, ale zdarzyło mi się śnić, że jestem rein karnacją Maitrei, Buddy Przyszłości! — wymknęło się ce sarzowej, którą ten sen nawiedzał często, ale nikomu nie śmiała o tym wspominać.

Ale jeśli nawet cesarzowa odkryła, do czego przełożony z Luoyangu gotów jest się posunąć, aby dostać Oczy Buddy, rozmowa z nim podtrzymała w niej przede wszystkim prag- nienie wydobycia z rzeki Luo proroczych głązów.

Tego dnia, kiedy zaczęła głaskać powoli swój ajonz w chwili, gdy Biały Obłok wszedł w nią swoim nabrzmiałym narządem, przyszła jej do głowy pewna myśl.

Bardzo liczyła na pomoc białego słonia. A nawet był to jedyny powód, dla którego zwróciła się do Białego Obłoku, żeby odwiedził ją w Luoyangu: potrzebowała kolosalnej siły tego zwierzęcia, aby wyciągnąć z wody głązy, które Niemowa zdołał zaledwie poruszyć, kiedy nurkował w rzece, by uratować Klejnotkę.

I teraz, odebrawszy swoją porcję rozkoszy, spieszyło jej się, żeby czym prędzej udać się nad brzeg Luo He.

—Potrzebuję pomocy twojego białego słonia — szepnęła do ucha Szalonemu Obłokowi, gdy ten, pogrążony w ekstazie po przełknięciu ukradkiem kolejnej pigułki, zasypiał na podłodze komnaty.

—Wasza Wysokość, wystarczy, że pójde do stajni, i będzie do waszej dyspozycji — sapnął i ziewnął, wstając niechętnie, wyczerpany wyczynami z Wu Zhao.

—Idź więc po niego!

Kilka chwil później przyprowadzony przez Hindusa ogromny stoń o różowawej skórze bił łagodnie powietrze ogromnymi

* Taka sutra została napisana; według niej Wu Zhao była reinkarnacją Buddy Przyszłości — Maitrei.

uszami, kołysząc się przed cesarzową Chin, która wyszła na próg Pawilonu Storczyków, żeby go przywitać. Podeszła do zwierzęcia i położyła dłoń na jego szerokim pomarszczonym czole.

Stojący obok ogromnego zwierza Biały Obłok w dziwny sposób przypominał jej Puxiana, bodhisattwę Samantabhadrę, który także jeździł na białym słoniu. Powiedziała sobie w duchu, że prawdopodobnie Biały Obłok ma tajemniczą aurę, ponieważ liczni buddyjscy wierni muszą być przekonani, że Puxian i ten Hindus z przebitymi piersiami to ta sama osoba...

— Wasza Wysokość, co ma zrobić słoń, żeby spełnić wasze życzenie?

— Ma wyciągnąć z rzeki osiem wielkich głazów, które kryją się w jej korycie. Są za ciężkie, by wydobył je człowiek, prawda, Niemowo? — odparła, spoglądając w stronę osiłka, którego ponura mina świadczyła o głębokiej nienawiści, jaką odczuwał względem Białego Obłoku. — Idź poszukać trzech solidnych konopnych powrozów! — dodała, nie zwracając najmniejszej uwagi na wściekle spojrzenia, którymi jej zaufany obrzucał Hindusa.

Jeszcze kilka chwil temu oszalały z zazdrości i pijany z pożądania olbrzym przyglądał się z ukrycia na werandzie Pawilonu Storczyków, jak dosiadali się niczym zwierzęta w rui.

Wu Zhao nigdy nie oddawała mu się tak bez reszty jak temu Hindusowi o oczach nabiegłych krwią, który spędzał czas na połykaniu ukradkiem ciemnych pigulek. Wyjmował je z małego skórzanego woreczka noszonego w kieszeni.

Nie bez rozgoryczenia Niemowa stwierdził też, że choć oręż Białego Obłoku nie jest ani tak potężny, ani nie dorównuje długością jego własnemu, cesarzowa zdawała się doznawać z jego rywalem dziesięć razy większej rozkoszy!

— Nie wiedzieć, gdzie je znaleźć! — odburknął po swojemu.

— W wozowni są ich całe pęki! Pospiesz się! Dobrze wiesz, że nie lubię czekać — odpowiedziała oschle.

Zaufany nosiciel świerszcza niechętnie wykonał polecenie i parę chwil potem wrócił z rękami pełnymi grubych powrozów, takich samych jak liny do holowania statków, pływających cesarskim kanałem łączącym Chang'an z Luoyangiem.

Cała trójka ruszyła ku rzece za powoli i majestatycznie krocącym słoniem z Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze.

Trzeba było widzieć przemianę, jaka dokonała się w Wu Zhao!

Niczym wojowniczy wódz zaczęła wydawać obu mężczyznom precyzyjne rozkazy, które oni posłusznie wykonywali. Sprawdziła umocowanie powrozów na piersi zwierzęcia, przyjrzała się miejscu, gdzie musiały kryć się głązy, wreszcie oceniła nachylenie i wysokość porośniętego trawą brzegu rzeki.

Na jej pięknej twarzy malowała się teraz surowość generała, który przed bitwą doprowadza do porządku swoje wojska.

—Niemowo, zanurzysz się i przełożysz powróż pod pierwszym kamieniem, po czym słoń wyciągnie go na brzeg! — rozkazała.

—Wasza Wysokość, woda bardzo zimna! —jęknął olbrzym, zamoczywszy palec u nogi.

—Rób, co ci każe! — rzuciła groźnie, aż w końcu niechętnie posłuchał.

Podczas gdy Szalony Obłok schronił się za drzewem, żeby przelknąć pigułkę, osiłek zanurkował w lodowatej wodzie koloru nefrytu.

Wu Zhao wpatrywała się w koncentryczne kręgi, pod którymi zniknął. Czekwała niecierpliwie, aż się wynurzy. Jakież było jej zaskoczenie, gdy po kilku minutach, które ciągnęły się jak wieki, ukazał się wreszcie z głową okrytą algami i powiedział z upartą miną:

— Za trudno! Niemożliwe!

Natychmiast wyczuła, że to zwykły szantaż.

Korzystając z tego, że Biały Obłok stoi nieco z boku, przykucnęła nad wodą i pochyliła się nad łapiącym oddech

olbrzymem w taki sposób, żeby musnąć językiem jego półotwarte usta.

— Jeżeli uda ci się uwiązać głazy do powrozów, dostaniesz tej nocy zapłatę! — szepnęła, sięgając po swój najbardziej urzekający uśmiech.

W wycięciu jej stanika kusily dwie jędrne kule, których sutki o smaku owocu mango Niemowa tak lubił ssać. Bez dalszych protestów wrócił w głębiny, a potem wynurzył się znowu, trzymając triumfalnie w rękę dwa końce powroza, który udało mu się przełożyć, jak za sprawą czarów, pod jednym z wielkich głazów.

Słoń stał w gotowości, żeby pociągnąć za sznury, które tworzyły coś w rodzaju upręży przełożonej przez jego pierś.

— Biały Obloku, możesz wydać słoniowi polecenie, żeby ciągnął? — zwróciła się cesarzowa do kochanka.

Ten podrapał lekko słonia za prawym uchem i zwierzę ruszyło do przodu. Wkrótce na brzegu ukazał się pierwszy zielonkawy głaz.

Cesarzowa nie mogła powstrzymać się od wydania okrzyku radości na widok wielkiego, pokrytego mchem sześcianu. Z małej torebki wyjęła banana i wsunęła go do pyska słonia, który w podzięce uniósł trąbę.

Niebawem na murawie na brzegu rzeki leżało rzędem osiem sześciennych głazów mniej więcej tej samej wielkości.

Podczas gdy dwaj wyczerpani wysiłkiem mężczyźni położyli się pod drzewem, obok spoglądającego na nich z rozbawieniem świętego słonia z Peszawaru, Wu Zhao rzuciła się ku głazom, które uznała za swoich sprzymierzeńców.

Z bijącym sercem zaczęła odgarniać dziwny, ciągnący się jak żelatyna zielony kozuch, którym były pokryte.

Nie potrzebowała wiele czasu, aby zrozumieć, że na głazach nie ma śladu napisów ani rzeźbień.

Sprawdziwszy, że jej towarzysze ciągle drzemią, pospiesznie pokryła głazy papką z alg, którą przed chwilą zdrapała.

Leżące przed nią zwykle kamienie, prawdopodobnie resztki jakiejś budowli, która się zawaliła, być może mostu, zatopione w tym miejscu z powodów, które bez wątplenia nie miały nic wspólnego z legendą, zdawały się rzucać jej wyzwanie.

Poczuła zawód i zarazem ulgę: bo jeśli te kamienie nie mają napisów, to przecież nic nie stoi na przeszkodzie, aby kazać je wyryć.

Przypomniała sobie słowa Czystości Pustki, dotyczące możliwej reinkarnacji Buddy Maitrei w jej osobie; przypomniała sobie niewzruszoną postawę wielkiego mistrza *dhyany* względem Oczu Buddy; słyszała plotki nadchodzące z głębi Cesarstwa, według których Szalony Obłok miał być reinkarnacją bodhisattwy Puxiana; wzięła pod uwagę szacunek i oddanie, niemal strach, jaki budziły Niebiańskie Bliźnięta, gdy noszono je po mieście w lektyce.

Czyż wszystkie te fakty nie świadczyły o jednym?

Gdy do umysłów ludzi wdrze się to, co święte i niewy tłumaczalne, nic nie zdoła tego usunąć.

Czy potrzebuje Czystości Pustki i jego *Sutry Wielkiego Obłoku*?

Czy nie wystarczyłoby ogłosić odkrycia głazów, na których wcześniej wyryje się odpowiednie znaki? Bez wątplenia po całych Chinach rozeszłaby się wówczas niczym chmura kurzu nowina, że cesarzowa Wu Zhao może być reinkarnacją Maitrei...

Przewidziała też rolę dla Niebiańskich Bliźnięt: że to dzięki ich cudownemu pośrednictwu odkryła legendarne prorocze głazy, ukryte w głębinach zielonkawych wód.

A wtedy wszystko stanie się możliwe i otrzymanie błogosławieństwa z nieba będzie tylko zwykłą formalnością.

Nagle nawiedziło ją nostalgiczne wspomnienie Umary. Ileż dałaby za to, aby ta młoda kobieta, tak jej bliska — niewątpliwie dlatego, że kroczyła drogą zupełnie inną niż ona — była tu, u jej boku, na brzegu rzeki Luo!

Odnajdywała w tej dziewczynie wiele własnych cech: tę samą uderzającą urodę połączoną z inteligencją, ten sam upór i ten sam nieugięty, pełen pasji charakter, a także to samo dążenie do pozornie nieosiągalnego absolutu.

Ale w odróżnieniu od cesarzowej Chin młoda chrześcijanka użyła wszystkich swoich przymiotów, by szukać szczęścia, podczas gdy Wu Zhao, samotna, szła za swym szalonym marzeniem o zdobyciu nieograniczonej władzy.

Czy miały szansę osiągnąć cel? Pod tym względem i jedna, i druga dalekie były od kresu trudów i niespodzianek...

—Biały Obłoku, czy mogę prosić cię o usługę? — szepnęła Wu Zhao do kochanka, potrząsając nim, żeby go zbudzić.

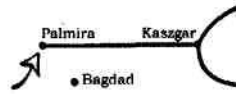
—Słucham, Wasza Wysokość.

—Muszę poprosić słonia o coś jeszcze.

—Słucham!

—Trzeba będzie przeciągnąć tych osiem głązów w głąb parku, bacząc, żeby nikt, absolutnie nikt się o tym nie dowiedział!

Spojrzenie Wu Zhao było tak stanowcze, że nawet Szalony Obłok z trudem mógł patrzeć jej w oczy.



5

Twierdza w Palmyrze

— Czy potrzebujesz czegoś, księżniczko?

Pytanie to zadała służąca — nieokrzesana i tak gruba, że fałdy jej brzucha, pomarszczone jak skóra słonia, wylewały się z czarnych bawełnianych spodni, bufiastych i ściągniętych w pasie.

Aby się upewnić, czy Nefrytowy Księżyc czegoś nie potrzebuje, a bez wątpienia także i po to, żeby mieć ją przez cały czas na oku, matrona zaglądała co godzina do komnaty wyłożonej marmurowymi płytami, w której młoda Chinka spędzała dni, zamknięta na cztery spusty.

Nefrytowy Księżyc odparła ze znudzoną miną, że z przyjemnością napiłaby się czegoś chłodnego. W duszącym upale, który zamieniał komnatę w łaźnię, nie wytrzymała już nawet zapachu kadzideł i kwiatów jaśminu, którymi co rano posypywała wielobarwną posadzkę ta gruba kobieta, podająca jej teraz szklankę herbaty z kardamonem.

Słońce paliło tak mocno, że Nefrytowy Księżyc mogła oddawać się tylko jednemu zajęciu, jakim było wygląkanie przez okno wspaniałej, służącej za więzienie komnaty.

Z twierdzy w Palmyrze, gdzie ją przetrzymywano, przyprowadzającego o zawrót głowy zamku, uczeponego niczym

pająk urwistej ostrogi skalnej, na którą wchodziło się wąską ścieżką, kończącą się schodami wykutymi w skale, rozciągał się wspaniały widok na starożytny Tadmur, nazywany „miastem drzew palmowych”, czyli Palmyrą.

Nefrytowy Księżyc spędzała tu chętnie ranne i przedwieczorne godziny, nie nudząc się nigdy cudownym krajobrazem, od tysiącleci kształtowanym przez człowieka.

W oddali rysowały się skąpane w bezlitosnym słońcu schyłku lata, pokryte kurzem, najpiękniejsze ruiny z czasów rzymskiego panowania. Ruiny teatru, w którym tyłu aktorów deklamowało przez stulecia wielkich autorów łacińskich i greckich, ku uciechu kupców, zapewniających miastu bogactwo; pozostałość świątyni Baala, babilońskiego boga, który władał słońcem, księżycem i planetami, ale uważano go także za pana ludzkich losów; a przede wszystkim słynna kolumnada, ozdoba głównej ulicy miasta, która w przeciwieństwie do poboczy nie była wybrukowana, dzięki czemu przechodzące nią wielbłądy nie ślizgały się.

Na samym końcu tej ulicy, wśród namiotów i prowizorycznych budynków, znajdował się sławny targ kadzidel, punkt docelowy drogi prowadzącej z Arabii Szczęśliwej, głównego miejsca wytwarzania gumy arabskiej.

Palmyra pachniała nie tylko kadzidłami i korzeniami. Można tu było znaleźć także najlepsze owoce i jarzyny, najbardziej wymyślne konfitury i ciastka, a także najdelikatniejsze mięso jagnięce na całym Bliskim Wschodzie, które wędrowni właściciele garkuchni piekli, żeby nadziewać nim jeszcze gorące prażące chleby prosto z pieca.

Biedna Nefrytowy Księżyc ani razu nie postawiła nogi w „mieście drzew palmowych”, aby nasycić się jego zapachami i spróbować przysmaków. Bowiem choć ściany jej komnaty wyłożone były różowym marmurem, a posadzka pokryta perskimi dywanami, małżonka Świetlistego Punktu stała się niewolnicą sułtana.

Gdy w dniu swego przybycia została mu przedstawiona, to chociaż starał się on wyrzucić na niej jak najlepsze wrażenie, trzęsła się jak galareta.

Lubieżność, z jaką spoglądał na nią ten gruby i owłosiony jak małpa osobnik, budziła w niej strach i obrzydzenie. Gdy opasły sultan, który nie znał ani słowa po chińsku, zlustrował ją już i ocenił, kazał wezwać tłumacza.

— Sultan Raszid życzy sobie, żebyś mu powiedziała, z jakiego chińskiego miasta pochodzisz — zapytał na początek tłumacz, Sogdianin o ospowatej twarzy, który mówił sześcioma językami, w tym po chińsku i po arabsku.

Ku wielkiemu zmartwieniu wodza Tujue, który przybył, żeby sprzedać ją sultanowi Raszidowi za oszołamiającą kwotę, usta Nefrytowego Księżycy nawet nie drgnęły.

Sultan rzucił krótkie rozkazy i strażę zaprowadziły ją do komnaty z marmurową posadzką. Gdy tylko zamknięto za nią drzwi, opadła na miękkie łóżko.

Nareszcie sama, mogła się wypłakać.

Od tygodni czekała na tę chwilę, aby obmyć serce i duszę z nieopisanego bólu, jaki wypełnił je po stracie dziecka, które nosiła w łonie.

Aż dotąd, zamknąwszy się w cierpieniu, dzielnie zaciskała zęby i nie rozpląkała się ani razu.

Jej podróż zaczęła się w dramatycznych okolicznościach, jako że po pięciu dniach nieprzerwanego galopowania na niezmordowanym wierzchowcu herszta Turków, który przywiązał ją sobie do pleców, przeżyła w środku nocy poronienie, gdy oddział porywaczy biwakował u stóp skały.

Zupełnie sama, włożywszy sobie chustkę do ust, żeby stłumić krzyki, urodziła martwy płód u wylotu skalnego wąwozu. Okazała tyle przytomności, aby dla uniknięcia podejrzeń oddalić się od Turków, którzy chrapali w najlepsze, dalecy od myśli, że ich „zdobycz” właśnie przedwcześnie rodzi.

Rano była tak osłabiona wpływem krwi, że ledwo mogła

mówić, gdy herszt, zauważywszy jej bladość, gestykując żywo, zapytał ją, czy coś jej się stało.

— To nic takiego. Przeszkadzało mi spać pohukiwanie sowy... — odpowiedziała krótko.

Dalsza podróż była dla nieszczęsnej młodej kobiety istnym koszmarem.

Musiała być silna, aby się nie załamać! Zdawało jej się, że droga z Turfanu do Bagdadu nigdy się nie skończy. Półprzytomna i udręczona, mijała kolejne miasteczka oazy, począwszy od osady Yarkhot, zwanej przez Chińczyków Jiaohe, położonej na wysokim lessowym wzgórzu u zbiegu dwóch rzek o kilka dni marszu od Turfanu. Musiała stawić też czoło o wiele dłuższym etapom, prowadzącym przez Korłę, na północ od Kotliny Tarymskiej, wzdłuż gór Tien-szan, gdzie urwiska usiane były grotami, w których modlili się pustelnicy Wielkiego Wozu.

Ze ściśniętym sercem, gdyż była to ojczyzna Świetlistego Punktu, dostrzegła miasto Kucza, położone pośrodku winnic przedzielonych sadami, rodzącymi morele o skórce miękkiej jak u niemowląt, oraz różowe śliwy.

Chętnie pozbyłaby się towarzystwa porywaczy, była jednak dobrze pilnowana, a herszt, który, jak to w końcu zrozumiała, nazywał się Kaled Chan, nie spuszczał jej z oka.

Po pamiętnej, trwającej dwa tygodnie przeprawie „piaszczystym korytarzem”, długą pustynną wstęgą, gdzie spotykało się tylko maleńkie kolczaste roślinki, ukazały się pierwsze boczne łańcuchy Pamiru. Niebawem przybyli do Aksu, gdzie napelnili dzbany i bukłaki ze skóry, zapłaciwszy człowiekowi zawiadującemu miejskimi studniami.

Następnie ujrzała ogromne targowisko w Kaszgarze, zwanym po chińsku Kashi, mieście najdalej na świecie oddalonym od morza, gdzie część przeznaczona dla kupców jedwabnych była dobrze pilnowana przez uzbrojonych ludzi.

Kaszgar był wówczas dla kultury i światowego handlu tym, czym jest dla rzek linia wododziału: po obu stronach tej

handlowej oazy dawały o sobie znać wpływy, z jednej strony Wschodu, a z drugiej Zachodu.

Za tym kosmopolitycznym miastem ślady chińskiej kultury, już i tak rozproszone, znikwały niczym kropelki po deszczu zarówno z ludzkich twarzy, jak i kształtów dachów i kulinarnych nawyków.

Już tylko owa niezwykła tkanina, jedwab, świadczyła o wyrafinowaniu tej wielkiej cywilizacji, równie odległej, co nieznanej.

Potem konwojowi porywaczy Nefrytowego Księżycy wypadło pokonać jałowe i bezładne równiny, gdzie pod kopytami ich małych, „pocących się krwią” *, fergańskich koników, zwanych też „niebiańskimi”, otwierały się ogromne skalne uskoki. Mimo galopu tym zwinnym wierzchowcom udawało się w cudowny sposób uniknąć połamania nóg, co zmusiłoby jeźdźców do bezlitosnego skazania ich na śmierć, aby nie padły ofiarą sępów, które rozszarpałyby je żywcem swymi straszliwymi szponami i ostrymi dziobami.

Z powodu trwającej całe tygodnie jazdy w siodle biedna Chinka nie czuła już brzucha, nóg i pleców, gdy, pozostawwszy po prawej ręce Bucharę, przebyli Amu-darię i dotarli w końcu do Mechedu w Baktrii, a potem do Isfahanu, w Persji.

Rozpaczająca dniami i nocami z powodu rozstania ze Świetlistym Punktem i utraty dziecka, Nefrytowy Księżyc wkroczyła do świata, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

Nic nie przypominało tego, do czego przywykła, począwszy od koloru nieba, którego błękitnej głębi nie zakłócała nigdy najmniejsza nawet chmurka, aż po szarawe zbocza wzgórz i gór, stapiające się z pustynią.

W tych okolicach Jedwabny Szlak był już tylko wąską wstążką omiataną wiatrem niosącym piasek, który zacierał

* To perlenie się krwi powodowała obecność pod skórą stepowych koni czystej krwi pasożyta *parafllaria multipapillosa*, który zabarwiał pot na czerwono.

ślady rzadkich karawan, zmuszając wędrowca, aby miał się stale na baczności, jeśli nie chciał zabłąkać się do jakiejś zapomnianej doliny, gdzie nikt nie odnalazłby jego wysuszonego trupa.

Po tak surowych pustynnych krajobrazach nagłe ukazanie się Bagdadu, którego zarysy zamigotały najpierw w oddali, mogło tylko oczarować. Kopyły z różowych cegieł wieńczyły niezliczone pałace tego wspaniałego miasta, położonego między dwoma odnogami rzeki Tygrys, która od dawna strzegła jego statusu dumnej i niezależnej stolicy.

Nazwa tego miasta brzmiała jeszcze wtedy Baldach, ponieważ wytwarzano tu wspaniałe baldachimy z tkaniny *nasidż*, którą to nazwą określano w języku arabskim jedwabny brokat.

Tuż po przyjeździe siepacze o budzących niepokój twarzach, którym o biodra objęły się długie zakrzywione szable, zaprowadzili Nefrytowy Księżyc do haremu.

Atmosfera panująca w pałacu, a tym bardziej w haremie miejscowego władcy, była Nefrytowemu Księżycowi zupełnie obca. Czeka ją los opisała jej, nie szczędząc odrażających szczegółów, stara chińska kurtyzana, zostawiona tu przed laty przez ambasadora dynastii Tangów.

— Zobaczysz, król ma obsesję „tylnej furtki”. Zanim wpadniesz w jego łapy, powinnaś się przygotować i posmarować ją jagnięcym tłuszczem... — szepnęła jej ze znaczącą miną ta bezzębna kobieta, której cuchnący oddech zmusił dziewczynę do cofnięcia się o krok.

Gdy Nefrytowy Księżyc była jeszcze ulubienicą robotników Świątyni Nieskończonego Przędziwa w Chang'anie, zawsze odmawiała dostępu do swojej małej furtki, pomimo błagań mężczyzn, choć niektórzy z nich gotowi byli drogo zapłacić za taką przyjemność.

— Jeżeli zaczniesz się do mnie dobierać, rozbiję mu na głowie ten wazon! — wykrzyknęła, wskazując wielobarwne wspaniałe naczynie z ceramiki, w którym pyszniły się ogromne lilie.

— W takim razie narazisz się na to, że spadnie twoja głowa... Na twoim miejscu zadałabym sobie pytanie, czy nie lepiej ustąpić wobec takiego zagrożenia — odparła tym samym słodkim głosem stara kurtyzana, którą perspektywa oglądania pięknej głowy młodej kobiety u stóp kata zdawała się radować.

Ku wielkiej uldze Nefrytowego Księżyca drażliwą kwestię rozwiązał odjazd w kierunku Palmyry. Choć bowiem skończył się czas przewidziany na podróż, porywacze postanowili nie zostawiać jej w Bagdadzie, gdyż nie udało im się dobić targu. Tutejszy skąpy władca bardzo kręcił nosem na cenę, jaką herszt Tujue wyznaczył za młodą Chinę niezwyklej piękności. Kaled Chan zdecydował się więc przedłużyć nieco podróż Jedwabnym Szlakiem i zaproponować młodą kobietę sułtanowi Palmyry.

— Masz okazać wielką uprzejmość sułtanowi Raszydowi! — polecił jej krótko herszt, gdy wjeżdżali do Palmyry pod łukiem triumfalnym z gałęzi drzew oliwnych, aby ruszyć sławioną przez wszystkich podróżników, długą na kilometr główną aleją, wzdłuż której ciągnęła się słynna rzymska kolumnada z korynckimi kapitelami.

Zaledwie zdążyła zachwycić się ogromnym gajem palmowym, który oddzielał miasto od twierdzy sułtana Raszida, herszt Tujue poprowadził ją przed oblicze władcy, gdyż spieszno mu było zaprezentować „towar” niezrównanej jakości.

Następnego dnia, po nocy, w czasie której mogła trochę się przespać dzięki uldze, jaką przyniósł jej płacz, stanęła znowu przed sułtanem w towarzystwie innego tłumacza, którego imponująca postura wywarła na niej ogromne wrażenie.

— Sułtan każe zapytać księżniczkę, czy dobrze spała — rzekł tłumacz.

Od bladej cery jego twarzy o cienkim nosie i czarnych, podkreślonych ciemnym ołówkiem oczach, odcinała się broda i starannie przycięte wąsy.

—W istocie, łoże w mojej komnacie jest dość wygodne — wybąkała ku wielkiej radości sułtana, oczarowanego tym, że przerwała milczenie.

—Wasza Wysokość, księżniczka Nefrytowy Księżyc jest w doskonałym nastroju; myślę, że czas, abym wrócił do siebie. Już od tygodni jestem oczekiwany w prefekturze w Samarkan-dzie. Myślę, że nie jesteście zawiedzeni jakością towaru... — odezwał się sprytny Kaled Chan.

To zręczne kłamstwo miało na celu wyłącznie ponaglenie sułtana, który usłyszawszy cenę młodej Chinki, trochę się zawahał.

Przystojny tłumacz przełożył słowa Turka, któremu pilno było sfinalizować tę wyjątkową transakcję.

Władca odpowiedział, nie odrywając oczu od zgrabnej sylwetki Nefrytowego Księżycy. Jej ponętne kształty widać było pod suknią z lekkiego jak chmurka jedwabiu, którą gruba służąca kazała jej włożyć tego ranka.

— Możesz uważać sprawę za załatwioną. Wstąpisz do rządcy, żeby odebrać należność! Sułtan życzy sobie, żebyś powiadomił przy okazji swoich mocodawców, iż wyznaczają o wiele za wysokie ceny za zakładników. Nasze królestwa są godne i dumne, ale pozbawione bogactw.

Kaled Chan oddalił się spiesźnie, nie zapomniawszy skłonić się trzy razy. Odprowadziły go przekleństwa Nefrytowego Księżycy, jako że to za jego sprawą znalazła się przed tym grubym, wstrętnym, owłosionym jak małpa mężczyzną.

Biedaczka odkryła, że jest i zakładniczką, i księżniczką!

Kiedy sympatyczny tłumacz odprowadził ją do drzwi wspinałej komnaty, nie mogła powstrzymać się od zapytania go o powody takiej łaskawości.

— Dwór chiński chętnie wymienia zakładników, żeby utrzymać pokój z królestwami, które nie są jeszcze pod jego opieką. Księżę sogdyjski albo sasanidzki za chińskiego księcia, to zdarzało się już wiele razy. Będąc księżniczką, pani, w od-

powiedniej chwili zostaniesz wymieniona na kogoś innego! Dwór w Chang'anie przetrzymuje obecnie jako więźnia arabskiego ambasadora, pod pretekstem, że człowiek ten nie mógł opłacić myta w monecie chińskiej, podczas gdy jego muł dźwigał worek wypełniony po brzegi monetami ze szczerego złota!

—Mam więc posłużyć za towar na wymianę! — stwierdziła dziewczyna.

—Istotnie, to możliwe... Będzie to zależało od decyzji sułtana Raszida. Gdy ktoś pochodzi z jednego z najświetniejszych chińskich rodów, odgrywa ważną rolę w stosunkach dyplomatycznych.

—Skąd znasz moje pochodzenie? — odważyła się spytać drżącym głosem.

—Opisał je nam szczegółowo wódz Tujue. Niczego się, pani, nie obawiaj, bo nawet jeśli sułtan wydaje się wrażliwy na twoje wdzięki, zdaje sobie sprawę z waszej, pani, wartości, i nie może wam spaść z głowy choćby jeden włos! — odrzekł z uśmiechem tłumacz.

—Kim, panie, jesteś, że masz taką pewność?

—Nazywam się Firuz i pełnię funkcję ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego sułtanatów Palmyry i Bagdadu. Nie zamierzam ci pochlebiać, pani, mówię prawdę.

—To miło z waszej strony, Firuzie — szepnęła powściągliwie, przeklinając herszta, który bez wahania przedstawił jako księżniczkę Han wysokiego rodu ją, córkę chińskiego wieśniaka, porzuconą przez rodziców, która musiała pracować jako robotnica!

—Proszę powiedzieć mi coś o swojej rodzinie. Ja też pochodzę ze szlacheckiego rodu, choć z pewnością daleko mu do twojego, pani.

—Och! W Chang'anie, który jest najludniejszym miastem na świecie, jest mnóstwo szlacheckich rodów — odparła Nefrytowy Księżyc, nieco zakłopotana.

—Jesteś też, pani, skromna. To znak doskonałego wychowania.

—Znam prostych ludzi, którzy są eleganccy i skromni — odparła.

—Wasze słowa, pani, potwierdzają szlachetność rodziny, z której pochodzisz...

Dziewczyna uznała, że Firuz jest interesującym mężczyzną; ujmujący i szczery, ani przez chwilę nie wydawał się wątpić w jej książęce pochodzenie, które przypisał jej herszt Tujue.

Na wszelki wypadek postanowiła nie wyprowadzać go z błędu.

—Jak herszt Tujue dowiedział się o mojej obecności w Turfanie? — zapytała, pragnąc dać do zrozumienia, że nie ma nic do ukrycia.

—Zgodnie z tym, co nam powiedział, przez zwykły przypadek. Pewien Pers o imieniu Madżib wyjawił mu za sporą sumę pieniędzy, że w Turfanie działa nielegalny warsztat wytwarzający jedwab. Turek liczył, że położy łapę na cennym towarze, kiedy jednak odkrył, że od miesiąca niczego tam nie utkano, zwrócił uwagę na was, pani! Jeśli sądzić po kwocie, jaką uzyskał od sułtana Raszida, nic na tym nie stracił...

To, co przydarzyło się Nefrytowemu Księżycowi, było więc konsekwencją zemsty herszta Madżiba po upokorzeniu, jakiego doznał w trakcie nieszczęsnej przygody z wyschniętym źródłem nestorianów, którego nie zdołał ożywić, mimo swych rzekomych talentów *magumarta!*

Nie dość, że za jego sprawą Tujue splądrowali oazę Dunhuang, to jeszcze skierował ich do Turfanu, gdzie miały znajdować się tkalnie jedwabiu, jak mu to nieopatrnie wyjawił biskup Addai Aggai.

Znęcony przez Madżiba „górami jedwabiu”, Turek odkrył poniewczasie, że to skromna pracownia, którą dopiero uruchamiano. Nie miał wyboru i pozostało mu tylko rzucić się na Nefrytowy Księżyc. Postanowił, że sprzeda ją jako chińską

księżniczkę, co pozwoli mu zamienić w doskonały interes zawód, jakiego doznał wskutek informacji, która okazała się nieprawdziwa!

—Jestem tu więc przez przypadek... — westchnęła zamysłona i trochę zawiedziona Chinka.

—Czasami przypadek przynosi szczęście... — odparł z uśmiechem Firuz.

Nie mogła nie zauważyć bieli jego zębów, uwydatnionej przez smagłą cerę, dzięki czemu jego uśmiech był tak ujmujący.

— Wolałabym być gdzie indziej — dodała, gdy się z nią żegnał.

W następnych dniach Firuz składał jej wizyty, przynosił kwiaty i owoce, a także dziwne kamienie, zwane przez pogańców wielbłądów „różami pustyni”.

Zaczęła doceniać towarzystwo tego człowieka o wielkiej kulturze, manierami i słowami tak bardzo różniącego się od barbarzyńców, z którymi miała do czynienia od chwili porwania.

Prowadził ciekawe życie.

Po studiach na uniwersytecie dyplomatycznym w Bagdadzie, miejscu swego urodzenia, dzięki pracy i sprytowi Firuz stał się kimś w rodzaju wędrownego ambasadora na służbie władców pustynnych królestw. Niebawem miały one zostać połączone przez potężną dynastię Omajjadów, z którą sprzymierzyła się jego rodzina. W oczekiwaniu na pełne chwały dni te małe narody w stosunkach ze współbraćmi nie sięgały po środki dyplomatyczne, tylko używały siły. Firuzowi udało się przekonać małych królików, aby mu zaufali i upoważnili go do reprezentowania ich przed zagranicznymi potęgami.

Dzięki temu człowiek ten, zwany też „Omajjadem”, dzielił rok na cztery równe części, poświęcając je czterem państwom, dla których pracował, i przypadek chciał, że przybycie Nefrytowego Księżyca zbiegło się z czasem, gdy był na służbie sułtana Palmyry.

Jednak pewnego ranka Nefrytowy Księżyc przeżyła niemiłe zaskoczenie, gdy zamiast wesołego Firuza ujrzała sogdyjskiego tłumacza o ospowatej twarzy, który towarzyszył jej przy pierwszej wizycie u sułtana.

— Sułtan Raszid czeka na nas, chińska księżniczko. Ze chciejcie z łaski swojej przykryć ramiona szalem i iść za mną! — powiedział Sogdianin.

Uchylił ciężkie zastony ze skóry i wprowadził ją do sali, w której czekał sułtan, rozparty na sofie. Zauważyła, że ośmio-kątne pomieszczenie wyłożone jest takimi samymi płytkami z wielobarwnego marmuru, jakie zdobiły posadzkę w jej komnacie. Nie mogła oczywiście wiedzieć, że były to płytki z rzymskiego trawertynu, odzyskane przez budowniczych twierdzy, którzy wyrwali je z fasad najpiękniejszych pomników Palmyry.

Sułtan musiał używać olejku paczuli, jeśli sądzić po słodkawym i odpychającym zapachu, unoszącym się w tej małej dusznej salce. Miał na sobie szkarłatne bufiaste hajdawery i białą koszulę, szeroko rozpiętą na piersi pokrytej czarnymi włosami.

— Sułtan Raszid życzy sobie, żebyście się tu rozgościli... — wyjaśnił Sogdianin, kiedy gospodarz powiedział z szerokim uśmiechem kilka słów, kierując je do Nefrytowego Księżycy.

W jego spojrzeniu, które uzupełnił powolnym gestem, dojrzała z przestrawem lubieżny błysk.

— Powiedźcie sułtanowi, że dzisiaj nie będzie to możliwe! Mam miesiączkę... — wyjąkała.

Ledwie Sogdianin przetłumaczył jej słowa, na ustach władcy pojawił się grymas zawodu.

Gdy następnego dnia zjawił się u niej Firuz, Nefrytowy Księżyc była tak poruszona, że rzuciła się z płaczem w jego ramiona.

—Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj, panie? — zapytała, po czym opowiedziała o tym, co ją spotkało.

—Przeglądałem w bibliotece Palmyry opowieści o podróżach wschodnimi szlakami. Możliwe, że w ramach moich

przyszłych misji będę musiał udać się w kierunku Chin. Chciałem wiedzieć, co mnie czeka. Nie lubię przeżywać niemiłych niespodzianek! Poza tym — dodał — szczerze mówiąc, nie poproszono mnie, żebym służył pani za tłumacza...

Wydawało się, że Firuz jest szczerzy i zasmucony, iż widzi Nefrytowy Księżyc w takim stanie. Jej podkrążone oczy świadczyły o tym, że przepłakała całą noc.

—Może się więc zdarzyć, że udasz się, panie, do Chin? — zapytała w nagłym przyplywie nadziei.

—Sułtan Raszid zachęca mnie do tego już od miesiący. Podpowiadam mu, żeby zaproponował władcy kraju jedwabiu wymianę, na zadatek przyszłych dobrych układów: mógłby mu dostarczyć kadzidła, a w zamian cesarz wyposażyłyby jego stajnie w „niebiańskie konie”. Powiadają, że to najszybsze wierzchowce na świecie. Tu mamy tylko osły i dromadery...

—Zabierz mnie, panie, ze sobą, a zostaniesz wynagrodzony! — powiedziała błagalnym tonem, rzuciwszy się do jego stóp.

Zakłopotany Firuz nie wiedział, co odpowiedzieć kobiecie, którą uważał za chińską księżniczkę, a która swymi szczupłymi dłońmi chwyciła go za rękę.

—Najpierw sułtan Raszid musi być przekonany, że może to posłużyć jego interesom. Zdaje się, że ma wobec ciebie, pani, inne zamiary!

—Mógłbyś go, panie, przekonać, żeby wysłał cię do Chin jako posła po owe cenne wierzchowce. A wtedy moja obecność u twego boku byłaby jak najbardziej uzasadniona! Ponadto podniosłaby szanse na uwieńczenie powodzeniem twojej misji. Już teraz wyobrażam sobie, że ujrawszy mnie, moja rodzina przyjmie cię jak bohatera! — powiedziała, jakby wszystko było już postanowione.

— Ależ Palmyra to jedno z najpiękniejszych miast na pustyni! A jej sułtan będzie umiał okazać się wobec ciebie wspaniałomyślny. Ten człowiek szczerze kocha kobiety.

—Ale on mi się nie podoba!

—Zdajesz sobie, pani, sprawę, że to nieostrożne słowa?

—Wiem, że ich nie powtórzysz!

—Jesteś pewna? — odparł Firuz z wesołym błyskiem w oku.

—Błagam cię, panie, zabierz mnie do Chin!

Była gotowa na wszystko, byle tylko przekonać Firuza, żeby wstawił się u swego władcy, by ten pozwolił zabrać ją do Chin. Była nawet gotowa go uwieść, co równałoby się zdradzie małżonka.

Zrobiłaby to z miłości do Świetlistego Punktu. Tak bardzo chciała, by bagdadzki ambasador zawiózł ją do Chin, do miejsc, w których ukochany z pewnością na nią czekał. Może nawet jest w Turfanie, gdzie przeżyli tak szczęśliwe dni?

Rzuciła się w muskularne ramiona wędrownego ambasadora i poczuła zapach cynamonu i piżma na jego gładkiej i smagłej skórze.

Był to zapach przyjemny i zarazem odurzający, a jego nagle uderzenie wywołało w Nefrytowym Księżycu nieodpartą falę nostalgii i smutku, jakby doszło nagle do głosu wszystko to, o czym starała się nie myśleć od czasu porwania.

Szloch, który nią wstrząsał, uwolnił ją od napięcia i uspokoił. Firuz zaczął głaskać ją delikatnie po włosach.

Nefrytowy Księżyc, rozdzielona z mężem, bardzo potrzebowała wytchnienia po długich tygodniach ukrywania uczuć i samotności, poddała się więc pieszczotom Firuza, które stawały się coraz bardziej namiętne.

Czuła, że płynie na chmurce, i przymknęła oczy. Dokładnie w tej chwili stanęła jej przed oczami twarz Świetlistego Punktu.

Widziała jego skrzące się wesoło, błękitne oczy, kędzierzawe włosy, gęste i czarne jak sierść jagniąt widywanych na jarmarkach na Jedwabnym Szlaku. Uśmiechał się do niej czule.

Gdzie on teraz jest, jej ukochany mąż, którego herszt Turków zwyczajnie wyrzucił z konwoju?

W dusznym upale komnaty zapach piżma i cynamonu płynący od mężczyzny, który trzymał ją w ramionach, ożywiał w niej tylko pamięć o mężu.

Nie zauważyła nawet, że Firuz delikatnie położył ją na łóżku, jakby nie chciał zbudzić jej z głębokiego snu.

Otworzyła oczy.

W jej głowie tworzył się węzeł nie do rozplatania, tak jakby zmęczenie i smutek po poronieniu wciągały ją w wir, w którym mieszało się wszystko: Turfan i Palmyra, pustynie Gobi i Takla Makan, jedwab Chińczyków i gruba wełna barbarzyńców, Świetlisty Punkt i Firuz, Niebiańskie Bliźnięta i mały martwy płód, który zawinęła w płótno, a potem zagrzebała w piasku, pragnienie powrotu na wschód, aby odnaleźć męża, i fizyczny pociąg do tego mężczyzny o powolnych i delikatnych ruchach.

Czy znajduje się tu, w tej komnacie?

Czy może jest gdzie indziej?

Nie miało to znaczenia.

Pewne było natomiast, że Firuz, który właśnie ją rozebrał, był pierwszym miłym mężczyzną, jakiego spotkała od czasu, gdy Tujue oderwali ją od Świetlistego Punktu.

Pozwoliła więc na wszystko, postanawiając wymóc na nim, żeby zabrał ją do Chin.

Starła się oddzielić od ciała, tego ciała, którego zakątki zaczynał tak łapczywie poznawać Firuz, tak przecież doświadczony w sprawach miłosnych, poruszony jej urodą i zachęcony biernością.

Ku swemu zdumieniu dziewczyna poczuła na skórze brzucha łaskotanie i pierwsze dreszcze zapowiadające przyływ rozkoszy.

Kiedy podała mu usta, wpił się w nie drapieżnie, przyzwyczajony do całowania lubieżnych kurtyzan z haremów władców, u których służył jako dyplomata. Nie mogła powstrzymać się od myśli, że cudownie czuje się w jego objęciach i że bez wątpienia cała reszta powinna być równie przyjemna.

Kochanie się z Firuzem w nadziei odzyskania Świetlistego Punktu wydało się jej jak najbardziej w porządku.

To miłe wrażenie potwierdziło się, gdy, zapragnąwszy popatrzeć na narzędzie rozkoszy Firuza, odwiązała pasek jego spodni i jej oczom ukazała się jego dzida, stercząca i gotowa zadać słodkie rany.

Być może sprawił to stan, w jakim się znajdowała, ale odniosła wrażenie, że członek bagdadczyka jest do złudzenia podobny do członka Świetlistego Punktu, może tylko odrobinę ciemniejszy!

Przymknęła oczy i złożyła tej tak pociągającej i dziwnie znajomej broni hołd drżącymi, spragnionymi rozkoszy ustami, nie bardzo wiedząc, czy kocha się ze swoim mężem, czy z kochankiem...

Narząd Firuza przypominał umięśnioną kolumnę u wejścia do intymnej świątyni Nefrytowego Księżyca...

—Świetlisty Punkcie... Kocham cię! — szepnęła.

—Powiedziałas coś? Kogo nazwałaś tym imieniem? — odszepnął Firuz.

—Twój świetlisty punkt tak miło pieści mój brzuch! — poprawiła się prędko, zagryzając wargi.

W chwilę potem jej brzuch zaczął falować jak żagiel, kiedy dyplomatyczny doradca pustynnych kalifów ujął swój narząd w dłoń i zaczął się nim posługiwać jak pędzelkiem, wypisując na jej ciele miłosne poematy, które jednocześnie szeptał jej do ucha.

Nefrytowy Księżyc dała się unieść do światów, które opisywał jej Firuz-Świetlisty Punkt, opatrując je ładną nazwą „Krainy Miłości”.

A tam błękitna woda jeziora spadała srebrzystymi kaskadami u stóp gór lśniących niczym złoto; gołębie czuwały nad piesczotami kochanków, którzy kochali się przez tysiąc i jedną noc; miód miał nieporównany smak nieba, a trawa łąk była miękka i puszysta jak najpiękniejsze kobierce z Szirazu; pustynnym

piaskiem zaś można było słodzić kozie mleko... Ale nade wszystko, w Krainie Miłości mężczyźni nie mogli już obyć się bez kobiet, a kobiety bez mężczyzn, albowiem w tych zadziwiających stronach istniał tylko spokój i rozkosz...

—Jeszcze! Jeszcze! Firuzie, powiedz mi jeszcze o Krainie Miłości! — nie przestawała jęczeć Nefrytowy Księżyc, podczas gdy jej kochanek wprawiał ją w drżenie niczym strunę lutni.

—To kraina, w której chciałbym dokonać żywota, piękna pani! — szepnął w chwili, gdy wprowadzał do świętego przybytku kochanki swój gorący jak parowa łaźnia *hammam* nabrzmiały członek.

Dziewczyna zagryzła wargi, żeby powstrzymać jęk rozkoszy. Kochanek wchodził w nią i wychodził, wyrывая z niej coraz głębsze westchnienia, aż do końcowego jęku, bliskiego krzykowi. Musiał położyć dłoń na jej ustach, żeby nie obudzić czujności służącej, której komnata była niedaleko.

Czując, że zalewa ją fala rozkoszy, Nefrytowy Księżyc upewniła się, że kochanek przeżywa to samo. Robiła tak zawsze, gdy była z mężem: czekała na moment, w którym on wylewał się w niej, aby jej pożądanie mogło wspiąć się bez przeszkód ku orgazmowi.

W końcu, niczym doświadczeni, przyzwyczajeni do siebie kochankowie, zjednoczyli się w długiej wspólnej ekstazie.

— Można by powiedzieć, że jesteśmy dla siebie stworzeni — stwierdził z przejęciem Firuz.

Nefrytowy Księżyc, naga, przytuliła się do muskularnych ud Firuza, którego skóra kontrastowała z połyskującą bielą jej smukłych nóg.

Nie chcąc okłamywać tak ujmującego mężczyzny, którego miłosa wiedza dorównywała uprzejmości i nienagannym manierom, Chinka, zaniepokojona, że tak łatwo mu się oddała, ale także świadoma, iż doświadczyła takiej przyjemności z kimś innym niż Świetlisty Punkt, wołała nie odpowiadać.

Trochę zaskoczona tym, co właśnie przeżyła, nie zdawała sobie sprawy, że odkryła różnicę między miłością i seksem.

Minęło w ten sposób dziesięć miłosnych nocy, aż pewnego dnia przed drzwiami jej pokoju stanął Sogdianin o ospowatej twarzy, zakłócając przyjemny obrót, jaki sprawy zdawały się przybierać.

— Jego ekscelencja sułtan Palmyry życzy sobie was wi dzieć! — oświadczył, mroząc krew w żyłach Nefrytowego Księżyca.

Gdy wprowadzono ją do grubego władcy pustyni, pojęła, że nie dopuszcza on nawet myśli o odmowie. Ledwo stanęła w małej, ośmiokątnej komnacie, wykrzyknął:

— No, dziś już na pewno pole jest wolne!

Najwyraźniej robił aluzję do miesiączki, co do której okła mała go piętnaście dni temu.

Wpadła we własne sidła!

Lubieżne błyski w jego oczach i poza, jaką przyjął, rozsuwając szeroko nogi i rozpinając koszulę na owłosionym potężnym brzuchu, były nader wymowne.

Kazał jej usiąść obok siebie na sofie, przed którą służący postawił miedzianą tacę ze szklankami napełnionymi miętową herbatą i czarkami z orzeszkami pistacjowymi. Potem położył grube, błyskające pierścieniami dłonie na jej ramionach.

— Nie chciałbym, żeby się okazało, iż kupiłem cię niepo trzebnie! — powiedział. Nie rozumiała jego słów, ponieważ Sogdianin przezornie się ulotnił.

Przyciągnął ją bliżej.

Spływające potem ciało sułtana Raszida zaczęło napierać całym ciężarem na Nefrytowy Księżyc, która prawie nie mogła oddychać.

Wrywała się jak szalona, podczas gdy grubas próbował wcisnąć swój język do jej ust. Sułtan Palmyry nie był przyzwyczajony, aby kobieta mu się opierała, zwłaszcza gdy tyle za

nią zapłacił, stwierdziwszy więc, że usta buntowniczkii nie utworzą się tak łatwo, ścisnął grubymi paluchami jej piersi.

Zaczęła krzyczeć, na próżno, bo coraz bardziej podochocony sułtan nie miał zamiaru przestać. Jego odrażający dotyk sprawił, że poczuła mdłości, tak przerażający był ten gruby i owłosiony mężczyzna.

Resztkami sił, niczym osaczone zwierzę, które w ostatniej chwili uwalnia się z łap myśliwego, zdołała zerwać się na nogi.

Jednocześnie dało się słyszeć suche klaśnięcie.

Włożyła całą rozpaczliwą energię, aby uderzyć Raszida w twarz. W tej samej chwili na barwnej posadzce komnaty rozprysnęły się na tysiąc kawałków szklanki z miętową herbatą.

— Biedaczko, oszalałaś! Nie wiesz, co czynisz! — wrzasnął Raszid.

Zmartwiony sługa odprowadził ją do jej komnaty, gdzie przyszedł do niej po kryjomu Firuz, gdy tylko dowiedział się, co się stało.

—Obawiam się, że sułtan Raszid każe ci drogo zapłacić za ten afront... — powiedział, szczerze zaniepokojony.

—To jeszcze jeden powód, żeby wyruszyć do Chin. Musisz go przekonać, że jestem wariatką, która woli umrzeć z głodu i pragnienia, niż spać z kimś takim jak on! A zresztą, od tej chwili przestaję jeść i pić — odparła, tonąc we łzach.

—Przyrzekam ci, zrobię wszystko, żeby go przekonać! Ale obawiam się, że to będzie trudne!

Kiedy Firuz poprosił o audiencję u Raszida, żeby omówić kwestię Nefrytowego Księżyca, ona już od kilku dni leżała w łóżku, wychudzona i w gorączce, odmawiając uparcie jedzenia i picia.

— Drogi książę, chińska księżniczka słabnie w oczach! Już od tygodnia odmawia i picia, i jedzenia — zaczęła Firuz.

—Niech idzie do diabła! Ona nie wie, gdzie się znalazła! — burknął Raszid. Na jego lewym policzku wciąż widniał ślad, jaki zostawiła ręka dziewczyny.

—Biorąc pod uwagę cenę, jaką zapłaciliście, nie wolno dopuścić, żeby zmarniała. Byłaby to poważna strata, bo rozwiałyby się wszystkie wasze nadzieje na to, że cesarz Chin przyśle wam „niebiańskie konie”!

—Myślisz, że to możliwe? — spytał zaniepokojony Raszid.

—Wasza Wysokość, nie wyobrażam sobie, żebym mógł się tam stawić z trupem księżniczki! Obawiam się, że przy upale, jaki tu panuje, może to być sprawa godzin! Nieszczęsna, do reszty oszalała. Najlepiej będzie odwieźć ją tam, skąd przybyła, w zamian za solidne zadośćuczynienie — rzekł Firuz, starając się ukryć niepokój.

Zdawał sobie sprawę, że stawia wszystko na jedną kartę, ponieważ sułtan był człowiekiem upartym i łatwo uprzedzał się do ludzi próbujących zmieniać jego poglądy.

Jego argumenty najwyraźniej potrąciły czułą stronę w duszy władcy, ponieważ odrzekł w końcu:

—W takim razie trzeba się spieszyć! Kiedy zamierzasz wyruszyć?

—Jeśli tak zdecydujecie, byłbym gotów wyruszyć jutro. Wystarczą mi dobre wielbłądy i kilku uzbrojonych ludzi. Księżniczka będzie podróżowała z zasłoniętą twarzą, dzięki czemu nikt nie będzie wiedział, że to kobieta Han wysokiego rodu. Na Jedwabnym Szlaku roi się od bandytów, gotowych porwać podróżnych dla okupu — odparł spiesznie Firuz, szczęśliwy, że poszło tak łatwo.

Sułtan natychmiast wezwał sekretarza do szczególnych poruczeń, szczupłego mężczyznę o długiej białej brodzie, ostrych rysach, orlim nosie.

— Każ przygotować osiem wielbłądów, z których jeden ma nieść kosz. Wybierz najlepszych poganiaczy i wyposaź ich w najostrzejsze miecze. Ile beczek kadzidła mamy w zapasie?

—Cztery, księżę, w tym jedna otwarta — odparł sekretarz.

—Dasz je Firuzowi! A także baryłkę pieprzu.

—Ależ księżę, to jest warte ogromną sumę, a w skrzyni nie mamy już ani grosza, żeby odnowić zapasy —jęknął sekretarz, którego jednym z głównych zadań było strzeżenie jak żrenicy oka bezcennego towaru, jedyne bogactwa, jakim dysponowała Palmyra, sprowadzanego na polecenie sułtana z sąsiedniego kraju zwanego Arabią Szczęśliwą.

—Firuz powinien mieć swobodę działania. Jeśli jego misja w Krainie Jedwabiu się powiedzie, wszyscy mieszkańcy mojego królestwa wyciągną z tego ogromne korzyści, ponieważ będziemy mieli konie zdolne zniszczyć naszych wrogów! Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

W głosie sułtana Palmyry pojawiła się groźna nuta.

—Wasze rozkazy zostaną wykonane, panie! Firuz zabierze ze sobą beczułki pieprzu i kadzidła z Arabii! — wykrzyknął sekretarz.

—Liczę na to! — odparł gruby sułtan.

Trzy dni potem, ku wielkiej uldze Nefrytowego Księżycy, konwój Firuza, specjalnego wysłannika sułtana Raszida do Chin, wyruszył w drogę.

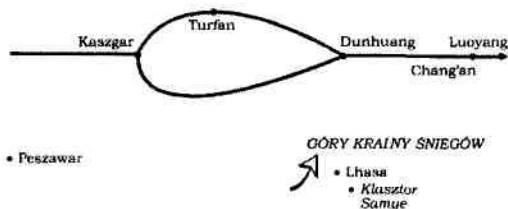
Ambasador miał ze sobą list podpisany przez sułtana i skierowany do „władcy Kraju Jedwabiu”, jako że w Palmyrze imię Gaozonga nie było znane. Pustynny władca pozwalał sobie odesłać cesarzowi Chin, na znak przyjaźni, chińską księżniczkę o imieniu Nefrytowy Księżyc.

Kiedy ostatnia rzymska kolumna głównej alei Palmyry znikła za widnokregiem, żona Świetlistego Punktu, zawołowana od stóp do głów, doznała dziwnego wrażenia, w którym szalona nadzieja na odnalezienie męża mieszała się z niesmakiem wobec siebie samej.

Prześladował ją obraz martwego płodu. Wciąż pamiętała o ranie, jaką poronienie pozostawiło w jej brzuchu.

Była przekonana, że z tego straszliwego nieszczęścia, z tego smaku śmierci, jaki wciąż czuła, może ją wyleczyć jedynie dziecko, którego ojcem będzie Świetlisty Punkt.

Czy jednak los da jej taką szansę?



6

W górach Tybetu

Ciało Kłębka Kurzu było zwiotczałe jak wypełniony w połowie worek zboża.

Wkładał wszystkie swe siły w walkę z górskim niedźwiedziem, ale też starał się uspokoić, oczekując śmierci.

Pomimo skrajnego wyczerpania młody Chińczyk zdawał sobie sprawę, że jego życie wisi na włosku.

Lub raczej na ostrych i tnących jak sztylety pazurach czarnego czworonoga o błyszczącym futrze z dużym trójkątem z białej sierści, który zaatakował go niespodziewanie, wydając przy tym chrapliwe ryki. Krew ścięła się w żyłach młodzieńca, gdy poczuł gorący oddech zwierza.

Kilka chwil wcześniej zauważył trzy sępy krążące nad jego głową, i to tak nisko, że wyraźnie widział ich potężne szpony, gotowe chwycić padlinę. Daleki był jednak od myśli, że może chodzić o niego, jako że drapieżniki dostrzegły morderczego zwierza, który zasadził się na niego za gęstymi krzakami różaneczników.

Niedźwiedzie górskie rzadko napadały na ludzi, z wyjątkiem przypadków, gdy nie udawało się im wyżywić miodem i dzikimi

jagodami, jak działo się to na początku tej zimy. Bestia stanęła na tylnych łapach przed młodym Chińczykiem, a potem rzuciła się za nim, gdy ten puścił się szaleńczym biegiem, krzycząc ze strachu. Zwierzę nie potrzebowało wiele czasu, aby obalić go na ziemię jednym uderzeniem łapy, a potem odwrócić na plecy jak szmacianą lalkę.

Oglądana z bliska paszcza niedźwiedzia była najbardziej przerażającą rzeczą, jaką widział od czasu swoich narodzin. Potężne, długie na dłoń kły mogły oderwać i zmiażdżyć ludzką głowę. Były tak blisko jego oczu, że wyraźnie widział ich ostre, poczerniałe końce. Sparaliżowany z przerażenia, nie miał nawet siły, by odwrócić wzrok. Tak samo zachowywały się pustynne myszy, kiedy padały ofiarą napaści jadowitych żmij rogatych — czekały bez ruchu na śmierć.

Kłębek Kurzu był gotowy na śmierć i jego myśli pobiegły ku Umarze. Jej obraz bez reszty zawładnął jego duszą, która niebawem miała opuścić ciało, gdy tylko zamieni się ono w krwawe strzępy.

Gdyby nie Umara, nie znalazłby się w paszczy niedźwiedzia, w samym sercu Tybetu.

Mówił sobie w duchu, że spotkała go kara za złe myśli i nienawiść, jaką się kierował.

Atak górskiego niedźwiedzia, który za chwilę miał go pożreć, w gruncie rzeczy był skutkiem jego niecnego postępowania po wyruszeniu z Dunhuangu.

Przeznaczenie każe często obierać okrężną drogę, ale w końcu doprowadza tam, gdzie powinniśmy się znaleźć!

Za sprawą jakiego zrzędzenia losu Kłębek Kurzu znalazł się na tej samej drodze co Pięć Zakazów i Umara, tak daleko od oazy ze skrytką na księżyc, z której w ostatniej chwili zdołał zabrać Oczy Buddy i świętą mandalę wadźrajany?

Jeśli leżał tu, na ziemi, na pół uduszony przez ogromnego zwierza, to także i ten wypadek był dalekim skutkiem pewnego spotkania, o którym nikomu nie powiedział.

Nikt nie wiedział o tym, co przydarzyło mu się na przedmieściach Dunhuangu, gdy dopalały się splądrowane przez hordę Turko-Mongołów domy oazy.

Mysząc, że ma przed sobą stos zwęglonych odpadków, zbliżył się, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie w nich czegoś do jedzenia, i zobaczył, że ten stos się porusza, zamieniając się na jego oczach w starego, prawie ślepego mnicha, który poprosił go o coś do picia.

—Spełnisz dobry uczynek, jeżeli przyniesiesz mi trochę wody! — powiedział staruszek. Jego ciało było już tylko szkieletem obciągniętym skórą i chwiało się pod mniszą szatą, czarną od popiołu.

—Dlaczego ukrywasz się w tych śmieciach? — zapytał Kłębek Kurzu, gdy mnich zaspokoił pragnienie.

—Bo to najlepszy sposób, żeby zniknąć z oczu bandytom. Tylko bardzo biedni ludzie zainteresują się kupą odpadków. Ale nie rabusie!

—Jakiego jesteś wyznania?

—Jestem tybetańskim mnichem, wyznawcą buddyjskiego lamaizmu... Pochodzę z kraju Bod — szepnęła stary mnich, który zdawał się nie przejmować straszliwym zniszczeniem miasta oazy.

—Mimo całej tej tragedii masz raczej wesołą minę! — stwierdził Kłębek Kurzu, przyciskając do piersi mały podróżny woreczek, w którym kryło się serce z sandałowego drewna wyjęte ze skrytki na księgi.

—Kiedy żyło się tak blisko Dachy Wszechświata, jak to było w moim przypadku, człowiek zachowuje dystans wobec tego podłego świata... Moje oczy pogodziły się z bólem istnienia i dlatego wydają ci się młode i wesołe.

—Zdobyłeś wielką mądrość... Zazdroszczę ci!

—Zawarłem pokój z samym sobą. Próbuję stać jedną nogą tu, na ziemi, a drugą w Czystym Świecie Błogosławionego...

—Jak można to osiągnąć? — zapytał Kłębek Kurzu, który

po nagłym zniknięciu Umary czuł się bardzo smutny i zagubiony.

—Trzeba wyruszyć na poszukiwanie samego siebie.

—Czy aby odnaleźć samego siebie, trzeba iść aż do kraju Bod? — zapytał naiwnie Chińczyk.

—Przed wyruszeniem gdziekolwiek trzeba najpierw odciąć się od wszystkiego. Droga zbawienia zaczyna się i kończy w tobie samym. Nie trzeba niczego pożądać ani pragnąć. A wtedy ból ustępuje. To pudełko, które przyciskasz do piersi jak bezcenny skarb, pokazuje, że pod tym względem masz jeszcze długą drogę do przebycia... — mruknął ironicznie mnich.

—Chcesz, żebym ci pokazał, co w nim jest? — zapytał żartem Kłębek Kurzu, po czym otworzył szkatułkę.

—Nie wiem, co to za szlachetne kamienie, błyszczące jak księżyc w pełni, znam za to tę bezcenną mandalę! — wykrzyknął staruszek, którego ręce drżały, gdy sięgał po kwadrat jedwabiu, żeby go rozwinąć końcami palców, najpierw ostrożnie powąchawszy.

—Mandalę? Co znaczy to słowo? — spytał zaniepokojony Chińczyk.

—Młody człowieku, masz w swoich rękach najświętszą relikwię Tybetu, która należy do Samye, najstarszego i najbardziej czcigodnego klasztoru w tym kraju. To jest święta mandala wadźrajany!

—Nie wiedziałem o tym!

—Jak ją zdobyłeś? — spytał, poważniejąc nagle, stary lama.

—Przyrzekłem, że tego nie zdradzę — wyjąkał Kłębek Kurzu, nie chcąc wyjawiać mnichowi, którego dopiero co poznał, sekretu skrytki na księgi.

—Gdybym miał ci udzielić tylko jednej rady, to rzekłbym, że powinienes odnieść tę relikwię do klasztoru Samye, z którego pochodzi!

—Iść aż do kraju Bod? Ależ ja nie wiem nawet, gdzie on się znajduje ani ile czasu trzeba, żeby tam dotrzeć!

— Wystarczy, żebyś ruszył południową odnogą Jedwabnego Szlaku. Gdy dotrzesz do Chotanu, zapytaj o drogę na Dach Świata. Wierz mi, wszyscy ją znają.

Słowa starego lamy były raczej poleceniem niż sugestią.

—W imię czego żądasz ode mnie, żebym odniósł do Tybetu szkatułkę, którą znalazłem przypadkiem, a której sprzedaż, zważywszy na to, co dajesz mi do zrozumienia, mogłaby uczynić ze mnie bogatego człowieka?

—To proste: staniesz się świątobliwym człowiekiem, a przełożony klasztoru Samye, mistrz Gampo, poleci swoim mnichom, żeby codziennie ci dziękowali! Błogosławiony obdarzy cię z pewnością statusem bodhisattwy... Nie będziesz już nawet musiał zawierać pokoju z samym sobą, ponieważ ból istnienia przestanie ci doskwierać!

— Na co mi stan świętego czy tam półbuddy! Nie nauczyłem się wyznawać buddyjskiej wiary i nie zamierzam tego robić! — wykrzyknął rozdrażniony Kłębek Kurzu.

—Nie masz może jakiegoś życzenia albo nie pragniesz gorąco, żeby coś się spełniło? — spytał Tybetańczyk.

—Szukam pewnej młodej dziewczyny, w której się zakochałem. Wyjechała z Dunhuangu... Dałbym wiele, żeby ją odnaleźć — wyznał zawstydzony Kłębek Kurzu, który czuł się upokorzony tym, że Umara opuściła go bez słowa wyjaśnienia.

—Czy nie podążyła za głosem serca?

—Nic o tym nie wiem! Dlaczego o to pytasz?! — wykrzyknął dotknięty do żywego młodzieniec.

—Kobiety są czasami zdolne do różnych szaleństw... Ale zdarza się, że w końcu wraca im rozum.

—Gdyby tak się stało, byłbym najszczęśliwszym z ludzi...

— szepnął Kłębek Kurzu.

—Kto wie! Jeżeli zaniesiesz tę świętą mandalę do Samye, być może Błogosławiony dostrzeże twoje cierpienia...

—Naprawdę? Nie żartujesz sobie ze mnie?! — Kłębka Kurzu przepełniła nagle szalona nadzieja.

Odnaleźć Umarę!

Czy nie było to coś, czego pragnął najgoręcej?

— Przełożony Gampo będzie umiał ci podziękować, kiedy opowiesz mu o sobie i oddasz świętą mandalę. Poza tym musisz wiedzieć, że kto raz zobaczył Samye, to cudowne miejsce, ten nieuchronnie tam powróci...

Tak brzmiały słowa starego mnicha, które z początku wydały się Kłębkowi Kurzu dość tajemnicze, potem jednak nabrały sensu.

Wypowiedziawszy je, stary lama pożegnał młodzieńca i zniknął tak nagle, że gdy Chińczyk chciał mu powiedzieć do widzenia, nie było po nim śladu.

Tak więc, pragnąc zastosować się do rady starego mnicha, który przywrócił mu nadzieję, Kłębek Kurzu wyruszył bez zwłoki w kierunku kraju Bod, gdzie spotkanie z Umarą potwierdziło prorocze słowa starca.

Niestety, to, co stało się później, nie odpowiadało oczekiwaniom Kłębka Kurzu, który na własne oczy zobaczył, jak rozwiewają się jego nadzieje na podbicie serca córki Addaia Aggaia.

Spotkanie ze starym lamą doprowadziło go do ostatniego etapu, rzucając w paszczę niedźwiedzia, który zamierzał go pożreć!

Ta druga wędrówka do Samye, która dla młodzieńca była przede wszystkim sposobem na odkupienie win, zaczęła się jednak całkiem nieźle. Zgodnie z tym, do czego stary lama z Dunhuangu go zachęcił, udało mu się zawrzeć pokój z samym sobą, ponieważ najpierw pogodził się z tym, że Umara kocha Pięć Zakazów, a potem zaproponował jej pomoc w ucieczce ze szponów Czystości Pustki, co wymagało udania się do lamy Gampo i poproszenia go, żeby podjął kroki zmierzające do przywrócenia dobrych stosunków między trzema wielkimi nurtami buddyzmu.

Tak więc z każdym krokiem Kłębek Kurzu czuł, że wyrastają mu skrzydła.

Powodowany myślą o szlachetnym celu swej wędrówki, przekonany, że maszeruje ku własnej świętości, czuł, jak jego

intencje stają się coraz czystsze, co czyniło go szczęśliwym i obojętnym na piękno mijanych krajobrazów, na lśniące plamy turkusowych jezior pośrodku łąk tak zielonych, że zdawały się świecić. Nie zauważał nawet granitowych rumowisk, które niby rozrzucone ręką jakiegoś giganta, utrudniały pięcie się w górę.

Ożywiany pragnieniem sprawiedliwości, miał już tylko jeden cel: dotrzeć do Samye i opowiedzieć mistrzowi Gampo o podłym postępku Czystości Pustki.

Zlecenie porwania, a potem uwięzienie niewinnej dziewczyny, aby zmusić ją do przyznania się, iż ma Oczy Buddy, nie zgadzało się z wyobrażeniem, jakie młody Chińczyk stworzył sobie na temat szlachetności buddyjskiego mnicha, takiego jak przełożony z Luoyangu.

Oto dokąd mogła zaprowadzić żądza władzy, nawet wtedy, gdy służyła duchowym przedsięwzięciom religijnych przywódców, którzy zgodnie z wolą wiernych winni kierować się czystymi pobudkami, a w rzeczywistości sprzeniewierzali się zasadom swej religii w imię rzekomo wyższych interesów.

Młody Chińczyk postawił więc sobie za cel, by z pomocą lamy Gampo zmusić wielkiego mistrza *dhyany* z Luoyangu do ugięcia się.

Niestety, ogromny zwierz, który przygniatał teraz całym swoim ciężarem dzielnego młodego wędrowca, uzbrojonego jedynie w pragnienie przywrócenia sprawiedliwości, mógł mu przeszkodzić w dotarciu do celu, kładąc kres jego niezwykłemu, lecz tragicznemu przeznaczeniu!

Czy stary lama z Dunhuangu przewidział, że historia Kłębka Kurzu tak się zakończy?

Z oszołamiącą prędkością przeleciały mu przez głowę najważniejsze chwile jego krótkiego życia. Aż do spotkania z Umarą w ogrodzie biskupstwa nestorianów ledwo miał świadomość własnego istnienia, tak bardzo zajmowała go sprawa przeżycia. Sam na świecie, błąkał się po Jedwabnym Szlaku, od oazy do oazy, i jego jedynym codziennym zajęciem

jako chłopca, potem młodzieńca, a wreszcie młodego mężczyzny, było poszukiwanie jedzenia wśród odpadków pozostawianych przez wędrownych handlarzy, i dachu nad głową, gdy z powodu zimna nie mógł spędzić nocy na wolnym powietrzu.

Zanim poznał córkę Addaia Aggaia, nikogo nie obchodził jego los. Gdy spojrzały na niego cudowne oczy tej pięknej istoty, w pewnym sensie objawiły go samemu sobie. Po raz pierwszy odniósł wrażenie, że jest żywą istotą z krwi i kości.

W końcu stał się czymś więcej, niż tylko błakającym się cieniem, Kłębkiem Kurzu, jak go przezwano, który starał się przemykać tak, żeby nie zauważyli go inni żebracy, gotowi wyrwać najslabszym i najmłodszym spośród siebie marną zdobycz, zapewniającą przeżycie.

Odebrał więc nagle zniknięcie dziewczyny jak odtrącenie, zapowiedź ponownego pogrążenia się nicości, w jakiej się znajdował, zanim ją spotkał.

Umara stała na dwóch krańcach jego życia, gdyż to dzięki niej zyskał świadomość własnego istnienia, ale także z jej powodu miał zaraz umrzeć rozszarpany przez niedźwiedzia, którego dzieła dokończą sępy, zostawiając tylko zakrwawione kości...

Być może jednak jest to logiczny koniec, myślał zrezygnowany Kłębek Kurzu, z nosem w białej sierści na piersi zwierzęcia, którego nieznośny zapach nie pozwalał mu oddychać.

Poprzez głuche pomruki niedźwiedzia dochodziły go krzyki sępów, krążących nisko w oczekiwaniu na ucztę.

Zwierzę trącało go w szyję wilgotnym nosem, jakby szykowało się do decydującego uderzenia kłami.

W tym momencie, nie przejmując się zbytnio, że opuszcza ten okropny świat, na którym człowiek nie tylko nie mógł przywiązać do siebie ukochanej kobiety, ale na dodatek kończył rozszarpany przez niedźwiedzia, biedny Kłębek Kurzu zemdłał.

Kiedy oprzytomniał, zobaczył dwie pochylone nad sobą postacie o ogolonych czaszkach.

Z początku myślał, że to widma wyszły mu na spotkanie w świecie umarłych, do którego zapewne wkroczył...

Potem poczuł, że coś ciepłego i mokrego przesuwa się tam i z powrotem po jego policzku w sposób, który nie przypominał ugryzienia niedźwiedzia ani tym bardziej uderzeń sępiego dzioba, pozwalając sądzić, że przebywanie w królestwie śmierci nie jest wcale aż tak nieprzyjemne.

Sępy nad jego głową nadal zataczały złowróżbne kręgi, dając mu do zrozumienia, że być może zostanie jednak ich zdobyczą.

Ku swemu zaskoczeniu, zdołał z trudem wstać i stwierdził przerażony, że widzi niedźwiedzia o jaśniejszej sierści! Dopiero po chwili odetchnął z ulgą, rozpoznając płowego brytana Pięciu Zakazów.

Po raz drugi Lapika rzuciła się na niego w kraju Bod!

Ale tym razem żywicielka Niebiańskich Bliźniąt skoczyła po to, aby uratować ze straszliwych szczęk niedźwiedzia swego dobrego znajomego, którego od razu rozpoznała.

Jako dobry pies pasterski, potrafiący walczyć z wilkiem, panterą śnieżną i niedźwiedziem, Lapika dopadła groźnego zwierza, którego kły już miały zagłębić się w szyi Kłębka Kurzu. Zaskoczony niedźwiedź, szykujący się do spokojnego uctowania, czmychnął bojaźliwym truchtem, aby zniknąć w zaroślach, zabawnie kołyszając ogromnym zadem.

Oszołomiony Chińczyk stanął na chwiejnych nogach, po czym podrapał pod szyją swą wybawicielkę, która cieszyła się tak, jakby odnalazła swego pana.

— Znam tego psa! Lapiko, kochana, uratowałaś mi życie! Nie wiem, jak ci dziękować... — szepnął.

W tym momencie zobaczył nieco dalej dwóch ciepło ubranych osobników, których nie znał, ale którzy, jeśli sądzić po ubiorze i ogolonych czaszkach, musieli być buddyjskimi mnichami.

—Nie potrzebowałem nawet wydawać jej polecenia, żeby rzuciła się na tego niedźwiedzia. Pozwól, że się przedstawię: Oręż Prawa, mnich Małego Wozu z Peszawaru, a to jest Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, z tego samego klasztoru.

—Ta suka należy do mahajanisty Pięciu Zakazów! Rozpoznałbym ją pośród tysiąca innych! Zresztą i ona doskonale mnie pamięta, popatrzcie tylko, jak się cieszy! — wykrzyknął Kłębek Kurzu.

Uklęknął przed Lapiką, żeby ją pogłaskać, podczas gdy ona omiatała mu twarz szerokimi ruchami jęzora.

—Zgadza się. Ta suka usiadła przy wyjściu z więzienia w Chang'anie, gdzie zamknęły nas chińskie władze, a potem uwolniły. Wydawało się, że rozpaczliwie wyczekuje swojego pana. Po kilku minutach wahania, widząc, że Pięć Zakazów się nie zjawia, poszła w końcu za nami i od tej chwili nie opuszcza nas na krok — wyjaśnił Oręż Prawa, prawie tak samo zaskoczony, jak młody Chińczyk.

—Pięć Zakazów jest w więzieniu w Chang'anie? — zdziwił się Kłębek Kurzu.

—Kim jesteś, że znasz Pięć Zakazów? — spytał Oręż Prawa.

—Nazywam się Kłębek Kurzu. Poznałem Pięć Zakazów dzięki Umarze, córce nestoriańskiego biskupa z Dunhuangu, która się w nim zakochała.

—Dziwne, jaki ten świat mały! Pomyśleć, że góra Meru to tylko mały wzgórek... a Okrągła Wieża Wszechświata, jak ją opisał Błogosławiony, nie jest wyższa od miarki zboża...* — mruknął w zamyśleniu Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

* Według pierwotnej kosmologii buddyjskiej wszechświat składa się z położonych jedna nad drugą płaszczyzn, to znaczy ma kształt góry Meru albo wieży. Ta pionowa budowla składa się z kilku „planów”, mających kształt i bezkształtnych, z których każdy ma kilka pięter, oraz z kilku „domen”: domeny nieskończonej przestrzeni, nieskończonej świadomości, nicości, domeny, w której nie odbiera się już wrażeń, oraz domeny, w której nie ma już nawet nieobecności wszelkich wrażeń.

—To Błogosławiony i tylko on decyduje o rozmiarach świata! Może dać mu rozmiary ziarnka gorczycy, jak i nieskończoną rozciągłość, której kontury umykają ludzkiemu oku — upomniał surowo Oręż Prawa swojego towarzysza, którego słowa wydały mu się trochę nie na miejscu.

—Wybacz mi, Orężu Prawa, moje słowa wyprzedziły moje myśli! Mimo wszystko musisz przyznać, że to nie jest zwyczajne spotkanie... — odrzekł mnich z Turfanu.

—Kochany Kłębku Kurzu, gdzie znajduje się ta młoda kobieta, którą, jak twierdzisz, znasz tak dobrze? — zapytał Oręż Prawa tonem, w którym można było wyczuć podniecenie wywołane nadzieją, że dowie się wreszcie, w samym sercu Tybetu, co się stało z dziewczyną, którą Pięć Zakazów tak uwielbiał.

—W klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu, gdzie przetrzymuje ją w sekrecie Czystość Pustki!

—Jesteś tego pewny?

—Widziałem ją na własne oczy i zaproponowałem jej, że pójdę opowiedzieć wszystko czcigodnemu lamie Gampo, ponieważ pozycja i wielka mądrość tego kapłana czynią z niego jedyną osobę, która może skłonić tego nieustępliwego przełożonego do zmiany postępowania... — odparł młodzieniec.

—Teraz lepiej rozumiem, skąd się tu wzięłeś! Zamierzasz prosić lamę Gampo, żeby rozszedził sprawę — wywnioskował Oręż Prawa.

—Nie boisz się długiej wędrówki. Z Luoyangu do Samye jest kawał drogi — dodał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Tę uwagę możemy odnieść i do nas... — mruknął Oręż Prawa.

—Jeśli dobrze rozumiem, wszyscy udajemy się w to samo miejsce — powiedział z uśmiechem Kłębek Kurzu, który zaczął dochodzić do siebie.

—Można powiedzieć, że idziemy do Samye po trosze z tego samego powodu co ty. Chcemy poprosić o radę mędrca nad

mędrkami, jakim jest ten stary, czcigodny, niewidomy lama — potwierdził Oręż Prawa.

— Byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdybym mógł iść z wami. Samotność zaczynała mi już ciążyć.... — szepnął Kłębek Kurzu.

Zamyślił się nad przepowiednią lamy z Dunhuangu: Samye było rzeczywiście magicznym miejscem, do którego nieuchronnie się wracało, gdy ktoś raz tam trafił...

Przy drodze, którą ruszyli, ukazał się rząd domków, zapowiadających niedaleką wioskę, a w niej jak zwykle gospodę dla wędrowców.

—Nie chciałbyś posilić się trochę? — zapytał Oręż Prawa.

—Jestem głodny jak wilk — wyznał Chińczyk.

—To niewątpliwie z powodu przeżyć, jakich dostarczył ci ten niedźwiedź. Omal cię nie schrupał — zażartował Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, który celował w popełnianiu gaf.

Ostra zupa z pokrzyw i chrupiące placuszki z jęczmiennej mąki były wyśmienite. Po obfitym posiłku młody Chińczyk zasnął na krześle, nie bacząc na hałaśliwych klientów, besztających kelnerkę o obfitym biuście i okrągłym tyłeczku, której spojrzenia mówiły wiele o tym, w jaki sposób uzupełnia swoje dochody.

Dwa tygodnie później, po wędrowce, która wydała się Kłębkowi Kurzu całkiem przyjemna, trzej mężczyźni dotarli do Samye przez sławną przełęcz, ozdobioną dwiema majestatycznymi stupami.

Lama Tō Ling omal nie przewrócił się na widok niespodziewanych gości. Poprosili natychmiast o widzenie z czcigodnym Gampo, z powodu „bardzo ważnych wieści”, jakie pragnęli mu przekazać.

Poprowadził ich więc w wielkim pośpiechu do izby, w której medytował jego zwierzchnik. Niewidomy lama siedział w pozycji lotosu, nieruchomy niczym posąg arhata z cedrowego

drewna, wyrzeźbiony tak sugestywnie, iż wierni padali przed nim na twarz, przekonani, że to żywa istota.

Jako pierwszy zabrał głos Oręż Prawa, żeby wyjaśnić lamie Gampo, za sprawą jakiego zbiegu okoliczności dowiedział się o męczeńskiej śmierci przełożonego klasztoru w Peszawarze. Opowiedział mu też, jak to razem ze Szlachetną Ośmioraką Ścieżką zostali deportowani do środkowych Chin, w towarzystwie Pięciu Zakazów i manichejczyka Świetlistego Punktu.

—Buddhabadra nie żyje, czcigodny mistrzu! Zamordował go Szalony Obłok, który w napadzie szału wyrwał mu serce! Kiedy przekażę tę wiadomość wspólnocie Jedynej Dharmy, wszyscy pogrążą się w żałobie... — zakończył.

—Cóż to za podły i ponury osobnik ten hinduski tantrysta! Zawsze wątpiłem, czy jest normalny... Zaiste, spadło na nas wielkie nieszczęście — rzekł jeszcze bardziej ponurym niż zwykle głosem czcigodny Gampo.

—Dobrze wiedziałem, że te wieści nie pozostawią was obojętnym! Nie żałuję, że odbyłem tak daleką drogę, żeby wam je przynieść! — dodał Oręż Prawa, wyczerpany emocjami, jakie go ogarnęły, gdy opowiadał o tych strasznych wydarzeniach.

—Zaczynam lepiej pojmować pewne sprawy, które aż dotąd wydawały mi się co najmniej dziwne... — ciągnął w zamyśleniu lama Gampo, głęboko oburzony.

—Nie ma już jednego z trzech przełożonych, którzy spotykali się w Lhasie... Gdyby ten Szalony Obok stanął mi na drodze, nie ulega wątpliwości, że drogo by za to zapłacił, choć Budda nakazuje mi unikać przemocy! — wykrztusił Oręż Prawa.

—To człowiek o tak zmałym umyśle, że z pewnością nie wiedział, co czyni! Może nawet wrócił do Indii, nie zdając sobie z tego sprawy... Z pewnością trudno go będzie wytropić, jeśli nie runął już w jakąś przepaść, co zresztą wcale by mnie nie zmartwiło... — wtrącił się Tō Ling, wstrząśnięty równie głęboko jak lama Gampo.

—Rozumiem twój gniew, Orężu Prawa. Całymi dniami błąkałeś się, narażając życie, a tak naprawdę szukałeś trupa. Ale trzeba, żebyś wiedział, że nienawiść jest złym doradcą... — zaznaczył stary lama, dając znak Orężowi Prawa, żeby się zbliżył.

—Pomimo przekleństwa, które zdaje się towarzyszyć naszym krokom, przynajmniej raz los był nam przychylny. Kiedy stanęliśmy przed Wielkim Cenzorem chińskim pod zarzutem naruszenia monopolu na jedwab, nie sądziliśmy, że wyjdziemy stamtąd wolni. Tam jest to zbrodnia karana śmiercią! — wyjaśnił Oręż Prawa.

—Bezspornie! Nie licząc tego, że, jak mówią, chińska sprawiedliwość działa prędko! — odrzekł w zamyśleniu Tö Ling.

—Kłębku Kurzu, chciałbym poznać powody twojego przybycia do Samye — zwrócił się łagodnie lama Gampo do młodego Chińczyka, który jeszcze się nie odezwał.

—Przyszedłem błagać was, czcigodny mistrzu, o wstawienie u Czystości Pustki, żeby zaprzestał czynienia wielkiej niesprawiedliwości... — powiedział wzruszonym cichym głosem Kłębek Kurzu.

—Czystość Pustki nakazał najpierw porwać Umarę, gdy pędziła tu szczęśliwe dni z Pięcioma Zakazami, a teraz więzi ją w Luoyangu — wyjaśnił Oręż Prawa.

—Mistrz *dhyany* jest przekonany, że przetrzymuje ona Oczy Buddy! — dodał Kłębek Kurzu.

—Opowiadasz przerażające rzeczy! Jak Czystość Pustki może tak postępować? — Lama Gampo nie krył oburzenia.

—A jednak to prawda. Podsunał mu tę myśl niejaki Skupienie Powagi, mahajański przełożony z oazy Dunhuang. W swej naiwności młoda chrześcijanka poszła do niego i pokazała mu zawartość serca z sandałowego drewna, które gotowa była sprzedać, żeby wspomóc swego ojca.

—Niewiarygodne! — kręcił głową Tö Ling.

— Zwróćcie jednak uwagę, że ta młoda kobieta nie jest źle traktowana. Niczego jej nie brakuje prócz wolności, i oczywiście Pięciu Zakazów... — dorzucił Kłębek Kurzu.

Po raz pierwszy zdołał wymówić to imię, nie wykrzywiając gniewnie ust.

—Przeraża mnie, że duchowy zwierzchnik Wielkiego Wozu, o którego szlachetności mógłbym zaświadczyć, posunął się tak daleko! Zadaję sobie pytanie, czy nie ma to związku z fiaskiem naszego ostatniego spotkania... i z nieporozumieniami, jakie ono zrodziło, jako że jedni stali się zbyt podejrzliwi względem innych — powiedział w zamyśleniu mistrz Gampo.

—Gdy wielki mistrz ma obsesję na punkcie rozprzestrzeniania swego wyznania, robi wszystko, aby ją urzeczywistnić, nie przejmując się, do jakich środków się ucieka. Zachowuje się jak polityczny przywódca. Czy nie tak właśnie postępuje Czystość Pustki? — zapytał Oręż Prawa.

—Nie można tego wykluczyć. Ale musiałby wystąpić jakiś bardziej konkretny powód, prawdopodobnie umowa między nim i Buddhabadrą... — mruknął lama Gampo.

—Czy chcecie przez to powiedzieć, mistrzu, że ci dwaj przełożeni zawarli jakąś ugodę za waszymi plecami? — zapytał Kłębek Kurzu.

—Wydaje mi się to wielce prawdopodobne, jeśli sądzić po zachowaniu... Idąc tym tropem, zawsze zadawałem sobie pytanie, dlaczego Czystość Pustki zostawił tu *Sutrą o logice Czystej Pustki*, choć byłoby mu dużo wygodniej zabrać jądo Luoyangu...

—Co pewne, to to, że Buddhabadrą był niespokojny, kiedy opuszczał Peszawar z naszym świętym słoniem. Do dziś mam przed oczami jego wykrzywioną twarz... — westchnął Oręż Prawa.

—Nawet gdyby Buddhabadrą nie został zamordowany, to po tylu niegodziwościach nie wiem, jak spotkania w Lhasie mogłyby nadal się odbywać, pomimo najlepszych chęci uczestników! — powiedział Tö Ling.

—Zaiste to godne pożałowania! Im więcej o tym myślę, tym wyraźniej widzę, że spotkania w Lhasie były genialnym pomysłem, pozwalającym trzem szkołom uniknąć konkurencji, która mogła je tylko osłabić! — wykrzyknął Oręż Prawa.

—Nie wszystko stracone, jako że cenne rękojmie znajdują się tu, ukryte w naszej bibliotece!

—• Ale wobec śmierci Buddhabadry sprawa wydaje się trudna! — jęknął Oręż Prawa.

—Kiedy znana jest melodia i są instrumenty, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby w razie potrzeby zmienić muzyków... Zwłaszcza gdy jeden z nich został zamordowany. Twój nieżyjący już, niestety, przełożony miał niezaprzeczone zalety. Ale jestem pewien, że ty także mógłbyś zostać doskonałym reprezentantem Małego Wozu! — odezwał się lama Gampo.

—Bylibyście gotowi obdarzyć mnie takim zaufaniem? — zapytał drżącym głosem Oręż Prawa, oszołomiony tymi słowami.

—To zależy nie tylko ode mnie...

—Macie z pewnością na myśli Czystość Pustki...

—Jestem gotów udać się do Luoyangu, żeby omówić z nim i to, oprócz innych spraw... — odrzekł przełożony.

—Gdybyś, czcigodny mistrzu, odbył podróż aż do środkowych Chin, byłbym ci za to wdzięczny do końca moich dni! — szepnął z przejęciem Kłębek Kurzu, który gratulował sobie, że przybył do kraju Bod, żeby usłyszeć takie słowa.

Mimo ślepoty i podeszłego wieku ten szlachetny człowiek gotów był wyruszyć do Luoyangu, aby spróbować powiązać nici zerwane wskutek nieudanego spotkania, które popchnęło Czystość Pustki i Buddhabadrę do zawarcia paktu za jego plecami.

— Chciałbym powiedzieć kilka słów prawdy mojemu nie ocenionemu koledze z Wielkiego Wozu! A że jestem najstarszy z naszej trójki, mają one pewną wagę... — zaznaczył mistrz Gampo.

—Nie wątpię w to, mistrzu Gampo, cieszycie się ogromnym autorytetem! — dorzucił Oręż Prawa.

—Być może jest coś, co powinno zostać wybaczone także i mnie!

—Czcigodny mistrzu, chcesz dać nam do zrozumienia, że masz coś na sumieniu? — zażartował Kłębek Kurzu.

—Zwierzchnik religijny, który postępuje bardziej jak przywódca niż jak mnich, czasami bywa zmuszony do popełnienia czynów sprzecznych z zasadami, które głosi. Tak jest w przypadku Czystości Pustki. Dlaczego nie miałyby być tak i ze mną? — odpowiedział przełożony Samey.

—To właśnie mistrz Gampo wpadł na pomysł zwołania spotkania w Lhasie. Wziął do ręki laskę pielgrzyma i zdołał przekonać swoich kolegów, żeby w nim uczestniczyli — sprecyzował Tö Ling.

—Tego lama, który ma taką minę, jakby wiedział wszystko, nie było jeszcze w moim klasztorze, kiedy udałem się w tajemnicę, i z konieczności w towarzystwie przewodnika, najpierw do Peszawaru, a potem do Chang'anu, i w obu miejscach spotkałem się z przychylnym przyjęciem ze strony przełożonych z Małego i Wielkiego Wozu... — zakończył skromnie lama Gampo, co zmusiło Tö Linga do spuszczenia wzroku.

Słyszac te słowa, Oręż Prawa nie mógł się powstrzymać od wydania długiego westchnienia podziwu. Więc to mistrz Gampo, bez wątplenia najmądrzejszy i najszlachetniejszy z trzech religijnych przywódców, stał u źródeł tego nadzwyczajnego sposobu na utrzymanie pokoju i stabilności między trzema wielkimi nurtami buddyzmu, to on zainicjował spotkania w Lhasie!

—Zawsze marzyłem o złożeniu wizyty w stolicy środkowych Chin! Towarzyszenie waszej dostojnej osobie, mistrzu Gampo, byłoby wspaniałą okazją do odbycia tej podróży! — wykrzyknął Tö Ling, podekscytowany perspektywą wyprawy.

—Nie mógłbym się tam udać, nie mając nikogo za przewod-

nika, który by mnie poprowadził — odrzekł z uśmiechem niewidomy przełożony.

—Kiedy zamierzasz wyruszyć, czcigodny mistrzu? — zapytał zaniepokojony Kłębek Kurzu.

—Im prędzej, tym lepiej. Zabiorę ze sobą rękojmię... Idź po nie i przynieś je nam — zwrócił się lama Gampo do Tö Linga. — Oreż Prawa i jego towarzysz obejrzą je z przyjemnością.

Gdy Tö Ling wyszedł, przełożony Sameye dodał:

—Ten lama codziennie sprawdza, czy znajdują się na swoim miejscu, w skarbcu klasztornej biblioteki.

—Można by pomyśleć, że się boi, aby tym relikwiom nie wyrosły skrzydła! — zażartował Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Rzeczywiście, można tak powiedzieć! — przyznał lama Gampo, którego ascetyczne oblicze rozjaśniał teraz łagodny uśmiech.

Bo też w istocie, Tö Ling za żadne skarby nie chciał być tym, który by doniósł przełożonemu, iż bezcenne relikwie znikły równie tajemniczo, jak się odnalazły.

Było więc rzeczą zupełnie naturalną, że zaczął się obawiać, że porwą je jakieś niewidzialne istoty, zdolne przeniknąć przez grube ściany skarbcu. Ku wielkiemu rozbawieniu mistrza Gampo, któremu w końcu powiedział o swych obawach, Tö Ling uznał za konieczne dopełniać codziennie przed Oczami Buddy, Świętą Rzęsą Błogosławionego, świętą mandalą Sameye i oczywiście *Sutrą o logice Czystej Pustki* rytuału, co do którego był pewny, że odpędza złe duchy.

Gdy więc przesądny mały lama udawał się do skarbcu biblioteki klasztoru Sameye, miał zawsze przy sobie obcęgi ze szczypców skorpionia i róg *thiinra*...

Owe rytualne rekwizyty nadal zwisały mu u pasa, gdy po kilku chwilach wrócił, niosąc w jednym ręku serce z sandałowego drewna, a w drugiej zwój z rękopisem, owocem wieloletnich przemyśleń Czystości Pustki.

Precyzyjnymi ruchami chirurga wyłożył wszystko na niski

stół, na którym cenne rękojmie złożyli już poprzednim razem Kłębek Kurzu i Pięć Zakazów.

Spoczywające na świętej mandali wadżrajany Oczy Buddy lśniły cudownym blaskiem.

—Jestem wzruszony, że mogę oglądać Święte Oczy z Relikwiarza Kaniszki. Gdyby ktoś mi przepowiedział, że dostąpię takiej łaski, potraktowałbym go jak kłamcę! Zwykle kamienie te są zamknięte w szczerol złotym relikwiarzu w kształcie piramidy, który wyjmuje się z kamiennego pojemnika tylko na czas Wielkiej Pielgrzymki! — wykrzyknął Oręż Prawa, a jego głos drżał z podniecenia.

—Miał je prawo przenosić tylko święty biały słoń z klasztoru — dodał równie wzruszony Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, który padł na kolana przed relikwiami.

—Oto Święta Rzęsa! Uważaj, żeby nie upadła... — zwrócił się Tō Ling do Oręża Prawa, podając mu małeńki włos, który wyjął kciukiem i palcem wskazującym z kącika drewnianego relikwiarza.

—Nie, dziękuję, wolę popatrzeć na sutrę Czystości Pustki. Aby ją przywieźć, Pięć Zakazów zrobił taki szmat drogi! — odparł Oręż Prawa, wyjmując z pudła wyłożonego czerwonym jedwabiem zwój, na którym widać było rzędy tysięcy znaków, mistyczne rozważania mistrza na temat pustki.

Dwaj hinajaniści pochylili się niczym uczniowie nad stronicą tytułową rękopisu, podziwiając wspaniałe rysunki i liczne dedykacje.

—Co za niezrównana robota! — wykrzyknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—To dzieło jednego z najslawniejszych kopistów chińskich... — wyjaśnił lama Gampo.

Oręż Prawa nie mógł oderwać oczu od wspaniałego rękopisu. Zaczął odczytywać jedno po drugim zdania wpisane przez najczcigodniejszych czytelników, zawierające komplementy pod adresem autora.

—Jest tu dedykacja, której nie potrafię odcyfrować! — mruknął.

—Nic dziwnego, napisana jest po tybetańsku! — wykrzyknął Tö Ling, który także pochylił się nad rękopisem Czystości Pustki.

Sprawdzając, czy cenne rękojmie znajdują się na swoim miejscu, nigdy nie ośmielił się wyjąć tego dokumentu z futerału, nie miał więc okazji zapoznać się z inskrypcjami, jakie figurowały na stronicy tytułowej.

— Wpis po tybetańsku? Rzecz co najmniej zadziwiająca! Mógłbyś mi go przeczytać? — poprosił poruszony mistrz Gampo.

Tö Ling zaczął czytać, najpierw powoli, potem coraz szybciej, co miało związek z dramatyczną wymową tego, co wzięł za zwykłą dedykację, a co okazało się przejmującym zwierzeniem:

To jest prośba mniszki Manakundy do Błogosławionego Buddy. Ona głęboko żałuje tego, co zrobił jej Szalony Obłok, który wcisnął do jej ciała swój mięsisty trzonek. Świadoma tego, iż jest tylko niegodną grzesznicą, ośmiela się mieć nadzieję, że wyrzuty sumienia, jakie odczuwa, zapewnią jej rozgrzeszenie Błogosławionego. Popisane „Manakunda”.

Był to testament Manakundy, wpisany na tej stronicy koślawymi znakami, żywy dowód na to, że jego autorka miała powody, aby odczuwać ogromne wyrzuty sumienia.

W izbie przełożonego Sameye zapadła ciężka cisza, gdy Tö Ling skończył czytać te tak przerażające w swej powściągliwości linijki, które pędzelek młodej nowicjuszki umieścił, wraz z jej podpisem, na dole pierwszej stronicy *Sutry o logice Czystej Pustki*.

—Jakże mi żal tej Manakundy! Okazuje się, że Szalony Obłok jest nie tylko mordercą, ale i gwałcicielem... — szepnął wstrząśnięty Oręż Prawa.

—Ten wpis młodej mniszki, która zmarła podczas wydawa-

nia na świat dzieci poczętych z Szalonym Obłokiem, stanowi straszliwe oskarżenie, mistrzu Gampo! — zauważył Tö Ling.

—Te słowa są wstrząsające. Mniszka, która popełnia grzech cielesny, idzie prosto do piekła Awici... — stwierdził przerażony Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Manakunda dość wycierpiała tu na ziemi i z pewnością uniknie piekła! — powiedział ostro mistrz Gampo.

—Chciałbym, żeby tak było! — westchnął mnich z Turfanu.

—Mam do siebie pretensję! — ciągnął znużonym tonem lama Gampo. — Powinienem być poświęcić tej małej mniszce więcej uwagi!

—Niepotrzebnie, czcigodny mistrzu! Zdarzyło się to, co musiało się zdarzyć! — ośmielił się zauważyć Kłębek Kurzu.

—Jak ona musiała się czuć osamotniona... Gdybym wiedział ojej nieszczęściu, zaproponowałbym, żeby przyszła i wyznała mi swoją winę, zamiast wpisywać wyznanie do sutry!

—Ona by tego nie zrobiła, czcigodny mistrzu! Za bardzo się wstydziła... — odrzekł Tö Ling, jedyny, któremu młoda mniszka zwierzyła się, iż oczekuje dziecka. — Wcale nie żałuję, że jej pomogłem najlepiej, jak umiałem! Niewinna Manakunda padła ofiarą Szalonego Obłoku. Nigdy bym nie zgadł, że to on jest ojcem Niebiańskich Bliźniąt!

—Gdybym wcześniej o tym wiedział, zyskalibyśmy dużo czasu po niepowodzeniu ostatniego spotkania w Samye, i z pewnością dałoby się uniknąć wielu nieporozumień! Zaprawdę, ten osobnik oszukał nas wszystkich — szepnął z przygnębioną miną lama Gampo.

—Wyjaśniła się przynajmniej jedna tajemnica... Lepiej teraz rozumiem powód nieobecności Szalonego Obłoku na waszym spotkaniu, wielebny mistrzu. Podczas gdy wy, razem z Czystością Pustki i świętej pamięci Buddhabadrą, zamartwialiście się, czekając na jego przybycie, ten podły osobnik uwodził jedną z waszych mniszek! — dodał oburzony Tö Ling.

—To potworne! — wykrzyknął Kłębek Kurzu, przytłoczony przerażającym odkryciem.

—Nigdy bym nie pozwolił, żeby to *samsara* zdecydowała o losie Szalonego Obłoku. Mam nadzieję, że te ręce dostaną taką szansę i każą mu zapłacić za wszystkie złe czyny! — zagrział Oręż Prawa, unosząc ku niebu zaciśnięte pięści.

—Co do mnie, to jestem pewny, że Czystość Pustki będzie miał mi dużo do powiedzenia o tym wszystkim... — mruknął groźnie niewidomy starzec.

—Zdajecie się sugerować, że przełożony z Luoyangu mógł działać w porozumieniu z Szalonym Obłokiem...

—Raczej nie z Szalonym Obłokiem! Wydawało się, że podobnie jak my, nie wiedział, dlaczego nie przybył on do Samye... Za to na pewno knuł z Buddhabadrą! Nie ulega wątpliwości, że tragiczna śmierć tego drugiego pomieszała mu szyki!

—Jesteście więc przekonani, że próbowali was oszukać? — zapytał Oręż Prawa.

—To przesada! Ale starali się prawdopodobnie jak najzręczniejszym wycofać ze sprawy!

—Ale dlaczego mieliby was pominąć? — dziwił się Oręż Prawa.

—Z trzech buddyjskich szkół moja jest najlepiej chroniona przed zewnętrznymi wpływami. Kraj Bod jest tak daleko! Nie odczuwam takich nacisków jak oni. Poza tym jestem niewidomy... W każdym razie zamiast przedłużyć ugodę o dalszych pięć lat, ostatnie spotkanie poskutkowało groźnym rozdźwiękiem między moimi dwoma współbraćmi i mną — wyjaśnił krótko przełożony Samye.

—Nie zdążyliście wyjaśnić wszystkiego z Buddhabadrą... — dodał Oręż Prawa pytająco.

—Myślałem, że będziemy mogli porozmawiać... na temat pewnego punktu... Ale on wyszedł z klasztoru, nawet się ze mną nie pożegnał... Pewnie doprowadził tymczasem do

końca swój spisek z Czystością Pustki! — rzekł z ubolewaniem mistrz Gampo.

Oreż Prawa był coraz bardziej zakłopotany. Usilnie starał się zrozumieć, co się wydarzyło, lecz nowe fakty komplikowały sprawę, udaremniając jej wyjaśnienie.

Bo oto sam Gampo zdawał się teraz przyznawać, iż próbował zawrzeć z Buddhabadra jakąś umowę, ale ten się od tego uchylił!

Ileż pytań pozostawało bez odpowiedzi!

Czy wszystkie te zagadki zostaną kiedykolwiek rozwiązane?

Dlaczego Czystość Pustki więził Umarę, pozostawivszy najpierw w Samey cenną rękojmię swojej szkoły, aby wysłać po nią później Pięć Zakazów? Za sprawą jakiego przypadku Buddhabadra i Szalony Obłok spotkali się, tak jakby wdali się w jakieś konszachty? Dlaczego lama Gampo wydawał się zawiedziony, że nie mógł porozmawiać z Buddhabadra?

Co natomiast było pewne, to to, że Buddhabadra zachowywał się dziwnie.

—Jak na nieszczęście, wszystkie te wydarzenia nie pozwalają domyślić się motywów, jakimi kierował się mój przełożony... Wiedziecie, że ukrył przed nami fakt zabrania Oczu Buddy i pozostawienia nam pustej piramidy na szczycie Relikwiarza Kaniszki — powiedział Oreż Prawa, daleki od chęci otwartego podzielenia się z lamą Gampo niezliczonymi podejrzeniami, które zaczął żywić wobec swego dawnego przełożonego.

—Nie mógł postąpić inaczej! Klasztor Jedynej Dharmy nie miałby racji bytu bez tej relikwii. Jak zareagowałyby twoja wspólnota, gdyby jej Nieoceniony Przełożony oświadczył, iż musi wyruszyć do Krainy Śniegów z Oczami Buddy? — odpowiedział zagadkowo lama Gampo.

—Wasze słowa, mistrzu Gampo, dają mi do zrozumienia, że Buddhabadra nie miał wyboru i musiał tak postąpić.

—Nie jesteś w błędzie...

—Jak to rozumieć, czcigodny mistrzu? — wpadł mu w słowo Kłębek Kurzu.

—Kłębku Kurzu, prawie się nie odzywasz... A to tobie przede wszystkim winien jestem podziękowania. Bo gdyby nie ty, to małe serce z sandałowego drewna nigdy by się tu nie znalazło — rzekł niewidomy starzec po krótkim milczeniu. Najwyraźniej nie zamierzał powiedzieć nic więcej na temat motywów, jakie skłoniły Buddhabadrę do wyruszenia do Samye z Oczami Buddy.

Orężowi Prawa pozostało tylko gubić się w domysłach. Był tak zdezorientowany, że w końcu nie mógł logicznie rozumować.

Jak Buddhabadra mógł posunąć się w swej obłudzie do pozostawienia wspólnoty w przekonaniu, że Oczy Buddy znajdują się w Relikwiarzu Kaniszki, podczas gdy posłużył się nimi jako „cenną rękojmią” Małego Wozu, w ramach tajnego porozumienia zawartego w Lhasie?

Miał i tak już nie najlepszą opinię o swoim przełożonym, teraz jednak zaczynał widzieć w nim oszusta i cynika.

Przez wąskie okno do izby wpadły promienie słońca, a Oczy Buddy zaślniły tysiącem blasków. W tej samej chwili Kłębek Kurzu, pewny, że jego opowieść wywrze wrażenie, odpowiedział na słowa lamy Gampo:

—Czcigodny mistrzu, jeśli moje nogi doprowadziły mnie aż tutaj, to stało się tak za sprawą pewnego starego lamy z waszego klasztoru... — zaczął, po czym opisał okoliczności, w jakich stary tybetański mnich, napotkany pośród dymiących jeszcze po grabieży ruin Dunhuangu, zachęcił go gorąco, aby udał się do Samye, kusząc go, co się zresztą sprawdziło, że ten krok pozwoli mu odnaleźć córkę Addaia Aggaia.

—To był Sakja Panczen! Spotkałeś Sakję Panczena zwanego Wielkim Uczonym, najzdolniejszego z moich tłumaczy, którego wysłałem do Dunhuangu, żeby przełożył na język tybetański możliwie największą liczbę sutr przechowywanych w biblio-

tekach buddyjskich klasztorów oazy! — wykrzyknął poruszony mistrz Gampo.

—Ten mnich wyglądał na wyjątkowo mądrego i doświadczonego człowieka. Kiedy pokazałem mu zawartość serca z sandałowego drewna, przekonał mnie, żebym ruszył do kraju Bod i oddał to wam. Zapewnił mnie, że pomodlicie się do Świętego Buddy, aby pomógł mi odnaleźć młodą dziewczynę, której ślad zgubiłem. I proroctwo Sakji Panczena się spełniło, jako że w istocie, w drodze do Samye spotkałem Umarę i Pięć Zakazów...

—Więc to Sakja Panczen, o którym niestety nie mamy żadnych wieści i który nie przesłał nam swoich ostatnich przekładów, namówił cię, żebyś odniósł nam te cenne relikwie! Zawsze uważałem, że ten mnich to niezwykle świątły umysł... Jest świątobliwym człowiekiem, i jako taki widzi dalej niż inni. Jestem pewny, że przygląda się nam z rozbawioną miną stamtąd, gdzie przebywa, na ziemi czy w niebie nirwany! — wykrzyknął z przejęciem niewidomy starzec.

Mistrz Gampo wspominał, jak to wiele lat temu wysłał do Dunhuangu tego nadzwyczajnego lamę, obdarzonego zdolnościami do języków obcych, który potrafił przełożyć na język tybetański każdy tekst napisany po chińsku albo w sanskrycie. Pomysł okazał się niezły, jako że Sakja Panczen dwukrotnie wysłał z wielkiej oazy na Jedwabnym Szlaku konwoje jaków, objuczonych niezliczonymi zwojami, stanowiącymi niemal pełny zbiór podstawowych tekstów buddyjskich Małego i Wielkiego Wozu, przechowywanych odtąd w bibliotece klasztoru Samye.

—Gdyby nie to nieoczekiwane spotkanie z Sakją Panczenem, nie stanąłbym przed wami, mistrzu Gampo, ani nie spotkałbym Umarę! — zakończył wesoło Kłębek Kurzu.

—Musisz zrozumieć, że nic i nigdy nie dzieje się przypadkowo, drogi Kłębku Kurzu! — rzekł niewidomy starzec.

Do izby wszedł nowicjusz, żeby podać herbatę, którą wszyscy popijali w milczeniu, tak bardzo poruszyło ich to, co usłyszeli.

— Mistrz Gampo, czy możemy ustalić datę waszego przybycia do Luoyangu? — zapytał Oręż Prawa, dopiwszy herbatę.

—A czemu nie mielibyśmy wyruszyć tam razem? Tak byłoby bardziej praktycznie! — zaproponował Kłębek Kurzu.

—Potrzebuję trochę czasu, żeby wrócić do Peszawaru. Nie mogę skazywać mojej wspólnoty na jeszcze dłuższą niepewność co do losu Buddhabadry. Jeśli ja i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka nie wrócimy do naszych braci, w klasztorze zapanuje chaos! Przekazanie prawdy będzie bolesne, ale trzeba przez to przejść!

Na samą myśl o powrocie do Peszawaru, żeby powiadomić braci o śmierci Nieocenionego Przełożonego, oczy Oręża Prawa zasnuł smutek.

—Mógłbyś wykorzystać okazję i zanieść im Świętą Rzęsę. Nie potrzebujemy jej, mamy Oczy Buddy. Dzięki temu nie wrócisz z pustymi rękami. Co do reszty, to zgadzam się z tobą, żebyśmy spotkali się wszyscy w letniej stolicy Chin w ustalonym wcześniej dniu — odparł lama Gampo.

—Nigdy nie odwdziczę się wam za zrozumienie... Jesteście szlachetnym człowiekiem, czcigodny mistrzu. Co do Świętej Rzęsy, to z chęcią odniosę ją moim braciom. Przyjmą to z zadowoleniem, nawet jeśli będą mieli wątpliwości co do jej pochodzenia... ponieważ musiałem im się zwierzyć, że wyrwałem rzęsę sobie, kiedy odkryłem, że Buddhabadra zabrał w podróż serce z sandałowego drewna... — wyznał Oręż Prawa, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

—Zamiast spotkania w Lhasie, moglibyście zorganizować spotkanie w Luoyangu! Dzięki temu mogłaby się odrodzić harmonia między naszymi trzema szkołami! — podsunął Tō Ling.

—Pod warunkiem że byłbym godzien zastąpić mojego Nieocenionego Przełożonego! — westchnął Oręż Prawa, który nie mógł oderwać wzroku od Oczu Buddy.

—Jeśli o mnie chodzi, to nie mam co do tego żadnych wątpliwości! Proponuję zatem, żebyśmy spotkali się w Luoyan-

gu za sześć miesięcy księżycowych. Będziecie mieli dość czasu, żeby pójść do Peszawaru, tylko nie zostawajcie tam na długo! — zakończył mistrz Gampo.

Nie tracąc ani chwili, Oręż Prawa i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka wyruszyli następnego dnia do Peszawaru, nagłeni pragnieniem podzielenia się ze swymi braćmi straszliwą prawdą o losie ich przełożonego, którego męczeństwo z pewnością odkupiło jego nieczne postęпки.

Kłębek Kurzu ze ściśniętym sercem odprowadzał wzrokiem dwóch mnichów, którzy pomachali mu na pożegnanie, aby wraz z towarzyszącą im Lapiką zniknąć między okazałymi stupami stojącymi na przełęczy.

—Będziesz w Luoyangu, kiedy przyprowadzę tam mistrza Gampo? — zapytał go Tö Ling.

—Mam taką nadzieję... — szepnęła młodzieniec.

—Jesteś przygnębiony...

—Pójdę przejść się po okolicy. Samye leży wysoko i dlatego źle śpię i wymiotuję, nie mówiąc o bólu głowy, który przesładuje mnie od wieczora do rana i od rana do wieczora...

—Uważaj, w kraju Bod lepiej nie schodzić z wydeptanych ścieżek, zwłaszcza późnym popołudniem, ponieważ noc zapada bardzo szybko.

—Nie obawiajcie się, Tö Lingu, odkąd opuściłem Dunhuang, miałem czas nauczyć się stawiać stopy w górach tak, żeby się nie pośliznąć!

Wyszedłszy przez bramę Samye z zamiarem wspięcia się na położoną naprzeciwko grań, z której, jak się spodziewał, otworzy się widok na sąsiednią dolinę, Kłębek Kurzu poczuł dziwny smutek.

Niczym ogromna, wisząca na niebie chmura, między dwiema stupami na przełęczy, za którą znikły kilka chwil wcześniej dwie małe sylwetki Oręża Prawa i Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki, ukazała mu się nagle piękna twarz Umary o dwukolorowych oczach.

Uśmiechała się i Kłębek Kurzu poczuł się szczęśliwy.

Nie mógł się powstrzymać od myśli, że kocha ją tak, jak pierwszego dnia.

Ustał Pięciu Zakazom z niechęcią i wciąż bolała go rana zadana przez Umarę, nawet jeśli nie chował już w sobie ani nienawiści, ani żalu do rywala.

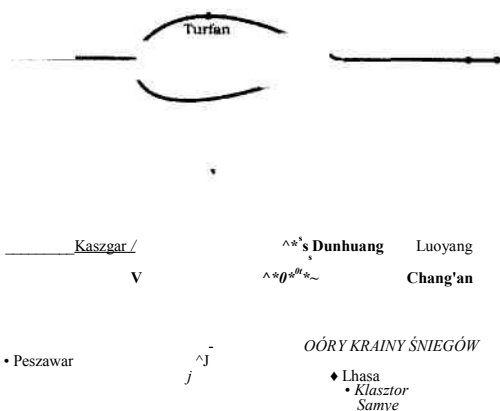
Oblicze ukochanej stopniowo spowijała mgiełka; jedno z dwukolorowych oczu znikło już w błękicie, zabarwionym fioletami nadchodzącego zmierzchu, i Kłębek Kurzu z lękiem czekał na moment, w którym jej obraz rozwieje się zupełnie.

Szedł, spoglądając na nią i nie dbając o to, jak stawia stopy. Bardzo tęsknił za jej dwubarwnym spojrzeniem!

Noc zaczęła wchłaniać Umarę w swoje mroczne głębie i dla Kłębka Kurzu było to nie do zniesienia.

Zamiast śledzić zakręty drogi, maszerował prosto, więc kiedy jego noga zawisła w próżni, bez najmniejszego wahania dołączył do niej drugą, aby runąć głową do przodu w niezmierzoną przepaść. Spadając z zawrotnej wysokości, miał dość czasu, żeby krzyknąć: „U... Umara!... U... mara...”, zanim roztrzaskał się o skały.

Echo imienia młodej nestoriańskiej chrześcijanki długo odbijało się od urwistych skał ostatniego miejsca spoczynku tego, który kochał ją ze wszystkich sił.



7

Grota na południowy zachód od dzisiejszego Ujgurskiego Regionu Autonomicznego Xinjiang

- Jutro ruszamy w drogę! — oznajmił strażnik.
- Dokąd?
- Dowiesz się we właściwym czasie!
- Powiedz Kaledowi Chanowi, że chcę z nim porozmawiać. Powiedz mu, że mogę już chodzić.
- Przekażę mu! Masz tu swoją zupę!
- Zwykle twoi koledzy stawiają ją daleko ode mnie, jakbym był zgłodniałym psem, gotowym ugryźć!
- Mam katar i nie czuję smrodu. Stawiam ci ją tutaj.
- Banda niegodziwców!
- Wygląda na to, że przybyło ci

werwy... — zauważył zakatarzony strażnik.

Już od kilku dni nieszczęsny Addai Aggai czuł, że stopniowo odzyskuje siły.

Nie wiedział, że padł ofiarą szkorbutu, okropnej choroby wywoływanej niedoborem witamin, która powodowała rozchwianie zębów i wewnętrzne krwotoki, narażając chorego na

skrajne wyczerpanie. Nie podejrzewał też, że pokaleczoną w wielu miejscach skórę na jego ciele zaatakował świerzb.

Jego poranne przebudzenie było jak zwykle nieprzyjemne z powodu nieznośnego zapachu pleśni, który ścisnął gardło i przypominał mu o jego przykrym położeniu więźnia, rozwiewając rojenia o udanej ucieczce, jakim oddawał się każdej nocy.

Nie wytrzymały nawet nozdrza najbardziej zobojętniałych i zahartowanych strażników, którzy zatykali sobie nosy za każdym razem, kiedy zapuszczali się do wnętrza góry, gdzie na prowizorycznym posłaniu ze słomy umieszczono więźnia...

—Twoja miska zupy! — wołali krótko.

—Jeśli nadal będziecie zadawać mi męki, pozbawiając mnie światła wszechpotężnego Stwórcy Wszystkich Rzeczy, nie przysporzę wam żadnych korzyści, ponieważ Jedyne Bóg wkrótce przyjmie mnie do siebie! Powiedz to Kaledowi — mruknął Addai Aggai do człowieka, który przyniósł mu miskę zupy z ciecierzycy.

Po czym, nie zdając sobie sprawy, że strażnik już odszedł, wyciągnął ku niemu pięści, krwawiące z powodu zbyt mocno zaciśniętych więzów.

Biskup był nawet z siebie rad: miał jeszcze siłę protestować.

Wyciągnięty na słomie w głębi wilgotnej i ponurej groty, do której nigdy nie zaglądało słońce, biskup nestorianów z Dunhuangu był blady jak trup. Dla chrześcijanina takiego jak on, choćby nawet odszczepieńca, śmierć w imię wiary była łaską od Boga. Jednak on ze wszystkich sił nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby umrzeć jako męczennik, nie uściskawszy po raz ostatni ukochanej córki.

Od czasu gdy banda Tujue splądrowała biskupstwo, które wznosił własnymi rękami, przeszedł istną drogę krzyżową, a każda jej stacja okazywała się, niestety, straszniejsza od poprzedniej.

Po kilku tygodniach wyczerpującego marszu, w czasie których wleczone go ze związanymi nadgarstkami za koniem, jego wychudzone ciało budziło przerażenie. Siły opuszczały go z każdym dniem, a zainfekowane rany cuchnęły tak nieznosnie, że on sam zaczął się obawiać rychłego końca swej ziemskiej wędrówki.

Ponieważ banda opuściła Jedwabny Szlak, żeby udać się ku południowemu zachodowi przez okryte skąpą zielenią opustoszałe góry, nie mógł liczyć na współzucie innych podróżników, którzy mogliby ubłagać porywaczy, żeby traktowali go bardziej po ludzku.

Dotarli w końcu do obozowiska wodza Tujue, na brzegu rzeki. Kaled Chan z upodobaniem kazał zwać się Władcą Stepów i wszyscy na tym odludziu bali się jego gniewu.

Dość powiedzieć, że obóz króla nomadów był prawdziwą wioską namiotów z płótna i skór, której rozmiary nestoriański biskup mógł ocenić, spoglądając na nią z wysokiego urwiska, górującego nad równiną.

Do wschodnich Tujue zaliczano wtedy bardzo liczne plemiona, których przywódcy mieli się za wielkich władców, podczas gdy w rzeczywistości byli tylko małymi królikami, na tyle jednak pełnymi wojennego zapału, że mogli panować nad ogromnymi pustynnymi obszarami, gdzie pasterska ludność była łagodna jak hodowane przez nią owce.

Kaled Chan był wodzem plemienia Tujue liczącego około siedemdziesięciu rodzin, dzięki czemu było ono jednym z najważniejszych koczowniczych ludów, których budzący grozę jeźdźcy terroryzowali ludność terytoriów bezustannie anektowanych i porzucanych, w zależności od humoru, przez Chińczyków, Persów czy Sogdiańczyków.

W powietrzu unosił się charakterystyczny dla kuchni Tujue zapach zjełczałego masła i smażeniny. Po dwóch dniach nestorianina poprowadzono po raz pierwszy przed oblicze jego nowego pana, który obejrzał go dokładnie, jakby oceniał konia.

Jak inni wojownicy z jego plemienia, Kaled Chan nosił opadające wąsy i wiązał włosy w koński ogon. Jego masywną sylwetkę okrywał długi płaszcz z koziej wełny, a dziwaczna czapka z futra pantery śnieżnej podkreślała zwierzęcą dzikość, jaką odznaczał się jego wygląd.

Addai Aggai nie rozumiał jeszcze ani słowa z języka Tujue, nie wiedział więc, że stepowy królik słuchał właśnie z grymasem rozczarowania na twarzy wyjaśnień człowieka, który obmacał nestorianina, że jego sprzedaż na targowisku niewolników w Samarkandzie czy gdzie indziej nie przyniosłaby nawet tyle, żeby kupić jedwabną chustkę.

Następnego dnia plemię zwinęło obóz. Ponieważ koczownicy byli przyzwyczajeni do szybkiego składania namiotów w przypadku napaści rywalizujących band, nie trwało to długo. Uwijali się przy tym wszyscy, nawet kobiety i dzieci. Dobytek, łącznie z wychudłym ciałem Addaia Aggaia, załadowano na wozy i konwój ruszył żwawo w kierunku, który z uwagi na położenie słońca na niebie, biskup ocenił jako północny.

Reszta jego wędrowni, którą odbył związany na wozie zaprzężonym w muły, była dość monotonna. W zależności od humoru bandyci przenosili się z jednego obozowiska do drugiego, gdzie mogli równie dobrze spędzić dwa dni, co i kilka miesięcy. Popadłszy w bezpośrednią zależność od ich głównego wodza, nestorianin nie uważał, że jego położenie się polepszyło: pozostawał żywym towarem na łasce swego właściciela.

Z pewnością nie musiał już wlec się za koniem, jako że wciśnięto go między tłumoki z zapasami jedzenia, na wóz otoczony przez czterech jeźdźców, którzy nie spuszczali go z oka, odbierając mu wszelką chęć do ucieczki.

Pewnego pięknego ranka, rozbiwszy obóz pod osłoną niedostępnego urwiska, wszyscy nadający się do walki mężczyźni z plemienia opuścili obóz na swych „niebiańskich koniach”, pozostawiając biskupa w towarzystwie kobiet, starców i dzieci.

Po jakimś czasie Addai Aggai wywnioskował ze słów jednego

z najstarszych Tujue, że herszt dostał poufną wiadomość i wyruszył ze swymi wojownikami w kierunku Turfanu, „aby zawładnąć dużym zapasem jedwabiu będącego w posiadaniu świetlistego Kościoła”.

Skrupulatność, z jaką wojownicy ostrzyli swoje miecze i groty strzał, a potem sprawdzali cięciwy łuków, świadczyła wymownie o morderczych zamysłach władcy stepów.

Addai Aggai doszedł do wniosku, że tym razem Kaled Chan nie zamierza okazywać łaski, i wyobrażał sobie strapienie swego manichejskiego towarzysza, Napelnionego Spokojem, jeśli w ogóle ujdzie z życiem.

Po sześciu czy siedmiu miesiącach, które wydały się biskupowi wiecznością, owacyjnie witany Kaled Chan wrócił ze swymi ludźmi z wyprawy i zajrzał na chwilę do ponurej groty, w której jego więzień oczekiwał śmierci, prawdopodobnie po to, aby się upewnić, czy jeszcze żyje.

A jak władcy stepów udał się wypad do Turfanu? Czy znalazł tam to, na co liczył, czy też wrócił z pustymi rękami? Jego zadowolona mina mówiła, że polowanie nie poszło źle. Czy nestonański biskup, który gubił się w domysłach, mógł wiedzieć, że Tujue wraca z Palmyry, gdzie udało mu się sprzedać za ogromną sumę Nefrytowy Książyc?

— Powiedziano mi, że jesteś nestorianinem... — rzucił lekceważąco Kaled Chan.

Sposób, w jaki wymówił słowo „nestorianin”, rozśmieszył biskupa.

—Zgadza się. Wierzę w Jedyne Boga, którego syn, jak to opisał biskup Nestoriusz, nie miał boskiej natury.

—Opowiedz mi o twoim Jedynym Bogu. Czy chodzi o Boga proroka Mahometa?

—Znam tylko trochę tego proroka z Arabii. To, co wiem, pozwoliło mi jednak dojść do wniosku, że obaj wierzymy w tego samego, Jedyne i Wszechmocnego Boga — odparł Addai Aggai.

—Mój dziadek przeszedł na religię objawioną prorokowi przez Allacha i poprowadził plemię jego śladem. Ten wielki Bóg obejmuje wszystko. Wszystkie inne religie i całą resztę...

—Idea Jedyne Boga narzuca się wszystkim ludziom — przytaknął biskup, który zadawał sobie pytanie, dokąd tamten zmierza.

—Opowiedz mi o tym proroku, którego, jak mi się zdaje, zwą Chrystusem.

—Biskup Nestoriusz wprowadził rozróżnienie między Bogiem i Chrystusem. Sprowadziło to na mój Kościół wielkie kłopoty — odparł krótko coraz bardziej zakłopotany Addai Aggai.

Nie mając pewności, na jaki teren pragnie go wciągnąć rozmówca, postanowił opowiedzieć mu jak najogólniej o sporze dotyczącym boskiej natury Chrystusa, Syna Bożego, który to spór cztery wieki temu ściągnął na patriarchę Konstantynopola, Nestoriusza, ekskomunikę z wszystkimi jej konsekwencjami.

—Wiem... — rzekł z tajemniczą miną Kaled Chan, a potem dodał: — Nie jest mi nieznanym spór, który postawił Nestoriusz w konflikcie z hierarchią kościelną.

—Macie dużą wiedzę... — mruknął biskup, z trudem ukrywając zaskoczenie.

Skąd wódz plemienia Tujue, który robił wrażenie prostackiej kanalii, mógł się dowiedzieć o tej schizmie?

— Niestety, daleko mi do tego, żeby wiedzieć wszystko. Mogę ci na przykład wyjawiać, że brakuje mi zmysłu orientacji i często zdarza mi się mylić północ z południem! — wyznał Kaled Chan.

Słyszac to, biskup, któremu mimo żalosnych warunków zycie bez przenoszenia się z miejsca na miejsce pozwoliło odzyskać siły, powiedział sobie, że przy odrobinie szczęścia niebawem może odzyskać wolność.

Niestety, tak się nie stało.

Najwyraźniej Kaled Chan nie zamierzał go uwolnić, gdyż po tej zaskakującej wizycie nie kazał więcej przyprowadzać go przed swoje oblicze, żeby o cokolwiek go pytać.

Addai Aggai przypomniał sobie o zupie przyniesionej przez strażnika i wypił ją duszkiem. Od jakiegoś czasu zamiast ostrego bólu w trzewiach odczuwał zdrowy głód.

Następnego dnia wyniesiono go z grotu.

— Domagam się widzenia z Kaledem Chanem! — krzyknął do jednego ze strażników, którzy ponieśli go jak wiązkę chrustu i rzucili bez ceregieli na wóz zasłany skórami, które służyły koczownikom za namioty.

Odpowiedzieli mu wybuchem drwiącego śmiechu, upewniając się, czy jest dobrze związany, po czym go zakneblowali.

W ogłuszającym zgiełku, w którym ryki zwierząt i krzyki dzieci mieszały się ze skrzypieniem źle nasmarowanych osi i trzeszczeniem naciągniętych do ostateczności sznurów, karawana koczowników ruszyła w drogę.

Sądząc z położenia słońca, Tujue posuwali się na północ.

Przez kilka tygodni plemię przemierzało porośnięte trawą równiny, co pozwoliło „niebiańskim koniom” wzmocnić mięśnie. Potem znalazło się w dużo bardziej niegościnnych okolicach, kamienie były coraz mniejsze, znak, że pustynia jest niedaleko.

Dzięki geograficznej wiedzy Addai Aggai zaczął się obawiać, że Kaled Chan kieruje się ku straszliwej pustyni Takla Makan.

Na widnokregu ukazały się już pierwsze piaszczyste wydmy o charakterystycznym szarawym zabarwieniu, gdy konwój nagle stanął, a Kaled Chan zaczął pokrzykiwać, wysiadłszy z dwukołowego wozu, w którym wypoczywał.

Od swego przybycia do Dunhuangu biskup słyszał wiele przejmujących opowieści podróżników na temat straszliwej pułapki, jaką stanowił ten ogromny obszar piasku i kamieni,

omiatany wiatrami, które usuwały ślady zapuszczających się tu lekkomyślnych albo nieświadomych zagrożeń śmiałków. Kroniki chińskie z epoki Han określały ją mianem *liu sha*, czyli „ruchomego piasku”. Szlaki tego piekła podróżników, które należało za wszelką cenę okrążyć, znaczyły ludzkie i zwierzęce kości.

Latem było tak gorąco, że umierało się z pragnienia w mniej niż trzy godziny. Bezustannie przewalały się tu suche nawałnice, straszliwe *kara-buran*, w czasie których pioruny uderzały w najmniejsze wystające nad ziemię wyrzuszenia... Czarne niebo zdawało się wtedy łączyć z piaskiem wydm, a huragany unosiły chmury pyłu, porywając także kamienie, które mogły zabić muła.

Zimą lodowate wiatry zamieniały zwierzęta i ludzi w oszronione posągi, pożerane następnie przez wilki — gdy trupy ogrzały się pod działaniem promieni bladego słońca tej pory roku, w której niebo tylko rzadko zasłaniały chmury.

Nestorianin stwierdził więc z przerażeniem, że karawana zgubiła drogę.

Coraz bardziej zdenerwowany Kaled Chan wsiadł znowu na konia, najwyraźniej po to, aby znaleźć wyjście ze straszliwej strefy, do której trafili z powodu niewiedzy.

Wiatr zatarł już ich ślady tak dokładnie, że trudno było zorientować się w położeniu i Addai Aggai, który nie śmiał się wtrącać, odniósł przykre wrażenie, że wódz każe kręcić się swemu plemieniu w kółko.

Pewnego dnia zza piaszczystego wzgórza wyłonił się oddział wojowników i zagroził im drogę. Ubiory i proporce wskazywały, że to żołnierze chińskiej armii.

Addai Aggai przyglądał się z daleka rozmowie, jaka wywiązała się między chińskim żołnierzem, który wyglądał na dowódcę, i wodzem plemienia. Sądząc po zdecydowanych gestach dowódcy, odradzał on zapuszczanie się dalej. Nestorianin odniósł wrażenie, że Kaled Chan, utraciwszy poczucie wyższo-

ści, posłuchał rad, jakich tamten udzielił mu w trakcie przeciągającej się rozmowy.

I nie pomylił się; Kaled Chan istotnie wydał swym ludziom rozkaz zawrócenia, a chińscy żołnierze ruszyli przed zwiadowcami Tujue, tak jakby chcieli wyprowadzić plemię na znany teren.

Po dwóch dniach wyczerpanego marszu pod przewodnictwem Chińczyków koczownicy zatrzymali się w miejscu, w którym jak okiem sięgnąć ziały przepastne urwiska, niczym mury tajemniczej fortecy, nad którą w błękitach nieba krążyły z szeroko rozpostartymi skrzydłami drapieżne ptaki.

Biskup, który w ciągu tych dwóch dni nic nie jadł ani nie pił, był wyczerpany i nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie plemię się znalazło, gdy kazano mu zejść z wozu.

Tujue rozbili obóz u stóp skalnego muru podziurawionego grotami, w których w dzień i w nocy panowała jednakowa temperatura, o czym Addai Aggai mógł się przekonać na własnej skórze, bo już pierwszego wieczoru wrzucono go do jednej z nich.

Wszystkie jaskinie były podobne. Nigdy nie zaglądało do nich słońce, toteż mimo poprawy zdrowia biskup bardzo szybko stracił rachubę czasu.

Znów był w rozpacz. I jak to bywa, dobra nowina przyszła w chwili, gdy utracił wszelką nadzieję. Pewnego ranka zrozumiał, że coś w jego położeniu musiało się zmienić, gdy strażnik o rumianej twarzy podał mu kawałek ciasta z morelami. Rzucił się na nie łapczywie, jako że od miesięcy musiał się zadowalać obrzydliwą zupą z ciecierzycy.

Co mogło oznaczać to lepsze traktowanie?

—To dla ciebie za dobre! — rzucił złośliwie mężczyzna, gdy Addai Aggai zaczął pożerać przysmak.

—Jaki mamy dziś dzień? — spytał jak zwykle biskup, nie mając złudzeń, że otrzyma inną odpowiedź niż przekleństwo.

— To bez znaczenia! W każdym razie dzień będzie wspa-
niały, bo staniesz przed obliczem wielkiego Kaleda Chana! —
odpowiedział krótko strażnik, po czym odwrócił się na pięcie.

Addai Aggai miał ochotę rzucić mu się na szyję.

Parę chwil później wyprowadzono go z grotty. Oślepiło go
światło i omal się nie przewrócił na usianą kamieniami trawę.
Umyto go od stóp do głów i odwszono, kazano też zmienić
ubranie, miał więc trochę czasu, aby po początkowym uniesieniu
zastanowić się nad powodami tego nieoczekiwanego wezwania.

Jaką niespodziankę szykował mu Władca Stepów? Czy jego
męczarnia właśnie się kończy, czy też z ust Kaleda Chana
usłyszy wyrok śmierci?

Nestorianin z trudem ukrywał niepokój, znalazłszy się przed
obliczem wodza. Stwierdził jednak z ulgą, że ten uśmiecha się
do niego.

Rozciągnięte w uśmiechu usta, ukazujące białe zęby, kontra-
stowały z małymi złośliwymi oczkami tego człowieka, a jego
wąsy wydały się Addaiowi Aggaiowi jeszcze dłuższe i bardziej
opadające niż zwykle.

—Masz wiadomości o swojej jedynaczce? — spytał Kaled
Chan.

—Skąd wiecie, że Umara zaginęła?! — wykrzyknął Addai
Aggai.

—Lepiej znam twoje nieszczęścia, niż ci się wydaje. Pers
o imieniu Madżib opowiedział mi, w jakim popłochu
byłeś tego pamiętnego ranka, szukając jej w samym środku
pustyni Gobi, gdzie ponoć przysporzyło ci kłopotów
małeńkie źródło — odparł wódz Tujue.

—Oddałbym dziesięć lat życia, żeby zobaczyć ją choćby
przez chwilę!

—Czego ci potrzeba, żeby ją odnaleźć?

—Przede wszystkim wolności!

—W związku z tym mam dla ciebie pewną propozycję.

—Słucham. — Biskup był bliski omdlenia.

—Pewien arabski ambasador wiezie właśnie młodą Chinkę z Palmyry do Chang'anu. Moi zwiadowcy donieśli mi, że niedawno minęli Dunhuang. Jeśli zdołasz doprowadzić go do mnie, staniesz się człowiekiem wolnym, który będzie mógł swobodnie szukać swojej córki. Nie możesz nie wiedzieć, że uwielbiam kobiety... — wyjaśnił Kaled, podkreślając ostatnie słowa wymownym mrugnięciem okiem.

—To duży konwój?

—Liczy osiem wielbłądów i tyluż podróżnych, w tym oczywiście jedną kobietę!

—Czy chodzi o zakładnika wysokiej rangi, jakich cesarstwa wymieniają między sobą, żeby uniknąć wojny?

—To zwykła plebejuszka bez żadnej wartości. Co pewne, to to, że jest Chinką, do tego bardzo ładną. Ma na imię Nefrytowy Księżyc.

—Co byście powiedzieli, gdybym poważnie podszedł do sprawy? — zapytał biskup, który z jednej strony zadawał sobie pytanie, gdzie słyszał to imię, a z drugiej, co mogła kryć ta dziwna propozycja.

—Ja nie żartuję! Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł przejąć tę młodą kobietę — oświadczył tajemniczo wódz Tujue.

—Dlaczego obdarzacie mnie aż takim zaufaniem?

—Nestoriański biskup dotrzymuje słowa...

Addai Aggai, który podejrzewał, że to pułapka, pilnował się, żeby nie zapytać rozmówcy, w jaki sposób ma porwać młodą Chinkę, sam, bez niczyjej pomocy.

Podjąłby się wszystkiego, żeby tylko uciec tym dzikusom!

—Jestem gotowy udać się tam od razu. Wystarczy wskazać mi drogę. Jeśli jednak grupa minęła już Dunhuang, to obawiam się, że nie zdołam jej dopędzić! — wykrzyknął gorączkowo Addai Aggai, w którym nagle zbudziła się szalona nadzieja.

—Powierzę ci Szybkiego jak Błyskawica, to jeden z naszych najlepszych „niebiańskich koni”. Mknij jak strzała.

—Ledwo umiem utrzymać się na koniu... — wyrwało się biskupowi.

—Pomimo rasy i temperamentu Szybki jak Błyskawica jest łagodny jak baranek.

Kaled Chan nie kłamał: nestorianin bez trudu dosiadł Szybkiego jak Błyskawica, którego przyprowadził jeden z masztalerzy.

Koń o lśniącej gniadej sierści i płomienistej grzywie był nie tylko piękny i żwawy, ale także bardzo łagodny.

Po tylu miesiącach niewoli Addai Aggai doświadczył ogromnej przyjemności, gdy trącił lekko piętami boki zwierzęcia, żeby pobudzić je do lekkiego truchtu, i poczuł na twarzy lekki wiaterek, niczym podmuch wolności!

Przed jego oczami rozciągał się krajobraz usiany skałami, na których nie było żadnej roślinności, ale które wydały się mu uspokajające jak zieleniąca się łąka.

Kaled Chan szczegółowo objaśnił mu, jak jechać: wystarczyło trzymać się kamienistej dróżki, która pozwalała po dwóch dniach jazdy dotrzeć do Jedwabnego Szlaku, a tam rzucić się w pogoń za ośmioma wielbłędami, poruszającymi się dużo wolniej niż Szybki jak Błyskawica.

Wieczorem pierwszego dnia Addai Aggai zatrzymał się na brzegu wyschniętego strumienia, w którego łożysku wyrosło po ostatnich deszczach trochę trawy. Wciąż pełen euforii zsiadł z konia, a odwróciwszy się, dostrzegł dwóch konnych, którzy pospiesznie skryli się pod urwiskiem, żeby ich nie zauważono.

Jest śledzony!

Wyrzucał sobie, że tak naiwnie wziął za dobrą monetę propozycję Kaleda, zbyt piękną, aby była uczciwa. Znalazł się na łasce dwóch Tujue, którzy w każdej chwili mogli go uśmiercić.

Z tych przykrych rozmyślań wyrwały biskupa podmuchy zapowiadające burzę piaskową. Niebo nad jego głową nagle pociemniało i dały się słyszeć ponure pojękiwania wichru.

Hałas prędko stał się nie do zniesienia, a Addai Aggai z trudem trzymał otwarte oczy, tak silne były uderzenia piasku. Szybki jak Błyskawica strzygł uszami, co było znakiem, że się boi. Ze stromych zboczy, między którymi wiła się droga, zaczęły się zsuwać najpierw kamyki, potem spore kamienie, a w końcu coraz większe odłamki skał.

Stanie w miejscu oznaczało pewną śmierć. A zresztą, jeśli sądzić po ogromnym stosie kamieni, które zwały się dokładnie tam, gdzie schowali się dwaj szpiedzy, musieli zostać zmiażdżeni razem z końmi.

Jednak Addai Aggai wcale się tym nie przejmował. Jadąc po omacku w tumanie piachu, próbował wy dostać się z kamienistej pułapki.

Wiedział, że jest to kwestia życia lub śmierci.

Nieco na lewo zdołał dojrzeć ciemną plamę, odcinającą się na tle szarego zbocza góry. Mogła to być szeroka szczelina, która utworzyła się w urwisku. Przyklejony do ściany, chwając się pod gwałtownymi podmuchami, oślepiiony piaskiem zasypującym mu twarz, zdołał chwycić cugle wierzchowca i skierować go w tamtą stronę. Chciał jak najprędzej ukryć się przed piaszczystą nawałnicą i deszczem kamieni.

Dotarłszy tam, stwierdził z ulgą, że to skalna szczelina, w której mógł się schronić razem z koniem.

Burza szalała przez niekończące się godziny i była coraz gwałtowniejsza. Zrobiło się ciemno jak po zapadnięciu nocy. Potem stopniowo wiatr ucichł i pył opadł na ziemię. Oczom biskupa ukazał się monotony krajobraz gór i skalnych ospisk.

Naraz usłyszał rzenie konia. Aż podskoczył z wrażenia. Nie mógł to być Szybki jak Błyskawica, który stał tuż obok.

Po chwili z sąsiedniej groty wychynął inny koń oraz osobnik pokryty od stóp do głów piachem.

Nestorianin zacisnęła pięści na widok tej postaci. Przywiodła mu na myśl żonę Lota, zamienioną według biblijnej opowieści

w słupek soli za to, że obejrzała się, aby popatrzeć na Sodomę i Gomorę, na które Bóg zesłał płomienie. Posąg nie tylko się ruszał, ale nawet otrzępywał z kurzu!

—Ulik... coś takiego! Co za niespodzianka! — wykrzyknął Addai Aggai, rozpoznając młodego perskiego tłumacza.

—Zaskoczyła mnie nawałnica. Miałem tylko tyle czasu, żeby się tu ukryć...

—Ja też. Wyglądamy jak dwa upiory! Co się stało, że nie jesteś z Madżibem?

—Postanowiłem go opuścić. Chodziło mi to po głowie od dłuższego czasu. Madżib robił się coraz bardziej gwałtowny. Mieliśmy zawrócić do Persji, gdzie odnalazłbym moich bliskich, ale on znowu zmienił zdanie. Nie miałem ochoty iść za nim nie wiadomo dokąd. Dość mam błędzenia po drogach w poszukiwaniu, jak on to mówi, „okazji”, których jak nie było, tak nie ma!

—Dokąd chcesz się udać, Uliku?

—Nie jestem pewny... A ty?

—Próbuję dogonić młodą Chinę o imieniu Nefrytowy Księżyc, którą ambasador jakiegoś zachodniego królestwa wiezie do Chang'anu. Kaled Chan z plemienia Tujue obiecał, że mnie uwolni, jeśli mu ją przyprowadzę. Uznałem, że skórka warta jest wyprawki. Bo nie wydaje mi się, żebym odnalazł moją Umarę, siedząc w grocie, do której nigdy nie zagłęda słońce.

—Od kilku tygodni wciąż słyszę o karawanie wielbłądów, której przywódca rozdaje kadzidlany proszek, gdy tylko zawita do oberży! Według tego, co mówią, młoda kobieta jest księżniczką Han.

—Wszystko, co opowiadasz, jest zgodne z prawdą, tyle że Nefrytowy Księżyc to plebejuszka! Tak przynajmniej twierdził Kaled Chan.

—Prowadzący karawanę, który przedstawia się jako ambasador pełnomocny, mówi jednak o tej młodej kobiecie, że

jest księżniczką z rodu spokrewnionego blisko z rodziną cesarza. Twierdzi, że po przybyciu do Chang'anu zostanie bez żadnych trudności przyjęty przez samego Gaozonga — odparł zdziwiony perski tłumacz.

—Ten Arab się myli. Ktoś musiał go oszukać. Doskonale pamiętam, że Kaled Chan na pewno użył określenia „plebejusz-ka”, i nie wyglądało na to, żeby żartował czy kłamał.

—Kłamstwo czy nie, to dla mnie mało ważne — uciął Ulik. — Marzę o tym, żeby dotrzeć do środkowych Chin i dostać chińskie obywatelstwo! Mam dość towarzystwa potępieńców, których najeźdźcy wypędzili z kraju i muszą teraz szukać gdzieś schronienia. Nie odpowiada mi los ofiary. A w Chinach znam kogoś, kto pomoże mi stanąć na nogi.

Młody Pers miał na myśli Pięć Zakazów, którego imienia postanowił na wszelki wypadek nie wymieniać, żeby nie zaszkodzić przyjacielowi.

Biskup nestorianów nie wątpił w szczerść młodego Persa, pragnącego skończyć z wegetowaniem na służbie Madżiba, który był naprawdę podłym osobnikiem.

—Nie wiedziałem, że chińska administracja tak łatwo daje obywatelstwo.

—Daje je tylko w uznaniu za usługi dla narodu chińskiego. Będę więc musiał znaleźć sposób na przekonanie władz, że jestem godzien obywatelstwa Han! Spróbuję. Pomoże mi przyjaciel mieszkający w Luoyangu. To jeden z najbystrzej szych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. W mojej obecnej sytuacji nie mam wiele do stracenia... Gdybyś się zgodził, moglibyśmy połączyć nasze siły i razem dotrzeć do Chang'anu.

—Czemu nie? We dwóch łatwiej nam będzie pokonać niezliczone niebezpieczeństwa na drodze. Błogosławię mojego Jedynego Boga, że zesłał tę burzę piaskową. Dzięki niej natknąłem się na ciebie, a za to ludzie, których Kaled Chan posłał moim śladem, zginęli pod kamienną lawiną — odparł z entuzjazmem ojciec Umary.

—Wódz Tujue kazał cię więc śledzić?

—Jestem o tym przekonany. Dwaj konni, którzy jechali za mną i próbowali się ukryć, kiedy się obejrzałem, z pewnością nie znaleźli się tu przypadkiem...

—Widziałeś, jak sypały się na nich kamienie?

—Dokładnie tam, gdzie przycupnęli, zsunęła się kamienna lawina, która prawdopodobnie ich pogrzebała.

—Uwolniłeś się więc od nich! Ruszamy! Im prędzej do-
trzymamy do najbliższej oberży na Jedwabnym Szlaku, tym
lepiej się poczujemy! — wykrzyknął Ulik.

—Popatrz tylko, Uliku, nawet niebo nam sprzyja! — odrzekł
biskup, ściskając serdecznie młodego Persa.

Gdy po niezliczonych burzach piaskowych na obrzeżach
Takla Makan nadchodziła pora zmierzchu, a wiatr uspokajał
się jak za sprawą cudu, niebo przybierało zawsze odcień
subtelnej mieszaniny zieleni i pomarańczy, którą lizały czer-
wonawe odbłaski promieni słońca, kończącego swoją dzienną
drogę.

Trzy dni potem dotarli do Minfengu, roześmianego miasta,
w którego winnicach wytwarzano bardzo dobre wino.

—Musimy teraz znaleźć oberżystę, który zgodzi się wynająć
nam izbę za jeden albo dwa brązowe taele. Jest za zimno,
żeby spać na dworze — zauważył Addai Aggai, który nie
miał przy sobie ani grosza.

—Mam małe oszczędności. To uczciwie zarobione pienią-
dze. Madżib kiepsko opłaca swoich ludzi... Te monety mają
przynajmniej wartość srebra, z którego je wybito, a na
Jedwabnym Szlaku nie brakuje wag — zażartował Ulik,
wyjąwszy zza pasa skórzaną sakiewkę.

W końcu natrafili na zajazd z odrapaną fasadą, która wróżyła
niskie ceny za izbę.

— Nie przyjmę was, jeżeli nie zapłacicie z góry! — oświad-
czył właściciel, mały człowieczek o twarzy pomarszczonej jak
skórka wysuszonej moreli.

Pers wręczył oberżyscie dwie monety, a ten natychmiast wsunął je do kieszeni. Potem wyjaśnił im, że mają też prawo do miski gorącej zupy, podawanej w jadalni na dole, pomieszczeniu zasnutym kłębamii dymu z długich fajek, które paliła większość siedzących przy stołach klientów.

Pod koniec posiłku gospodarz podszedł do nich znowu i szepnął im do ucha:

—Jeżeli brakuje wam pieniędzy na podróż do środkowych Chin, bo jak przypuszczam, tam właśnie jedziecie, mam dla was interesującą propozycję...

—Mów! — rzucił Ulik.

Oberżysta poprowadził ich z tajemniczą miną na podwórkę za głównym budynkiem, przy którym stała szopa. Wepchnął ich do środka, a potem dokładnie zamknął drzwi.

—Jest tu dość towaru, żeby zaopatrzyć Chang'an -w *yapian** na trzy miesiące. Tamtejsi klienci są nań coraz bardziej łasi. *Yapian* leczy gorączkę i pomaga wypocząć. Jeżeli chodzi o mnie, to nie mogę się bez niego obejść! — powiedział, wskazując drewniane skrzynie stojące jedna na drugiej.

—Skąd ten towar pochodzi? — zapytał Addai Aggai, nigdy bowiem nie słyszał o tym ekstrakcie maku, kilka lat wcześniej przywiezionym do Chin przez tureckie karawany. Jego lecznicze właściwości sprawiły, że na zachód od Gansu i w Yunnanie roślinę tę zaczęli uprawiać chińscy chłopci, pragnący zwiększyć swoje dochody.

—Dostarcza mi go kupiec z Arabii. W Chang'anie mam bardzo uczciwego sprzedawcę. Człowiek ten jest zbyt chory, żeby przyjechać po kolejną partię towaru. Mam z tym wielki kłopot! Jeżeli zgodzicie się zawieźć *yapian* do Chang'anu, dam każdemu z was po dziesięć srebrnych taeli!

—Ten twój sprzedawca to pewny człowiek? — zapytał biskup.

* *Yapian* — chińska nazwa opium.

—Okrągłe Lico jest zawodowcem, z którym współpracuję od prawie piętnastu lat. Zawsze płacił mi co do grosza i nigdy nie potrafił z naszych rachunków nawet połówki brązowego taela.

—Czy chińskie władze zezwalają na handel tym towarem?
— dopytywał się Addai Aggai, chcąc wiedzieć, na co się porywa.

—Państwo nie ma monopolu na *yapian*, natomiast my wolimy robić to tak, żeby uniknąć podatków od kupna i sprzedaży — wyjaśnił cichym głosem oberżysta.

—Sprzedajesz go więc nielegalnie... Znam to — oświadczył biskup, który wiedział, o czym mówi.

—Podatki są za wysokie. Nie ma w Państwie Środka kupca, który nie byłby po trosze oszustem. Narzuca to system. Ani ty, ani ja nic na to nie poradzimy!

—Okrągłe Lico dużo ryzykuje, jeśli ten proceder został odkryty...

—Mamy trudny do wykrycia sposób dostarczania towaru — rzekł tajemniczo handlarz opium.

—Możesz nam powiedzieć jaki?

—Oczywiście! Powiedzcie mi tylko, że przyjmujecie moją propozycję! Podniosę zapłatę do dwunastu taeli na głowę, które wręczy wam w Chang'anie Okrągłe Lico!

—Ja się zgadzam! Pod warunkiem że każdy z nas dostanie dwadzieścia taeli, z czego połowę od razu. Bo inaczej nie będziemy nawet mogli w czasie podróży zatrzymać się na noc w zajeździe! — odrzekł Ulik.

Addai Aggai nie pisnął ani słówka, zostawiając negocjacje towarzyszowi.

Nie miało dla niego znaczenia, że będzie wioził aż do środkowych Chin *yapian* czy jakikolwiek inny towar. Pragnął jedynie cieszyć się odzyskaną wolnością i jak najprędzej dotrzeć do Chang'anu, gdzie miał nadzieję zdobyć wiadomości o Umarze.

Ulik i oberżysta szybko dobili targu, godząc się na osiemnaście taeli na głowę.

—Gdy dotrzecie do Chang'anu, wystarczy, że udacie się do konfucjańskiej Świątyni Bardzo Sprawiedliwego Środka i spokojnie zaczekacie przed brązowym posągiem Konfucjusza, aż przyjdzie ktoś i da wam znak. Mechanizm jest wyregulowany jak w wodnym zegarze! — zapewnił ze znaczącą miną oberżysta.

—Zgadza się — oświadczył poważnie Addai Aggai, odpowiadając na pytające spojrzenie swego towarzysza.

—Dam wam dwukołowy wóz i dwa muły. To w zupełności wystarczy, żeby przewieźć dwanaście skrzynek, na które czeka Okrągłe Lico. Na przejściach celnych dacie celnikom garść pigułek z *yapianu*, a oni przepuszczą was bez problemu...

Gdy po dobieciu targu wrócili do jadalni, uzgodniwszy, że wyruszą z towarem bez zwłoki, ani Ulik, ani nestorianin nie zwrócili uwagi na trzech Chińczyków, którzy uważnie im się przyglądali.

Ich pozbawione jakichkolwiek insygniów ubrania wskazywały, że są kupcami, jakich tysiące przewijały się przez długą handlową wstęgę Jedwabnego Szlaku.

Czy dwaj uciekinierzy mogli się domyślać, że znaleźli się pod obserwacją tajnej policji prefekta Li?



_____ Kaszgar f

^N Dunhuang Luoyang

~~~~~ Chang'an

Peszawar

GÓRY KRAINY ŚNIEGÓW •

- Lhasa
- Klasztor Samye

## 8

### *Oaza Kaszgar na Jedwabnym Szlaku*

Odnalezienie psa, nawet tak dużego jak Lapika, pośród piętrzących się stert towaru, które zagradzały przejścia, blokując drogę tłumowi klientów poszukujących dobrego interesu, było prawie niemożliwe.

—Obawiam się, że ukradł ją któryś z tych podejrzanych handlarzy! — jęknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, przyglądając się bezradnie niezliczonym ladom i kramikom ogromnego karawanseraju, który służył w Kaszgarze za targowisko, kiedy pora zimowa nie pozwalała na handel pod gołym niebem.

—Zawsze widzisz wszystko w ciemnych barwach, Szlachetna Ośmioraka Ścieżko! Sprawdźmy jeszcze raz. Jestem pewny, że

nawet jeśli ktoś zamknął ją w klatce albo w jakiejś komórce, suka zacznie ujadać, kiedy poczuje nasz zapach — zaproponował Oręż Prawa, który nigdy się nie poddawał, bez względu na okoliczności. —Nie widzę powodu, dla którego miałbym widzieć świat na różowo... Wracamy z wyprawy bez najmniejszej relikwii, wieziemy za to przerażającą wieść o śmierci Buddhabadry.

Wspólnota Jedynej Dharmy rozgniewa się, kiedy usłyszy to, co mamy jej do powiedzenia — westchnął smutno Ośmioraka Ścieżka.

—Popatrz tylko! Nie mówiłem? Nigdy nie wolno się poddawać! — wykrzyknął Oręż Prawa, gdy nadbiegłszy nie wiadomo skąd, Lapika stanęła na tylnych łapach, żeby polizać go po twarzy.

—Jestem zbyt wielkim pesymistą! To mnie w końcu zgubi — przyznał turfańczyk.

—Od tej pory po przybyciu do oazy będziemy ją trzymali na smyczy. Ta suka jest nie tylko odważna, ale wyjątkowo dobra. Nasza *sangha* będzie szczęśliwa, przyjmując ją do siebie.

—Nie wynagrodzi braku świętego białego słonia...

—Prześń się zadręczać. Ważne, żeby nigdy nie tracić nadziei. Pomyśl o niebezpieczeństwach, jakich uniknęliśmy. Mało jest takich, którzy wracają z Krainy Śniegów cali, a nawet żywi — zauważył Oręż Prawa, który coraz gorzej znosił ponury nastrój, w jaki łatwo wpadał jego towarzysz.

W miejscu zwanym Kamienną Wieżą weszli w pierwsze łańcuchy Pamiru. Kamienista ścieżka wiła się wzdłuż szmaragdowozielonego jeziora, którego wody były tak zimne, że można było zanurzyć w nich nie więcej niż czubek palca u nogi. Oręż Prawa zaczął omawiać ze swoim towarzyszem postawę, jaką należało przyjąć wobec Klejnotu Doktryny, którego zdrada poskutkowała zniszczeniem pokątnego warsztatu wytwarzającego jedwab, a także deportacją do Chang'anu.

—Chciałbym, żeby drogo zapłacił za podłość, która zaprowadziła naszych przyjaciół do więzienia! — wykrzyknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Przekonajmy się najpierw, czy wrócił do Peszawaru — odparł Oręż Prawa, ciekaw, jak zareaguje jego towarzysz.

—Draniom zawsze szczęście sprzyja... Kiedy pada, chodzą między kroplami, podczas gdy uczciwych ludzi deszcz moczy

do suchej nitki — zażartował Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, cytując stare turfańskie powiedzonko.

Gdy po kilku tygodniach ujrzeni w oddali Klasztor Jedynej Dharmy, nie domyślali się nawet, jak wiele zmieniło się w nim podczas ich nieobecności.

Przede wszystkim, niezgodnie z panującym tu zwyczajem, nie było żadnego poruszenia, choć z pewnością zauważono dwie sylwetki, które schodziły z przełęczy, jak wszyscy podróżni przybywający z Krainy Śniegów albo z Chin. Nie posłano ani jednego nowicjusza, nawet spośród najmłodszych, żeby czatowali na wieżyczkach, żaden mnich nie obchodził też murów.

Gdy dwaj mnisi weszli przez główną bramę klasztoru, tę samą, przez którą wychodził biały słoń podczas Wielkiej Pielgrzymki, stwierdzili zaskoczeni, że mnisi, których znali od niepamiętnych czasów, ledwie rzucają im „dzień dobry”. Nie oczekiwano ich przybycia, a to oznaczało, że nie są tu mile widzianymi gośćmi.

Zbliżyli się do małej grupki nowicjuszy zamiatających główny dziedziniec.

—Co tu się dzieje? — zapytał Oręż Prawa. — Skąd taka obojętność? Sądziłem, że wszyscy ucieszą się na nasz widok.

—Nieocenionym Przełożonym Klasztoru Jedynej Dharmy został Klejnot Doktryny. W związku z tym obawiam się, że nie ma tu miejsca dla ciebie! — odparł jeden z chłopców, nie racząc nawet na niego spojrzeć.

—Ależ to niemożliwe! Dopóki *sangha* nie dowie się, jaki los spotkał Buddhabadrę, żaden z nas nie może go zastąpić! — wykrzyknął turfańczyk.

Oręż Prawa zauważył kilku starszych mnichów, którzy narażali się przy wejściu do jednej z sal modlitewnych, wychodzącej na ogromny żwirowany dziedziniec.

Wszyscy rzucali Orężowi Prawa ponure i twarde, a niektórzy otwarcie wrogie spojrzenia. Świadczyły one wyraźnie o intrygach Klejnotu Doktryny.

—Nie pytacie nawet, jak udała się wyprawa, którą podjęliśmy przecież wyłącznie w waszym interesie! — powiedział Oręż Prawa, urażony ich postawą.

—Już na ciebie nie czekamy! Nieoceniony Przełożony wyjaśnił nam, że spoglądałeś raczej w stronę Chin niż Pesza-waru, i w tych okolicznościach, jak w przypadku Buddhabadry, było mało prawdopodobne, że tu wrócisz! — wyjaśnił jeden z mnichów, podczas gdy inni wpatrywali się z zakłopotaniem w ziemię.

—Gdzie jest Klejnot Doktryny? Muszę z nim pomówić! — zapytał głucho Oręż Prawa.

—Jestem pewny, że mieszka już w celi Buddhabadry! — wykrzyknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, poruszony tym, co usłyszał.

—Klejnot Doktryny przejął wszystkie obowiązki Buddhabadry. To normalne, że zamieszkał w jego izbie! — odparł obrażonym tonem mnich nieco starszy od innych.

—A co by się stało, gdyby Buddhabadra wrócił? Czy przewidzieliście skutki decyzji niezgodnej z podstawową regułą *sanghi*, mówiącą, że przełożony klasztoru pozostaje nim do końca życia i tylko śmierć może go pozbawić jego funkcji? — zapytał Oręż Prawa.

Słyszac te słowa, mała grupka rozeszła się powoli do swoich izb. Wszyscy mieli miny dziecka przyłapanego na psocie.

Nie tracąc ani chwili, Oręż Prawa poszedł zapukać do drzwi dawnej izby Buddhabadry.

—Ty tutaj! Co za miła niespodzianka, mój drogi Orężu Prawa — odezwał się uzurpator, mając jednak nieco zaskoczoną minę na widok nieoczekiwanego gościa.

—Nie przypuszczałeś, że jeszcze mnie zobaczysz? Myślałeś pewnie, że pogrzebano mnie w mogile dla przestępców, gdzieś w środkowych Chinach! Odczuwam tylko pogardę dla tego, co zrobiłeś! Postępując w ten sposób, powodowany chęcią zemsty,

naraziłeś na deportację niewinnych ludzi, którzy gniją teraz w chińskich więzieniach — rzucił mu w twarz Oręż Prawa.

—Zrobiłem to w interesie *sanghi* Jedynej Dharmy! — odparł z hardą miną mnich, który nie zawahał się donieść na pomocnika Buddhabadry gubernatorowi chińskiemu w Turfanie.

—Obyś się odrodził w ciele owada, który skończy w żołądku ptaka! — syknął Oręż Prawa, gotowy podnieść rękę na niegodziwca.

—Nie mamy sobie nic do powiedzenia! — uciął w odpowiedzi Klejnot Doktryny, potrząsając dzwonkiem z brązu, którego rączka przedstawiała współczującego bodhisattwę Awa-lokiteszwę.

Do izby, w której Buddhadra i jego liczni poprzednicy zdecydowali o losach Klasztoru Jedynej Dharmy, wpadło natychmiast dwóch dobrze zbudowanych nowicjuszy.

—Ci dwaj hinajaniści, hinduscy adepci sztuki walki, odprowadzą cię do twojej izby — oznajmił groźnie Klejnot Doktryny.

—Jestem dorosły i mogę udać się tam sam! — rzucił wściekle Oręż Prawa i zatrasnął za sobą drzwi.

—Na próżno rozmawiałem z kilkoma naszymi braćmi. Wspólnota Jedynej Dharmy powierzyła swój los Klejnotowi Doktryny! Jesteśmy tu intruzami — szepnął zapłakany Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, który czekał na korytarzu.

Oręż Prawa dał mu znak, żeby zamilkł, ponieważ po korytarzu chodzili tam i z powrotem mnisi rzucający im wrogie spojrzenia.

—Niestety, masz rację, on jest bardzo sprytny — westchnął, zamknąwszy drzwi swojej izby, której jakimś cudem nie zajął jeszcze nikt inny. — Wszystko, co tu się dzieje, stawia mnie w dziwnej sytuacji — dodał.

—Nasza obecność musi zawstydząć tego uzurpatora...

—Nie spodziewał się, że wrócimy, i z pewnością coś knuje.

—Orężu Prawa, czy jesteśmy w niebezpieczeństwie?



—Możliwe. Im prędzej wyruszymy w drogę powrotną do Chang'anu, żeby spotkać się z lamą Gampo, tym lepiej dla nas.

—Nic już nas tu nie trzyma. Jeśli sobie życzysz, możemy wyruszyć jutro.

—A gdzie Lapika? — spytał zaniepokojony nagle Oręż Prawa.

—W psiarni, gdzie jest dobrze traktowana. Opiekun psów to mnich o dobrym sercu. Masz niespokojną minę...

—Zachowuję czujność, to wszystko. Tej nocy dobrze zamknę drzwi mojej izby i zachęcam cię, żebyś zrobił to samo.

Oręż Prawa zasnął dopiero o świcie, zastanawiając się nad postępowaniem Klejnotu Doktryny i rozmyślając o niewdzięczności braci, którzy nie wahali się go zdradzić, podczas gdy on usilnie starał się wydobyć klasztor z kłopotów, w jakich pogrążył go Buddhabadra.

Śniło mu się właśnie, że Klejnot Doktryny stanął przed Błogosławionym, który wypominał mu cichym, ale stanowczym głosem niegodziwe postęпки wobec Oręża Prawa, gdy zbudziły go powtarzające się, głuche odgłosy.

Otworzył oczy i zorientował się, że ktoś dobija się do drzwi izby. Uchylił je nieufnie. Był to tylko Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, który wstał o świcie, żeby stanąć na straży przed izbą towarzysza.

—Na korytarzu czeka jubiler, który powiedział mi, że przychodził tu wiele razy w czasie twojej nieobecności — oznajmił.

—Jestem zmęczony i nie chcę nikogo widzieć! Powiedz temu człowiekowi, że się pakuję — odburknął Oręż Prawa, którego ściągnięta twarz świadczyła o napięciu i niewyspaniu.

—On nalega. Twierdzi, że ma bardzo ważną sprawę i że nie będziesz żałował, jeżeli wysłuchasz, co ma do powiedzenia.

—Każ mu więc wejść! Gdyby ktoś chciał się ze mną zobaczyć podczas rozmowy z tym człowiekiem, liczę na to, że

go nie wpuścisz — rzekł w końcu znużony naleganiem pomocnik Buddhabadry.

Wprowadziwszy jubilera, Szlachetna Ośmioraka Ścieżka posłusznie stanął przed drzwiami izby.

Sądząc po czasie trwania rozmowy, gość musiał mieć wiele do opowiedzenia.

Gdy po odejściu rzemieślnika Szlachetna Ośmioraka Ścieżka wszedł do celi Oręża Prawa, stwierdził, że ma on minę wyrażającą satysfakcję i zaskoczenie.

—Co ci jest? Daleko ci do zwykłej równowagi... W tej celi nie da się oddychać! Musiałeś spalić w nocy za dużo kadzideł! — wykrzyknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—To nic takiego... Prawdopodobnie tylko zmęczenie podróżą! — odparł w zamyśleniu Oręż Prawa.

—I pewnie także rozczarowanie postawą naszej *sanghi*, która zamiast ciebie wybrała twójego największego wroga. Czy mam rację, Orężu Prawa?

—Masz. Klejnot Doktryny jest doskonałym mówcą, a moje przedłużające się wyprawy poza klasztor przekonały w końcu mnichów, że nie jestem najbardziej godnym zaufania członkiem wspólnoty — przyznał z roztargnieniem Oręż Prawa.

—Te wyprawy miały jednak na celu interes naszych braci. Widocznie nie potrafili tego pojąć. Klejnot Doktryny musiał zaszczyć zwątpienie w ich sercach. Wiesz, że głosi on nieufność względem dwóch pozostałych buddyjskich szkół? Rozważa się już kwestię odmawiania przez Jedyną Dharmę gościny chińskim wyznawcom mahajany, którzy przechodzą tędy, pielgrzymując do miejsc, w których żył Błogosławiony — wyjaśnił Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Ta nowa praktyka trochę mnie dziwi i jest karygodna. Zamykanie się na innych zawsze zapowiada upadek! — mruknął Oręż Prawa.

—Czy to, co ci powiedział jubiler, który tak pragnął się z tobą zobaczyć, było interesujące?

— Bez wątpienia... Naopowiadał mi mnóstwo niestworzonych rzeczy.

Mimo iż turfański mnich pragnął dowiedzieć się więcej, zrozumiał, że niczego już nie wyciągnie ze swego towarzysza.

—Kiedy wyruszymy?

—Im prędzej, tym lepiej — odparł Oręż Prawa, zawiązując płócienną torbę.

—W takim razie idę do psiarni po Lapikę.

—Pójdziemy razem. W ten sposób stracimy mniej czasu. Spokój, jaki tu panuje, nie zapowiada niczego dobrego...

Nie przypuszczał, jak trafnie określili sytuację. Już po kilku krokach zobaczyli, że z końca długiego korytarza zmierza ku nim Klejnot Doktryny w asyście dwóch roślących mnichów.

Rozwścieczeni, zbliżał się energicznym krokiem, wymachując rękami.

—Wróćmy lepiej do mojej izby! Tam będziemy bezpieczniejsi — szepnął Oręż Prawa, pociągnąwszy za sobą turfańskiego mnicha, a potem prędko zaryglował drzwi od wewnątrz.

—Otwieraj, Orężu Prawa, musimy porozmawiać! — krzyknął Klejnot Doktryny, waląc w drzwi.

—Jeśli zdoła się tu wedrzeć, będzie po nas! — jęknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—I ja tak myślę.

—A gdybyśmy wymknęli się oknem?

—Wyjąłeś mi to z ust...

Okno położonej na parterze izby wychodziło, podobnie jak inne, na podwórko, które można było opuścić wąskim przejściem. Wskoczyli bez trudu i puścili się biegiem.

—Prędko, do psiarni! — rzucił Oręż Prawa.

—Czy nie stracimy przez to zbyt dużo cennego czasu?

—W żadnym wypadku nie możemy zostawić Lapiki temu niegodziwcowi!

W szopie położonej tuż obok stajni dla słoni panował nieopisany rozgardiasz. Stały tam rzędem klatki i kojce, w których

mnisi umieszczali psy podróżnych, ponieważ nie wolno było zabierać ich do izb.

—Ten twój wściekły pies ugryzł już dwóch nowicjuszy! — wykrzyknął opiekun psiarni, mnich o imponującej tuszy.

—Gdzie Lapika? — zapytał Oręż Prawa.

—W głębi przejścia. Zachowuje się jak dzikie zwierzę.

—Idę po nią.

—To niemożliwe, człowiek przechowujący klucze od klatek przed chwilą wyszedł.

Oręż Prawa pragnął czym prędzej uciec przed Klejnotem Doktryny i serce ścisnęło mu się na myśl o tym, że będzie musiał opuścić klasztor bez ukochanego psa. Wtem za plecami usłyszał hałas.

Był to Klejnot Doktryny, który wpadł do środka, wrzeszcząc na całe gardło, tym razem w towarzystwie sześciu mnichów. Wszyscy trzymali w rękach potężne sękaty pałki, jakimi pustelnicy spędzający długie okresy w górach bronią się przed atakami śnieżnych panter.

—Zatrzymajcie ich! Nie pozwólcie im wyjść! Ci dwaj mnisi są niebezpieczni! Zamierzają dokonać zamachu na jedność tej wspólnoty! — wrzeszczał.

—Jesteśmy w potrzasku... —jękął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka. Oręż Prawa pociągnął go w głąb psiarni, żeby spróbować otworzyć klatkę z Lapiką.

Na jego widok Lapika rzuciła się ku niemu z radością, wydając głęboki pomruk, przypominający ryk lwa. Powstrzymał on na chwilę ochroniarzy Klejnotu Doktryny, którzy stanęli przed klatką. Oręż Prawa gorączkowo szarpnął zasuwę otwierającą drzwiczki.

Na nieszczęście była zamknięta na klucz.

— Prędko! Pomóż mi przewrócić tę klatkę — krzyknął, zauważywszy, że nie ma ona podłogi.

Wspólnymi siłami unieśli ją na tyle, aby pies mógł z niej wypelznąć.

— Bierz go, Lapika! Bierz go! — wrzasnął Oręż Prawa, wskazując mnichów, którzy stali naprzeciwko nich w głębi przejścia, otaczając Klejnot Doktryny.

Pies nie kazał się prosić i runął do ataku na tych, którzy źle życzyli jego panu.

Szczerząc kły, pomknął jak strzała w kierunku napastników, oni zaś cofnęli się, a potem rozbiegli po szopie niczym chmara wróbli, przerażeni widokiem straszliwych zębów, przed którymi uciekały niedźwiedzie i śnieżne pantery.

— Spokój, Lapika! Do nogi! — krzyknął Oręż Prawa, zapinając prędko na szyi psa obrozę ze smyczą, którą Szlachetna Ośmioraka Ścieżka wziął z półki. — Droga wolna! Wychodzimy...

Z podwórza, na którym stała psiarnia, wystarczyło przejść na inne, aby dotrzeć do bramy Klasztoru Jedynej Dharmy.

— Ciesz się, żeś ze mną poszedł! Przerazili się Lapiki. Doskonale zrobiliśmy, zabierając ją tu ze sobą—wysapał Oręż Prawa. Wszystkie drzwi na ich drodze zamykały się z hałasem.

Znalazłszy się na zewnątrz, stwierdzili z zadowoleniem, że nikt nie śmiał za nimi podążyć. Ruszyli biegiem krętą drogą prowadzącą ku górcom, u stóp których rozciągała się ogromna równina Peszawaru.

—Nie zabraliśmy ubrań ani jedzenia! Niczym wędrowni święci pójdziemy do środkowych Chin odziani w powietrze! \* — zażartował Oręż Prawa, gdy znaleźli się wystarczająco daleko, aby nie bać się pościgu.

—Niedługo nadejdzie zima... Wątpię, czy powietrze nam wystarczy, gdy znajdziemy się wysoko w górach! — jęknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Szczęście, że wzięliśmy Lapikę, mamy dobrego obrońcę, a to już coś!

—Mimo wszystko mogliśmy oszczędzić sobie powrotu do tego gniazda os! To okropne, przejść taki kawał drogi, żeby

\* Tak określano ascetów chodzących po drogach zupełnie nago.

zobaczyć zdradę Klejnotu Doktryny, a przy okazji omal nie dać się zamordować! — westchnął turfański mnich.

—Jeżeli chodzi o mnie, to może się okazać, że ta podróż nie była niepotrzebna... — mruknął w zamyśleniu Oręż Prawa.

—Co masz na myśli?

Mnich udał, że nie usłyszał pytania.

Nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila, aby wyjawić to, czego dowiedział się od jubilera. Należało zrobić wszystko, aby nie zerwać spotkania w Luoyangu, w terminie uzgodnionym z lamą Gampo.

Dokonał błyskawicznych obliczeń. Potrzebowali dobrych dwóch miesięcy, żeby dotrzeć z Samye do Peszawaru. Oznaczało to, że aby znaleźć się o wyznaczonym czasie w Luoyangu, nie należało się ociągać, zwłaszcza że wypadło im pokonywać tę trasę zimą!

Po raz pierwszy od ucieczki z Klasztoru Jedynej Dharmy Oręż Prawa przystanął i uniósł głowę. Przed nim wznosiło się zbocze, nieskończone i zarzucone głazami, między którymi zachowały się jeszcze plamy roślinności. Odwrócił się i zobaczył dachy Peszawaru, migocące w promieniach słońca, które zbliżało się do zenitu.

Po raz trzeci opuszczał swój klasztor.

Ale tym razem zrobił to w o wiele dramatyczniejszych okolicznościach niż poprzednio, ponieważ uciekał jak zwykły przestępca.

Czy kiedyś jeszcze tu wróci?

Próbował nie myśleć o niczym, zadowolając się patrzeniem, jak jedna noga wysuwa się przed drugą na kamienistej ścieżce, wijącej się ku najbliższej przełęczy.

— Na szczęście ubrania mamy już na sobie! Ale nie mamy nic do jedzenia i picia... — westchnął turfański mnich, który zaczynał już odczuwać głód i pragnienie.

Oręż Prawa uświadomił sobie, iż, sądząc z położenia słońca, maszerują już od dobrych czterech godzin.

Aby dotrzeć do wielkich płaskowyżów, na których pasterze hodowali kozy i owce, a wieśniacy warzywa na trudnych do uprawy tarasach, trzeba było pokonać łańcuch górski, do którego pierwszych zboczy dopiero dochodzili. To u jego stóp wznosiły się budynki Klasztoru Jedynej Dharmy.

Oręż Prawa uprzytomnił sobie ze strachem, że trzeba pięciu dni, aby przebyć te nieprzyjazne i bezludne okolice, gdzie tylko dobremu myśliwemu udawało się złapać dzikiego królika albo pełnego gryzonia. Ponadto nie było tu śladu najmniejszego źródelka, toteż zaczynał go niepokoić zwisający język Lapiki świadczący o tym, że odczuwa ona pragnienie. Tak duży pies nie mógł przeżyć długo bez picia.

Co robić? To pytanie nie przestawało zajmować myśli Oręża Prawa, w końcu zaczął wyrzucać sobie zbyt prędkie opuszczenie Klasztoru Jedynej Dharmy.

Zejście z powrotem w kierunku Peszawaru nie wchodziło w rachubę, jako zbyt niebezpieczne. Mogli więc tylko zagłębiać się w góry z nadzieją, że napotkają podróżnych, którzy będą skłonni podzielić się z nimi kubkiem herbaty i paroma kęsami pszennego placka.

Szli aż do zapadnięcia nocy, którą przespali w małej grocie, przytuleni do Lapiki, a następnego ranka ruszyli dalej o pustych żołądkach.

Maszerowali bez słowa, i jeden, i drugi wołał milczeć, by przypadkiem nie zniechęcać towarzysza. Obaj żywili sekretną nadzieję na spotkanie jakichś ludzi.

— Być może Błogosławiony postanowił nam pomóc! Nie jesteśmy sami na drodze... — odezwał się po południu Oręż Prawa, wzdychając z ulgą.

Wskazał palcem szereg żółtych punkcików na zboczu góry, daleko przed nimi. Przyglądając im się uważnie, Szlachetna Ośmioraka Ścieżka stwierdził, że idą gęsiego.

— Spróbujemy ich dopędzić. To nasza jedyna szansa, żeby nie umrzeć z zimna i z głodu — dodał Oręż Prawa.

— Spieszmy się! Żołądek przyrósł mi już do krzyża — jęknął turfańczyk, ośmielając się po raz pierwszy poskarżyć.

Mimo zmęczenia przyspieszyli kroku.

W tym miejscu zaczynał się bardziej stromy odcinek ścieżki, który pokonali, wydłużając krok. Ciężko dysząc, zbliżyli się trochę do wędrowców nucących chórem spokojną pieśń.

Dotarli do skalnego uskoku, ubrani na żółto wędrowcy zatrzymali się i położyli na ziemię torby, z których wyjęli buklaki i jedzenie.

Oreż Prawa i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka zbliżyli się do nich na tyle, aby stwierdzić, że to buddyjscy mnisi.

Było ich około dwudziestu. Oprócz jednego mężczyzny w dojrzałym wieku całą resztę stanowili młodzi nowicjusze. Wszyscy nosili szafranowe szaty. Większość miała skośne oczy i jasną cerę, co wskazywało na chińskie pochodzenie. Byli też całkiem młodzi chłopcy z ogolonymi czaszkami, które upodobały im się do niemowląt.

Czy to z powodu śpiewu, który poprzedził popas, czy młodzieńczego wyglądu nowicjuszy o wesołych oczach lub może współczującego i dobrotliwego spojrzenia trochę starszego mnicha, który zdawał się ich przewodnikiem, z całej grupki emanowała prostoduszność i radość życia. Nieomylny znak dała Lapika, która ujrawszy ich, nie szczeękła ani razu, a nawet podbiegła, żeby obwąchać kraj ich szat.

— Dzień dobry! Niech was strzeże Błogosławiony w waszej wędrowce! — zwrócił się po chińsku do ich przewodnika Oreż Prawa.

— Dzięki za dobre słowo! Oby Budda osłaniał także i was! Od trzech lat kroczymy śladami Błogosławionego i wracamy właśnie do naszego klasztoru, wypełniwszy serca Świętą Prawdą. Dla moich nowicjuszy jest to sposób na pogłębienie znajomości Szlachetnej Prawdy Błogosławionego Buddy! — odpowiedział tamten.

— Jakże zazdroścę tym dzieciom! I ja marzę o tym, żeby



iść nad brzeg Gangesu, do świętych miejsc, w których on żył! — westchnął turfański mnich.

Zarówno Orężowi Prawa, jak i Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżce mnich wydał się sympatyczny. Nowicjusze zdawali się chłonąć jego słowa.

—Te ręce dotykały świętego drzewa *pipal*, pod którym Błogosławiony doznał Oświecenia i stał się Przebudzonym! Dla nich nic nie będzie już takie, jak przedtem! Tak samo dla moich oczu, które widziały Lasek Lumbini, gdzie Budda stawiał pierwsze kroki jako dziecko! —wykrzyknął wzruszony mnich.

—Odwiedziliśmy park ze stuletnimi drzewami, w którym Błogosławiony wygłaszał pośród gazeli i jeleni kazania o Szlachetnej Prawdzie do swych pierwszych uczniów, a także święte miejsce, w którym osiągnął nirwanę — włączył się z rozmarzoną miną jeden z nowicjuszy.

—W jakim klasztorze mieszkacie? — zapytał Oręż Prawa, poruszony ich słowami.

—W klasztorze na Łysej Górze, trzy dni marszu na zachód od Luoyangu.

—Jesteście mahajanistami?

—Jak większości chińskich buddystów wydaje nam się, że Droga Zbawienia dostępna jest także innym ludziom, nie tylko mnichom.

—To religijna kwestia, w którą wolałbym nie wnikać. Klasztor Jedynej Dharmy w Peszawarze, który właśnie opuściliśmy, należy do hinajany. Jeżeli chodzi o całą resztę, to wierzę w tolerancję i pokój między szkołami, których członkowie wyznają tę samą wiarę w Szlachetną Prawdę Błogosławionego — dodał.

—Jestem podobnego zdania. To, co nas łączy, jest silniejsze od tego, co dzieli! — wykrzyknął chiński mnich.

Nowicjusze wyciągnęli bukłaki do dwóch hinajanistów, którzy nie kazali się prosić i łączywie zaspokoili pragnienie.

— Jak ci idzie pokonywanie z młodymi nowicjuszami tak

stromych górskich ścieżek? — spytał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Podobnie jak świętość, dobra wola nie jest kwestią wieku. Tych chłopców ożywia tak głęboka wiara, że chodzenie po górach nie wydaje im się trudniejsze niż bieganie po ogrodzie! — odparł mahajanista.

—A wy dokąd idziecie? — zapytał ich cienkim głosikiem nowicjusz przypominający małe dziecko.

—Udajemy się do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu — odpowiedział z uśmiechem turfańczyk.

—Będziemy tamtędy przechodzili. Wielki mistrz Czystość Pustki i nasz czcigodny przełożony Nieograniczone Miłosierdzie utrzymują przyjazne, pełne szacunku stosunki — wyjaśnił najstarszy z nowicjuszy.

Wszyscy byli nadzwyczaj uprzejmi dla nowych towarzyszy wędrowki. Jeden z nowicjuszy postawił miskę przed Lapiką, a ta popiskiwała z zadowolenia i machała ogonem na znak wdzięczności.

—Nie macie butów dobrych do wędrowki ani worków podróżnych! — zauważył inny nowicjusz, który wydawał się mieć nie więcej niż dziesięć lat.

—Nie mieliśmy czasu niczego zabrać... Jeżeli chodzi o jeźdzenie i ubrania, to nie mamy nic! — wyznał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, którego prostoduszność młodych mnichów Wielkiego Wozu napełniła ufnością.

—Nie jesteście przypadkiem uciekinierami? — ośmielił się zapytać ich przewodnik.

—Niestety, słowo „uciekier" świetnie do nas pasuje! Mój przełożony zmarł. Jego następcą, który zagarnął władzę, wykorzystując strach i naiwność braci, czyhał na moje życie! To smutna historia, która dowodzi, że niektórzy mnisi, choć złożyli śluby, są tylko ludźmi... — westchnął Oręż Prawa, a potem się przedstawił.

Mnich, który zdawał się stać na czele wyprawy młodych chińskich pielgrzymów, także się przedstawił:

— Mam na imię Cudowny Uzdrawiciel.

Chociaż trochę starszy, ostrymi rysami twarzy i szczególnym wyrazem oczu, subtelną i rzadką mieszaniną figlarności i uprzejmości nieodparcie przypominał Pięć Zakazów.

—Leczysz więc dusze, że nosisz takie imię? — spytał go mnich z Peszawaru.

—Odbyłem studia medyczne w Luoyangu u wielkiego mędrca, który znał na pamięć wszystkie strofy *Traktatu o roślinach leczniczych* Boskiego Rolnika Shennonga\*. Staram się leczyć ludzi i przynosić im ulgę w cierpieniu. Późno zostałem mnichem mahajany. Przez przeszło dziesięć lat zajmowałem się leczeniem chorób skóry, a nawet zostałem szanowanym specjalistą w tej dziedzinie! Nauczyłem się sporządzać maści, kierowałem też chorych do gorących źródeł, które przyspieszają gojenie ran i likwidują rumienie. Ponieważ jednak jestem przekonany, iż dusze są bardziej kruche niż ciała, wstąpiłem do klasztoru w wieku, w którym mnich może nawet zostać przełożonym.

—Masz za sobą ciekawą drogę. Przejść od leczenia chorób skóry do leczenia duszy... — pokręcił głową Oręż Prawa.

—Nie żałuję tego wyboru. Wracam z pielgrzymki do Indii pełen odwagi i chęci czynienia dobra. Jeśli chodzi o tych nowicjuszy, to z pewnością będą oni wyjątkowymi mnichami — odrzekł Cudowny Uzdrawiciel, wskazując swoich młodych towarzyszy, którzy, orzeźwieni i wypoczęci, szykowali się do założenia na ramiona podróżnych sakw.

—Dlaczego chcesz dotrzeć aż do Luoyangu? Tak długiej podróży nie podejmuje się bez powodu... — spytał chiński mnich, u którego stóp położyła się Lapika.

\* Chodzi o najstarszy chiński podręcznik medycyny, napisany wg tradycji około 2000 r. przed Chrystusem.

—Po to, żeby zapanowała prawda i sprawiedliwość. Jeżeli mi się uda, będę mógł wrócić do mojego klasztoru z podniesioną głową. Moim celem jest przywrócenie zgody i pokoju między mahajaną, lamaizmem tybetańskim Krainy Śniegów i moją szkołą — odparł zagadkowo Oręż Prawa.

—Nie wydaje mi się, żeby te szkoły były w stanie wojny...

—wybąkał medyk zdziwiony.

—Mylisz się! Byłyby gotowe oddać się znowu zgubnej rywalizacji, której oddawały się przez całe dziesięciolecia. Mój były przełożony Buddhabadra, niech odpoczywa w spokoju, uczestniczył w pojednawczym rytuale, w którym mógłbym go zastąpić, gdyby wszystko poszło po mojej myśli.

—Jeśli ty i twój towarzysz pragniecie przyłączyć się do nas i razem z nami odbyć drogę do Luöyangu, przyjmiemy was z wielką przyjemnością— rzekł z uśmiechem Cudowny Uzdrowiciel.

— Nie chciałbym korzystać z waszych zapasów ani opóźniać waszego marszu. Nie mamy nawet dobrych butów!

Chiński mnich poprosił jednego z nowicjuszy, żeby poszukał dwóch par butów ze skóry i filcu, o podeszwach nabijanych gwoździami, które nadają się do wędrówki po górach.

—Przymierzcie je! Są wasze. Dzięki nim będziecie mogli iść, nie narażając stóp na zranienie.

—Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować — szepnął Oręż Prawa.

—Wzajemna pomoc to zwykła rzecz. Proponuję, żebyśmy szli jeszcze przez dwie godziny, a potem rozbijemy obóz i ugotujemy dobry gorący posiłek.

Gdy ruszyli, mnisi z Peszawaru w nowych butach szli z sercem lekkim jak piórko, przekonani, że to opatrnościowe spotkanie było niebiańskim darem Błogosławionego, który wzięł ich pod opiekę.

— Jest tyle miejsc, gdzie ludzie są tak biedni, że nie mogą dać mnichom niczego! Jak ci się udało utrzymać przez trzy lata

razem z twoimi osiemnastoma podopiecznymi tak daleko od klasztoru? — zapytał wieczorem Oręż Prawa.

—Użyteczna jest moja wiedza medyczna — wyjaśnił medyk. — Kiedy przybywamy do osady, leczę chorych i ludzie nam się odwdzięczają. W ciągu tych trzech lat nigdy nie brakowało nam jedzenia i dachu nad głową. Nawet w najuboższych wioskach Indii.

—Mistrzu Orężu Prawa, nie macie ochoty na gorącą zupę? — zapytał jeden z nowicjuszy, podając miskę wypełnioną po brzegi, którą ten przyjął z ochotą.

Ciepła zupa tak dobrze zrobiła hinajanistom, że owinęli się kocami i skulili z Lapiką u stóp na małym występie skalnym, na którym Cudowny Uzdrowiec postanowił ułożyć na noc swoich podopiecznych.

Przebudziwszy się w chwili, gdy pierwsze promienie słońca wyloniły się zza przesłaniających horyzont górskich grzbietów, zarówno dwaj zakonnicy z Peszawaru, jak i Cudowny Uzdrowiec doświadczyli tego samego uczucia radości na myśl o wspólnym kontynuowaniu podróży i złączeniu swoich losów.

I choć spotkali się zaledwie poprzedniego dnia, odnosili wrażenie, iż znają się od zawsze.

Zarówno Orężowi Prawa, jak i Cudownemu Uzdrowielowi wspólna wędrówka dostarczała okazji do wspierania się i pogłębiała i tak już głębokie porozumienie, jakie zrodziło się między nimi.

—Jakim człowiekiem jest Czystość Pustki? — zapytał mnich z Peszawaru swego chińskiego kolegę, gdy przekraczali rozpadlinę górską, w której wieczne śniegi odbijały się w jeziorze o turkusowych wodach.

—Dlaczego o to pytasz?

Oręż Prawa opowiedział o tym, jak zerwane spotkanie w Samye pociągnęło za sobą zamordowanie przełożonego

z Peszawaru. Potem wspomniał o swoich poszukiwaniach Buddhabadry, spotkaniu z Pięcioma Zakazami i Niebiańskimi Bliźniętami, a w końcu o wyprawie ze Szlachetną Ośmioraką Ścieżką i uwięzieniu w Chang'anie, które poprzedziło kolejną wizytę w Samye i powrót do Peszawaru...

—Nie nudziłeś się — zażartował Cudowny Uzdrawiciel, kiedy Oręż Prawa skończył.

—Istotnie, trudno zaprzeczyć! Między Buddhabadrą i Czystością Pustki na pewno doszło do nieporozumienia. Zastanawiam się, o co chodziło. Czy według ciebie przełożony z Luoyangu to człowiek gotowy przedłożyć ponad wszystko interesy własnej szkoły, nawet jeśli musiałby postąpić niegodziwie?

—Nie znam na tyle przełożonego Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie. Pod koniec nowicjatu dano nam do czytania, jak wszystkim, fragmenty jego sutry na temat medytacji transcendentalnej, odnoszące się do dobrodziejstw Czystej Pustki. Niewielu jest mnichów, którzy pojęli ich sens, tak subtelne wydaje się rozumowanie mistrza Czystości Pustki...

—Przywódcy szkół zachowują się czasami jak wodzowie na wojnie! — mruknął w zamyśleniu Oręż Prawa, a potem opowiedział swemu nowemu przyjacielowi wszystko, co wiedział o spotkaniu w Lhasie.

—Idea takiego sekretnego porozumienia wydaje się nadzwyczaj rozsądna! Lepiej teraz pojmuje, co miałeś na myśli, mówiąc, że udajesz się do Luoyangu, aby pomóc w utrzymaniu zgody między trzema buddyjskimi nurtami — rzekł Cudowny Uzdrawiciel, wysłuchawszy opowieści Oręża Prawa.

—Na szczęście w całym tym chaosie jest mędrzec nad mędrcami, który załagodzi wszelkie nieporozumienia.

—Kto to taki?

—Wielce szanowany, świątobliwy człowiek: mistrz Gampo, stojący na czele najstarszego klasztoru Krainy Śniegów. Dobiega

osiemdziesiątki, ale mimo ślepoty, którą dotknięty jest od urodzenia, widzi dalej niż ty i ja!

—Głęboko w to wierzę! Albowiem dzięki mądrości i doświadczeniu można dostrzec knowania innych o wiele lepiej niż tylko patrząc.

—Umówiliśmy się z nim w Luoyangu. Spieszno mi, gdyż wszyscy spodziewamy się usłyszeć od Czystości Pustki wyjaśnienia. Tego dnia wybije godzina prawdy: albo stosunki między naszymi trzema szkołami się ułożą, albo zaczną się swary.

—Będzie to z pewnością pamiętna chwila. Mam nadzieję, że nastąpi pojednanie. Zadbaj o to Błogosławiony. To, co mówisz o lamie Gampo, pozwala mi oczekiwać, że ten wielki mędrzec nie dopuści do sporów, mogących zakłócić stosunki między buddyjskimi szkołami!

—Mahajana zyskałaby, mając na czele kogoś takiego jak ty, zamiast filozofa o twardym sercu, cierpiącego na manię wielkości — westchnął jakby do siebie Oręż Prawa.

Wieczorem, na popasie przed jurta koczowników, którzy zgodzili się ich ugościć, gdy Cudowny Uzdrowiciel opatrzył jedno z ich dzieci obsypane ropiejącymi krostami, Oręż Prawa zadał mu pytanie, które cisnęło mu się na usta od chwili ich spotkania.

—Może będziesz umiał, jako lekarz chorób skórnych, wyjaśnić mi pewną rzecz — zaczął, dopijając herbatę.

—Mów! Ale nie wiem, czy będę potrafił na nie odpowiedzieć! Moja wiedza nie jest nieograniczona! — odparł skromnie Cudowny Uzdrowiciel.

—Chodzi o dziewczynkę, która ma owłosioną połowę twarzy...

—Niebiańskie Bliźnię?

—Właśnie ją! Zastanawiam się, czy nie jest ona dotknięta jakąś wadą. Prawdę mówiąc, nigdy nie wierzyłem w niebiańskie pochodzenie tych dzieci, o którym pewien wędrowny mnich zapewniał ich opiekuna Pięć Zakazów, prawą rękę Czystości

Pustki. Ten manipa twierdził, że mała pochodzi od małpy i skalnego demona, pierwotnej boskiej pary, która według wierzeń Tybetańczyków miała zrodzić przed tysiącami lat pierwszych mieszkańców Krainy Śniegów!

—Spotkałem młodego człowieka w pewnej dalekiej wiosce w dolinie Żółtej Rzeki, który miał tę samą cechę, z tym że nie miał włosów na brodzie. Jego rodzice, jak zresztą wszyscy mieszkańcy, uważali, że jest przeklęty.

—Miał może zaczerwienioną skórę, pokrytą delikatnymi ciemnymi włosami, które upodobniły jego twarz do maski?

—Opisałeś dokładnie to, co zaobserwowałem u tego chłopca. Rodzice zamknęli go w klatce, jak dzikie zwierzę... Wyjaśniłem im, że moim zdaniem nie jest to wcale znak przekleństwa, ale raczej dziwactwo natury, jakie można stwierdzić u pewnych bawołów, które mają jeden róg krótszy od drugiego. Zgodzili się go wypuścić. Od tego momentu prowadzi normalne życie, a nawet się ożenił. Miałem okazję przekonać się, iż żadne z jego trojga dzieci nie ma na swoim ciele najmniejszej owłosionej plamki.

—Reasumując, szokuje nas to, co dziwne, niespotykane!

—Ludzie obawiają się dziwnych rzeczy...

—Masz rację. Jedyne złotawo ubarwiony owoc drzewa *jambu*\* napelnia lękiem tego, kto go zrywa, chociaż rozradza się on w łożysku rzeki, w którym jego pestki zamieniają się w szczerozłote samorodki o nieocenionej wartości — mruknął Oręż Prawa.

— Jestem głęboko przeświadczony, że istota ludzka obawia się asymetrii, ponieważ jej własne ciało jest z wyglądu doskonałe symetryczne. Skłonna jest zapominać, że ma ono tylko jedną głowę, wprawdzie z dwojgiem oczu, ale za to z pojedynczymi ustami, a nade wszystko, posiada tylko jedno serce...

\* *Jambu* — różana jabłoń — jedno z drzew występujące w tradycyjnej kosmogonii hinduskiej.



—Przypuszczam, że nie istnieje żaden środek, który leczyłby tego rodzaju zmiany na skórze?

—Środki są po to, żeby leczyć choroby, a nie dziwactwa. Jeśli ta mała Niebiańska Bliźniaczka pogodzi się ze swoim wyglądem i nie będzie czuła się nieszczęśliwa, wszystko będzie dobrze — powiedział lekarz-buddysta.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, gdy nagle drgnął, słysząc dziwny pomruk, a potem kilka następnych. Podbiegli do nich nowicjusze, równie przerażeni jak jagniątka koczowników, które pobekiwały, tuląc się do owiec w zagrodzie.

Zagrożenie wyczuła też Lapika; zaczęła warczeć, unosząc uszy i odsłaniając kły.

Coraz wyraźniejsze odgłosy zamieniły się w charakterystyczne wycie.

— To musi być wataha zgłodniałych wilków, które próbują zaatakować zagrodę! Znam to wycie! Zimą na pustyni wokół Turfanu często kręcą się koło domów! — wykrzyknął Szlachet na Ośmioraka Ścieżka.

Z jurty wybiegła przerażona rodzina pasterzy.

—Trzeba skupić się wokół ognia! Wilki się go boją! — zarządził Oręż Prawa.

—Dołóżcie drew. Im wyżej strzelą płomienie, tym dalej będą wilki! — Szlachetna Ośmioraka Ścieżka dał znak nowicjuszom, żeby podbiegli za nim do stosu chrustu, zebranego przy rozbijaniu obozowiska.

Wycie żarłocznych bestii, których sylwetki rysowały się niewyraźnie w mrokach chmurnej nocy, stawało się coraz groźniejsze. Najmłodszy nowicjusz i dzieci pasterzy rozpląkały się, przerażone dziesiątkami par ślepi, w których odbijały się czerwonym blaskiem płomienie ogniska.

Oręż Prawa złapał Lapikę za kark, żeby nie zaatakowała watahy. Wilków było tyle, że mimo swego męstwa płowa suka nie dałaby im rady.

— Nie ruszajcie się. Mam coś, co być może je odstraszy! —

powiedział Cudowny Uzdrawiciel, który podbiegł do swojej sakwy i wyjął z niej małą drewnianą baryłkę, a potem zaczął rozsypywać jej zawartość wokół ogniska.

—Uważaj! Nie odchodź za daleko! Jeszcze cię porwą! — ostrzegł go zaniepokojony Oręż Prawa, widząc, że mnich zbliża się niebezpiecznie do świecących jak rubiny czerwonych punkcików.

—Nie martw się. Zobaczysz, jak to działa — odpowiedział mnich z klasztoru na Łysej Górze, rzucając palącą się gałąź z ogniska na ziemię w miejscu, które posypał proszkiem.

Rozległ się huk, a zaraz po nim dał się odczuć silny podmuch. Narysowana na ziemi spirala buchnęła płomieniami, tworząc drgającą ścianę ognia, który opalił wilkom pyski i zmusił je do żalosego odwrotu.

Dzięki Cudownemu Uzdrawicielowi zgłodniałe bestie, których wycie ustąpiło miejsca cichemu skomleniu, uciekły w ciemność.

—Dzięki twojej baryłce uniknęliśmy najgorszego! — stwierdził z podziwem Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—To proszek długowieczności, który pewien taoistyczny kapłan podarował mi kilka lat temu, kiedy jeszcze zajmowałem się leczeniem. Odkąd zostałem buddystą, nie wierzę w te taoistyczne bzdury. Zauważyłem jednak, że ten proszek łatwo się zapala, i postanowiłem go nie wyrzucać. Używam go do rozpalania ogniska, kiedy drewno jest zbyt mokre — wyjaśnił skromnie.

—Niech będzie chwała Błogosławionemu! Gdyby nie bystrość twego umysłu, ta wataha rozszarpałaby nas wszystkich! — zawołał Oręż Prawa.

—Chwała Cudownemu Uzdrawicielowi! — dodał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, ocierając pot z czoła.

—Niech żyje! — wykrzyknęli nowicjusze, którzy oprowadzili swego opiekuna triumfalnie wokół ogniska, niczym bohatera po zwycięskiej bitwie.

Rodzina wędrownych pasterzy poczęstowała mnichów placami z owocami, którymi nowicjusze opychali się bez opamiętania. W mrokach bezgwiezdnej nocy słychać było ich radosne okrzyki, które sławiły zalety Gautamy Buddy.

— Najwyższy czas iść spać! Z samego rana ruszamy w dalszą drogę — oświadczył Cudowny Uzdrawiciel, gdy jego owieczki już się wyhasały, odreagowując przerażenie wywołane napaścią wilczej watahy.

O ile noc była spokojna i odświeżająca, to przebudzenie przygotowało Orężowi Prawa i Cudownemu Uzdrawicielowi, którzy wstali wcześniej niż inni, niemiłą niespodziankę.

Otoczyła ich grupa ubranych w łachmany, uzbrojonych mężczyzn. Nie było śladu po pasterzach, którzy najwyraźniej wzięli nogi za pas.

Oddalona o kilka kroków zagroda dla owiec była pusta.

Co dziwne, czujna zazwyczaj Łapika nie poruszyła się ani nie zaszczekała. A nawet pobiegła w stronę osobnika wyglądającego na herszta dziwacznych wojowników, jakby go znała.

— Nie wyglądają zbyt sympatycznie... — mruknął Cudowny Uzdrawiciel do ucha Oręża Prawa.

Oręż Prawa stłumił okrzyk zaskoczenia. Rozpoznał bowiem prostackie oblicze Madżiba.

—Poznajesz mnie, Madżibie?! — zawołał do niego po chińsku.

—Ja dobrze znać twoja! Ty przyprowadzić z Peszawaru słoń Sing-sing! — odparł ten ostatni, wyciągając w jego stronę miecz.

Pomimo tego niezbyt zachęcającego gestu Oręż Prawa stwierdził z zadowoleniem, że Madżib mówi po chińsku, czego nie potrafił, gdy spotkali się po raz pierwszy w górskiej karczmie w Krainie Śniegów.

— Jest z tobą Ulik? — odważył się zapytać, zachował bowiem miłe wspomnienie młodego tłumacza o otwartym umyśle.

— Ulik zgnitek! Ulik iść do diabła! — warknął ze złością Pers.

Jego słowa nie pozostawiały wątpliwości: Ulik musiał porzucić towarzystwo swojego pana i wyglądało na to, że ten nie życzy mu najlepiej.

Madżib rzucił suche rozkazy, które poskutkowały tym, że mimo protestów nowicjuszy, obudzonych bez ceregieli i wyciągniętych siłą spod grubych nakryć, wszystkim związano nogi i ręce, a Lapice założono kaganiec i uwiązano na skórzanej smyczy.

—Obawiam się, że wpadliśmy w tarapaty! Ten człowiek wygląda na straszego bandziora — szepnął Cudowny Uzdrawiciel do Oręża Prawa.

—Straszny jest, bez wątpienia... — odparł mnich z Peszawaru, który coś o tym wiedział.

Chiński mahajanista starał się nadrabiać miną, aby nie okazać swoim podopiecznym, że się boi.

Przez pięć dni herszt zmuszał ich do wyczerpującego marszu, zamieniając w koszmar wędrówkę, która tak dobrze się zaczęła.

Jakie miał zamiary?

Nie wiedział tego nikt z wyjątkiem jego samego. Od miesiący błąkał się po Jedwabnym Szlaku, wysłany przez swoich moco-dawców z zadaniem wypełnienia ich pustych skrzyń.

Cudowny Uzdrawiciel i Oręż Prawa coraz gorzej znosili mordercze tempo, narzucone przez Madżiba. Co wieczór, po całodziennym marszu, kazał im kłaść się pod gołym niebem, na ziemi, nie pozwalając na przygotowanie gorącego posiłku.

Żal było patrzeć na Lapikę, która z powodu za małego kagańca nie mogła najeść się do syta. Jej zmierzwiona sierść wypadała całymi kępkami, zaśmiecając drogę, po której szli jak we śnie, nabierając coraz większej pewności, że nie ma dla nich ratunku.

— Madżibie, chcemy wiedzieć, co zamierzacie z nami zrobić! Jeżeli nadal będziecie zmuszać nas do maszerowania

w tym tempie, to prawdopodobnie wszyscy umrzemy na drodze — powiedział piątego wieczoru Oręż Prawa.

— Tego przede wszystkim wy nie wolno robić! — wykrzyknął Pers, dając do zrozumienia, że chce ich sprzedać.

Albowiem Madżib miał plan.

Od tygodni dochodziły go wieści o słynnym Świącie Wiosny, któremu każdego roku przewodniczył cesarz Chin, aby uczcić odrodzenie się przyrody po zimowym śnie, a zarazem zapewnić dobre zbiory latem. Jedwabnym Szlakiem ciągnęli do Państwa Środka kupcy, pewni, że sprzedadzą swoje towary po dobrej cenie. Obchody dostarczały wielu rodzinom pretekstu do wymiany podarunków, a państwu do rozdawania najbiedniejszym żywności.

Tej zimy zajazdy na Jedwabnym Szlaku huczały od wieści, że cesarska para postanowiła urządzić Świąto Wiosny nie na esplanadzie Mingtang w Chang'anie, ale na górze Tai, „Wielkiej Górze” taoistów, której majestatyczny szczyt dominował nad górskim łańcuchem, stanowiącym kręgosłup półwyspu Shandong.

Umieszczone po obu stronach Wielkiego Muru ogłoszenia wzywały miasta liczące więcej niż dziesięć tysięcy mieszkańców, żeby uczciły cesarza, przysyłając delegacje z darami.

Zarządzenie dotyczyło głównych oaz na pustyni i zaprzętało umysły rad kupieckich i lokalnych władz, które zastanawiały się, jak spełnić życzenie cesarza i nie zbankrutować. Albowiem poddani musieli składać dary zarówno w naturze, jak i w brzęczącej monecie. Miastom, które uchyliłyby się od tego obowiązku, groziły kary: na przykład mogły je splądrować koczownicze plemiona, na co władze przymykały oczy. Agenci Wielkiego Cenzoratu dyskretnie przekazywali wodzom nazwę miast i wsi, które okazały nieposłuszeństwo.

Dla Madżiba, który chciał obłowić się tak samo jak wtedy, gdy sprzedał Kaledowi Chanowi wiadomości o manichejskiej tkalni w Turfanie, pojmanie Oręża Prawa i Cudownego Uzdro-

wiciela było nie lada gratką, ponieważ nie cieszył się zbyt długo sakiewką wypełnioną monetami z brązu i srebra, która była zapłatą za jego informację.

Jakiś czas po tym, jak Ulik porzucił w Ujgurii bandę, Madżib wpadł w zasadzkę zastawioną przez tybetańskich rozbójników, którzy ograbili Persów z broni i co bardziej wartościowych przedmiotów.

Bo choć Madżib ukrył ją w swoim pasie, sakiewka od Kaleda Chana nie uszła uwagi górali, którzy przy okazji ostro skarcili herszta za to, że próbował ukryć jej istnienie.

Pozbawiony jedynej zdobyczy, jaką mógł zawieźć swoim mocodawcom, Madżib nie miał wyboru i znów musiał kręcić się po Jedwabnym Szlaku w poszukiwaniu okazji.

Gdy jego uwagę przyciągnęło wycie watahy wilków, które napadły na obozowisko wędrownych pasterzy, nie sądził, że stanie twarzą w twarz z Orężem Prawa, mnichem spotkanym w górskiej oberży.

W nadziei na odegranie się postanowił uprowadzić mnichów, którzy przypadkiem wpadli mu w ręce.

Zastanawiał się, czy ruszyć w kierunku wielkich Chin, aby wykorzystać Święto Wiosny na górze Tai, czy wrócić do kraju i tam sprzedać nieszczęśników.

Zrażony licznymi pechowymi przygodami, herszt jeszcze się wahał. Z pewnością wartość jego nowych więźniów nie sięgała jednej dziesiątej tego, co mógł dostać za Niebiańskie Bliźnięta, ale nie było czasu na zastanawianie się.

Snuł więc fantastyczne plany, zadając sobie pytanie, w jaki sposób mógłby wyciągnąć z więźniów jak największą korzyść, gdy pewnego wieczoru zobaczył, że idzie w jego stronę Cudowny Uzdrowiciel, bardzo się starając, żeby nie zauważyli go jego towarzysze.

—Madżibie, mam pewną propozycję! — szepnął z tajemniczą miną.

—Mów!

—W Chinach taka osoba jak Oręż Prawa warta jest mnóstwo pieniędzy!

—Czyżby? — mruknął Pers, którego uniesiona brew świadczyła o tym, że nie traktuje tego, co usłyszał, zbyt poważnie.

—Mahajana opanowała całe Chiny. Wszelkie próby zaistnienia tam hinajany są dławione. Wierz mi, mając tych dwóch hinduskich mnichów, położyłeś rękę na prawdziwym bogactwie. Na twoim miejscu wziąłbym to pod uwagę! — tłumaczył mnich z klasztoru na Łysej Górze.

—Po prawdzie, ja udawać się na Święto Wiosny. Mówią, że tego roku pieniądze płyną jak rzeka. Cesarz kazać urządzić je na świętej górze Tai. W oberżach mówić tylko o tym! — odpowiedział Madżib, żywo zainteresowany słowami Chińczyka.

—Jeśli wybrano górę Tai, to święto będzie jeszcze wspanialsze niż w poprzednich latach. Pozwól, że cię tam zaprowadzę, a bez wątplenia dostaniesz dużo pieniędzy za tego Oręża Prawa i jego towarzysza. Będziesz miał dostęp do najwyższych władz mojego kraju, dzięki temu unikniesz pośredników...

—Myśl nie wydawać mi się zła...

—Wierz mi, jeśli posłuchasz mojej rady, będziesz bogatym człowiekiem! — dodał Cudowny Uzdrawiciel.

Wszyscy spali jeszcze, zarówno Persowie i Chińczycy, jak i dwaj hinduscy mnisi, wyczerpani całodziennym marszem po kamieniach i w kurzu.

—Oczywiście wszystko musi pozostać między nami! Gdyby dowiedzieli się o tym ci hinajaniści, bez wątplenia utrudniliby realizację naszych zamiarów! — powiedział na koniec medyk.

—Ja nie głupiec! Tajemnica! — zapewnił Madżib, tonem niepozostawiającym wątpliwości co do tego, że połknął haczyk rzucony przez mnicha.

Mężczyźni dobili targu.

— Wczoraj wieczorem naradzałeś się z Madżibem! — powiedział Oręż Prawa następnego ranka, podchodząc z urażoną

i niezadowoloną miną do Cudownego Uzdrawiciela, pod nieufnym spojrzeniem perskiego zbója.

—Madżiba bolała głowa. Mam nadzieję, że dałem mu odpowiednie lekarstwo... — odparł mahajański mnich, puszczając oko do Persa.

—Ja mieć głowa pęknięta na pół jak po cięciu bułatem! Dzięki lekarstwu mnicha ja przespać noc... — mruknął Madżib.

Kłamstwo Cudownego Uzdrawiciela było w oczach Persa znakiem, że ich układ został przypieczętowany. Mógł spać spokojnie.

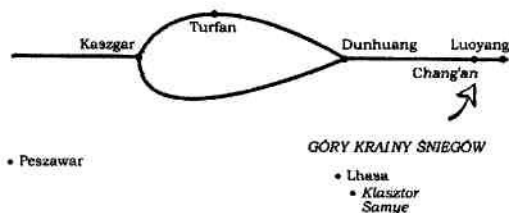
Gdy ruszyli w kierunku Dunhuangu, nowicjusze z klasztoru na Łysej Górze byli nieco spokojniejsi. Także ich duchowy opiekun, sądząc po jego wesołej minie, był dużo mniej zdenerwowany niż w poprzednich dniach.

Czy dla tych młodych ludzi o czystych sercach, dla których Cudowny Uzdrawiciel był po trosze ojcem, nie to właśnie liczyło się najbardziej?

Co do Oręża Prawa, to marzył tylko o tym, aby dotrzeć do Luoyangu. Cekał na godzinę prawdy, na moment, w którym miały się w końcu rozwiać mgły skrywające tyle tajemnic i niedopowiedzeń!

Czy jednak hinduski mnich, którego los tak zawzięcie spychał z właściwej drogi, dostąpi tej łaski?





## 9

### *Chang'an, stolica imperium Tangów*

— Schowaj to czym prędzej do szuflady! — polecił stary generał Zhang, zajadając kawałek po kawałku ogromnego arbuza, którego kroił u jego stóp służący z ogoloną głową i starannie zaplecionym warkoczykiem.

Dawny premier cesarza Taizonga podał słudze woreczek ze szkarłatnego jedwabiu, do którego włożył coś, czego za żadne skarby świata nie pokazałby swojemu gościowi.

—Panie premierze, jestem szczęśliwy, stając przed panem! — powiedział prefekt Li, który z zadowoloną miną wkroczył właśnie do biura byłego premiera.

—Przynieś nam dwie filiżanki herbaty! Czyż nie powiadają, że pachnąca herbata jest dla ust pijącego tym, czym piękny rym dla poematu?

Stary generał Zhang był tego ranka w poetyckim nastroju, zapewne za przyczyną specjalnej mieszanki, którą wypalił tuż przed przyjęciem Wielkiego Cenzora.

Usłyszawszy polecenie, służący natychmiast pochylał głowę, podniósł się i pospieszył zrobić to, co mu nakazał stary generał.

—Pilno mi dowiedzieć się, jak minął pański objazd *yingjian* \* po sprzymierzonych terytoriach Wielkiego Południa! — dodał generał, zwracając się do prefekta Li.

—Le... lepiej niż dobrze, drogi generale!

Wielki Cenzor, który od miesiąca nie miał dobrych wiadomości, cieszył się tak bardzo, że zaczął się jąkać.

—Brawo, brawo! — mruknął posepnie generał.

—Wiem, jak pozbyć się uzurpatorki! Niebawem będziemy mieli w Chang'anie świadka bezceństw tej podłej Wu Zhao — oświadczył prefekt.

—Nie pierwszy raz słyszę to z pańskich ust — rzekł były pierwszy minister Taizonga Wielkiego, podczas gdy ciągle zgięty wpool służący stawiał na stole wytworne czarki z seledynowej porcelany, wypełnione herbatą żółtą jak miód i pachnącą kwiatem orchidei.

—Zapewniam pana, drogi generale, to będzie decydujący cios! Ten świadek to Addai Aggai, biskup nestorianów z Dun-huangu, którego zerwiemy jak kwiat z chwilą jego przybycia do Chang'anu; to jeden z dwóch głównych organizatorów nielegalnego handlu jedwabiem, w swoim czasie wspieranego przez Wu Zhao — oświadczył z dumną miną Wielki Cenzor, widzący w tym sposób na przywrócenie blasku swej gwiazdzie, która nie przestawała błędąc, w miarę jak Wu Zhao poszerzała swoją kontrolę nad sprawami państwa.

—W istocie! — prychnął generał, który nie wierzył ani jednemu jego słowu.

—Kiedy ten człowiek zacznie opowiadać o tym, co wie, jego słowa podziałają jak wielka petarda *baozhong*, a huk będzie potężniejszy od westchnienia smoka, który według geomantów śpi pod Łysą Górą koło Luoyangu! — wykrzyknął Wielki Cenzor Cesarski.

\* *Yingjian* — „weryfikacja pieczęci”, za rządów dynastii Tang tak określano administracyjną inspekcję.

—A jakież to cudowny skrzydlaty zwierz przeniesie tu tego zachodniego kapłana? A mówiąc poważnie, prefekcie Li, w jaki sposób ten osobnik się tu zjawi? — zapytał stary zgorzkniały konfucjanista, którego ogarniało coraz większe zwątpienie.

—Nie potrzeba do tego Long Wanga, czyli króla-smoka. Sprawa jest prosta, drogi generale: ten człowiek przybędzie tu z własnej woli i na własnych nogach, prościutko w pułapkę, jaką na niego zastawiliśmy... — odrzekł z uśmiechem Wielki Cenzor.

Miał tak pewną siebie minę, że podejrzliwość starego generała w końcu się rozviała.

—Bez wątpienia, to mogłoby się okazać korzystne — stwierdził zagadkowo.

—Zapewniam, że nigdy nie byliśmy tak blisko celu. To istny cud. Nie omieszkam udać się w odpowiedniej chwili do świątyni mistrza Konga, żeby skupić się przed jego obliczem.

—Czy zażadam zbyt wiele, panie prefekcie, jeżeli poproszę o wyjaśnienie mi, jak udało się panu zadać tak silny cios? — zapytał trochę oschłym tonem generał.

—Udzielił mi w końcu swego błogosławieństwa bóg szczęśliwego przypadku Caishan, panie premierze! W podzięce dla niego każę palić od tygodnia pęki kadzidlanych prętów... Wkrótce moi przyjaciele będą o mnie mówić Li Szczęściarz! — wykrzyknął prefekt, który w tych okolicznościach nie zawahał się użyć nieco afektowanego tonu.

Wielki Cenzor, zazwyczaj sztywny jak halabarda, spróbował nawet groteskowo podskoczyć na zakończenie swej wypowiedzi.

—Przejdźmy do faktów, jeśli pan pozwoli, panie prefekcie! Do zwykłych faktów! — rzucił niecierpliwie generał Zhang, który powściągliwie odnosił się do poufałości, na jakie pozwalał sobie szef tajnej policji.

—Kiedy w trakcie mojego owocnego objazdu *yinjian* przejeżdżałem przez Chotan, nasz gubernator rozmawiał właśnie

długo z niejakim Kaledem Chanem, wodzem plemienia Tujue, które obozowało w okolicy. Nasz urzędnik uratował życie temu człowiekowi, a także całemu jego plemieniu, wraz z kobietami, dziećmi i starcami, powstrzymując ich w ostatniej chwili od wędrówki przez pustynię Takla Makan, na której zaczęli się już gubić.

—A ja myślałem, że ci Tujue są wrogami Państwa Środka! — wtrącił urażonym tonem stary Zhang.

—Tym inteligentnym pomocnym gestem nasz gubernator sprawił, że Kaled Chan zaciągnął dług wdzięczności, a zatem stał się naszym sprzymierzeńcem. Aby zrewanżować się władzom chińskim, zaproponował nam, że uwolni biskupa nes-torianów z Dunhuangu, Addaia Aggaia, który był jego więźniem. Gdy wymówił przy mnie jego imię, krew zaczęła krążyć żwawiej w moich żyłach! Albowiem uzurpatorka gościła w cesarskim pałacu córkę tego chrześcijanina — wyjaśnił prefekt Li, który aż się wzdrygnął na wspomnienie tego smutnego epizodu.

—Przypominam sobie doskonale, że wasi agenci nie zdołali jej aresztować! — rzucił staruszek, który wciąż miał dobrą pamięć.

—Rozumie pan, drogi generale, dlaczego tak mi spieszo się zemścić...

—Ale z jakiego powodu Addai Aggai miałby zgodzić się na to, żeby wpaść w paszczę smoka?

—Oczywiście sam zainteresowany nie ma o niczym pojęcia! Otóż Kaled, dowiedziawszy się, iż chcę, aby ten kapłan stanął przed naszym sądem pod zarzutem handlu jedwabiem, sam' zaproponował rozwiązanie: ponieważ biskup poszukuje swojej jedynej córki, Kaled Chan postanowił obiecać, że zwróci mu wolność, jeżeli porwie on pewną chińską księżniczkę, wiezioną Jedwabnym Szlakiem. Kiedy zobaczyłem się z nim następnego dnia, Kaled Chan zapewnił mnie, że Addai Aggai połknął haczyk.

—Skąd on ma pewność, że biskup nie skorzysta z wolności i nie ucieknie?

—Kazał dwóm swoim ludziom śledzić go dyskretnie, a w odpowiedniej chwili przekazać naszym. Dla większej pewności zarządziłem obserwację wszystkich zajazdów na Jedwabnym Szlaku!

—Nie waha się pan stosować najostrożniejszych środków. To dobrze!

Po raz pierwszy Wielki Cenzor został obdarzony komplementem przez starego konfucjanistę.

—Staram się, choć to trudne, być pańskim duchowym spadkobiercą, drogi generale! — odparł mile polectany prefekt Li.

—Ten Kaled Chan wydaje się sprytniejszy od swoich rodaków! To rzadkie. Dzikusy z drugiej strony Wielkiego Muru nie dorastają ludziom Han do pięt... — mruknął stary generał, który nie wierzył słowom prefekta, ponieważ nie wiedział, że Kaled Chan miał nadzieję upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: zaspokoić życzenie chińskich władz i odzyskać Nefrytowy Księżyc, aby sprzedać ją po raz drugi.

—Nigdy nie odwdziczę się bogowi szczęśliwego przypadku!

—Gdzie znajduje się teraz ten nestorianin? — zapytał dawny premier, którego słowa prefekta Li wreszcie przekonały.

—Biskup Addäi Aggai powinien być na Jedwabnym Szlaku. Oczekuję wiadomości w każdej chwili. Jak już wyjaśniłem, moi najlepsi agenci śledzą jego kroki i zdają mi sprawę przez kurierów. Większość koni Wielkiego Cenzoratu została oddana do tego zadania.

—Ma więc pan w ręku odpowiednie środki — stwierdził wreszcie zadowolony konfucjański generał.

—Tym razem pułapka zamknie się nieuchronnie na uzurpatorce, jak szczęki tygrysa na bezbronnej antylopie. To kwestia mojej ambicji — oświadczył Wielki Cenzor na pożegnanie.

Gdy tylko stary wojskowy został sam, dał znak służącemu, żeby się zbliżył.

— Przynieś mi moją fajkę — rzucił.

Ten natychmiast wykonał polecenie, przynosząc byłemu premierowi cesarza Taizonga etui ze szkarłatnego jedwabiu.

— Paliliście już, panie, z samego rana... — zauważył nie śmiało.

Prawdą było, że lekarze starego Zhanga wymogli na nim przyrzeczenie, że nie będzie już pociągał nawet raz dziennie mieszanki opium, kadzideł i suszonych liści miłorzębu japońskiego z maleńkiej fajki, którą teraz gorączkowo obracał w rękach.

— Wdychanie mojej mieszanki specjalnej, to jedyna rzecz, która dodaje mi sił, nawet jeśli nie mam złudzeń, że będę żył dziesięć tysięcy lat\*! Jeśli chodzi o kobiety, to już od niepamiętnych czasów moje stare cielsko nie nadaje się do tego... — mruknął staruszek, po czym wsunął palce do małego pudełka z laki, które przyniósł służący.

„Specjalna mieszanka" była tak wonna, że służący, który nie odmawiał sobie palenia jej w sekrecie, nie mógł się powstrzymać od przyjemnego wzdrygnięcia się, gdy stary Zhang uniósł pokrywkę. Położył delikatnie na kolanach fajkę niewiele większą od pędzelka do pisania i starannie napełnił jej cybuch. Potem, zgodnie z rytuałem, służący wziął fajkę z jego rąk, przyłożył do niej zapaloną zapałkę, i oddał swemu panu narzędzie jedynej rozkoszy, jaka mu została w życiu.

— Jakie to dobre! Trzeba będzie zadbać o uzupełnienie" mojego zapasu mieszanki, bo widzę, że niebezpiecznie się wyczerpuje... — stwierdził staruszek, wciągnąwszy pierwszy dym.

\* „Dziesięć tysięcy lat" — wyrażenie chińskie oznaczające nieśmiertelność.

—Generale, chyba uprzedzałem, że Okrągłe Lico od dobrych trzech miesięcy nie ma na składzie *yapianul* Twierdzy, że jest chory i z tego powodu nie może udać się do swojego dostawcy — odparł służący, wpatrując się w fajkę swego pana.

—Na Konfucjusza, wyglądasz, jakbyś myślał, że chodzi o jakiś dyplomatyczny wykręt!

—Okrągłe Lico od miesięcy ma bardzo niezadowoloną minę. Czy to nie wy, panie, zalecaliście mi zawsze ostrożność i nieufność we wszystkim, co dotyczy *yapianul*

—To prawda!

—Okrągłe Lico musi się bać. Być może uważa, że zbyt ryzykuje...

—Myli się!

—Jak możecie, panie, tak mówić? — Głos służącego drżał z oburzenia.

—Muszę ci się z czegoś zwierzyć: nie jestem jedynym, który oddaje się tej namiętności. Okrągłe Lico nie ma się czego obawiać, chociaż narusza prawo podatkowe. Jego działalność jest absolutnie bezpieczna. Od ministra finansów aż po prefekta policji w Chang'anie, żaden z jego klientów nie jest zainteresowany tym, żeby jego mały interes upadł — wyjaśnił generał. Służący przyjął te słowa ze zdumieniem.

Bo czyż jego pan, osoba tak przebiegła, posyłając go po towar do Okrągłego Lica nie przestrzegał go zawsze, aby zachowywał jak największą ostrożność? I nie powoływał się na fakt, że handlarz prowadzi swą działalność pod samym nosem władz?

Pofolgowawszy sobie, stary generał był tak zmęczony wciąganiem dymu, że zamknął oczy. Miał wrażenie, że jego ciało unosi się i płynie jak na chmurce.

Jeśli nawet za każdym razem bliski był omdlenia z wyčerpania, palenie opium stało się dla niego tak nieodzowne, iż nie zważał na to, że nałóg ma zgubny wpływ na jego chore płuca.

A wtedy służący wykorzystywał zazwyczaj moment, w którym jego pan zasypiał na mniej więcej godzinę, żeby samemu dobrać się do małej fajeczki.

Podczas gdy stary Zhang oddawał się przyjemności, prefekt Li wrócił do swojego biura, gdzie oczekiwał go sekretarz, który miał trochę bardziej niespokojną minę niż zazwyczaj.

—Panie prefekcie, Addai Aggai nie jest już sam na Jedwabnym Szlaku. Nasi agenci donoszą, że ma za towarzysza jakiegoś młodzieńca...

—Czy to nie dziwne? — Wielki Cenzor wyglądał na zaniepokojonego.

—Kurier jest na dole, właśnie się posila. Galopował przez dziesięć dni bez przerwy. Wyjaśni panu wszystko lepiej niż ja.

—Kaź mu przyjść natychmiast!

Kilka chwil później przed prefektem Li wyprężył się na baczność agent specjalny, wciąż jeszcze zlany potem.

—Panie Wielki Cenzorze, według naszych informacji człowiek, który towarzyszy Addaiowi Aggaiowi, nazywa się Ulik.

—Skąd pochodzi?

—Nie zdołaliśmy się tego dowiedzieć. Mówi dobrze po chińsku. To on targuje się w zajazdach, w których spędzająco.

—Mają pieniądze?

—Tak się wydaje. Albo jakiś cenny towar. Podróżują dwukołowym wozem z plandeką, zaprzężonym w dwa muły, i nigdy nie śpią pod gołym niebem.

—Czy są jakieś domysły, co mogą przewozić?

—Na nieszczęście nie. Nigdy nie zdejmują plandeki z wozu. Życzy pan sobie, żebyśmy dokonali rewizji?

—W żadnym razie! Głupiec! Gdyby wieźli zakazany towar, albo nie zapłacili cła, musielibyśmy ich zatrzymać i cały mój plan by upadł. Muszą bez przeszkód dotrzeć do Chang'anu, zrozumiano?



—Tak jest, panie Wielki Cenzorze! Zrobimy wszystko, żeby ci dwaj ludzie dotarli tu żywi i cali!

—I wolni! — ryknął prefekt Li, tym razem do swego sekretarza, którego zadaniem było pilnowanie ustalonego porządku.

—Oczywiście, panie prefekcie — wyjąkał ten ostatni bezbarwnym głosem.

Widząc, że jego pan nie żartuje, młody człowiek, który spędzał z nim każdy dzień od rana do wieczora i znał go dobrze, drżał jak liść.

—Za ile dni mogą się tu zjawić?! — zagrzmiał prefekt Li.

—Za dwa albo trzy tygodnie, jeśli dobrze pójdzie — odparł kurier, dokonawszy błyskawicznych obliczeń.

—Liczę, że nic im się nie przydarzy... — dodał groźnie cenzor.

Agenci zrobili wszystko, aby wcielić te polecenia w życie, gdyż dokładnie osiemnaście dni później współpracownik poinformował prefekta Li, że dwaj podróżni stawili się w punkcie celnym przy zachodniej bramie stolicy Tangów, gdzie celnicy mieli rozkaz ich przepuścić, nie pytając nawet, jaki wiozą towar, choć sami przybysze bardzo obawiali się kontroli.

— Należy ograniczyć śledzenie ich w mieście. Nikt inny, tylko ja zadecyduję o dniu i godzinie aresztowania biskupa! — zaznaczył autor intrygi, której celem było obalenie Wu Zhao.

Rozkazy Wielkiego Cenzora, jak być powinno, zostały wykonane co do joty, toteż Addai Aggai i Ulik, nie wiedząc, że są przedmiotem dyskretnej inwigilacji, po przybyciu do stolicy z zadziwiającą łatwością znaleźli Świątynię Bardzo Sprawiedliwego Środka. Wcześniej na wszelki wypadek wynajęli izbę w zajeździe, który miał małe wewnętrzne podwórko służące za stajnię. Umieścili na nim dwa muły i wóz z cennym ładunkiem *yapianu*, sprytnie schowanym pod warstwą słomy.

Największą konfucjańską świątynię w Chang'anie widać było z daleka.

Olbrzymia budowla, oszołamiająca przepychem, której kolumnada wspierała się na czymś w rodzaju gigantycznego kamiennego podwyższenia, stała na końcu alei Rytuałów Szczęścia, łączącej ten budynek, odwiedzany przede wszystkim przez urzędników, z dzielnicą kupiecką.

Gdy weszło się w półmrok jej wnętrza, nie można było nie zauważyć brązowej figury Konfucjusza. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy, była uśmiechnięta twarz starego mistrza, którego postaci rzeźbiarz nadał wymiary człowieka, co jeszcze bardziej wzmacniało uderzające wrażenie realizmu.

Umieszczona na cokole ze złoconego drewna w głębi Świątyni Bardzo Sprawiedliwego Środka, figura starego mędrca nad mędrkami stała naprzeciwko wejścia, oświetlona setkami świec, które zapalali wierni i kandydaci do administracyjnych egzaminów, aby oddać swą biurokratyczną przyszłość w ręce boga-filozofa.

— Wystarczy usiąść i zaczekać! — szepnął Ulik, pamiętając doskonale słowa oberżysty, który powierzył im *yapian*.

Addai Aggai odnosił się do sprawy z większą rezerwą, mimo to usiadł obok niego na długiej marmurowej ławie u stóp pomnika.

— Mam nadzieję, że oberżysta, u którego zostawiliśmy muły, to człowiek uczciwy! — westchnął.

— Lepiej nie martwić się w chwili, gdy docieramy do celu! — zaoponował z wrodzonym optymizmem Pers.

— Zaufaliśmy handlarzowi *yapianu*, który mógł nam opowiedzieć, co tylko chciał...

— Zastanów się, przecież dotarliśmy aż tutaj bez przeszkód".

— To właśnie wydaje mi się podejrzane... — upierał się nestorianin, ale zaraz potem umilkł, widząc, że do świątyni wchodzi jakiś człowiek.

Był to tylko wierny, który przybył, żeby zapalić świecę przed figurą. Niedługo po nim zjawili się inni, aby ukorzyć się u stóp Konfucjusza i błagać o łaskę.

Dwaj mężczyźni siedzieli na ławce już prawie trzy godziny. Chwile, ciągnące się jak wieczność, zdawały się przyznawać rację nestorianinowi. W końcu ujrzeli postać, której cień ślizgał się szybko po kamiennej posadzce, ledwo widocznej o tej porze dnia w świetle padającym z wysoko umieszczonych okien. Człowiek miał na sobie płaszcz z kapturem, który osłaniał jego twarz.

Nieznajomy usiadł na ławie między Addaiem Aggaiem i Ulikiem.

—Przychodzę od Okrągłego Lica — szepnął.

—Kto to potwierdzi? — zapytał nieufnie biskup.

—Wy sami i nikt inny. Żaden wierny nie siedzi tak długo na tej ławie — odparł nieznajomy. Ulik spojrział na swego towarzysza, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że jego nieufność jest nie na miejscu.

—Słucham cię zatem... Co ci kazał powiedzieć ten, co cię przysłał? — spytał Addai Aggai, a jego serce waliło jak młotem.

—Okrągłe Lico zaleca wam jak największą ostrożność. Wyjdźcie stąd dopiero wieczorem, tuż przed zamknięciem świątyni. Wtopicie się w strumień wiernych, którzy zbierają się tu przez zapadnięciem nocy. Włóżcie to! — wyjaśnił człowiek w kapturze i podał im zwinięte ciemne płótno.

—Co to jest? — zapytał Ulik, biorąc od niego pakunek.

—Suknie sędziów administracyjnych. Dziś wieczorem ich bractwo zbiera się, żeby złożyć hołd swemu patronowi. Będzie ich co najmniej setka. Wystarczy wmieszać się między nich... i przejdziecie niezauważeni.

—A potem, co mamy ze sobą zrobić? — dopytywał się biskup.

—Musicie się rozdzielić i ukryć gdzieś w mieście. Mam przeczucie, że tajna policja jest na waszym tropie... Jeśli tylko będzie to możliwe, powinniście jak najprędzej opuścić stolicę, o której mówią, że ma nie mniej niż jednego policjanta na

czterech mieszkańców. A mówiąc poważnie, bądźcie pewni, że bez przebrania nie zdołacie stąd wyjść.

—Skąd to wiesz? — spytał biskup.

—Wielcy klienci Okrągłego Lica to osobistości postawione wystarczająco wysoko, żeby mieć tego rodzaju informacje i dzielić się nimi z ludźmi, których pragną ochronić. Są wśród nich nawet agenci Wielkiego Cenzoratu! — wyjaśnił cicho nieznajomy.

—Dlaczego mieliby nas ratować urzędnicy państwowi? — ciągnął urażony biskup.

—Bardzo ryzykują, gdyby nielegalny handel *yapianem* został wykryty. Nabywanie towaru bez płacenia państwu należnych podatków uważa się za zbrodnię stanu i z tego tytułu zagrożone jest karą śmierci.

—Jeśli dobrze rozumiem, to pomagając nam, najlepsi klienci Okrągłego Lica chronią samych siebie! — zauważył Ulik, który zaczynał pojmować, w jaką wpadli pułapkę.

—Nie można ująć tego lepiej. Od tygodni śledzili was na Jedwabnym Szlaku agenci prefekta Li! Donosili mu o każdym waszym kroku. Z więzień tego człowieka ludzie rzadko wychodzą żywi — dodał nieznajomy.

—Jestem tego pewny. Ta podróż bez kłopotów wydawała mi się dziwna. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego tak łatwo przeszliśmy przez wszystkie roгатki i punkty celne! Ani razu nikt nie próbował wymusić od nas łapówki! Musieli uprzedzić o tym nawet zbójów... — podsumował w zamyśleniu nestorianin.

Był zaniepokojony, ale w głębi duszy niezbyt zdziwiony obrotem spraw. Spoglądając wstecz, mówił sobie przede wszystkim, że okazał się naiwny.

—A *yapian*? Co stanie się z *yapianem*? — spytał Ulik.

—Wystarczy, że podacie mi miejsce, w którym go ukryliście, a my zatroszczymy się o resztę.

Ulik bez wahania podał wysłannikowi Okrągłego Lica adres zajazdu, w którym się zatrzymali.

Nieznajomy wsunął każdemu z nich sakiewkę i wymknął się tak samo niezauważalnie, jak się zjawił.

—Wszystko to jest zdumiewające! Byliśmy oszukiwani od początku do końca. Gdyby wysoko postawione osobistości nie osłaniały nielegalnego rozprowadzania *yapianu*, bylibyśmy już w więzieniu! A tak uszło nam na sucho! — stwierdził zmartwiony biskup.

—W każdym razie lepiej nie kusić losu... — powiedział Ulik, wkładając zaopatrzoną w kaptur, obszerną opończę z czarnej satyny, którą wręczył mu nieznajomy.

Addai Aggai poszedł za jego przykładem. Tymczasem Świątynia Bardzo Sprawiedliwego Środka zapełniała się powoli sędziami; wszyscy ubrani byli tak samo jak oni i posuwali się godnie z nasuniętymi na głowy kapturami, aby ukorzyć się przed figurą mistrza i poprosić ją o łaskę pomyślnego zdania egzaminów.

Byli tu urzędnicy w różnym wieku i różnego pochodzenia. Gdy skończyli swoje pokłony, przed figurą z brązu stanął jeden z nich, wyglądający na przywódcę, i przemówił donośnym głosem.

— Niech będą dzięki naszemu czcigodnemu mistrzowi Kongowi. Oby wspomagał członków naszego towarzystwa... Niech ci z was, którzy przystępują do egzaminów, podniosą rękę! — powiedział sędzia. Nad tłumem zebranych uniósł się las ramion.

Sędzia przystąpił do ich liczenia.

— Mój syn pragnie zostać sędzią pierwszego stopnia. Umie na pamięć cały kodeks karny królów Zhou\*. Teraz przyswaja sobie kodeks rytuałów. Chciałbym oddać jego los w ręce mistrza Konga. Aby moje życzenie zostało wysłuchane, jestem gotów

\* Dynastia Zhou rządziła od 1122 do 256 roku przed Chrystusem, w którym to okresie zostały opracowane w Chinach ważne teksty prawodawcze i obyczajowe.

złożyć konieczne ofiary! — wykrzyknął jeden z uczestników ceremonii.

Wszyscy zaczęli teraz podawać powody swojej obecności w Świątyni Bardzo Sprawiedliwego Środka, ten w imieniu syna, ów zięcia, aby zyskać pewność awansu.

Przełożony sędziów sięgnął po kadzielnicę i w świątyni uniosły się kłęby pachnącego dymu, uspokajając gorliwych urzędników i karierowiczów, między którymi krążyli ludzie wyznaczeni do zbierania datków i jałmużny, zaopatrzeni w wielkie, powleczone laką tace, na których każdy czuł się zobowiązany położyć monetę...

Dwaj uciekinierzy z rozbawieniem przyglądali się tej malowniczej scenie. Sędziowie podobni w swych czarnych szatach do kruków, tłoczyli się przed posągiem w nadziei, że otrzymają jego błogosławieństwo, niczym posłuszne dzieci wokół nauczyciela.

—Wolę spokojny nastrój buddyjskich pagód od prostackiej atmosfery świątyń konfucjańskich! — szepnął Ulik do biskupa.

—Nie jestem daleki od podzielenia twojego poglądu.

—Gdybym miał zmienić wyznanie, nigdy bym się nie oddał po opiekę Konfucjusza...

—Który nie jest bogiem, ale raczej myślicielem! Nie sądzisz, że czas, abyśmy wmieszali się w tłum? — zapytał towarzysza nestorianin, zauważywszy poruszenie wśród prawników, zaczynających zmierzać do wyjścia, gdy tylko skończyło się kwestowanie i wygłaszanie mów.

—Chyba tak. Czy nie byłoby dobrze rozdzielić się tu, żeby zmniejszyć ryzyko, że zostaniemy złapani obydwaj? — szepnął tłumacz.

—Właśnie chciałem ci to zaproponować — mruknął z przejęciem Addai Aggai, żalując, że porzucą młodego Persa, z którym zdążył się zaprzyjaźnić.

Ulik przyłączył się do kolumny sędziów kierujących się do drzwi. Biskup odczekał kilka minut, a potem założył kaptur i ustawił się za grupą urzędników idących powoli do wyjścia.

Znalazłszy się na dworze, nie mógł stwierdzić, czy Ulik znajduje się jeszcze w zbitym tłumie sędziów gawędzących na schodach świątyni. Mając się na baczności i nie próbując nawet zgadnąć, którzy z gapiów mogą być policjantami, przemknął wzdłuż rzędu kolumn i przeszedłszy na drugą stronę alei Rytuałów Szczęścia, zaludnionej czarnymi postaciami, szybkim krokiem zagłębił się w kręty zaułek.

Obejrzał się i stwierdził z ulgą, że nie wygląda na to, aby ktoś go śledził w uliczce, na której jedynie kilku umorusanych chłopaków grało w serso.

Przyspieszył kroku, pragnąc oddalić się jak najprędzej od Świątyni Bardzo Sprawiedliwego Środka i policjantów w cywilu, którzy z pewnością kręcili się wokół niej.

Dokąd się udać? Nie znał w Chang'anie nikogo.

Po ogłoszeniu dekretu zakazującego praktykowania nestorianizmu niedobrze byłoby wyjawiać komukolwiek, że jest członkiem tego Kościoła. Donosiciele wszelkiej maści znali wartość informacji, która pozwoliłaby aresztować takiego ukrywającego się wyznawcę. Addai Aggai był przecież ważną osobą tej zakazanej przez władzę religii. W żadnym wypadku nie mógł zaczepić pierwszego lepszego przechodnia.

Poczuł, że chce mu się pić.

Ujrzawszy placyk, w dużej części zastawiony ławami i stołami, przy których ludzie popijali herbatę, podszedł i usiadł, wciąż mając na sobie opończę.

— Życzysz sobie jedną czy dwie miarki herbaty? — zapytała go zaafierowana dziewczyna, biegająca od stolika do stolika.

— Wystarczy mi duża czarka — odparł nestorianin, starając się mówić z chińskim akcentem.

Odsunął kaptur, żeby wygodnie się napić.

— Addai Aggai!

Na dźwięk swego imienia poczuł, że krew zastyga mu w żyłach. Odwrócił się do siedzącego tuż obok człowieka.

— Napętniony Spokojem!

Od razu rozpoznał manichejczyka z Turfanu. Zaskoczeni, uścisnęli sobie dłonie.

—Rozmawiajmy cicho. Mam na karku policję! — szepnął biskup, naciągając pospiesznie kaptur na głowę.

—Chodź ze mną. Mieszkam niedaleko, w zajezdzie, którego właściciele są uroczymi ludźmi.

—Mam nadzieję, że można im zaufać... Odnoszę wrażenie, że tutaj wszyscy gotowi są za pieniądze donieść na sąsiadów.

—Moi gospodarze to dobrzy ludzie. Powiem im, że jesteś moim kuzynem. Bardzo mnie lubią, a poza tym, w przeciwieństwie do niektórych ich klientów, płacę na czas — zapewnił Wielki Doskonały.

Napełniony Spokojem zaprowadził Addaia Aggaia do swojej izby w domu położonym dwie ulice dalej.

—Od jak dawna tu mieszkasz? — zapytał biskup, gdy tylko tamten zamknął drzwi izby na zasuwkę.

—Będzie już ponad miesiąc. Straciłem mnóstwo czasu na podróż z Turfanu do Chang'anu, ponieważ trafił mi się konwój kupców, którzy co chwila gubili drogę.

—Co cię sprowadziło do środkowych Chin?

—Skorzystałem z ogłoszenia dekretu zezwalającego na praktykowanie manicheizmu, za którym, jeśli wierzyć plotkom, stoi sama Wu Zhao, i uznałem za rzecz pożyteczną przyjechać tu i się z nią rozmówić.

—W jakim celu?

—Powiadają, że Wu Zhao potrzebuje jedwabnej mory. Gdyby udało mi się dostarczyć jej ten materiał, bez wątplenia Kościół Światłości bardzo by na tym skorzystał. Wystąpiłem więc o audiencję u niej, żeby ją poprosić o warsztat do tkania mory, albo wskazanie mi inżyniera, który mógłby takowy skonstruować. Gdybyśmy mieli w Turfanie warsztat, moglibyśmy robić cuda!

—A więc podjąłeś działalność, dla której się sprzymie-  
rzyliśmy...



—Można tak to ująć. Mimo pewnych kłopotów mój pomocnik, Świetlisty Punkt, właśnie zajmuje się wznowieniem tkania. Podobnie jak Dunhuang, także Turfan bywa czasami celem napaści.

—Wiesz już, kiedy cesarzowa cię przyjmie? Jeśli wierzyć pogłoskom, trzeba czekać nie krócej niż sześć miesięcy, żeby uzyskać zgodę na rozmowę, która trwa zaledwie kilka chwil...

—Wyobraź sobie, audyencja została wyznaczona na jutro.

—Szczęściarz z ciebie!

—Zainteresowanie moją sprawą cesarzowej Wu to niezwykła rzecz, jeśli zważyć, jak trudno uzyskać taką audyencję. Bałem się, że wrócę do Turfanu z niczym. Na szczęście dwa dni temu wydarzył się cud!

—Jesteś pewny, że można mówić o cudzie?

—Kiedy stałem jak co dzień w kolejce do okienka, w którym składa się podania o audyencję, podszedł do mnie zaufany cesarzowej, który nosi za nią jej świerszcza. Ten był jeniec wojenny, olbrzym z obciętym językiem, jest w Chang'anie bardzo znany. I on załatwił sprawę tak, że cesarzowa przyjmie mnie niezwłocznie. Gdyby nie to spotkanie, stałbym tam jeszcze, czekając i zamartwiając się...

—Ona z pewnością coś knuje, jeżeli zgodziła się przyjąć cię osobiście. Wu Zhao ma opinię kobiety, która nie lubi tracić czasu... — mruknął Addai Aggai, a potem rzucił się wyczerpany na wąskie posłanie w izbie manichejczyka.

Gdy następnego dnia Napęłniony Spokojem, ubrany w białe szaty, stanął się przed cesarową, wymógłszy wcześniej na biskupie nestorianów, że nie wychyli z pokoju nawet czubka nosa, nie wiedział, że Wu Zhao przyjęła go, ponieważ Niemowa, urażony tym, że jego kochanka spędza godziny w ramionach Białego Obłoku, znalazł coś, co mogło skłonić ją do zmiany przedmiotu zainteresowania.

Prawda, że Wu Zhao nie mogła się już obyć bez seksualnego guru, jakim stał się dla niej tantrysta Szalony Obłok. Całymi tygodniami, świadoma niebezpieczeństw nowego nałogu, starała się odciąć od praktyk tantry, aby znów im się oddać, tak bowiem silne były wrażenia, jakich doznawała w objęciach człowieka, który był zarazem ojcem Niebiańskich Bliźniąt i mordercą Buddhabadry.

Przede wszystkim, kochając się z Białym Obłokiem, pozbywała się w cudowny sposób migreny. Kiedy więc padała ofiarą tej dolegliwości, cierpiąc tak, jakby ktoś rozłupywał jej czaszkę na dwoje, czuła co noc, że potrzebuje jego lekarstwa. Hindus dołączał do niej wieczorem, toteż wczesnym rankiem zarówno Niemowa, jak i służące mogli stwierdzić, czym się zajmowała, zamiast spać.

Niemowa coraz gorzej znosił chwile, w których jej ciało było mu niedostępne, i coraz bardziej nienawidził rywala, który tak ją omotał.

—Wasza Wysokość, pewien kapłan, który mówi, że jest wyznawcą religii manichejskiej i mieszka w Turfanie, pragnąłby zostać przez was przyjęty. Ten człowiek od tygodni stoi w ogonku do okienka, w którym załatwia się audiencje. Nalegał, żebym załatwił mu widzenie z Waszą Wysokością — oznajmił Turko-Mongoł, używając jak zwykle języka znaków i po-chrząkiwań, który tylko cesarzowa potrafiła rozszyfrować.

—Czego chce?

—Twierdzi, że chce zaproponować bardzo interesujący układ!

—Mam co innego do roboty!

—Wasza Wysokość, ten człowiek wygląda poważnie. Powinnaś, pani, wziąć to pod uwagę... Co mam zrobić?

—Nic!

—Ten manichejczyk pragnie porozmawiać z Waszą Wysokością o jedwabnej morze!

—Jak się nazywa? — spytała nagle cesarzowa, nie kryjąc zdumienia.

—Napełniony Spokojem, Wasza Wysokość.

—Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu? Niech przyjdzie do mnie jutro rano! Przyjmę go w Pawilonie Rozrywek, tam będziemy mieli spokój! Dopilnuj, żeby nikt nie wiedział, że go przyjmuję!

Wyglądziła szatę z zielonego jedwabiu haftowanego w złote motyle, wymiętą w trakcie niedawnych igraszek z Szalonym Obłokiem.

W oczach Niemowy, który przy okazji zerknął na sterzące piersi swej kochanki, zabłyśły łzy wściekłości. Wszedł powiedzieć manichejczykowi, że cesarzowa zgodziła się go przyjąć.

Zostawszy sama, Wu Zhao miała dość czasu, aby wszystko przemyśleć, i postanowiła potraktować rzecz poważnie, pamiętając, co Umara mówiła o manichejczyku z Turfanu, Napełnionym Spokojem, zajmującym się przędzeniem jedwabiu, który tkali nestorianie z Dunhuangu.

Niemowa wprowadził gościa do saloniku Pawilonu Rozrywek, którego ściany pokryte były płytami z laki, z namalowanymi górami i wodospadami.

Po nocy spędzonej z Szalonym Obłokiem cesarzowa przeżywała jeden z tych pomyślnych dni, w których migrena ją oszczędziła, była więc w dobrym nastroju.

—O ile wiem, Turfan nie leży dwa kroki stąd. Co skłoniło was, panie, do wybrania się w tak długą podróż? — zapytała Doskonałego, gdy tylko wszedł.

—Wasza Wysokość, Kościołowi Światłości brakuje krosien do tkania jedwabnej mory. A właściwie byłby mi potrzebny tkacz, który pomógłby nam je wykonać. Moglibyśmy wtedy dostarczyć mory doskonałej jakości, jako że, o ile mi wiadomo, Wasza Wysokość poszukuje tkaniny tego właśnie rodzaju! — odparł Doskonały, zdziwiony, że władczyni tak prędko przechodzi do rzeczy, ale też nieco zbity z tropu pięknością tej kobiety.

—Jedwabna mora! Prawda, że w czasach niedoboru nie można było dostać najmniejszego kawałeczka... — odparła władczyni, przeciągając dłonią po szacie, uszytej z tej właśnie wspaniałej materii.

—Kościół Światłości będzie wam na wieki wdzięczny za zgodę na założenie siedziby w środkowych Chinach. Nie jesteśmy już skazani na jaskinie, groty albo dalekie oazy na Jedwabnym Szlaku. Niebawem będziemy mieli świątynię w stolicy. W związku z tym gotów jestem dostarczyć Waszej Wysokości tyle mory, ile Wasza Wysokość będzie potrzebowała. Błagam zresztą naszego proroka Maniego, aby spełnił wszelkie pragnienia Waszej Wysokości — wykrzyknął w przyływie odwagi Wielki Doskonały.

—Dajecie ładny dowód przywiązania — pochwaliła go cicho cesarzowa, po czym dodała jakby do siebie: — Pomoc proroka Maniego z pewnością mi się przyda!

Poleciała podać herbatę, którą manichejczyk wypił jednym haustem ze złotej filiżanki, cenniejszej od rytualnych naczyń, jakich używał w Turfanie. Miał okazję zobaczyć z bliska, jak wielkim kultem chińskie państwo otacza swoich władców.

—Wasza Wysokość, pragnąłbym poruszyć jeszcze jedną kwestię... Ale nie chciałbym, żeby osoba, którą wymienię z nazwiska, jakkolwiek ucierpiała — rzekł cicho po długim milczeniu.

—Mów! Słucham cię. Możesz mi zaufać.

—A więc, Wasza Wysokość, spotkałem w Chang'anie błakającego się jak cierpiąca dusza biskupa nestorianów z Dun-huangu, Addaia Aggaia... Po piętach depczą mu agenci Wielkiego Cenzoratu. Nie wie, dokąd iść. W odróżnieniu od moich braci manichejczyków, nestorianie nie mają tu prawa obywatelstwa. Goszczę go w moim zajezdzie, ale sytuacja jest zbyt niepewna. Poza tym, kiedy wyruszę z powrotem do Turfanu, nie będzie miał nikogo, kto by mu pomógł. Wasza Wysokość,

to dobry człowiek. — Wielki Doskonały rzucił się do nóg Wu Zhao.

Miała wielką nadzieję, że zdoła ją przekonać, aby uratowała ojca Umary.

—Wiem doskonale, kim jest Addai Aggai. Przyrowadź go! Muszę z nim pomówić! — zażądała cesarzowa, ku jego wielkiemu zaskoczeniu.

—Może tu być za parę chwil. Zajazd znajduje się o dwa kroki stąd.

—Niechże więc przyjdzie jak najprędzej!

Zlany potem Addai Aggai czuł się nieswojo, kiedy Niemowa wprowadził go do saloniku cesarzowej Chin w towarzystwie manichejskiego Wielkiego Doskonałego.

— Czy masz wieści o swojej córce, panie? — zapytała bez wstępów Wu Zhao.

W odróżnieniu od swego towarzysza manichejczyka, poruszony pytaniem nestorianin nie zauważył nawet, że władczyni ma na sobie suknię z zielonej mory haftowanej w motyle i ptaki, jakiej jego tkalnia nigdy nie potrafiłaby utkać.

—Oddałbym lata życia, które mi zostały, żeby odnaleźć moje najdroższe dziecko! Odkąd moja ukochana córka znikła na pustyni Gobi, daremnie błagam o to mojego Jedynego Boga, bo niestety, Umara nie daje znaku życia. Bywają dni, że tracę resztki nadziei — jęknął biskup i rozplakał się jak dziecko.

—Umara żyje i o ile mi wiadomo, jest w dobrym zdrowiu. Znajduje się w mahajanistycznym Klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu. Gości ją tam przełożony Czystość Pustki.

—Moja córka buddyjską mniszką? To nie do wiary! Gdyby usłyszała o tym biedna Golea, pękłoby jej serce! — szepnęła wstrząśnięty Addai Aggai.

—O ile wiem, wasza córka nie zmieniła wiary — uspokoiła go cesarzowa.

—W takim razie co tam robi? Natychmiast się do niej udaję!

—Chodzi o to, że... Umara nie ma pełnej swobody...  
*Znalazła* się tam wbrew swej woli.

—Moja córka więźniarką w mahajanistycznym klasztorze? To haniebne i godne potępienia!

—Czystość Pustki uważa, że ona wie coś na temat Oczu Buddy, jednej z najświętszych relikwii Indii. Wielki mistrz chciałby zrobić z nich użytek dla swego klasztoru — dodała Wu Zhao.

—Umara nie ma nic wspólnego z żadnymi Oczami Buddy. Została wychowana w religii chrześcijańskiej! Moja córka jest stworzeniem czystym i uczciwym... — wyjąkał Addai Aggai drżącym głosem.

—Mogłabym poprosić przełożonego z Luoyangu, żeby uwolnił waszą córkę — powiedziała cesarzowa i zamyśliła się głęboko.

Nie zastanawiała się długo, co wybrać, szczęście Umary, młodej kobiety, jaką sama pragnęła być, czy Oczy Buddy, relikwie, o których posiadaniu marzył Czystość Pustki.

—Gdyby Wasza Wysokość zgodziła się wstawić w tej sprawie, złożyłbym wasze przeznaczenie w ręce mojego Jedynego Boga, który zawiaduje wszystkim na świecie! — wykrzyknął nestorianin.

—Wasza córka kocha pewnego mężczyznę. Trzeba będzie pozwolić jej, żeby mogła wyjść za niego za mąż... Czy mogą liczyć, że to zrobicie, panie?

—Czy to chrześcijanin? — spytał biskup.

—To wyznawca mahajany. Ma na imię Pięć Zakazów.

—Pięć Zakazów! To ten młody mnich, który opiekował się Niebiańskimi Bliźniętami! Prawdę mówiąc, domyślałem się tego... Znikł w tym samym momencie, co moja córka.

—Umara opuściła Dunhuang z miłości do tego mężczyzny. To, co wydarzyło się między nimi, było jak grom z jasnego nieba... A ponieważ widziałam ich razem, mogę was, panie, zapewnić, że bardzo się kochają. Aż miło patrzeć. Ale proszę

mi obiecać, że nie będziesz, panie, czynił Umarze żadnych wymówek! — poprosiła cesarzowa.

Podeszła do biskupa tak blisko, że poczuł zapach wody różanej i jaśminowej, którą służąca skrapiała ją co rano.

— Niech tylko moja córka wróci, a wybaczę jej wszystko. Pragnę tylko jej szczęścia. Czy to wystarczy? — odpowiedział spokojnie biskup, zastanowiwszy się przez chwilę nad tym, jak ma się zachować.

Gdyby dopuścił do głosu umysł, to bez wątpienia zasy-pałby córkę wymówkami. Chrześcijanka, a do tego córka zwierzchnika Kościoła, nie miała prawa schodzić z właściwej drogi, zakochując się w człowieku wyznającym inną wiarę.

Jednak w tej chwili, po uspokajających i szczerych słowach cesarzowej, kobiety słynącej z pragmatyzmu i stanowczości, biskup postanowił posłuchać głosu swego serca: Umara była jego małą ptaszyną, która wypadła z gniazda, a on czym prędzej chciał ją zamknąć w opiekuńczych ramionach.

— Jestem szczęśliwa, że to mówicie, panie. Umara na to zasługuje — powiedziała Wu Zhao, po czym dała znak stojące mu w kącie Niemowie, żeby się zbliżył.

Po raz pierwszy od miesięcy twarz Addaia Aggaia rozjaśnił szczery uśmiech.

— Przyrowadź mi tu jakiegoś skrybę! — poleciła Wu Zhao olbrzymowi.

Kilka chwil potem do saloniku wszedł człowiek w czarnym berecie, zaopatrzony w pędzelek i drewnianą tabliczkę, do której przypięte były arkusze z ryżowego papieru.

— Pisz to, co ci podyktuję: cesarzowa Chin poleca mistrzowi Czystości Pustki, żeby stawił się w pałacu cesarskim w Chang'anie w ciągu piętnastu dni!

Pisarz miał zakłopotaną minę, jak wszyscy, których wzywano nieoczekiwanie do cesarza albo cesarzowej.

Natychmiast wyjął z kieszeni przybornik z atramentem i z oszołamiącą szybkością zaczął pisać.

—Niemowo, dasz ten list najbystrzszemu gońcowi. Życzę sobie, żeby Czystość Pustki otrzymał go nie później niż za cztery dni i żeby został mu oddany do rąk własnych. A tymczasem biskup Addai Aggai zamieszka w Pawilonie Rozrywek.

—Wasza Wysokość, czy nie nadużyję waszej życzliwości, jeśli poproszę, żeby został tu ze mną Wielki Doskonały Napełniony Spokojem? Jego zajazd nie jest wygodny... — zwrócił się do cesarzowej Addai Aggai, uznając, że jego towarzystwo będzie manichejczykowi na rękę.

—Nie widzę przeszkód. Dzięki temu będzie miał dość czasu, aby odnaleźć tkacza, który zrobi mu w Turfanie krosna do tkania mory.

Gdy nestorianin i manichejczyk zostali sami, wprowadził ich w zdumienie wspaniały wystrój pawilonu; ośmiokątny budynek doskonale harmonizował z ogrodem, na który wychodziły pokoje. Wielki cesarz Taizong oddawał się tu niegdyś kaligrafii i malarstwu w towarzystwie muzykantek, które czarowały jego uszy, a przede wszystkim ożywiały zmysły. W donicach w ogródku pachniały najrzadsze rośliny, wokół których bezustannie krzatali się ogrodnicy.

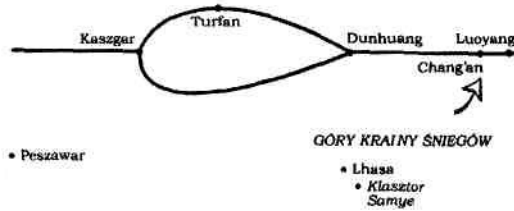
—Cesarzowa jest jeszcze sprytniejsza, niż mówią, zdołała umieścić dwa takie ptaszki jak my w jednej klatce, a jeśli chodzi o ciebie, to w dodatku tuż pod nosem władz! — wykrzyknął Napełniony Spokojem, poruszony sprytem Wu Zhao.

—Pozostaje nadzieja, że te ptaszki nie będą zbyt cierpiały, nie mogąc wzlecieć w powietrze! Czym my się tu zajmujemy? Nie wiem, jak zdołam wytrzymać, czekając całymi dniami na wieści — westchnął biskup z Dunhuangu.

— Jestem pewny, że Umara zjawi się prędko. Coś mi się wydaje, iż życzenia cesarzowej są rozkazami — zapewnił Wielki Doskonały.



— Jesteśmy w rękach Boga i Maniego! — mruknął na to chrześcijański biskup ku wielkiemu zaskoczeniu swego towarzysza. Ten ostatni nie wierzył bowiem w Jedyne Boga, który miał poprzedzać wszystkich innych bogów, wszystkie istoty, a także wszystkie rzeczy, zarówno te widoczne, jak i niewidoczne...



# 10

## *Changan, Brama Zachodnia*

Od Nowego Roku minęło dziesięć dni. Po obu stronach alei prowadzącej ku roгатkom wisały jeszcze na drzewach wielkie papierowe lampiony.

—Jest pan zapewne ambasadorem Firuzem, a to musi być chińska księżniczka wysokiego rodu — powiedział celnik, gdy przed roгатką stanęło siedem objuczonych wielbłądów i ósmy, niosący kosz z płóciennym daszkiem.

—Zgadza się. Stwierdzam z przyjemnością, że jesteście oczekiwani — odparł uprzejmie wysłannik sułtana Palmyry.

—W imieniu władz tego kraju mam obowiązek zaprowadzić was do Pałacu Przejazdnych Gości. Proszę za mną — zwrócił się do przybyłego żołnierza, który wyszedł spieszenie z budki sąsiadującej z przejściem. Miał na sobie bardziej strojny mundur niż strażnicy.

Nefrytowy Księżyc uchyliła płótno, które osłaniało ją przed promieniami słońca. Nie bez wzruszenia rozpoznała Wielką Bramę Zachodnią Chang'anu, tę samą, przez którą półtora roku temu przeszła w odwrotnym kierunku, przebrana za chińskiego

żołnierza, wraz z udającym taoistycznego kapłana Świetlistym Punktem.

Nie mogła powstrzymać się od uronienia ukradkiem kilku łez.

Upłynęło pięć i pół miesiąca, odkąd opuściła Palmyrę razem z Firuzem i jego małą karawaną wielbłądów. Jedno ze zwierząt niosło beczułki z kadzidlany proszkiem, który miał ułatwić osobistemu przedstawicielowi sułtana Raszida wjazd do środkowych Chin.

Przezorność, która ogołociła mały sułtanat z zapasów cennego towaru, okazała się niezwykle pożyteczna. Już kilka ziarenek wystarczało, aby otworzyć na oścież drzwi najwygodniejszych zajazdów. W większości przypadków Firuz i Nefrytowy Księżyc mieli izbę tylko dla siebie, dzięki czemu mogli spokojnie oddawać się miłośnym igraszkom.

Przyjemność, z jaką ambasador pełnomocny Firuz brał młodą kobietę, i jej nieokiełznana zmysłowość sprawiały, że bagdadczyk korzystał z jej przychylności, gdy tylko mógł.

Młoda Chinka pozwalała mu na wszystko. Opieranie się posłowi Omajjadów na nic by się nie zdało, mogłoby tylko obudzić jego podejrzenia. A zresztą jego wykwintne manieri nastrojały życzliwie tę, która oddała już swe serce Świetlistemu Punkтови.

Biorąc się w ramiona, tworzyli arabeski, które były wynikiem umiejętnie dobieranych, czasami akrobatycznych, a zawsze najbardziej zmysłowych póż, które Firuz tak doskonale znał. Za każdym razem podnosiły one intensywność wspólnej rozkoszy.

Jakże chętnie Firuz zagłębiał swój „słodki sztylet” w tym, co nazywał żartobliwie „jedwabistą poduszką rozkoszy” Nefrytowego Księżyca, a wtedy pozostawało mu już tylko rozlać w niej swe cenne soki. Ona zaś nierzadko spijała je do ostatniej kropelki, kiedy ją prosił, żeby złożyła mu hołd językiem i wargami.

Miłosne zapasy naznaczyły więc ich wędrówkę, która wydała się Firuzowi zbyt krótka.

Albowiem długiej w istocie podróży nie zakłóciły żadne niespodziewane wydarzenia. Pokonując Nefrytową Bramę i Wielki Mur, małe poselstwo sułtana Raszida nie usłyszało żadnych kłopotliwych pytań. Chińscy celnicy, zazwyczaj czyhający na podróżnych, którzy mogli napełnić ich kieszenie, nie mrugnęli okiem, kiedy Nefrytowy Księżyc wyjaśniała im, że ambasador pełnomocny Firuz jedzie z ważnym posłaniem do cesarza Gaozonga, mającym na celu „ustanowienie dyplomatycznych stosunków między Państwem Środka i sułtanatem Palmyry”. Skłonili się nawet uniżenie przed specjalnym wysłannikiem „zachodniego władcy”, który przybył złożyć wiernopoddańczą przysięgę władcy Państwa Środka, po czym wysłali do pałacu gońca, aby uprzedzić cesarskie służby o przybyciu Firuza i chińskiej księżniczki. Dzięki temu, gdy stanęli oni przy Wielkiej Rogatce Zachodniej, okazało się, że są oczekiwani.

Teraz, gdy ich podróż dobiegała końca, Firuz, nie mając odwagi przyznać się do tego otwarcie, poczuł żal, że dotarł już do serca państwa chińskiego, do najpiękniejszego i najbogatszego miasta świata, w wigilię dnia, w którym miał oddać władzom kobietę, w której zakochał się do szaleństwa.

Jeśli chodzi o Nefrytowy Księżyc, to ponieważ domyślała się, iż kłamstwo dotyczące jej rzekomo wysokiego pochodzenia może zostać w każdej chwili wykryte, z niepokojem oczekiwała na rozwój wydarzeń.

Pałac Przejedznych Gości, zwany też Pawilonem Przyjaźni, był szarym marmurowym budynkiem, na którego frontonie wyryto słowa: „Witamy naszych przyjaciół cudzoziemców”.

— Niech pan ambasador zechce pójść za mną... — poprosił opiekun Pawilonu Przyjaźni, podczas gdy Nefrytowy Księżyc, ku wielkiemu żalowi Firuza, została poprowadzona do sąsiedniego skrzydła, przeznaczonego dla kobiet.

Ambasadora umieszczono w ogromnym pokoju wychodzącym na ogród, w którym rosły stuletnie magnolie. Gdy tylko

wniesiono bagaże, szambelan przyniósł mu formularz prośby o audiencję.

—Trzeba wymienić w nim nazwisko, a przede wszystkim powód waszej wizyty u władcy Państwa Środka — wyjaśnił urzędnik, podając Firuzowi pędzelek.

—Nie umiem pisać po chińsku, znam tylko język mówiony. Czy nie zechciałbyś, panie, napisać tego, co podyktuję?

—Taka jest moja rola. Większość cudzoziemców, którzy tu przybywają, umie mówić po chińsku, ale nie potrafią pisać znaków...

—Chciałbym, żebyś spisał to, co powiem z myślą o dostojnym władcy Państwa Środka, który rządzi najliczniejszym ludem na świecie... Sułtan Raszid z Palmyry przekazuje Jego Ekscelencji Władcy Kraju Jedwabiu pełne uszanowania pozdrowienie. Posyła w swoim imieniu Firuzza Omajjada, ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego, celem ustanowienia więzów zaufania między małym sułtanatem Palmyry i ogromnym Imperium Jedwabiu. Jako dowód całkowitej ufności i niewzruszonej dobrej woli oddaje w ręce władz chińskich księżniczkę Nefrytowy Księżyc, wyrażając pragnienie, aby szczerść tego gestu została doceniona!

—To wszystko? — spytał szambelan, spisawszy z największą starannością słowa Firuzza.

—Czy to nie wystarczy? Czy etykieta Kraju Jedwabiu zaleca formuły wyrażające więcej szacunku? — spytał dyplomata.

—Bynajmniej. Pozostaje mi tylko zanieść waszą prośbę do kancelarii cesarskiej. To ona, po konsultacji z cesarzem Gaozon-giem, wyznaczy datę i godzinę audiencji — wyjaśnił urzędnik i wyszedł z pokoju.

—Czy będę mógł zobaczyć się z chińską księżniczką? — spytał Firuz służącego, który przyniósł mu owoce i lekką kolację, elegancko podaną na delikatnych, niemal przezroczystych talerzykach z seledynowej porcelany, ustawionych na drewnianej tacy pokrytej laką.

—Obawiam się, że nie będzie to możliwe, panie ambasadorze... — odparł służący uniżonym tonem.

—Proszę więc zaprowadzić mnie do jej pokoju! —poprosił stanowczo Firuz, którego przeszył nagły niepokój.

—Tej młodej kobiety nie ma już w Pałacu Przyjaźni — wyjaśnił w końcu służący z nieprzeniknioną miną.

—Ależ to niesłychane! Podróżowałem z tą księżniczką przez całe miesiące i powinienem przekazać ją cesarzowi. Dlatego poprosiłem o audiencję! — wykrzyknął Firuz, ale stwierdził, że służący już wyszedł, zostawiając go w szponach niepokoj.

Firuz nie mógł w to uwierzyć. Oto uprowadzono tę tak drogą mu osóbkę!

Padł na łóżko, gdy tymczasem młoda Chinka, którą bez ceregieli posadzono w lektyce, na próżno usiłowała się domyślić, w jakim kierunku niesie ją czterech tragarzy z żółtymi opaskami, które wskazywały na ich przynależność do służby cesarza.

Niepokój Nefrytowego Księżycy, która obijała się o ścianki skrzyni niczym arbuzy w koszu na owoce, sprawiał, że droga niezwykle się jej dłużyła.

Gdy ucichł uliczny gwar, stwierdziła nie bez strachu, że znalazła się w budynku o niekończących się korytarzach i schodach. Tragarze kluczyli, jakby chcieli uniknąć miejsc, w których mogliby zwrócić czyjąś uwagę.

Gdy wreszcie opuściła duszną lektykę, oślepiło ją światło świec, rozjaśniających wspaniałą osmiokątną komnatę o ścianach obitych różowym jedwabiem i podłodze pokrytej wytworzonymi, tkanymi w Persji kobiercami z czystej wełny.

Musnęła palcami obicie ścian, które było tak miękkie, że można by je wziąć za skórę małego dziecka.

Na niskim stoliku z drewna surmii stała skrzynka z czarnej laki, w której dostrzegła pincetkę do depilacji i mały nożyk z rączką z macicy perłowej, służący zapewne do czyszczenia

paznokci i uszu. Stojące obok cztery szklane fiolki musiały zawierać perfumy. Cesarz Chin z pewnością miał specjalne wymagania co do schludności i owłosienia intymnych zakątków swoich konkubin.

Unosił się tu delikatny zapach kadzideł i jaśminu, doskonale harmonizujący z wystrojem komnaty.

Duża weranda prowadziła na wysypane żwirem podwórze, które zamykał porośnięty bluszczem mur. Było to spokojne miejsce, osłonięte przed niedyskretnymi spojrzeciami.

— Tu trzeba zdjąć buciki! Jego Wysokość uwielbia przyglądać się stopom i kostkom ładnych kobiet... — oznajmił wysoki mężczyzna z nagim torsem i ogoloną głową, muskularny i natarty olejkami. Jego rysy twarzy i opadające wąsy zdradzały mongolskie pochodzenie.

Nefrytowy Księżyc posłusznie zrobiła to, o co poprosił. Podłoga buduaru była równie miękka, jak jedwab na ścianach.

— Jego Dostojna Wysokość niebawem się tu zjawi! — dodał osobnik. Dziewczyna zauważyła, że nosi ciężkie złote bransolety.

Do przytulnej „komnaty miłości cesarza Chin” wszedł inny służący we wspaniałym uniformie z czarnego jedwabiu haftowanego w srebrzyste piwonie. Wyprężył się na baczność i powiedział donośnym głosem:

— Jego Wysokość Gaozong, cesarz Państwa Środka! Uszanowanie dla jego osoby!

Nefrytowy Księżyc była jedną z tych obdarzonych mocnym charakterem osób, które umiały przystosować się do najbardziej niezwykłych sytuacji.

Utkwiła wzrok w grubym jedwabnym obiciu drzwi komnaty, a te otworzyły się przed cesarzem.

W jego białej szacie z najwyklejszej bawełny nie odkryła choćby śladu jedwabnej wstążki, natomiast zaskoczył ją jego brzuch.

Z powodu choroby otyłość cesarza przybrała takie rozmiary, że nie mógł już oglądać swoich stóp.

Zauważyła też, że potrzebował pomocy, żeby usiąść. Udzielił mu jej mężczyzna z nagim torsem. Gaozong wskazał mu jedną ze stojących w pokoju dużych sof.

Wcisnąwszy się między wałki i jedwabne poduszki, dzięki którym jego okrągły tułów o sflaczałych mięśniach i kruchym kośćcu trzymał się niemal prosto, Gaozong przystąpił do powolnych, szczegółowych oględzin młodej kobiety, którą służący pchnął stanowczym ruchem przed jego oblicze. Zaczął od jej stóp i kostek.

Nefrytowy Księżyc przelknęła ślinę i wyprostowała się, starając się zrobić dobrą minę do złej gry i przyjąc jak najgodniejszą pozę.

— Piękna sztuka! — mruknął cesarz, przystępując do dal szego oglądania dziewczyny, tym razem od góry do dołu.

Twarz cesarza Chin, którego małe oczka zasłaniały obwisłe powieki, przypominała ryj wieprza. Nefrytowy Księżyc próbowała myśleć o czymś innym, wbijając wzrok w złocony kasetonowy sufit, na którym stolarz-artysta wyrzeźbił parę ptaków *biyiniaio*, latający symbol miłości.

— Czy Jego Wysokość pozwoli, że ją rozbiorę? — zapytał służący, jakby chodziło o rozpakowanie jakiegoś przedmiotu.

— Oczywiście, Gomul. To, co widzę, zachęca mnie, żeby zobaczyć więcej... — odparł władca, a jego oczy błyszczały lubieżnie.

Mężczyzna o imieniu Gomul zaczął delikatnie rozbierać Nefrytowy Księżyc, na oczach wpatrującego się nieruchomo cesarza, który zdawał się nie tracić nic z odsłanianych przed nim wdzięków młodej Chinki.

W końcu ukazała mu się w całej wspaniałości swych zmysłowych kształtów. Przelknął ślinę, podziwiając jej podobne do owoców mango, ostro zakończone piersi i smukłe uda, zbiegające się w starannie wydepilowanym intymnym zakątku.

Niczym smakosz siedzący przed apetycznym daniem, chiński władca nie mógł powstrzymać się od mlaśnięcia językiem.



Nefrytowy Księżyc zauważyła, że Gomul służy za pomocnika Gaozongowi, który z powodu dny przyprawiającej go o nieznosny ból stawów nie mógł wykonywać żadnych miłosnych gestów.

Rozebrawszy ją, mężczyzna ze złotymi bransoletami podszedł do niej od tyłu, wziął ją w ramiona i uniósł, rozsuwając jej nogi w taki sposób, że brzuch Nefrytowego Księżycza znalazł się w zasięgu ust cesarza, który z upodobaniem zaczął przeciągać językiem po jej rozkosznym pępuszku.

Ku wielkiemu zaskoczeniu dziewczyny, służący zabrał się do lekkiego kłosa jej szyi, co przyprawiło ją o przyjemne dreszczyki, które ukrywała z największym trudem. Potem, odgadując prawdopodobnie wstręt, jaki Gaozong budził w Nefrytowym Księżycu, Gomul zaczął pocierać łagodnie torsesem o aksamitną skórę jej pleców.

Znalazłszy się między przyjemnym dotykiem piersi Gomula i lepkiem, coraz bardziej natarczym językiem Gaozonga, złapana w pułapkę młoda kobieta postanowiła zrobić wszystko, żeby nie zniechęcić cesarza. Pragnąc uniknąć jakiegokolwiek podejrzeń dotyczących się jej statusu rzekomej księżniczki, zdecydowała, że najostrożniej będzie udawać przyjemność i sprawiać wrażenie, że oddaje mu się bez reszty.

Całując ją, Gomul rozchylił jeszcze bardziej jej nogi i podsunął ją dyszącemu cesarzowi, żeby umożliwić mu jak najwygodniejszą eksplorację najbardziej intymnych zakątków.

—Czy Waszej Wysokości jest wygodnie, czy mam zmienić pozycję? — zapytał służący, najwyraźniej przyzwyczajony do zaspokajania podobnych kaprysów Gaozonga.

—Odwróć ją plecami do mnie. Ma lędźwie, które zdają się być na wagę nefrytu — mruknął cesarz.

Sługa odwrócił delikatnie Nefrytowy Księżyc i chwycił ją w pasie, a potem zbliżył jej jędrne i okrągłe pośladki do cesarskich dłoni. Aby dokonać tej sztuki, musiał przycisnąć ją do siebie, a ona przywarła piersiami do jego umięśnionego

torsu. Poczula lekko piżmowy zapach Gomula i ta nader dziwaczna sytuacja wywołała u niej raczej przyjemne odczucia; niewiele brakowało, a poczulaby pociąg do tego mężczyzny o muskularnym ciele, przypominającym sylwetki adeptów sztuki walki, spędzających całe godziny na podnoszeniu żeliwnych hantli albo rozłupywaniu cegieł kantem dłoni lub ramieniem.

— Co za rozkoszna pupcia! — sapał Gaozong, a jego grube paluchy błdziły gorączkowo wokół obu furtek Nefrytowego Księżyca.

Młoda Chinka, zniesmaczona zachowaniem cesarza, który zdawał się smakować ją jak potrawę, omal go nie spoliczkowała, kiedy wyjął ze spodni śmiesznie mały nefrytowy wisior, bardziej przypominający strzykwę niż lancę Firuza...

— Zrób to ustami i będzie po wszystkim — szepnęła jej do ucha Gomul.

Zamknęła oczy i starając się myśleć tylko o nagim i muskularnym torsie Gomula, pochyliła się nad wiotkim członkiem i musnęła go niedbale, wywołując ryk rozkoszy jego właściciela.

Żaden mężczyzna nie budził w niej nigdy takiej odrazy.

Mimo iż jako młoda robotnica przędzalni Świątyni Nieskończonego Przędziwa znajdowała się w raczej smutnym położeniu, zawsze sama wybierała swoich kochanków. Znała szczególnie smak seksualnych przyjemności, a napotkanie Świetlistego Punktu pokazało jej, że miłość i seks wzmacniają się nawzajem.

Czy jednak teraz mogła zrobić coś innego, niż spełniać niczym zwyczajna prostytutka pragnienia tak potężnego władcy?

Nie miała wyboru. Nie ulegało wątpliwości, że od tego, co zrobi, zależy jej życie. A tak pragnęła żyć, aby pewnego dnia połączyć się ze swoim Świetlistym Punktem!

Uklększy przed cesarzem, poczuła nagle łagodny i ciepły dotyk nefrytowego trzonka Mongoła, który wchodził w nią od tyłu, pieszcząc zarazem jej szyję. Zawstydzona stwierdziła, że zabiera się on nader sprawnie do rzeczy, i poczuła rosnące

pożądanie, które objawiło się wilgocią w jej intymnej furtce. Pomyślała, że Gomul, który musiał dobrze znać kobiety, aby poczynić sobie tak zręcznie, brał ją z pewnością za najbardziej rozpustną kurtyzanę.

Co dziwne, manewr Mongoła okazał się nie tylko przyjemny, ale dodał jej też odwagi. Nie opierała się już obmacującym ją palcom Gaozonga, ale zabrała się nawet do masowania jego członka, który w końcu pozostawił na jej dłoni kilka białawych kropelek.

—Chcę zobaczyć się znowu z tą księżniczką jutro o tej samej porze! — oświadczył cesarz, odebrawszy z przyjemnością jedyną porcję rozkoszy, na jaką było go stać, zważywszy na jego stan.

—Spodobałaś mu się, pani. Także i mnie, muszę to wyznać! — szepnęła Nefrytowemu Księżycowi mężczyzna ze złotymi bransoletami, który uśmiechnął się do niej, poprawiając spodnie.

—Jak śmiałaś wziąć mnie od tyłu? — mruknęła, czerwona jak piwonia.

—Wydawało mi się, że sprawiło wam to, pani, przyjemność? — odparł, prowadząc ją do wyjścia komnaty Gaozonga, w której ten ostatni już drzemał, wyczerpany swoimi wyczynami.

—Musiałaś mnie wziąć za jakąś bezwstydnicę!

—Powiedziałbym, że jest pani pięknym muzycznym instrumentem, z którego, śmiem twierdzić, potrafię wydobyć najpiękniejsze tony! — odparł Gomul, kładąc rękę na jej ciągle jeszcze nagiej piersi.

—Porównanie jest dla mnie raczej pochlebne... Muszę się ubrać. Moja szata została w komnacie cesarza.

—Ale przedtem chciałbym mieć panią tylko dla siebie... — szepnęła sługa, pociągając ją do drzwi, które otworzył lekkim pchnięciem.

Prowadziły do pokoju, w którym stało wielkie łoże.

—Nie brakuje wam śmiałości, Gomul! — odparła dziewczyna, zmieszana tym, co właśnie przeżyła.

—Rzadko widuję tak doskonałe ciała, księżniczko, i tak podatne na pieścizoty. Większość kobiet ich odmawia. Słowo Gomula, jest pani stworzona do miłości! — mruknął, przewrócił ją na łóżko, a potem rozsunął jej uda i usiadł okrakiem na jej brzuchu.

Przeszły ją dreszcze, gdy tylko zaczął łagodnie masować jej uda, a potem piersi, naciskając sutki, stwardniałe od rosnącego w niej pożądania. Wsparty się na łokciach, objęła nogami szyję Gomula, tak że w zasięgu jego ust znalazły się wargi sromowe.

— Włóż język! Prędeży! Bardzo tego pragnę! —jęczała, już teraz nieprzytomna z rozkoszy, którą spodziewała się przeżyć.

Gomul nie dał się prosić dwa razy. Rozchylił delikatnie dwa różane płatki Nefrytowego Księżyca i przyłgął czubkiem języka do maleńkiego pączka. Zareagowała natychmiast cichym sapaniem.

—Och, tak! Jak dobrze! Jak mi dobrze! Kto cię nauczył tego wszystkiego? Skąd umiesz tak dobrze czytać księgę kobiecego ciała? — zdołała wyjąkać, pomimo zadyszki, która chwyciła ją za gardło i nie pozwalała oddzielać sylab.

—Pomagając cesarzowi Chin korzystać z przyjemności, poznałem pewną liczbę kurtyzan, których zawód polega na zaspokajaniu wszelkich kaprysów ich kochanków. W pewnym sensie to one były moimi nauczycielkami...

Przypomniał jej się nagle Świetlisty Punkt. Spojrzała na podłogę i doznała szaleńczego pragnienia, żeby zapaść się pod ziemię.

Gdzie on się podziewa, ojciec dziecka, które straciła, jedyna miłość jej życia, mężczyzna, wobec którego odczuwała coś więcej niż tylko zwykłe pożądanie?

Nie bez zaskoczenia stwierdziła, że to, co przeżyła najpierw z Firuzem, a teraz z Gomulem, nie tylko nie zatarło pamięci

o młodym kuczanie, ale wzmocniło więzy, jakie ją z nim łączyły.

Jeśli istniał mężczyzna, z którym pragnęłyby mieć dzieci i żyć szczęśliwie, dzieląc z nim nie tylko radości, ale i trudy życia, był nim tylko Świetlisty Punkt i nikt inny.

Tak zatopiła się w marzeniach o wspólnym życiu z ukochanym, że przestała zwracać uwagę na coraz bardziej wyrafinowane pieśczoły Gomula.

—Jestem pewny, że cesarz nie będzie już mógł się bez ciebie obejść! —powiedział, wciągając spodnie, gdy skończyli.

—Nie czuję powołania, żeby zostać kurtyzaną — westchnęła.

Gomul bez słowa poprowadził rzekomą chińską księżniczkę do komnat, które Gaozong kazał przygotować z myślą o niej.

Cesarz umieszczał swe kochanki właśnie tu, w pawilonie, który stykał się z cesarską komnatą miłości, dzięki czemu mógł korzystać do woli z usług chwilowych ulubienic, i to niemal bez straty czasu, jako że Gomul miał obowiązek działać bardzo szybko i przyprowadzać mu obiekt jego pożądania, gdy tylko członek Gaozonga wykazywał jakiegokolwiek ożywienie.

— Co za przepych! — szepnęła, znalazłszy się we wspaniałym pomieszczeniu przypominającym szklarnię, tak prawdziwie wyglądały zarówno kwiaty piwonii i storczyków, jak i motyle, zdobiące od góry do dołu jego ściany.

W rogu znajdował się okrągły marmurowy basenik, w którym goszczące tu panie mogły dokonywać ablucji tym przyjemniejszych, że z kranu w kształcie paszczy Żarłocznego Smoka *Taotie* tryskał strumień ciepłej wody.

— Gaozong lubi, gdy jego kochanki mają miękkie i pachnące ciało... — wyjaśnił Gomul, pochylając się przed nią. Potem pożegnał się i zniknął.

Nefrytowy Księżyc została sama, oszołomiona wirem wydarzeń i zachwycona wnętrzem, które przywodziło na myśl wspaniałą szkatułkę na klejnoty. Nie miała jednak czasu, aby

przyjrzeć się szczegółom, ponieważ przyszła kobieta, która przedstawiła się jako cesarska kosmetyczka.

—Zajmuję się przyborami toaletowymi i wonnościami. Jaki olejek życzyś sobie, pani, do kąpeli? Możemy wybrać między różą, jaśminem, piżmem, geranium i melisą. Księżniczki szaleją za jaśminem. Wytworne kurtyzany wolą olejek piżmowy...

—Nie obchodzą mnie przyzwyczajenia waszych klientek... — szepnęła Chinka.

—W takim razie niech będzie melisa. Zobaczysz, pani, kąpiel będzie rozkoszna, zwłaszcza jeśli jest to pierwszy raz...

— powiedziała kosmetyczka i wlała do ciepłej wody zawartość szklanej fiołki, którą wyjęła z eleganckiej szafki z różanego drewna.

W słowach kosmetyczki nie było cienia przesady.

Zanurzony w kąpeli, pachnącej olejkami melisy, Nefrytowy Księżyc omal nie zasnął, czując, jak po akrobatycznych figurach, którym oddawała się najpierw z Gaozongiem, a potem z Gomulem, całe jej ciało się odpręża.

Po godzinnym wypoczynku młodą kobietę przejął zastęp masażystek, które zaaplikowały jej wszelkiego rodzaju kremy, zachwycając się jej kształtami i wróżąc jej długi pobyt w tej komnacie. Dowiedziała się, że jest sto drugą ulubienicą Gaozonga, która tu gości od czasu, gdy Gaozong został cesarzem.

—Jak długo trwa zwykle kariera takiej faworyty? — zapytała Nefrytowy Księżyc.

—Od kilku godzin do kilku miesięcy... Jego Wysokość szaleje za coraz młodszymi dziewczętami. Ostatnia miała nie więcej niż czternaście lat... — odparła masażystka.

—Ja skończyłam już dwadzieścia pięć... — szepnęła nieśmiało Nefrytowy Księżyc.

—To dowodzi, że musiałaś mu, pani, przypaść do gustu... — parsknęła jedna z kosmetyczek.

—A zresztą Jego Wysokość nigdy nie umieszcza tu faworyty za pierwszym razem... Dogodziłaś mu, pani... Pięknie,

że udało ci się to za pierwszym razem! — dodała ze śmiechem inna.

—Kiedy dowie się o tym cesarzowa Wu Zhao, może wpaść w furię... — zauważyła trzecia.

—Po kąpieli i masażu zabieramy się zazwyczaj do depilacji. Gaozong lubi, żeby wszystko było idealnie gładkie — powiedziała ostatnia, ale zaraz potem wpadła w zachwyt, widząc, że nowa ulubienica cesarza uprzedziła pod tym względem jego wymagania.

Podczas gdy młoda Chinka poddawała się rękóm, pincetkom, pachnącym olejkom i kremom cesarskich kosmetyczek, Firuz zadrezczał się w pokoju w Pawilonie Przyjaźni.

Uspokoił się nieco dopiero trzy dni później, gdy zjawił się szambelan z wieścią, że cesarz Chin gotów jest go przyjąć za dziesięć dni, podczas cotygodniowej audiencji, udzielanej w obecności głównych ministrów.

Stwierdziwszy, że nie może wychodzić i wracać według swego upodobania, starał się zabić nudę jednostajnych dni, oddając się strzelaniu z łuku w parku Pawilonu Przyjaźni z żołnierzami, którzy go pilnowali.

W końcu przysłano po niego, aby poprowadzić przed oblicze cesarza. Nie mając żadnej wiadomości o Nefrytowym Księżycu, był niespokojny, gdy w ceremonialnym stroju i czarnym turbanie z białym piórem wchodził do ogromnej sali audiencji, w chwili gdy herold wykrzykiwał formułkę, którą witano na dworze Tangów przedstawiciele obcych mocarstw, pragnących sprzymierzyć się z największym państwem świata:

— Jego Wysokość Władca Środka wzywa Jego Ekscelencję Firuza z dynastii Omajjadów, specjalnego wysłannika sultana Palmyry, aby złożył mu hołd w imieniu swego mocodawcy!

Sala Audiencji wywierała wrażenie na wchodzących tu po raz pierwszy zarówno długością, która wydawała się nieskończona, jak i panującym w niej półmrokiem. Firuz ledwo mógł odróżnić w głębi pomieszczenia, którego kolumny ginęły

w cieniu sklepienia, siedzącego na podwyższeniu, ubranego na żółto władcą Państwa Środka, przypominającego gwiazdą błyszczącą pośród nocy.

Sposób, w jaki cesarz przyjmował oficjalnych przedstawicieli obcych monarchii, regulował szczegółowy ceremoniał.

Obecny był cały chiński rząd, podobnie jak i grupka wrogów Wu Zhao, począwszy od generalnego sekretarza rządu Lin Shiego, wielkiego kanclerza Han Yuana i najważniejszych ministrów, którzy mieli prawo uczestniczyć w audiencjach, podczas gdy ich koledzy niższej rangi nie byli do tego upoważnieni. Wszyscy mieli na sobie ceremonialne stroje, które w przypadku najstarszych wiekiem zdobił biały żuraw, a najmłodszych złoty bażant. Ich głowy wieńczyły czapki z czarnej satyny z wywiniętym rondem i z czerwonymi frędzlami, znakiem odróżniającym je od kapeluszy mandarynów.

Sam prefekt Li, z uwagi na swoją rangę i zależność bezpośrednio od cesarza, miał prawo nosić „kapeluszowy klejnot”, małą kulkę z koralu, umocowaną na czubku czapki na małej złoczonej nóżce.

Siedzący nieco z boku Wielki Cenzor miał przygnębioną minę.

— Niech będzie pozdrowiony na dworze Chin ambasador Firuz, gdzie dostąpi wielkiego honoru złożenia hołdu władcy rządzącemu Środkiem Świata. Ambasador Firuz proszony jest o zbliżenie się! — wykrzyknął urzędnik prowadzący audiencję.

Wysłannik Omajjadów posłusznie wykonał polecenie i podjął samotne pokonywanie prowadzącego do tronu Gaozonga długiego przejścia, po którego obu stronach stały w zwartych rzędach ważne osobistości: wojskowi, urzędnicy, ministrowie i uczeni.

— Wypada, abyś podał, panie, obecnemu tu zgromadzeniu powody twego przybycia — szepnął Firuzowi człowiek, który przedstawił się jako minister spraw zagranicznych.



— Sułtanat Palmyry pragnie nawiązać dyplomatyczne stosunki z Krainą Jedwabiu, której dostojnego władcę pozdrawia. Aby zaznaczyć brak jakichkolwiek ukrytych zamiarów i po twierdzić dobrą wolę, sułtan Raszid pragnie zwrócić Państwu Środka księżniczkę Nefrytowy Księżyc, którą przetrzymywano jako zakładniczkę w jednej z oaz Jedwabnego Szlaku — po wiedział powoli Firuz.

Gaozong skinął głową i dał znak sekretarzowi, który stał tuż za tronem, żeby się pochylił, a potem szepnął mu do ucha kilka słów.

—Ta chińska księżniczka żywo interesuje Władcę Środka. Składa on najżywsze podziękowania sułtanowi Raszidowi — rzekł sekretarz cesarza Chin.

—Przekażę je — odparł Firuz, który nie mógł się powstrzymać od myśli, że przychylność Gaozonga pozbawia go pięknej kochanki.

—Czy Wasza Wysokość nie uważa, że należy wystosować list dziękczynny do sułtana Raszida? — zapytał minister spraw zagranicznych, który lubił wysuwać się na pierwszy plan.

—Czemu nie? — mruknął Gaozong, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

—W dalszej kolejności będziemy mogli posłać tam naszego emisariusza... — upierał się minister, a jego słowa zagłuszył pomruk zaskoczenia.

Ku zdumieniu swych wrogów, zza jednej z ciężkich czerwonych kotar, przed którymi ustawiono cesarski tron, wysunęła się Wu Zhao, która zawsze twierdziła, iż ma do roboty ciekawsze rzeczy niż uczestniczenie w cesarskich audyencjach.

Zrobiła trzy kroki w kierunku małżonka, po czym stanęła w pozie aktorki, szykującej się do wygłoszenia tyrady na oczach zdumionego zgromadzenia, po którym nie spodziewała się żadnego wsparcia.

— Jakie dobre wiatry przywiodły cię tu, pani? — zapytał zdziwiony Gaozong.

— Wasza Wysokość, przyszedłam bronić interesów cesarstwa — oświadczyła Wu Zhao.

Przez salę przebiegło niedostrzegalne niemal poruszenie. Wszyscy wstrzymali oddechy.

— Słyszałam, co mówiono przed chwilą na temat stosunków między imperium Środka i sultanatem Palmyry. Informuję was z żalem, że księżniczka Nefrytowy Księżyc jest zwyczajną plebejuską!

— Moja droga, wyglądasz na bardzo wzburzoną — wymamrotał Gaozong.

— Jestem wstrząśnięta oszustwem, jakiego próbował się dopuścić ten ambasador! — rzuciła Wu Zhao pod adresem Firuza, który nagle pobladł.

— Wasza Wysokość się myli. Ta młoda kobieta jest Chiną wysokiego rodu! Jestem jak najdalszy od zamiaru oszukania Krainy Jedwabiu! — zaprotestował.

— Kazałam odszukać imię tej młodej kobiety we wszystkich rejestrach szlachty cesarstwa i nie znalazłam go wśród potomków warstwy, którą określa się tu mianem Trzystu Rodzin! — oświadczyła lekceważąco Wu Zhao.

Nienawidziła określenia „Trzysta Rodzin”, którego nadużywała szlachta, aby zaznaczyć rzekomą wyższość swej kasty.

— Nie rozumiem, co to wszystko znaczy! Zakłócasz pani, przebieg audiencji... — odparł rozdrażniony Gaozong, wprawiając w zachwyt wrogów cesarzowej, którzy stwierdzili, że tym razem Gaozong nie bierze za dobrą monetę słów uzurpatorki.

Dla cesarza nie miało większego znaczenia to, że Nefrytowy Księżyc jest plebejuską. Już od przeszło dwóch tygodni spędzał z nią rozkoszne chwile, w czasie których jego nefrytowy trzonek okazywał niezwykle wigor. Mogło się wydawać, że niczym feniks odradza się z popiołów.

— Poprosiłam o przybycie tutaj szefa archiwistów — dodała Wu Zhao z triumfującą miną, dając znak równie wysokiemu, co chudemu osobnikowi, żeby się zbliżył.

— W istocie, w rejestrach trzystu dwóch najszlachetniejszych rodzin cesarstwa Środka nie ma żadnego śladu narodzin córeczki o imieniu Nefrytowy Księżyc! — rzekł, odczytując raport, który nakazała mu sporządzić cesarzowa.

Wu Zhao doskonale zaplanowała atak. Chciała wprawić w zakłopotanie swych wrogów, łapiąc ich w pułapkę prawa, którego mieli bronić.

—Jaka kara spotyka wasalów za uchybienie cesarzowi, panie wielki kanclerzu? — zapytała Wu Zhao, zwracając się do Han Yuana.

—Śmierć, Wasza Wysokość! Ni mniej, ni więcej, tylko kara śmierci! — odparł tenże, nie patrząc jej w oczy.

—A jaka jest definicja zbrodni, którą popełnia wasal, uchybiając swemu suwerenowi, panie sekretarzu generalny? — spytała tym razem Lin Shiego, który pocił się obficie.

—Zbrodnia uchybienia polega na oszukaniu państwa. Jest to więc przestępstwo przeciwko prawu cesarstwa — odparł.

—Czy gwarantem prawa jest cesarz Państwa Środka? — zwróciła się Wu Zhao do całego rządu, którego członkowie przyglądali się własnym butom.

W sali zapadła śmiertelna cisza. Gaozong, nadąsany jak dziecko przyłapano na psocie, wcisnął się w fotel.

Przerwała ją sama cesarzowa, pewna swego po tak bezlitosnym ataku.

—Gdy zagraniczny ambasador każe wierzyć cesarzowi Środka, że ofiarowuje mu księżniczkę, podczas gdy jest to plebejuszka, to czyż nie dopuszcza się oszustwa? — zapytała powoli i spokojnie.

—Przysięgam Waszej Wysokości, że sułtan Palmyry nie miał o tym pojęcia... Kaled Chan z plemienia Tujue sprzedał mu tę młodą kobietę za cenę księżniczki, a nie plebejuszki... — jęknął Firuz, bijąc się w piersi na znak szczerzej skruchy.

Wu Zhao nie zauważyła, że na dźwięk imienia Kaleda Chana kilka osób opuściło nagle głowy.

— To nie zmienia faktu, że próbował wystawić na próbę zaufanie władcy Państwa Środka. Gdybym się nie wtrąciła, nikt nie odkryłby tego oszustwa! — rzuciła, zwracając się do ministrów, których miny wyrażały i wściekłość, i strach.

Nie mniej zmartwiony był prefekt Li, który miał świadomość, że jego plany biorą w łeb jeden po drugim.

— Straże, aresztować tego człowieka! — rzucił grobowym tonem Gaozong, który myślał tylko o tym, aby nie utracić rozkoszy, jakie zapewniała mu Nefrytowy Księżyc.

Rozległo się trzaskanie włóczni, a wokół kostek Firuza zamknęły się ciężkie łańcuchy z brązu.

Dworzanie czuli się zobowiązani wydać westchnienie podziwu połączone z pochwalnymi pomrukami, wobec tak stosownej reakcji dostojnego władcy.

Przed wszystkim jednak zapełniający salę, której kolumny wycięto z pni trzystuletnich cedrów, zadawali sobie pytanie, jakim sposobem Wu Zhao zdołała wykryć matactwo! Ta kobieta pojawiała się tam, gdzie się jej nie spodziewano, i nadal miała dostęp do informacji, których nie należało ujawniać!

W głowach jej pokonanych i zawiedzionych wrogów kłębiły się niezliczone pytania.

Jakim sposobem wydobyła na światło dnia tak poważny fakt, jak uzurpowanie sobie tytułu szlacheckiego? Dlaczego cesarz Chin godzi się na kaprysy małżonki, której wybryki z hinduskim magiem Białym Obłokiem znane są wszystkim? Czy Gaozong może nie wiedzieć o tym, iż małżonka tak bezwstydnie go oszukuje?

— Wasza Wysokość, Wielki Cenzorac pragnąłby przesłuchać ambasadora Omajjadów, żeby wyjaśnić sprawę przywłaszczenia tego tytułu. Potrzebowałbym także zeznań zainteresowanej — odezwał się prefekt Li.

— Ona jest niedostępna! Przynajmniej na razie! — uciął Gaozong, który nie zamierzał rozstawać się z Nefrytowym Księżycem.

— I nie bez powodu, bo cesarz umieścił ją w sekretnej komnacie! — szepnął jakiś głos, wystarczająco donośny, aby Firuz go usłyszał.

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby się domyślić, co przydarzyło się Nefrytowemu Księżycowi... Za to Wu Zhao udała, że niczego nie usłyszała. Już od dawna nie martwiły jej przelotne miłostki męża. Nie pozostawała mu dłużna.

Spowita w szatę z krwistoczerwonego jedwabiu obszytego nefrytowozielonymi pomponami, patrzyła wyzywająco na stojące najbliżej osoby, których miejsce w rządzie odpowiadało mniej lub bardziej natężeniu nienawiści, jaką ją darzyły.

W grupie dyplomatów, przekonanych o swojej kompetencji, choć jeszcze przez długi czas stosunki międzynarodowe miała regulować brutalna przemoc, panowała dziwna konsternacja zmieszana z irytacją. Służby Ministerstwa Spraw Zagranicznych miały nadzieję, że zwrócenie chińskiej księżniczki przez Firuzą pomoże nawiązać stosunki dyplomatyczne z sułtanatem Palmyry. Od tygodni pisano listy uwierzytelniające, odbierano petycje książąt i prowadzono niekończące się narady, których celem było wykorzystanie stosownych środków dyplomatycznych, i wszystko to poszło na marne, ku wielkiemu żalowi osób nad tym pracujących.

Spośród członków rządu zadowoloną minę miał tylko niewzruszony Skuteczność Pozorów. Minister jedwabiu, który dzięki opatrnościowemu ustaniu przemytu tej tkaniny w ostatniej chwili uratował głowę, miał jak zwykle trudności ze zrozumieniem istoty krytycznej sytuacji, w jakiej znalazł się rząd po wystąpieniu Wu Zhao.

— To nie jest nic aż tak poważnego, jeśli Jego Wysokość czuje się zadowolony! — ośmielił się zauważyć, ściągając na siebie ponure spojrzenia kolegów.

W sali znowu zapadło kłopotliwe milczenie. Cesarz nie ukrywał zniecierpliwienia, jako że nikt nie wiedział, jak położyć kres temu przykremu przedstawieniu.

—Jeśli Nefrytowy Księżyc nie jest księżniczką, to sama powinna wiedzieć o tym najlepiej... — zauważyła cesarzowa, miażdżąc tymi słowami Firuza, który zdał sobie sprawę, że kochanka nadużyła jego zaufania.

—Porozmawiamy o tym wszystkim gdzie indziej! Co do Firuza, zostanie on osadzony w Psim Forcie! — oświadczył stanowczym tonem cesarz, zamykając posiedzenie. Na szyi i przegubach rąk nieszczęsnego wysłannika sułtana Raszida z Palmyry zamknęło się ciężkie drewniane jarzmo.

Gaozong odesłał swoich ministrów, na których zmartwione miny żal było patrzeć, po czym, nie omieszkawszy na oczach wszystkich pocałować w rękę żony, kazał Gomulowi poprowadzić się prędko do Nefrytowego Księżycy.

Już od prawie dwóch godzin czuł mrowienie, które zapowiadało co najmniej zadowalającą kondycję jego narządu.

—Jesteś zdaje się plebejuską... — zwrócił się do dziewczyny, podczas gdy Gomul zdejmował cienką tunikę z przezroczystego jedwabiu, okrywającą jej ponętne kształty.

—Człowiek, który sprzedał mnie sułtanowi Palmyry, nazywał mnie księżniczką. Czy mogłam nie zaakceptować tego tytułu? Wyjawienie prawdy skazałoby mnie na śmierć. Nie miałam wyboru — wyjaśniła cesarzowi, który już jej nie słuchał, zajęty bez reszty delikatnym kąsaniem jej piersi.

Tymczasem Gomul delikatnie pieścił jej lędźwie.

Przyjemne dreszcze pomogły jej wygiąć plecy w kształt przypominający łuk wazy. Rozsunęła lekko nogi, aby ułatwić Gomulowi wprowadzenie palców do gładkiej jak korona kwiatu, intymnej szczeliny, która natychmiast zwilgotniała.

Teraz, kiedy odkryto jej prawdziwe pochodzenie, nie miała już złudzeń co do czekającego ją losu, ani tym bardziej tego, co chińskie władze szykują Firuzowi.

Najbardziej smuciła ją myśl, że nie zobaczy więcej swego

drogiego Świetlistego Punktu, gdyż była pewna, że nie ujdzie z życiem.

Ogarniające ją przygnębienie osłabiało efekty zabiegów doświadczonych rąk Gomula, i w końcu poczuła się zmuszona udawać, że odczuwa przyjemność. Rozparty na sofie, zadowolony Gaozong był pewny, że to on jest przyczyną jej wymownych westchnień.

Cesarz odnosił wręcz wrażenie, że odradza się po latach męki, w czasie których jego seksualny wigor był tak wąty, że władca musiał uciekać się do różnych wybiegów, poczynawszy od pomocy niezastąpionego Gomula, aby wyprowadzić w pole kurtyzany.

—Zostaniesz tu długo, Nefrytowy Księżycu, nie powinnaś się niepokoić! Nieważne, jakie jest twoje pochodzenie — szepnął, gdy jakimś cudem udało mu się zwilżyć jej usta swoim cennym nasieniem.

—Po tych słowach cesarza mogę cię zapewnić, pani, że nie masz się czego obawiać — szepnął jej do ucha Gomul, wskazując Gaozonga, który trwał w uniesieniu, przymknąwszy oczy.

Aby wynagrodzić Nefrytowy Księżyc, władca posłał do jej pokoju ogromny bukiet czerwonych, różowych i białych piwonii. Służąca umieściła je w stojącym na podłodze kamionkowym dzbanie.

Kwiaty były wspaniałe i młoda kobieta znajdowała prawdziwe pocieszenie, spoglądając na nie z łóżka, na którym wyciągnęła się, trochę oszołomiona przeżyciami, jakie stały się jej udziałem w buduarze Gaozonga. Zасыpiała już, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi do jej komnaty.

—Nefrytowy Księżycu, na korytarzu jest cesarzowa Wu Zhao we własnej osobie i chce z tobą, pani, rozmawiać! — powiedziała przerażona mała służąca.

—Oczywiście, niech wejdzie! — wyjąkała Nefrytowy Księżyc, zrywając się na równe nogi i poprawiając pospiesznie głęboko wyciętą bluzkę.

Do pokoju wszedł olbrzym z opadającymi wąsami i ogoloną czaszką, z wyjątkiem kucyka, który zdawał się wlatywać w powietrze. Jego pokryte tatuażami, muskularne ramiona upodabniały go do okrytego łuskami smoka.

Był to Niemowa, który trzymał w ręku małą okrągłą klatkę ze świerszczem cesarzowej.

Tuż za nim Nefrytowy Księżyc ujrzała bardzo piękną kobietę o wyniosłej postawie, w olśniewającej sukni z haftowanego w kwiaty i motyle jedwabiu. Zaskoczona jej nagłym wejściem, poczuła jednocześnie dziwne wzruszenie.

Tak dużo słyszała o Wu Zhao, że widząc ją nagle wchodzącą do pokoju, choć z pewnością miała przed sobą rywalkę, ucieszyła się.

— Zaczynam rozumieć, jak skromna robotnica ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa mogła się wcielić w księżniczkę! — wykrzyknęła z uśmiechem cesarzowa.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu, Nefrytowy Księżyc nie znalazła w słowach cesarzowej nawet śladu rozgoryczenia, a tym bardziej wrogości...

—Widzę, że Wasza Wysokość wie już o mnie wszystko... — ośmieliła się zażartować młoda Chinka, która wahała się jeszcze, jaką przyjąć postawę, choć rozumiała, że okłamywanie tej kobiety na nic się nie zda.

—Nabrałaś ich wszystkich. To dobrze! Bądź pewna, że na twoim miejscu postąpiłabym tak samo — powiedziała cesarzowa poufale.

—Nie miałam wyboru...

—Słyszałam o tobie od Pięciu Zakazów i Umary...

—Razem z moim Świetlistym Punktem spotkaliśmy ich w okolicach Wielkiego Muru, na Jedwabnym Szlaku... — szepnęła w zamyśleniu Nefrytowy Księżyc, którą wspomnienie tego epizodu nieco zasmuciło.

—Szukasz swojego męża...

—Skąd o tym wiesz, pani?



—Widzę to w twoich oczach: zdają się tak bardzo tęsknić za najdroższym! — odparła cesarzowa życzliwie.

—Z każdym dniem mam coraz mniej nadziei na ujście Świetlistego Punktu!

—Czy odwołałaś się do miłosierdzia Błogosławionego Buddy? — zapytała Wu Zhao. Pod maską surowej władczyni kryła się osoba niezwykle pobożna.

—Nie wierzę w istnienie żadnych boskich istot. Moim zdaniem wymyślono je po to, aby ułatwiać ludziom życie... Jeśli istnieje dobroć, to tylko w sercach niektórych wyjątkowych osób i nigdzie indziej!

—Świat pełen jest cierpienia; Szlachetne Prawdy Błogosławionego służą właśnie temu, aby pomóc ludziom go uniknąć...

—Wasza Wysokość, poznałam szczęście. W imię czego twierdzi się, że świat jest tylko cierpieniem?

—Szlachetne Prawdy pozwalają zawrzeć pokój z samym sobą...

—Nie zaznam spokoju, dopóki nie zobaczę znowu Świetlistego Punktu — ucięła Nefrytowy Księżyc.

Choć rozmawiała z Wu Zhao po raz pierwszy, nie wahała się otworzyć przed nią serca.

—Zobaczysz, Nefrytowy Księżycu, pewnego dnia okoliczności sprawią, że będziesz musiała uwierzyć w siłę ducha! Jeśli nawet nie pociąga cię Święta Prawda, wiedz, że Błogosławiony nad tobą czuwa!

—Ale na razie jestem więźniarką, na łasce waszego małżonka, pani...

—Masz tu lepiej niż w więzieniu. Spróbuj wyobrazić sobie, jaki los by cię spotkał, gdyby cesarz nie przyjął cię pod swoje opiekuńcze skrzydła... Trzeba mieć nadzieję, że jego uczucie potrwa na tyle długo, abym miała czas cię z tego wyciągnąć — zapewniła ją Wu Zhao, starając się usunąć z jej twarzy grymas niezadowolenia, wywołany myślą o Gaozongu.

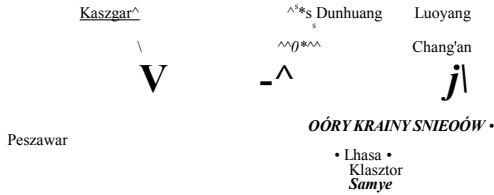
— Dlaczego Wasza Wysokość to dla mnie robi? — szepnęła zdumiona Nefrytowy Księżyc.

Za całą odpowiedź Wu Zhao musnęła ustami jej czoło. Gdy Nefrytowy Księżyc otworzyła oczy, zamknięte pod wpływem wzruszenia, cesarzowej już nie było.

Ustąpiła tylko, coraz cichsze w miarę oddalania się, cykanie świerszcza.

Piękna i wierna sobie, odważna i uparta, Nefrytowy Księżyc skłonna była przyznać, że jest to raczej dobry znak.

Znak, który być może mógł mieć coś wspólnego z samym Buddą.



# 11

## *Psi Fort pod Chang'anem*

Po raz nie wiadomo który od czasu, gdy zamknięto go w wilgotnym i ponurym lochu Psiego Fortu, Pięć Zakazów przyłożył ucho do kamiennej ściany.

Wyraźnie słyszał charakterystyczne drapanie, a po nim cichy stuk, który musiał być uderzeniami w ścianę sąsiedniej celi.

Sięgnął po grzebień z brązu, którego strażnik mu nie zabrał, i postukał nim dziesięć razy w kamień, dokładnie w miejscu, z którego dochodził odgłos. Kiedy skończył, znowu usłyszał stłumione, powtarzające się stukanie.

Uderzeń było dziesięć, co pozwoliło Pięciu Zakazom stwierdzić z zadowoleniem, że porozumiewa się ze swoim sąsiadem!

Było to dla niego wielkim pocieszeniem, gdyż warunki w więzieniu w Psim Forcie były wyjątkowo ciężkie i panował tu ponury nastrój, zwłaszcza w najniżej położonych celach, do których nigdy nie docierało światło słońca.

Wyteżył słuch. Usłyszał w końcu stłumione i odległe wołanie, które do złudzenia przypominało *Om*. Czyżby w sąsiedniej celi umieszczono manipę? Pięć Zakazów zawołał przez kamienną ścianę: manipo!, i tamten odpowiedział: *Om!*

Po tygodniach samotności ta wymiana paru słów przywróciła mu nieco odwagi. Gruba ściana nie pozwalała powiedzieć więcej, ale sama świadomość obecności towarzysza pomogła mu opanować przygnębienie.

Co do Świetlistego Punktu, o którym od czasu do czasu otrzymywał jakąś wieść od strażnika, to musiał on znajdować się w bardziej odległej celi.

Tego roku zapowiadała się wyjątkowo długa i nieprzyjemna pora deszczowa. Niosła ze sobą ryzyko wylania Żółtej Rzeki i jej dopływów. Już od dwóch tygodni lało jak z cebra i wszystkie mury i ściany Psiego Fortu ociekały wilgocią, śliskie i lepkie, jakby posmarowano je masłem. Odizolowany od świata Pięć Zakazów nie wiedział, że wilgoć ta zaczyna wywoływać śmiertelne zapalenia płuc u więźniów, których osłabione organizmy nie mogły się bronić. Gdyby sądzić po odgłosach nieustannego uderzania wody o ściany więzienia, której pluskanie dochodziło do uszu Pięciu Zakazów, coraz bardziej prawdopodobne stawało się zalanie podziemi Psiego Fortu.

— Podjęto decyzję o przeniesieniu wszystkich więźniów z parteru, żeby się nie potopili — poinformował następnego ranka strażnik, wypychając go na korytarz. — Ulewy podniosły poziom podziemnej rzeki, na której zbudowano Psi Fort! Mam polecenie przenieść cię do wspólnej celi na pierwszym piętrze.

Z najniższej kondygnacji więzienia, w której gnili najgroźniejsi skazańcy, wchodziło się do wspólnej celi wąskimi spiralnymi schodami. Cella była przestronna i miała coś w rodzaju naturalnego balkonu, wiszącego nad zasilaną przez podziemną rzekę wewnętrzną fosą, na którą wychodziły cele Pięciu Zakazów i manipy. Gdy strażnik popchnął go na środek pomieszczenia, nowo przybyły dostrzegł trzy postacie.

— Manipa! Co za szczęście znowu cię widzieć! — wykrzyknął radośnie i rzucił się w ramiona towarzysza doli i niedoli.

Niestety, nie było ani śladu Świetlistego Punktu.

—Nazywam się Firuz i jestem ambasadorem Omajjadów. Pochodzę z Bagdadu, który jest miastem prawie tak samo pięknym jak Chang'an. Zamknęli mnie tu, bo okazało się, że młoda Chinka, którą wiozłem, żeby oddać ją cesarzowi Gaozon-gowi, jest zwykłą plebejuską, a ja przedstawiłem ją jako księżniczkę krwi! Padłem ofiarą własnej naiwności — oświadczył Pięciu Zakazom drugi z obecnych, o ujmującej twarzy.

—Witaj, Firuzie z Bagdadu. Co do mnie, to mam na imię Pięć Zakazów. Zamknęła mnie tu tajna policja. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie zrobiłem nic złego! — wyjaśnił w odpowiedzi były mnich.

—Chętnie w to wierzę! Jestem szczęśliwy, że mogę cię poznać. Gdyby nie ten deszcz, ani ty, ani ja nigdy byśmy się nie poznali! — powiedział z uśmiechem bagdadzki ambasador.

—Ja też się cieszę! — odparł Pięć Zakazów, ujęty grzecznością dyplomaty.

—Ta woda rwie jak gwałtowna rzeka! — wykrzyknął manipa.

Siedząc ze spuszczonej nogami na krawędzi tarasu, wskazywał wartki strumień, który zaczynał tworzyć wiry tam, gdzie przedtem znajdowała się fosa, wypełniona do połowy wodą.

W drzwiach stanął strażnik, trzymając tacę z czterema maleńkimi miseczkami ryżu, który musiał wystarczyć więźniom aż do następnego ranka.

—*Om!* Czemu nie zostawicie nas, żebyśmy zdechli z głodu? — jęknął manipa, który coraz gorzej znosił więzienny reżim Psiego Fortu, gdzie racje żywnościowe pozwalały wprowadzić przeżyć najbardziej wytrzymałym więźniom, ale nigdy nie zaspokajały głodu.

—Ponieważ nadzorca tego więzienia nie chce, żeby mu ucięli głowę! Odpowiada przed cesarskim Wielkim Cenzorem za stan więźniów, których mu powierzono... — odparł cierpko strażnik, a potem kopnął manipę, aż ten zawył z bólu. Pięć Zakazów podbiegł, żeby go pocieszyć.

Odpowiedź strażnika była szczerą, ponieważ służby prefekta Li surowo poczyniły sobie z biednymi dyrektorami Psiego Fortu, wymieniając ich w takim samym tempie, w jakim umierali więźniowie.

—A ty nic nie mówisz! Jak się nazywasz? — zwrócił się Pięć Zakazów do trzeciego z obecnych, gdy strażnik wyszedł. Niemal o nim zapomniał.

—Uderzyłem się w czoło, kiedy wyciągano mnie z celi! To dlatego jestem trochę oszołomiony! — odparł tonem usprawiedliwienia nieznajomy, którego twarz spływała potem.

—Dlaczego wtrącili cię do tego więzienia? — spytał Pięć Zakazów, podając mu kawałek szmatki, żeby mógł obetrzeć sobie twarz.

—Poznałem pewną tajemnicę, ponieważ byłem świadkiem sceny, której nie powinny oglądać moje oczy!

—Musiało to być jakieś obrzydlistwo, jeżeli spotkał cię taki los!

—Nie tyle obrzydlistwo, ile raczej potworne oszustwo. Co prawda, zostało ono popełnione w interesie cesarzowej i na jej polecenie. Stwierdziwszy moją obecność, oddała mnie pospiesznie w ręce policji za wdarcie się do cudzego domu. Pewnie nie mogła mnie zabić, bo gdyby miała taką możliwość, zrobiłaby to bez wahania — wyjąkał więzień.

—O czym ty mówisz? Dlaczego mieszasz do tej sprawy cesarzową Chin? — zapytał zdziwiony Pięć Zakazów, który aż się palił, żeby dowiedzieć się więcej o okolicznościach, które rzuciły tu tego człowieka o szczerzej twarzy.

—Jestem biednym łowcą płazów. Od dzieciństwa prowadzę marny żywot, handlując żabimi udkami, które sprzedaję za nędzne grosze właścicielowi pewnej garkuchni w Luo-yangu.

—Do rzeczy! Jaki związek z łapaniem żab ma twoja obecność w tym więzieniu? — niecierpliwił się były mnich Wielkiego Wozu.

—Zaraz, zaraz. Już mówię! Dokładnie dziesięć dni temu pogoń za płazami zaprowadziła mnie do parku letniego pałacu cesarzowej w Luoyangu, niedaleko rzeki Luo, gdzie w pewnych porach roku jest mnóstwo żab. Zapewniam was, że kiedy człowiek łapie te skaczące zwierzątka, zawsze ma spuszczone oczy...

—Nie mamy powodu, żeby ci nie wierzyć — wtrącił się Firuz, rozbawiony opowieścią nieznanego.

—Kiedy uniosłem głowę, stanąłem twarzą w twarz z pięknie ubraną kobietą, której towarzyszył olbrzym z rzeźbiarskim dłutem w ręku. Tuż koło nich bawiło się drewnianymi patyczkami dwoje uroczych dzieci, chłopczyk i dziewczynka.

—Aż dotąd wszystko, co opowiadasz, wydaje się zupełnie zwyczajne. Szukałeś żab w ogrodzie rozrywek cesarzowej Wu! O ile wiem, nie jest to zbrodnia stanu... — zauważył Pięć Zakazów, który zaczynał zadawać sobie pytanie, czy nieznanomy nie jest chwalipiętą, wtrąconym tu za drobne kradzieże, o których woli nie mówić.

—Dalszy ciąg już taki nie jest, zaraz zobaczycie. Po pierwsze, ta dziewczynka przypominała jedno z tych ulotnych boskich stworzeń, które straszą po lasach...

—Niebiańska Bliźniaczka! Ten człowiek widział Niebiańskie Bliźnięta! — wykrzyknął manipa.

—Mężczyzna i kobieta, z których rozmowy wywnioskowałem bardzo prędko, że to cesarzowa i jej sługa, stali koło ośmiu ogromnych głazów. Według słów Wu Zhao, miał je tam przyciągnąć biały słoń, który wydobył je z rzeki Luo.

—To prawie nie do wiary! Mów dalej! — ponaglił go z przejęciem Pięć Zakazów.

—Uniosłem nagle głowę i przestałem gonić za żabami, które skakały w trawie...

—Nie obchodzą mnie te twoje żaby! Powiedz wreszcie, jak to się skończyło! — przerwał mu coraz bardziej rozgorączkowany Pięć Zakazów.



—Cesarzowa pokazywała temu drągalowi chińskie znaki, a on wykuwał je dłutem na najgładszej powierzchni każdego głazu.

—Kazała mu ryc znaki na kamieniach?

—Złościła się nawet, że robota nie idzie mu dość szybko. Wierzcie mi, była tak rozeźlona, że o mało go nie zabiła.

—Co to były za napisy?

—Nie umiem czytać, więc trudno mi powiedzieć. W każdym razie zrozumiałem, że była w nich mowa o wstąpieniu na chiński tron cesarza-kobiety... Ten jej służący, biedny osiłek z obciętym językiem, męczył się jak potępieniec, żeby wykuć w kamieniu słowa, które mu dyktowała. Kamienie były bardzo twarde i nieszczęśnik co chwila musiał ostrzyć dłuto. Trzeba było słyszeć, jak mu urągała — mówił wzięciem.

—A co robiły tam Niebiańskie Bliźnięta? — zapytał manipa, zwracając się zarazem do Pięciu Zakazów i do łowcy żab.

—Cesarzowa Wu Zhao traktowała dziwnie te dzieci, czy tam Niebiańskie Bliźnięta, jak je nazywasz...

—Możesz wyjaśnić, co przez to rozumiesz?

—Wyglądało na to, że uczy je czegoś na pamięć, jak lekcji.

—Uczyć na pamięć takie małe dzieci! Przesadzasz! — powiedział Pięć Zakazów. Doskonale pamiętał dwa maleństwa, które ledwo zaczynały chodzić, kiedy wraz z Umarą opuszczał Chang'an, żeby udać się do Samye.

—Mimo że są małe, mówią już po chińsku, jakby czytały z książki, zwłaszcza dziewczynka — zapewnił łowca płazów.

—Co to była za lekcja?

—Cesarzowa Chin kazała im powtarzać, że głazy, „znalezione cudem w głębinach rzeki Luo, miały prorocze napisy, zapowiadające nadejście niezwykłego wydarzenia"! Dziewczynka, która rozumiała doskonale, że Wu Zhao żąda od niej mówienia nieprawdy, protestowała, twierdząc, że na kamieniach nie było żadnych napisów i wyrył je dopiero ten olbrzymi służący. Cesarzowa, zirytowana zachowaniem małej, której

buzia wyglądała w połowie jak u małpki, uklękła przed nią i zaczęła ją błagać w imię przyszłości Chin. To było naprawdę dziwne, patrzeć, jak cesarzowa Chin błaga takie małe dziecko...

—A jak zareagowała mała Klejnotka? — chciał wiedzieć Pięć Zakazów.

—Była bardzo onieśmielona, widząc cesarzową Chin na kolanach, i w końcu obiecała mówić, że głązy zostały wydobyte z rzeki Luo „takie, jakie są, z proroczymi napisami” — odparł więzień. Jego opowieść zagłuszał szum ulewy, która rozpętała się nad Psim Fortem.

—To znaczy z wyrytymi prorocत्वami, które zapowiadają wstąpienie na chiński tron kobiety... — dokończył Pięć Zakazów.

—Skąd to wiesz? — zdziwił się łowca żab.

—Wu Zhao jest bardzo sprytna. Posunęła się do wymyślenia przepowiedni, które służą jej wielkim planom! Zawsze wiedziałem, że ona dopnie swego.

—Myślisz, że zasiądziesz na chińskim tronie? — zapytał manipa.

—Bez wątpienia. Bo jeśli nawet ten cel wydaje się nadzwyczaj trudny do osiągnięcia, jako że Odwieczne Rytuały nie przewidują, aby Syn Niebios mógł być płci żeńskiej, ona z pewnością i na to znajdzie radę.

—Nie jestem wróżbitą — wykrzyknął łowca żab — wiem za to, że Wu Zhao jest bezlitosna. Kiedy zobaczyła, że przykucnąłem w trawie, zdziwiony tym, co zobaczyłem, wpadła we wściekłość i zaczęła mnie wypytywać, czy nie jestem szpiegiem na żołdzie Wielkiego Cenzoratu. Zaprzeczyłem i próbowałem udawać głupiego, że niby niczego nie pojąłem z tego, co widziałem i słyszałem, ale nie zdało się to na nic. Natychmiast wezwała strażę i kazała mnie aresztować pod pretekstem, że wszedłem bez pozwolenia do cesarskiego parku. Myślałem naiwnie, że spędzę noc na posterunku policji i zostanę wypuszczony. Niestety nie tylko nie puścili mnie wolno, ale przywieźli

aż tu w okratowanym wozie, razem z groźnymi zbrodniarzami. Czulem się jak niedźwiedź wystawiony na pokaz.

—Ona obawia się, że będziesz rozpowiadał o tym, czego niechcący byłeś świadkiem. Gdyby ta intryga wyszła na jaw, byłby to jej koniec! — zauważył Pięć Zakazów.

—A niestety, Psi Fort jest więzieniem, z którego bardzo mało więźniów wychodzi żywych — mruknął Firuz.

—Jeżeli dobrze rozumiem, jestem zgubiony! — jęknął łowca żab.

—Musisz się stąd wydostać, podobnie jak i my wszyscy. Także nas spotkał los nie do pozazdroszczenia, nie tylko ciebie — powiedział Firuz, który miał coraz posępniej szą minę.

—Wydostaniemy się, i to niebawem! Ale leje! To jest nasza szansa — szepnął tajemniczo Pięć Zakazów.

Wszyscy zadawali sobie pytanie, co młody człowiek ma na myśli. Mimo wszystko, zdawał się mówić poważnie.

—W jaki sposób ta ulewa miałaby nam pomóc? — spytał z powątpiewaniem manipa. W oczach łowcy żab i Firuza także malowało się zdziwienie.

—Poczekajcie do wieczora, a zrozumiecie,..

Ledwo dokończył zdanie, ujrzał z radością ziemistą twarz Świetlistego Punktu, którego strażnik także wepchnął do ich celi.

—Przyjacielu! Jaki jestem szczęśliwy, że mam cię znowu u mego boku! — wykrzyknął, rzucając się na szyję manichejczykowi z Kuczy.

—Już myślałem, że się utopię. Podziemia są w połowie zalane. Kiedy po mnie przyszli, miałem wodę do pasa! — szepnął mąż Nefrytowego Księżycy, powoli dochodząc do siebie.

—Znowu jesteście razem. To najważniejsze, i zawdzięczamy to Błogosławionemu Buddzie! — rzekł Pięć Zakazów, a potem przedstawił manichejczyka Firuzowi.

—I co teraz zrobimy? — zapytał Świetlisty Punkt.

— Zaufaj mi. Mam plan, który powinien pozwolić nam wszystkim się stąd wydostać! — powiedział cicho mahajanista.

Z nadejściem wieczoru przybyło jeszcze kilka stóp wody, która zalała aż po sklepienia cele na parterze Psiego Fortu, jako że poziom podziemnej rzeki podniósł się powyżej drzwi, które do nich prowadziły.

Pięć Zakazów zebrał swoich czterech towarzyszy na tarasie wspólnej celi, wiszącym nad wzburzonym nurtem.

—Popatrzcie na tę rzekę — zaczął. — Wzbiera tu w więzieniu, żeby wypłynąć do zewnętrznej fosy. Jej nurt jest już wystarczająco silny, żeby porwać i wyrzucić po drugiej stronie człowieka.

—Zanurkujemy w tej rwącej rzece, a ona wyniesie nas na zewnątrz Psiego Fortu! — wykrzyknął Firuz, który od razu pojął, co Pięć Zakazów ma na myśli.

—Nie nauczyłem się pływać, bo nie miałem pod ręką żadnego jeziora. Znam wyłącznie morza piasku wokół oaz Jedwabnego Szlaku — odezwał się Świetlisty Punkt, który nie tracił dobrego humoru nawet w takich tarapatkach.

—Zewnętrzna fosa Psiego Fortu zasilana jest przez tę podziemną rzekę. Wiem to od strażnika, który mnie tu przyprowadził! Czy idąc przez zwodzony most, który prowadzi do bramy Psiego Fortu, nie zauważyliście wędkarzy łowiących ryby? Niektórzy uważają, że są tu karpie pożerające ludzi! Tych ryb by nie było, gdyby nie płynęła tędy prawdziwa rzeka... Woda, którą widzicie, przybywa z gór, gdzie ma swoje źródło, a stąd wypływa na zewnątrz fortu. Jej potężny nurt wyniesie nas na wolność — dodał Pięć Zakazów.

—Popłynę zaraz za tobą! Nie boję się i mam do ciebie zaufanie — zawołał Świetlisty Punkt, który gotów był iść za przyjacielem na koniec świata.

—Aleja się boję, że się utopię! —jęknął manipa, przerażony bulgotaniem wody, która pędziła na ich oczach z wielką prędkością.

—Obawiam się, że nie mamy wyboru. Jeżeli chcemy wydostać się stąd żywi, musimy rzucić się do tej rzeki, zamknąć oczy, zatkać nos i dać się ponieść prądowi. Każdy może wybrać, zrobić to lub nie! Ja tak zrobię i powierzę moje życie Błogosławionemu Buddzie, z nadzieją, że w trakcie którejś z moich niezliczonych poprzednich egzystencji miałem okazję odrodzić się jako ryba! — oświadczył mahajanista.

—Myślisz, że to pomoże ci w pływaniu? — zapytał drżącym głosem wędrowny mnich.

—Taką mam nadzieję... W każdym razie zachęcam was szczerze, żebyście zrobili to, co ja: pomódlcie się do Buddy i skaczcie za mną!

Rzekłszy to, Pięć Zakazów wziął na oczach przerażonych współtowarzyszy głęboki wdech, żeby zatrzymać w płucach jak najwięcej powietrza, i bez wahania rzucił się głową w dół do rwącej wody.

Znalazłszy się w kipiącym żywiole, Pięć Zakazów poczuł na twarzy przyjemną świeżość i łaskotanie milionów bąbelków, wirujących w wezbranej wodzie. Poczul, jak woda zafalowała po skoku następnego pływaka. Był nim małżonek Nefrytowego Księżycy, który wprowadził w czyn swe słowa, choć nie umiał pływać.

Mahajanista zamknął oczy i ścisnął palcami nos. Żeby uśmierzyć lęk, postanowił zastosować pewną technikę medytacji, polegającą na utożsamieniu się z zewnętrznym przedmiotem, na którym należało skupić uwagę, aby osiągnąć odpowiedni „poziom świadomości”.

Zaczął więc wyobrażać sobie, że jest kawałkiem drewna, które powinno dać się ponieść nurtowi.

Siła prądu pociągnęła go w kierunku dna głównego koryta podziemnej rzeki. Miał wrażenie, że ślizga się z zawrotną prędkością przez wodny niebyt, niczym pień drewna.

Jego umysł stopniowo odrywał się od ciała.

Widział siebie jako pływający kawał drewna, zanurzony

teraz w wodzie, w tym żywiole, który od wieków jego przodkowie Han łączyli z porą zimową, z kolorem czarnym, z małżami, z kierunkiem północnym, z nerkami, z zapachem zgnilizny, ze słonym smakiem, a także z muzycznym dźwiękiem *yu*. Wiedział, że poprzez koncentrację i zapanowanie nad sobą musi dostroić się doskonale do tych fundamentalnych korelacji. A wtedy zdoła zapanować nad wodą, która nie zatopi go, lecz uniesie ku wolności!

Nie czuł nawet potrzeby poruszania rękami pośród burzliwych wirów, które go wciągały. Czuł wokół siebie płynną i falującą materię, cudowne wydało mu się nawet jej bulgotanie, jakby wspomnienie z dawnej wodnej egzystencji miało mu przypomnieć także o tym, że woda jest żywiołem, w którym można znaleźć pełnię szczęścia... jeśli tylko jest się kawałkiem drewna!

Po dwóch minutach od zanurzenia się w podziemnej rzece zorientował się, że nie może jeszcze odetchnąć. Ale jeśli nawet sam nie dopuszczał tej myśli, jego organizm zaczynał odczuwać skutki braku tlenu. Wiedział, że niebawem, niezależnie od swej woli, zapadnie w nieświadomość i instynkt przeżycia nie zabroni mu już otworzyć ust ani wykonać wdechu. Jego płuca zaleje woda i będzie mógł już tylko zginąć w tym żywiole. Ludzkie ciało z krwi i kości nie zamieni się w zwykły kawałek drewna.

Właśnie wtedy, nurkując w wezbranych wodach podziemnej rzeki Psiego Fortu, zobaczył, kim jest naprawdę.

Ale jak każdy szczerzy buddysta, liczący na miłosierdzie Błogosławionego wobec uczniów ożywianych chęcią czynienia dobra, Pięć Zakazów poddał się konsekwencjom swego kroku, choć gorzko teraz żałował, że popelniając ten szalony czyn, pociągnął za sobą swego przyjaciela manichejczyka.

Czy nie lepiej było skończyć raz na zawsze, otworzyć usta i pozwolić wodzie, żeby zalała płuca, powierzając Błogosławionemu Buddzie los Świetlistego Punktu, którego nie przestawał błagać o przebaczenie, podtrzymując ze wszystkich

sił nadzieję, iż jego towarzysze byli przezorniejsi i w ostatniej chwili odmówili rzucenia się w odmęty?

Jednak ból można było wytrzymać i w sytuacji, gdy człowiek go zaakceptował, znając jego przyczynę, wówczas, jakby za sprawą cudu, przestawał być tak dotkliwy.

Cóż bardziej normalnego niż śmierć w wodnej toni, jeśli cykl *samsary* doprowadził was do odrodzenia się w ludzkim ciele, dla którego płynny żywioł nie jest zwykłym środowiskiem?

Zgodnie z logiką szczerego i pobożnego buddysty śmierć w takich okolicznościach była zgodna z wyobrażeniami na temat egzystencji.

Gdyby Pięć Zakazów tak gorąco nie pragnął odnaleźć Umary, poddałby się losowi. Jednak myśl, że mógłby porzucić ten świat, nie ujrawszy nigdy ukochanej, podziałała na niego jak uderzenie batem, toteż postanowił odbić się mocnym uderzeniem łęźwi i spróbować zaczerpnąć powietrza. Znalazłszy się na powierzchni, zrobił głęboki wdech, a potem zanurzył się znowu w odmętach, postanawiając tym razem, że nie będzie zwykłym kawałkiem pływającego drewna, ale więźniem o imieniu Pięć Zakazów, który wszelkimi sposobami stara się uciec z Psiego Fortu.

Płynący tuż za nim Świetlisty Punkt miał wrażenie, że popycha go ogromna siła, niczym kulę w lufie armaty.

Nie umiejąc pływać, odczuwał niepokój, pokładał jednak zaufanie w słowach i w decyzji swego przyjaciela. Ani przez chwilę nie wyobrażał sobie, że Pięć Zakazów mógłby go popchnąć do samobójczego kroku.

Daleki od myśli o poddaniu się, zdawał sobie sprawę, że musi posuwać się do przodu, aby pokonać ścianę wody, za którą była wolność.

Poczuł, że jego ciało wynurza się gwałtownie, a potem potężna siła ciągnie je znowu w kierunku dna, aby trochę dalej wyrzucić znów na powierzchnię.

Nawet ktoś tak młody i pełen życia jak on w żadnym razie nie mógł oprzeć się straszliwej sile prądu. Podczas gdy buddysta Pięć Zakazów pozwolił pociągnąć się łagodnie ku omdleniu, którego zbliżanie się wyczuwał, manichejczyk Świetlisty Punkt walczył ze wszystkich sił, pomagając sobie rękami i nogami, tak jakby zsuwał się albo zjeżdżał z płynnej pochyłości.

W momencie gdy zrozpaczony Pięć Zakazów był już skłonny roztopić się w kipiącym żywiole, ujrzał tuż przed sobą dziwny kształt. Zorientował się, że to wielki karp.

Przekonany, że Błogosławiony obdarzył go niesłychaną łaską, pozwalając mu odrodzić się w ciele ryby, otworzył spokojnie oczy, pewny, że Świetlisty Punkt podzielił ten sam los. Ze wszystkich sił podtrzymywał w sobie nadzieję, że któregoś dnia będzie miał okazję popływać w stawie, nad którym pochylił się Umara...

Spojrzał na swoje ręce, żeby sprawdzić, czy już pokryły się łuską. Z wielkim zdumieniem stwierdził, że wyglądają jak zawsze, podobnie jak nos, po którym się pomacał. Przede wszystkim jednak złapał się na tym, że może oddychać: był żywy!

I rzeczywiście, ostatkiem tchu przepłynął do zewnętrznej fosy Psiego Fortu, a Świetlisty Punkt, któremu już udało się postawić nogę na suchej ziemi, ciągnął go za ramiona. Wokół niego kręciły się karpie, ciekawe, co się dzieje i co to za wielkie i dziwne ryby do nich dołączyły.

Dysząc ciężko, wyczerpany Pięć Zakazów podniósł głowę.

Padął drobny deszczyk, ale chmury rozpierzchały się, ukazując niebo pełne gwiazd, które błyskały tysiącem jasnych punkcików. Wiatr osłabł i okolice więzienia wydawały się puste: w zasięgu wzroku nad fosą nie było widać żadnego amatora ryb z wędką czy siecią. W dziwnie spokojnym powietrzu, które wisiało nad czarną wstęgą wody opasującej fort, do ich uszu dochodził tylko szelest liści na drzewach.

— Co za przygoda, myślałem, że już po mnie! — wysapał



Pięć Zakazów do towarzysza, który był mniej zmęczony i prędko odzyskiwał oddech.

—I co robimy? — zapytał Świetlisty Punkt.

—Czekamy na pozostałych!

—Czy to nie jest niebezpieczne?

—Wyjdźmy z fosy i zaczekajmy na nich na górze. Co o tym myślisz?

Zaczęli wspinać się po kamiennej pochyłości, gdy usłyszeli dziwne pluskanie dochodzące z miejsca, gdzie wysokie mury fortu niknęły w ponurych wodach. Utkwili wzrok w coraz większych bańkach, które tworzyły się na powierzchni.

—To pewnie ten ogromny karp, z którym spotkałem się nos w nos! — stwierdził mahajanista.

—Jesteś tego pewny? — Manichejczyk poczuł się nieswojo.

—Albo pilnujący tych miejsc smok, któremu zakłóciliśmy sen, i teraz wynurza się, żeby zobaczyć, co się dzieje!

—Mówisz poważnie?

—Próbuję poprawić nam humor! Bardzo bym chciał zobaczyć, jak ukazują się głowy naszych towarzyszy niedoli!

—No, jedna już jest! — wykrzyknął Świetlisty Punkt na widok twarzy Firuza, która wyłoniła się z bulgocących baniek.

Ambasador, wyrzucony parciem wody w naturalnym syfonie, który pozwalał rzece przepływać pod murem na jego drugą stronę, był o krok od utraty przytomności.

—Już myślałem, że wybiła moja ostatnia godzina! — jęknął, gdy tylko wypłynął wodę, której się nałykał.

—Błogosławiony nie życzył ci źle! Świetlisty Punkt i ja byliśmy pewni, że nie koniec jeszcze trudów życia na tym padole! — rzekł wesoło Pięć Zakazów, żeby go podnieść na duchu.

—Mam nadzieję, że teraz pojawi się manipa! Brakuje tylko jego! Kiedy skakałem do wody, siedział skulony i zapewniał, że nigdy się na to nie odważy — wydyszał Firuz, powoli odzyskując oddech.

— Bardzo bym chciał, żeby się na to zdobył! Towarzyszył mi wszędzie, bez względu na niebezpieczeństwo. Nie zasługuje na to, żeby zostać w paszczy tego psa! — westchnął Pięć Zakazów, wzdrygając się.

Upłynęły długie minuty, w czasie których trzech wyczerpani, ale żywi mężczyźni zdołali wygramolić się z fosy, pokonując stromą pochyłość.

Wyszli na brzeg, zdzierając sobie dłonie na śliskich kamieniach, i tam padli bez sił na ziemię. Słyszeli tylko skrzeczenie żab, znak, że życie w fosie wraca do zwykłego toku po gigantycznych ulewach.

Jako pierwszy wyprostował się ostrożnie Pięć Zakazów, żeby upewnić się, czy jakiś strażnik nie stoi na progu budki, zagradzającej wejście na prowadzący do fortu zwodzony most.

Zobaczył, że budka, wyglądająca na tle skąpanych w bladej księżycowej poświacie, ociekających wodą murów jak wielka błyszcząca brosza, jest pusta.

W zasięgu wzroku nie było ani śladu strażnika.

Wydawało się, że jest to odpowiedni moment, aby się wymknąć i zniknąć w mrokach nocy. Jediną przeszkodą, która powstrzymywała Pięć Zakazów, był los manipy, którego nie chciał porzucić.

Przyjrzał się uważnie drzwiom budki i stwierdził, że są otwarte na oścież. Prawdopodobnie strażnicy opuścili ją z powodu gwałtownej ulewy. Wystarczyłoby przejść przez wartownię, aby znaleźć się w fortecy, a tam wślizgnąć się do wspólnej celi, w której z pewnością znajdował się jeszcze wędrowny mnich.

Już miał rzucić się w stronę budki, gdy usłyszał bulgotanie w głębi fosy, której czarne wody pokryte były smugami srebrzystego światła księżyca.

Podbiegł, żeby zobaczyć, co się dzieje, i stwierdził z radością, że Błogosławiony Budda nadal czuwa nad losem jego przyja-

ciół: był to manipa, którego Psi Fort wyrzucał właśnie ze swych trzewi, niczym wielki ssak rodzący małe w chaosie i cierpieniu.

—*Om!* Wielki strach! *Om!* Bardzo zadowolony stamtąd wyjść! *Om mani peme hung!* — wysapał, ociekając wodą, kiedy Pięć Zakazów pomógł mu wydostać się z głębokiej fosy.

—Współczujący Awalokiteśwara, twój patron, nie chciał, żebyś dłużej tam gnił...

—*Om mani peme hung!* — powtarzał w kółko manipa.

—A łowca żab? — zapytał nagle Świetlisty Punkt.

—Nie chciał! Za bardzo się bał! Wolał tam zostać! — wyjaśnił manipa.

—Czy nie powinniśmy na niego poczekać? — zapytał Świetlisty Punkt.

—Zważywszy na jego własne słowa, z pewnością nie! — odparł Firuz tonem tak stanowczym, że Pięć Zakazów poczuł się trochę zakłopotany.

—On nie przyjdzie! — potwierdził wędrowny mnich.

—Nie ma więc powodu, żeby siedzieć tu dłużej! — orzekł mahajanista, pociągając przyjaciół w stronę drogi, idącej od zwodzonego mostu.

W oddali, po lewej stronie, widać było jakieś drzewa.

— Idziemy tam, będziemy przynajmniej osłonięci! — dodał, wskazując ciemną smugę, przypominającą linię lasu.

Świetlisty Punkt, Firuz i manipa ruszyli zgodnie śladem Pięciu Zakazów w kierunku zbawczej zieleni.

—Co teraz robimy? — zwrócił się Firuz do Pięciu Zakazów, gdy znaleźli się pod osłoną drzew.

—Chciałem cię zapytać o to samo! — dodał z uśmiechem Świetlisty Punkt.

—Postaramy się zachować jak największą ostrożność. Nie ulega wątpliwości, że za kilka godzin cała policja Państwa Środka będzie deptać nam po piętach... — odparł Pięć Zakazów.

—Bardzo trudno jest przemknąć niezauważenie, gdy ma się na karku agentów policji specjalnej! — westchnął Świetlisty Punkt, który wiedział, o czym mówi.

—Jest tylko jedna osoba, która może wyciągnąć nas z kłopotów! — powiedział Pięć Zakazów, wywołując zdziwienie przyjaciół.

—Kogo masz na myśli? — spytał Świetlisty Punkt.

—Wu Zhao, cesarzową Chin. Ona może wydobyć nas z tego niebezpiecznego położenia. Koniecznie muszę się z nią zobaczyć! — stwierdził stanowczo Pięć Zakazów.

—Na twoim miejscu nie ufałbym jej! — odparł Firuz głosem drżącym z wściekłości.

—Wystarczająco dobrze znam cesarzową Wu Zhao, aby was zapewnić, że nam pomoże!

—Ta kobieta przeraża swoim okrucieństwem. To ona zakłóciła audiencję, której udzielał mi cesarz Krainy Jedwabiu, żeby go poinformować, że młoda Chinka, Nefrytowy Księżyc, którą mój mocodawca, sułtan Palmyry posłał mu w prezencie, jest zwykłą plebejuszka. Gdyby nie jej interwencja, nie zostałbym wtrącony do więzienia! — zaproponował porywczo ambasador.

—Nefrytowy Księżyc? Czy dobrze usłyszałem imię, które wymieniłeś? Wiesz zatem, gdzie znajduje się moja żona?!

— krzyknął Świetlisty Punkt, łapiąc za ramię wysłannika Omaj-jadów.

Był tak wzburzony, że jego głos drżał jak głosy starych tybetańskich łamów zawodzących mantry.

—Jesteś mężem Nefrytowego Księżyca? — szepnął poruszony Firuz.

—Oczywiście! Pobraliśmy się w Turfanie według obrządku manichejskiego, w Kościele Światłości, w którym zapalono setki świec. Ceremonię prowadził Wielki Doskonały Napelniony Spokojem. To było cudowne. Kilka tygodni później oczekiwaliśmy już dziecka. Gdzie ona jest? — dopytywał się gorączkowo

Świetlisty Punkt, który ani na chwilę nie przestał kochać młodej robotnicy ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa.

— W Chang'anie! Otaczałem ją największą troską od wyru

szenia z Palmyry, gdzie sprzedano ją sułtanowi, aż do stolicy Krainy Jedwabiu, dokąd miałem obowiązek ją dowieźć. Nie zauważyłem, żeby miała dziecko, o którym wspomniałeś, nic mi o tym nie mówiła! — zapewnił Firuz.

Wściekły, że jego kochanka okazała się mężatką i żoną Świetlistego Punktu, z którym w dodatku miała mieć dziecko, bagdadczyk wahał się, czy powiedzieć manichejczykowi, że Nefrytowy Księżyc została z pewnością umieszczona w zasięgu ręki cesarza Gaozonga. Nie mógł mu oczywiście wyjawić, że sam zasmakował jej cudownych wdzięków.

— Mani udzielił mi zatem niezmiernej łaski odnalezienia mojej ukochanej... — szepnął Świetlisty Punkt.

Miał wniebowziętą minę, jakby pobyt w więzieniu i wodna eskapada nie pozostawiły na nim najmniejszego śladu.

— Cóż za nadzwyczajny zbieg okoliczności! Mógł się wydarzyć tylko za sprawą Błogosławionego! — westchnął Pięć Zakazów, który z przymkniętymi oczami składał dzięki Oświeconemu.

Twarz mahajanisty wciąż jeszcze naznaczona była wysiłkiem i wzruszeniem.

— Jeśli ja odnalazłem Nefrytowy Księżyc, to i ty odnajdziesz Umarę! Nasze losy biegły zawsze równolegle — pocieszył go manichejczyk, widząc smutną minę przyjaciela.

— Obyś się nie mylił, drogi Świetlisty Punkcie! A tymczasem najlepiej byłoby znaleźć kryjówkę gdzieś we wsi. Zaczekacie w niej, a ja wrócę do stolicy, żeby spróbować spotkać się z cesarzową. Widzę coś, co przypomina pagodę. Jeśli tak jest w istocie, to zamieszkujący ją mnisi nie odmówią wam gościny! — wykrzyknął mahajanista, wskazując majaczącą w oddali kilkupiętrową budowlę, otoczoną murem z gliny i słomy.

Wyszła stamtąd postać ubrana w szafranowożółtą szatę, a potem druga: z pewnością był to jeden z maleńkich buddyjskich klasztorów Wielkiego Wozu, jakich wiele można było spotkać w wiejskich okolicach, pośrodku ogromnych pól pszenicy i prosa. Pobożni właściciele ziemscy często zapisywali je w testamencie wspólnotom religijnym, w zamian za składanie kwiatów na ich grobach i modlitwy o zbawienie.

Kiedy Pięć Zakazów zastukał do prymitywnych drewnianych drzwi, stoczonych przez robaki, otworzył je umorusany, ale uśmiechnięty mnich.

—Czy mógłbyś pójść do przełożonego tego klasztoru i powiedzieć mu, że podróżni szukający dachu nad głową pragną spędzić tu kilka dni? Znamy szczodrość, jaką umieją okazać wyznawcy Gautamy! — rzekł Pięć Zakazów.

—Macie jego zgodę! Przełożony Siedzący w Milczeniu każe wam powiedzieć, że jesteście tu mile widziani. Możecie zostać w izbie dla gości i biedaków tak długo, jak chcecie — oznajmił chwilę później młodzieńki mnich, po zapytaniu przełożonego, którego przydomek wziął się stąd, że nie porzucał on nigdy siedzącej pozycji, spędzając dni na medytacji i czytaniu świętych sutr przy oknie wychodzącym na rozległe pola.

Mała wspólnota kierowana przez Siedzącego w Milczeniu liczyła nie więcej niż dwudziestu mnichów i nowicjuszy. Najmłodszy zajmował się żebraniem u okolicznych chłopów o żywność, którą zjadali starsi.

Wnętrze wiejskiej pagody dalekie były od wspaniałości wielkich klasztorów, w których żyły tysiące mnichów i które zajmowały wysoką pozycję w Chang'anie i w Luoyangu, kłując w oczy przepychem, mimo iż sam Błogosławiony ganił zbytek. Ściany budynków były tu wykonane z suszonej gliny, a charakter pagody nadawała im tylko ciesielka z cedrowego drewna i owalne okna z apsarami po bokach, wskazujące gościowi, że ma przed sobą klasztor Wielkiego Wozu.

W małej izbie przeznaczony dla przejezdnych czekały cztery piętrowe łóżka. Uciekinierzy padli na nie, posiliwszy się miską ryżu z jarzynami, który przyniósł im chudy nowicjusz.

— Moi przyjaciele, obiecacie mi, że nie ruszycie się stąd do mojego powrotu. Ja prześliznę się tymczasem do stolicy i spróbuję porozmawiać z kobietą, która może nas uratować! — powiedział następnego ranka Pięć Zakazów.

Przejęty pragnieniem odnalezienia kochanki, nie chciał tracić ani minuty.

— Idę z tobą! *Om!* Jeżeli się zgodzisz! Nie chodź tam sam!

Manipa, wciąż jeszcze zszokowany wczorajszą kąpielą, najwyraźniej nie dopuszczał myśli, że może go więcej nie zobaczyć.

— Dobrze! Możesz ze mną iść! Zostaw tylko swój rytualny sztylet i mieczyk do rozpoławiania czaszek. Wolę, żebyś ich nie miał za pasem. Te przedmioty zbytnio zwracają uwagę — polecił Pięć Zakazów, wskazując rytualny mieczyk *phurbu* i maczetę *kapala*, z którymi wędrowny mnich nigdy się nie rozstawał i które połyskiwały u jego boku.

Weszli do stolicy środkowych Chin przez wschodnie przedmieścia, omijając roгатki, które znajdowały się po stronie zachodniej, gdzie kończył się Jedwabny Szlak.

Znalazszy się w cesarskim mieście, ruszyli w stronę pałacu, do którego podążali też jak każdego ranka wszelkiego rodzaju petenci, a także liczni kupcy i chłopci, przybyli z okolicznych wsi, żeby zaoferować cesarskiemu domowi swoje towary i artykuły rolne.

Ujrawszy główną bramę pałacu, stwierdzili, że drogę ku niej zagraża oddział policjantów w kolczugach, którzy domagali się od stojących tłumnie ludzi okazania dokumentów.

— O jakie dokumenty im chodzi? — zapytał Pięć Zakazów mężczyznę, który niósł wielkie lampiony z czerwonego papieru.

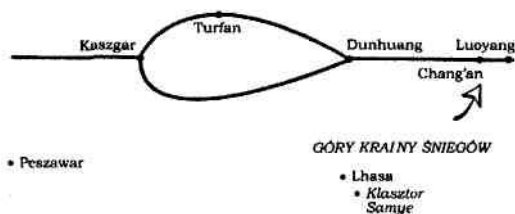
—O małą miedzianą plakietkę, na której wybite jest nazwisko, a także data i miejsce urodzenia właściciela. Jak wiesz, od zeszłego roku jej posiadanie jest obowiązkowe! — wyjaśnił zapytany, którego nieufna mina skłoniła mahajanistę, żeby wyniknąć się i schować razem z wędrownym mnichem pod przestronnym portykiem, podtrzymywanym przez kamienne kolumny, gdzie kupcy kramarze sprzedawali po wysokich cenach owoce i warzywa.

—Trudno dostać się do Wu Zhao! *Om!* — uznał manipa.

—Zaczekaj tu na mnie. Jestem pewny, że Błogosławiony pomoże nam znaleźć drogę do cesarzowej! — szepnął Pięć Zakazów, który w obliczu trudności stawał się jeszcze bardziej waleczny.

I zanim manipa zdążył odpowiedzieć, były mnich Wielkiego Wozu roztopił się w gęstym tłumie gapiów.





## 12

### *Pałac cesarski w Chang'anie, 20 lutego 659 roku*

Trzeci honorowy salon cesarskiego pałacu w Chang'anie, w którym Wu Zhao przyjmowała tego dnia Czystość Pustki, był zazwyczaj wykorzystywany tylko przez cesarza.

Było to przestronne pomieszczenie o ścianach zdobionych okrągłymi zwierciadłami, umocowanymi do płyt pokrytych laką, które upodabniały je do wnętrza okrętu; jego posadzka z dwubarwnego marmuru, pochodzącego z kamieniołomów w Longmen, zasłana była wspianiałymi perskimi kobiercami.

W swym dążeniu do zdobycia władzy cesarzowa zaanektowała tę salę, w której przedstawiono ją cesarzowi Taizongowi. Stary cesarz wyłowił młodziutką dziewczynę podczas partii polo, kiedy to wzbudziła sensację, galopując z rozpiętym stanikiem i dokonując cudów na żywiolowym czarnym rumaku o błyszczącej sierści.

Wu Zhao wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że władza jest tylko sprawą symboli, a wpływ, jakim cieszą się potężni ludzie, często zależy od miejsca, w którym przebywają. Pałace cesarskie doskonale ilustrowały to tak bardzo ludzkie zjawisko: części rezerwowane dla cesarza były majestatyczne i najob-

szerniejsze, ale też najmniej dostępne dla zwykłych śmiertelników. Możliwość wykorzystywania przez cesarzową do własnych celów miejsca aż dotąd zastrzeżonego dla jej męża była znakiem, który miał pokazać jej wrogom, że nieugięcie kroczy drogą prowadzącą do najwyższej władzy.

Jednak Czystość Pustki nie ograniczył się do biernego słuchania, do reszty tracąc nad sobą panowanie, kiedy Wu Zhao skończyła go besztać. Co prawda już na początku tej rozmowy, po raz pierwszy, odkąd się poznali, użyła wobec niego najsurowszych określeń, takich jak „bezprawne uwięzienie” czy „wulgarna podłość, pod każdym względem niegodna mahajanisty”, które miały świadczyć o jej głębokiej dezaprobach dla sposobu, w jaki wielki mistrz *dhyany* potraktował młodą chrześcijankę.

Jej słowa podziałały na przełożonego z Luoyangu jak zimny prysznic, jakby umknęło mu coś, co pomogłoby właściwie ocenić znaczenie swego postępowania. Z jego ust wyszło wówczas stwierdzenie, które nie mogło być bardziej złośliwe:

— Wasza Wysokość, to, co się dzieje w moim klasztorze, dotyczy Wielkiego Wozu, a nie Państwa Środka. Czy muszę wam, pani, przypominać, że wasza władza nie sięga poza próg mojego klasztoru? — wyjąkał drżącym głosem.

W rzeczywistości zdanie to, które zabrzmiało jak ostrzeżenie, wymknęło mu się bezwiednie, ale niczym strumyk oleju wlany na rozżarzone węgle, wywołało wściekłość cesarzowej, której oczy zaczęły ciskać pioruny.

— Jeżeli nie zgodzicie się natychmiast uwolnić tej młodej chrześcijanki, cały Wielki Wóz może drogo za to zapłacić! — rzuciła, za nic mając nie tylko dobre stosunki, jakie dzięki Czystości Pustki nawiązała z mahajaną, ale nade wszystko poparcie milionów jej wyznawców, którego potrzebowała, by zrealizować swoje cele.

Wiedziała też jednak, że zmusi Czystość Pustki do ugięcia się tylko wtedy, gdy pokaże mu, iż gotowa jest dużo poświęcić.

—A jeśli powiem Waszej Wysokości, że robią to w imię dobrej sprawy, dla szkoły Wielkiego Wozu, do której jesteście, pani, tak przywiązana? — odparował wielki mistrz.

—Powtarzam wam, mistrzu Czystość Pustki, to uwięzienie jest czynem bezprawnym. Dobro Wielkiego Wozu nie może usprawiedliwiać najmniejszej niegodziwości ze strony tego, który uważa się za jego duchowego przewodnika! — odcięła się ostro władczyni.

—A jeśli odmówię?

W jego spojrzeniu była złość, ale także błysk wyzwania. Ugodzony w słaby punkt, którym była duma, nie rozumiał, dlaczego Wu Zhao tak bardzo bierze sobie tę sprawę do serca.

—W takim razie będę musiała zerwać wszystkie więzy z wami, i to od dzisiaj! — oznajmiła bezbarwnym tonem cesarzowa. Postanowiła złamać raz na zawsze tego, który więził Umarę.

—Jest mi nieskończenie przykro z powodu aż takiej niewdzięczności ze strony Waszej Wysokości po tym, co wyjawilem wam, pani, na temat Nefrytowego Księżyca, a co pozwoliło wam wywołać taki skandal na dworze.

—To nie jest niewdzięczność, mistrzu Czystość Pustki. Ta sprawa nie dotyczy Nefrytowego Księżyca, ale Umary! Traktując tę młodą kobietę jak zwykłą więźniarkę, niczego nie osiągniecie. To przynajmniej przynajście!

—Jest bardzo dobrze traktowana. A gdy tylko wyjawi swoje sekrety, będzie mogła poruszać się swobodnie!

—Jeśli Umara niczego wam nie powiedziała, to dlatego, że niczego nie wie. Jej ojciec szuka jej wszędzie. Musicie przysłać mi ją tutaj jak najprędzej, bo inaczej czekają was kłopoty!

Czystość Pustki pomyślał, że rozumie powody złości cesarzowej: musiała zawrzeć z biskupem nestorianów z Dunhuangu układ, w którym jakaś rola przypadła jego córce.

Zakłopotany, gorzko żałował, że zaufał cesarzowej Chin. Czy ta kobieta nie próbuje nim manipulować? Dlaczego traktuje

go tak surowo, podczas gdy on nie przestaje oddawać jej rozmaitych przysług i udzielać pożytecznych rad, w jaki sposób powinna zabierać się do swoich wrogów, od których roi się wśród szlachty i wyższej administracji?

Pragnąc powiązać zerwane nici porozumienia, które miało tak ogromne znaczenie dla chińskiego Wielkiego Wozu, chciał znaleźć sposób na zapewnienie władczyni, że nadal pozostaje jej sprzymierzeńcem. Nie był wszak jedynym przełożonym klasztoru mahajany, z którym była skłonna zawrzeć przymierze. Wielu przełożonych, stojących na czele niemal tak samo ważnych klasztorów, prawdopodobnie tylko czeka na taką okazję.

Straszliwie zakłopotany, Czystość Pustki odczuwał szczególnie żal do jednej osoby. Czy odpowiedzialnym za całe to zamieszanie nie był młody Ulik, perski tłumacz, który starał się uzyskać chińskie obywatelstwo?

Wielki mistrz *dhyany* gorzko żałował, że przyjął tego młodzieńca, a potem, myśląc, iż postępuje słusznie, przekazał jego słowa Wu Zhao.

Dzięki niezawodnej pamięci Czystość Pustki doskonale pamiętał wieczór, kiedy to rozmawiał z Ulikiem, który zapukał do drzwi jedyne go znanego sobie klasztoru Wielkiego Wozu.

Wielki mistrz *dhyany* wpadł w posępny nastrój, dręczony obsesyjną myślą, że naraził na szwank porozumienie z Wu Zhao, wyjawiając jej, że przetrzymuje Umarę. Od czasu gdy powiedział jej w Parku Piwonii o uwięzieniu młodej kobiety, Wu Zhao przestała po niego posyłać. Czystość Pustki, nieprzyzwyczajony do takiego traktowania, zadał sobie w końcu pytanie, czy nie zniszczył na dobre zaufania, które ich łączyło.

Wtedy do drzwi jego biura zapukał Skupienie Powagi.

— Błogosławiony uczynił wspaniały gest wobec mahajany. Mam sposób, aby wyrzucić nacisk na cesarza Gaozonga, dzięki czemu nie będziecie musieli liczyć tylko na wsparcie cesarzo-

wej. Wiara Wu Zhao pozostaje poza dyskusją, ale ma ona na dworze wielu wrogów... Powiadają, że może zostać odtrącona przez małżonka — szepnął z miną spiskowca.

—Mam do Wu Zhao pełne zaufanie! Dużo większe niż do jej męża, który z każdym dniem coraz bardziej traci siły, podobnie jak i jasność umysłu... — odparł wielki mistrz *dhyany*, który uznał za stosowne nie mówić nikomu o ochłodzeniu swoich stosunków z cesarzową.

—Byłoby dobrze, gdybyście porozmawiali z bardzo sympatycznym młodzieńcem, który ma do opowiedzenia dużo ciekawych rzeczy! — rzekł na to mnich, wobec którego kilkanaście miesięcy wcześniej Umara zachowała się tak nieostrożnie, przychodząc do niego ze szkatułką z sandałowego drewna, zabraną ze zrujnowanej pagody, w której Szalony Obłok zamordował Buddhabadrę.

—Kto to jest?

—Młody perski tłumacz... Ma na imię Ulik. Przybył z bardzo daleka Jedwabnym Szlakiem.

—Co on tu robi? Jeśli chodzi o Persów, to w Luoyangu znam tylko dwóch albo trzech kupców sprzedających cenne kobierce.

—Ulik zjawił się wczoraj wieczorem u dozorczy — ciągnął Skupienie Powagi. — Po nocnym odpoczynku, który był mu potrzebny z uwagi na przemęczenie, dziś rano otworzył przede mną serce. Chciałby uzyskać chińskie obywatelstwo. Opowiada chętnie o swojej przeszłości i o oczekiwaniach. O istnieniu naszego klasztoru dowiedział się od waszego dawnego pomocnika, Pięciu Zakazów...

—Pięciu Zakazów? Spotkał Pięć Zakazów?! — wykrzyknął przełożony, który już na samo wspomnienie imienia swego duchowego spadkobiercy skrzywił się z niechęcią.

— Ulik towarzyszył Pięciu Zakazom od okolic Samye aż do oazy Dunhuang. Miał nawet okazję brać na ręce Niebiańskie Bliźnięta, gdy były jeszcze niemowlętami... Jak można prze-

czytać w niektórych sutrach, świat jest mały, jeśli porównać go z nieskończonym miłosierdziem Błogosławionego!

— Idź natychmiast po tego chłopca! — polecił mu Czystość Pustki, dostrzegając w przybyciu Ulika szansę na poznanie szczegółów zachowania Pięciu Zakazów, w czasie kiedy to daremnie czekał na jego powrót. Czuł, że nie powinien jej tracić, przewidując nadejście chwili, w której będzie musiał zdecydować, jak postąpić z tym nieposłusznym mnichem, przypuszczał bowiem, że prędzej czy później cesarzowa Wu Zhao go do tego popchnie.

Kiedy Skupienie Powagi przedstawił gościa przełożonemu z Luoyangu, ten stwierdził, że chłopiec jest bardzo sympatyczny.

—Przez kilka miesięcy błąkałem się po Jedwabnym Szlaku w towarzystwie dobrego i szczerego człowieka o imieniu Addai Aggai! Musieliśmy rozłączyć się w Chang'anie, ponieważ chodzenie razem było zbyt niebezpieczne. Deptała nam po piętach policja Wielkiego Cenzoratu — zaczął Ulik.

—Addai Aggai? Biskup nestorianów z Dunhuangu?! — wykrzyknął Czystość Pustki, podskakując na krześle.

—We własnej osobie, czcigodny mistrzu.

—I gdzie on jest? Muszę z nim pomówić, i to jak najprędzej!

—Niestety, nie mogę tego powiedzieć, bo nasze drogi rozeszły się zaraz po przybyciu do Chang'anu. W każdym razie ja od początku zamierzałem dotrzeć aż tu, do Luoyangu. Jestem bowiem przyjacielem waszego dawnego pomocnika, mnicha Pięć Zakazów.

—Przypuszczam, że nie przyszedłeś tu tylko po to, żeby ze mną porozmawiać.

—To prawda. Wiem coś, co może was zainteresować!

—Słucham cię, mów!

—Znam wszystkie języki spotykane na Jedwabnym Szlaku. Dzięki temu mogłem się dowiedzieć, że do środkowych Chin przybyło zachodnie poselstwo z jakimś Firuzem na czele. Wiezie on młodą Chinkę o imieniu Nefrytowy Księżyc, która

ma odtąd służyć cesarzowi Gaozongowi. Ten szczodry człowiek rozdawał wszędzie, gdzie się zjawił, proszek kadzidlany, i to tak hojnie, że każda najmniejsza osada z niecierpliwością oczekiwała jego przybycia — powiedział Ulik przyciszonym głosem, jakby chodziło o jakąś straszliwą tajemnicę państwową.

—Cesarz Środka nie potrzebuje takich prezentów. Ma pod dostatkiem młodych kobiet, które prześcigają się w urodzie! Co do kadzidła, to cesarz Chin ma go całe beczki... Jeśli to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć, to obawiam się, że trudziłeś się na darmo! — prychnął poirytowany przełożony z Luoyangu, który nie wiedział, że Gaozong zadurzył się w Nefrytowym Księżycu tak bardzo, że od jej przybycia nie tknął żadnej ze swych konkubin.

—Według słów tego ambasadora, Chinka jest księżniczką wysokiego rodu. Z tego powodu miała kosztować mnóstwo pieniędzy.

—Masz taką minę, jakbyś w to wątpił...

—Zachodnie królestwo, dla którego ów ambasador pracuje, zostało oszukane przez wodza Tujue, który sprzedał mu tę młodą kobietę. Nefrytowy Księżyc jest księżniczką nie bardziej niż ja biskupem... To dziewczyna niskiego pochodzenia!

—Skąd o tym wiesz?

—Na Jedwabnym Szlaku trudno mieć sekrety... — odparł Ulik, który najwyraźniej, w celu wywarcia większego wrażenia, postanowił zataić przed przełożonym z Luoyangu źródło swoich wiadomości.

—Dlaczego mi to mówisz?

—Czy to nie jest interesujące? Chciałem podzielić się tym z jakąś wysoko postawioną osobą.

—Rzeczywiście! Chodzi o przywłaszczenie sobie szlacheckiego tytułu. W tym kraju nie ma żartów z podobnymi niedorzecznościami! Ale pytam cię po raz drugi: co chcesz dostać w zamian za tę informację? — spytał z ironią Czystość Pustki.

—Biorąc pod uwagę waszą wysoką pozycję, moglibyście

pomóc mi spotkać się z kimś z chińskiej administracji, zajmującej się nadawaniem obywatelstwa. Nie znam tu nikogo. Słyszałem, że władze waszego kraju skłonne są przyznać chińskie obywatelstwo cudzoziemcom, którzy na to zasługują...

—O ile mi wiadomo, Persowie mają prawo tu przebywać! Z jakiego powodu chciałbyś zostać obywatelem chińskim?

—Taką myślą natchnął mnie Pięć Zakazów... zarówno swoim zachowaniem, jak i czynami. Zawsze będzie dla mnie wzorem.

—To ja go wychowałem! — wymknęło się wielkiemu mistrzowi *dhyany*.

—Poza tym nie chcę być uciekinierem. Chiny są najpotężniejszym państwem na świecie. Chińczycy nigdy nie będą musieli uciekać jak złodzieje ze swego kraju, żeby znaleźć schronienie gdzie indziej, jak to było ze mną po napadzie muzułmańskich najeźdźców!

—Jeśli dobrze rozumiem, przyszedłeś wytargować moje wsparcie w zamian za informacje na temat Nefrytowego Księżyca!

—Na plebejuskę nie wyznaczono by tak wysokiej ceny, jak na księżniczkę. Pomyślałem, że to matactwo mogłoby zainteresować niejedną osobę z cesarskiego dworu... — dodał Ulik, bynajmniej niezadowolony rolą donosiciela.

Po raz pierwszy zdarzyło się postąpić w ten sposób młodzieńcowi, który zwykle tak chętnie wyświadczał przysługi i stawał u boku ludzi mających kłopoty. Ale tak bardzo pragnął zmienić swe smutne położenie, że gotów był zrobić wszystko, aby zdobyć wdzięczność chińskich władz. Nie było mu więc specjalnie przykro, że wyjawił Czystości Pustki oszustwo, które zaprowadziło biednego Firuza prosto do więzienia w Psim Forcie.

Tak wyglądała rozmowa, która pozwalała Czystości Pustki stawić czoło gniewowi Wu Zhao, jako że, posławszy Skupienie Powagi, żeby sprawdził prawdziwość słów młodego tłumacza,



otrzymał tylko wezwanie, dzięki czemu mógł opowiedzieć wszystko cesarzowej.

Zmartwiony obrotem spraw Czystość Pustki spuścił głowę. Szalejąc z wściekłości, Wu Zhao szykowała się do zadania mu ostatniego ciosu, chodząc szybkim krokiem po pokoju. Wielki mistrz *dhyany* przyglądał jej się z zakłopotaniem.

— Ponieważ macie taką minę, jakbyście wątpili w moją determinację, niech Addai Aggai osobiście zażąda od was uwolnienia swojej córki! Któż inny udźwignąłby lepiej taki obowiązek niż ojciec? — rzekła w końcu.

Zanim wielki mistrz mógł przygotować się do obrony, do pokoju wpadł z błędnym wzrokiem osobnik, który rzucił się na niego jak rozwścieczony tygrys i złapał go za kołnierz szaty.

—Moja córka! Chcę mojej córki! Dowiedziałem się, że przetrzymujecie ją jak więźniarkę! Dlaczego więzicie niewinną osobę? Jakie macie zasady? — wrzeszczał nestorianin, starając się przewrócić przełożonego z Luoyangu.

—Zostawcie mnie w spokoju! Uduście mnie! — wrzasnął Czystość Pustki do Addaia Aggaia, który usiadł na nim okrakiem.

Jednak stary mahajanista, dużo szczuplejszy i słabszy od przeciwnika, wyrywał się na próżno.

Addai Aggai, którego siłę zdwajała wściekłość, przygniótł go całym swoim ciężarem i dobierał się właśnie do jego szyi. Oczy wielkiego mistrza *dhyany* były coraz większe z przerażenia.

Wu Zhao przyglądała się z rozbawioną miną dwóm walczącym kapłanom.

Cieszyło ją to, że biskup nestorianów karze zwierzchnika Wielkiego Wozu, którego upór tak ją rozeźlił.

Czyż nie była to dobra lekcja dla przełożonego z Luoyangu, nieprzejednanego zarówno w kwestii przebaczenia Pięciu Zakazom, jak i losu Umary?

— Niemowo, możesz ich rozdzielić! Nie chcę tu trupów! — rzuciła w końcu cesarzowa, uświadamiając sobie, że jeśli Addai Aggai zbyt długo będzie ścisnął szyję Czystości Pustki, ten przeniesie się szybko na tamten świat.

Olbrzymowi dość było opuścić potężne tatuowane ramię, aby odciągnąć biskupa z Dunhuangu od ofiary niczym wiązkę słomy.

— Wasza Wysokość, Umara jest do dyspozycji swego ojca! Zaraz po powrocie do klasztoru każę ją tu przyprowadzić — wycharczał Czystość Pustki, podnosząc się z trudem i wyglądając pomiętą szatę.

— Wasza Wysokość, nigdy nie zdołam odwdziaczyć się wam za to, co dla mnie zrobiliście! — wykrzyknął biskup nestorianów, a potem rzucił się do nóg cesarzowej, żeby musnąć ustami kraj jej sukni.

— Nie pozostaje wam nic innego, tylko zwolnić Pięć Zakazów ze ślubów czystości, choćbyście mu nawet nie przebaczyli. A wtedy będziemy kwita! Liczę na was, mistrzu Czystość Pustki — szepnęła Wu Zhao do ucha przełożonego Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, odprowadzając go do drzwi.

Kiedy głęboko wstrząśnięty Czystość Pustki wypadł z pałacu, omal nie przejechał go wóz z warzywami, ciągnięty energicznie przez trzech wesołych chłopców, których prostacki śmiech harmonizował z ordynarnymi wyzwiskami, jakimi obrzucili wielkiego mistrza *dhyany*, wykrzykując głośno: „No, stary bonzo, zmiataj na bok!”. Zaszokowały one kilka starych kobiet i poderwały go na nogi.

Przełożony z Luoyangu nie cierpiał braku szacunku i nigdy nie marnował okazji do strofowania młodych ludzi, kiedy ci potracali mnichów albo starsze osoby. W innej sytuacji zażądałby od tych gburów, żeby go przeprosili. W potrzebie wołałby o pomoc, nie zapominając ujawnić przedtem swojej tożsamości, albowiem na ulicach miasta zawsze było wielu wyznawców

mahajany, jako że Wielki Wóz był już, i to z wielką przewagą nad innymi, najważniejszą religią Chin.

Ale tym razem wyjątkowo zabrakło mu odwagi i wołał nie reagować. Obolałe gardło nie pozwalało mu głośno mówić, nade wszystko jednak załamał go sposób, w jaki potraktowała go cesarzowa, a także napaść Addaia Aggaia.

Pozwolił więc chłopcom odjechać spokojnie i usiadł przynębiony na występie muru otaczającego ogromny pałac cesarski, protestując w duchu przeciwko brakowi szacunku, który pomimo kazań mnichów przenikał powoli stosunki społeczne, każąc mu czasami stwierdzać, że pleni się barbarzyństwo i prawo dżungli.

Po drugiej stronie ulicy widać było długi kryty pasaż, w którym publiczni pisarze, sporządzający podania, jakiego mieszkańcy kierowali do cesarza, sąsiadowali ze sprzedawcami herbaty „ośmiu skarbów” i kruchych ciastek „dziesięciu tysięcy dobrodziejstw”.

Pomyślał, że dobrze mu zrobi gorąca herbata.

Przeszedłszy na drugą stronę, już szykował się, żeby wyciągnąć swoją czarkę na jałmużnę do starej, bezzębnej kobiety, która pochylała się z szacunkiem na widok jego szaty, gdy usłyszał, że ktoś wykrzykuje jego imię.

— Mistrz Czystość Pustki! Mistrz Czystość Pustki!

Znał ten głos, rozpoznałby go pośród tysiąca innych; głos ucznia, którego wychował i ukochał tak bardzo, że zamierzał uczynić go swoim następcą, a który zdradził go dla kobiety. Głos tego, za którym Wu Zhao wstawiała się niestrudzenie od długich miesięcy, o czym mógł się przekonać zaledwie przed chwilą. Głos młodzieńca, który nie zostanie jego godnym następcą, ponieważ obrał fałszywą drogę, ku wielkiemu żalowi przełożonego i duchowego opiekuna... żalowi, który kazał mu czuć się tak, jakby utracił syna...

Pięć Zakazów!

Nie mógł to być nikt inny.

Kiedy więc odwrócił się z drzeniem, aby potwierdzić swoje przeczucie, nie był zaskoczony, rozpoznając swego ucznia, który spoglądał na niego z uśmiechem...

Stwierdził, że niewiele się zmienił od czasu swego wyjazdu do Samy po *Sutrę o logice Czystej Pustki*, i to go uspokoiło.

—Mistrzu Czystość Pustki, czy nie potrzebujecie pomocy? Nie wyglądacie dobrze! — wykrzyknął młodzieniec, chwytając go za ramiona.

—Rzeczywiście, Pięć Zakazów, nie czuję się najlepiej! Co tu robisz? — zapytał szeptem mistrz, wstrząśnięty tym nieoczekiwanym spotkaniem.

—Próbowałem dostać się do cesarskiego pałacu, ale mi się to nie udało. Trzeba pokazać przepustkę, a ja jej nie mam...

—Pałac cesarski stał się niedostępny dla zwykłych śmiertelników! — westchnął wielki mistrz *dhyany*, po czym potknął się o arbuza, którego nie zauważył, i upadł ciężko na ziemię.

—Mistrzu Czystość Pustki, musicie gdzieś usiąść. W stanie, w jakim się znajdujecie, nierozsądnie by było zostać tutaj...

— powiedział Pięć Zakazów, starając się ze wszystkich sił podnieść mistrza.

Po raz pierwszy zwracał się do niego tak poufale, nie czując, że stoi niżej od niego.

Jakże dalekie wydawały się młodzieńcowi, który opuścił zakonną drogę z miłości do Umary, czasy, gdy tracił całą pewność siebie, stając przed obliczem swego mistrza *dhyany*, gdy ten wzywał go, żeby kazać mu recytować strofy jakiejś sutry!

—Minęło kilka lat, odkąd mnie opuściłeś. Postarzałem się! Bywają dni, kiedy brak mi sił. Poza tym coraz gorzej znoszę zgiełk, jaki panuje na ulicach stolicy Tangów... — odparł stary mahajanista, wskazując tłum. Jego słowa wydały się wyjątkowo ludzkie i szczere coraz bardziej zdumionemu byłemu mnichowi.

—Oprzyjcie rękę na moim ramieniu. Będziemy mogli iść szybciej — zaproponował.

Czystość Pustki zgodził się, posłuszny jak dziecko. Zaczęli przeciskać się przez ciżbę tłoczącą się w pasażu.

—Czuję się taki znużony — poskarżył się wielki mistrz *dhyany*, który ledwo trzymał się na nogach.

—Chcecie, żebyśmy poszukali schronienia w Pagodzie Gęsi? — zapytał z szacunkiem Pięć Zakazów, posadziwszy Czystość Pustki na małym stołku, pożyczonym od sprzedawcy owoców.

—Dobra myśl. Przełożony tej świątyni to człowiek uczynny i wyrozumiały.

—No i żaden klasztor Wielkiego Wozu nie odmówi gościny mistrzowi Czystości Pustki! Proszę posiedzieć tu kilka chwil, muszę uprzedzić przyjaciela, który na mnie czeka i pewnie zaczyna się niecierpliwić — poprosił Pięć Zakazów.

— To wędrowny mnich z kraju Bod, który towarzyszy mi jak cię od pierwszego pobytu w Samye. Jesteśmy bardzo do siebie przywiązani — wyjaśnił, a potem ruszył tam, gdzie zostawił manipę.

—*Om!* Miło mi cię poznać, manipo!

—*Om!* Wiele o was słyszałem! — odparł mnich, gotów nawiązać rozmowę z przełożonym z Luoyangu.

—Proponuję, żebyśmy bez zwłoki udali się do Pagody Gęsi! Mistrz Czystość Pustki musi odpocząć. Tam będziesz mógł spokojnie z nim pogawędzić!

—To niezła myśl... Moje nogi odmawiają mi już posłuszeństwa — szepnęła staruszek.

—Jesteśmy w pobliżu tej świątyni! Jeśli dobrze pamiętam, powinna znajdować się o trzy ulice stąd — dodał Pięć Zakazów.

I rzeczywiście, budowla wznosiła się kilka kroków dalej, przy końcu alei zatłoczonej wozami i riksami. Zbudowano ją dwa wieki temu, za czasów dynastii Sui, której cesarze nawrócili się na buddyzm. Jej nazwa upamiętniała indyjską legendę, według której pewien szczodry bodhisattwa przybrał postać dzikiej gęsi i postanowił wylądować na podwórzu pewnego

klasztoru, żeby mogła się jej mięsem posilić klasztorna wspólnota, która nie jadła od wielu dni.

Dotarłszy do rzeczonyj świątyni, trzech mężczyzn nie potrzebowali nawet podawać powodów swej wizyty, bo gdy tylko zgłosili się u dozorecy, przełożony Pagody Gęsi rzucił wszystko i przybiegł pokłonić się przełożonemu Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu, który cieszył się tak wielkim autorytetem, że budził respekt we wszystkich klasztorach Wielkiego Wozu w całych Chinach.

— Mistrz Czystość Pustki! Czemu zawdzięczam honor goszczenia cię? — zapytał zgięty wpół mnich zarządzający Pagodą Gęsi.

— Pozwolisz mi wyciągnąć się na łóżku, choćby na kilka godzin, zanim wrócę do Luoyangu? Miałem męczący dzień i rozboleły mnie moje stare nogi. Jestem pewny, że jeśli zdrzemnę się chwilę, poczuję się lepiej — odparł wielki mistrz *dhyany*.

Nowicjusz zaprowadził ich do chłodnej izby, wychodzącej na wewnątrzny dziedziniec, pośrodku którego wznosiła się wysoka wieża pagody. Pięć Zakazów pomógł mistrzowi wyciągnąć się na jednym z posłań ustawionych wzdłuż ścian. Manipa rzucił się zachłannie na jedną z czarek herbaty, podanych przez uprzejmego nowicjusza.

Pięć Zakazów zauważył, że jego mistrz drży na całym ciele.

— Mistrzu Czystość Pustki, widzę, że macie na szyi ślady duszenia! Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby podnieść na was rękę! Co wam się przydarzyło? — zapytał.

Stary mnich bez słowa przyglądał się krzątaniu Pięciu Zakazów, który pobiegł po wodę i zaczął przykładać kompresy na jego chudej szyi.

— To miło z twojej strony! — szepnął zmęczonym głosem duchowy przywódca Wielkiego Wozu.

Nie był to już dumny mistrz *dhyany*, nieugięty i surowy, zawsze nienaganny w swej szafranowej szacie, który budził tak

wielki lęk i szacunek, że nie musiał nawet besztuć swoich podopiecznych, ale po prostu stary człowiek o pytającym spojrzeniu, w którym zaczynały pojawiać się przebłyski życzliwości.

Leżąc na wąskim posłaniu, wyglądał jak zwyczajny staruszek w szponach cierpienia i choroby, rówieśnik dziesiątków tysięcy mu podobnych, jacy zaludniali Chang'an, Luoyang i wszystkie miasta i wioski Chin.

— Dlaczego to dla mnie robisz? Nie zasługuję na to... — szepnął bliski płaczu.

Po raz pierwszy Pięć Zakazów widział go takim załamanym.

— Nie rozumiem, co macie na myśli... — odparł młodzieniec, mając się na baczności, znał bowiem wystarczająco dobrze swego dawnego mistrza, aby zauważyć, że tego rodzaju słowa mogą równie dobrze być pułapką.

— Myślę, że wyraziłem się jasno. Nie zasługuję na taką troskliwość z twojej strony, biorąc pod uwagę moje postępowanie względem ciebie.

— Wypełniam tylko obowiązek buddysty. Poza tym, jesteście ode mnie starsi. Choćby z tego tylko powodu winien wam jestem szacunek, mistrzu Czystość Pustki.

— Dobrze mówisz. Nie zapomniałeś moich nauk — powiedział starzec znużonym głosem, a potem zamknął wypełnione łzami oczy.

Zdumiony wyznaniem swego mentora, Pięć Zakazów, który nie wątpił w jego szczerłość, pochylił się nad nim i stwierdził, że ten śpi.

Gdy kilka godzin później mistrz otworzył oczy, pomieszczenie wypełnione było przyjemnym zapachem kadzideł, które polecił zapalić Pięć Zakazów.

— Za długo spałem. Musimy natychmiast ruszać do Luoyangu, bo inaczej nie zdążymy na ostatnią łódź, jaka dziś odpływa!

— Pragniecie, żebym wam towarzyszył? — zapytał z bijącym sercem młodzieniec.

Był poruszony myślą, że znowu ujrzy klasztor, w którym spędził większą część swej młodości.

— Powiedziałem „my” najzupełniej świadomie. Byłbym szczęśliwy, gdybyś zgodził się mi towarzyszyć. Oczywiście razem z manipą! — dodał Czystość Pustki.

Niebawem dotarli do cesarskiego kanału, gdzie pasażerowie udający się do Luoyangu chętnie przepuścili starego buddyjskiego mnicha o wyniosłej postawie, a także jego dwóch towarzyszy. Rozległ się warkot bębna sygnalizujący odpłynięcie łodzi, która ruszyła, napędzana siłą ramion ludzi, rozmieszczonych po obu stronach kanału. Niedługo potem w ruch poszły wiosła.

Czystość Pustki, Pięć Zakazów i manipa zajęli miejsca na ławeczce górnego pokładu, skąd można było podziwiać różnorodne krajobrazy, przez które prowadziła ta droga wodna, wydrążona między dwiema stolicami środkowych Chin przez setki tysięcy jeńców wojennych osiem wieków wcześniej, w czasach pierwszego cesarza.

Podczas gdy przed ich oczami przesuwwały się wsie, z chłopami pochylonymi na tarasowych polach wytyczonych na zboczach wzgórz, Czystość Pustki powiedział:

—Z pewnością myślisz, że winien ci jestem wyjaśnienia!

—Wyobrażam sobie, że wy oczekujecie ode mnie tego samego! — odparł Pięć Zakazów.

—Żałowałem bardzo, że nie wyjaśniłem ci dokładniej powodu, dla którego wysłałem cię do Samye po *Sutrę o logice Czystej Pustki*...

—To prawda, że poczułem się niezręcznie, kiedy tam dotarłem. Nie wiedziałem, jak mam odzyskać sutrę, która znajdowała się w klasztornej bibliotece. Już myślałem, że będę musiał się włamać, gdy oddał mi ją pewien lama, choć go o to nie prosiłem. Postawił mi tylko warunek, że zawiozę do Chin bliźnięta, chłopca i dziewczynkę, którzy dopiero co się narodzili. Z powodu w połowie owłosionej buzi dziewczynka przypomi-



nała małą małpkę! Przyznajcie, że miałem prawo poczuć się zaskoczony!

— Nie musisz mi jej opisywać. Cesarzowa Wu Zhao oddała mi pod opiekę małą Klejnotkę razem z jej braciszkiem Lotosem. Odkąd Niebiańskie Bliźnięta trafiły do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, przybywają do nas tłumy wiernych. Dzięki tobie, Pięć Zakazów!

Zaskoczony Pięć Zakazów nie zwracał już uwagi na wspaniałe krajobrazy po obu stronach kanału, gdzie bambusowe gaje ustępowały miejsca wielkim skałom, które erozja zamieniła w gigantyczne rzeźby o dziwacznych kształtach, często przypominających zwierzęta. Zdawało się, że wielkie zbiorniki na zboże czekają nieopodal przystani na podróźnych, jako że kanałem tym przewożono do biedniejszych okolic kraju artykuły rolne wytworzone w regionach o łagodniejszym klimacie.

Zastanowiwszy się dobrze, mógł się czuć zadowolony. Dzięki cesarzowej Wu wędrówka dzieci zakończyła się po tylu perypetiach tam, gdzie chciał...

—Sam zamierzałem je tam zawieźć... Wszystko poszło w końcu tak, jak sobie tego życzyłem. Nie mam powodu, żeby cokolwiek sobie wyrzucać — szepnął wzruszony.

—Okazałeś się w tej sprawie, zważywszy na wszystkie trudności, wartościowym i odważnym mnichem.

—Wasza opinia zaskakuje mnie i cieszy, mistrzu Czystość Pustki. Obawiałem się, że moje milczenie i decyzje, jakie podjąłem, obudzą wasz gniew... Wu Zhao opowiadała mi nieraz, jak daremne były jej wysiłki, żeby skłonić was do przebaczenia mi. Wiem, że zgrzeszyłem w tym sensie, iż z powodu miłości do kobiety złamałem regułę klasztorną — rzekł ze ściśniętym gardłem Pięć Zakazów.

—Przyznanie się do błędów jest pierwszym krokiem do przebaczenia.

—Musicie wiedzieć, mistrzu, że jestem jeszcze bardziej podłym grzesznikiem, niż myślicie: nie odczuwam żadnych

wyrzutów! A co gorsza, nie mam poczucia, że zblądziłem, wiążąc moje losy z ukochaną kobietą! Zresztą nie spotkałbym jej, gdybyście nie wysłali mnie do Samey... — młodzieniec nie dokończył, albowiem zalał się rzewnymi łzami.

—Za chwilę powiesz mi, że spotkałeś ją z mojej winy!

—To nie jest dalekie od prawdy. Ta myśl często chodziła mi po głowie...

—Co to za kobieta? Opowiedz mi o niej — poprosił wielki mistrz *dhyany*.

—Umara wierzy w Jedyne Boga chrześcijan. Wyznaje to, co uczniowie Chrystusa nazywają „miłością bliźniego”, a co moim zdaniem jest bardzo bliskie pojęciu współczucia, opartego na szacunku, życzliwości i nade wszystko tolerancji względem innych, o jakim mówił Błogosławiony.

—Bardzo ją kochasz?

—Po prostu kocham ją, to wszystko! Minęły już miesiące, odkąd zgubiłem jej trop, i nie przestaję jej szukać. Za jej odnalezienie oddałbym wiele lat życia. Nie potrafię się bez niej obejść...

Spojrzał przez łzy na swego mentora, którego też ogarnęło wzruszenie.

Po raz pierwszy od porwania Umary Pięć Zakazów dał upust swej rozpaczce. Aż dotąd zawsze udawało mu się nad sobą panować w obecności innych. Teraz jednak, w obliczu swego duchowego mistrza wzruszył się, i to doprowadziło do przerwania tam, które wcześniej nie pozwalały mu dzielić się z nikim swoim smutkiem.

—Ojciec tej młodej kobiety jest w Chang'anie, gości go cesarzowa Wu. Właśnie się z nim pożegnałem, kiedy zawołałeś mnie na ulicy — szepnął po długim milczeniu Czystość Pustki.

—Cesarzowa Wu przypomina Guanyin o Tysiącu Pomocnych Ramion! Potrafi być jednocześnie w wielu miejscach i szczerze rozdziela swoje łaski! — wykrzyknął ukochany Umara.

— Ta kobieta jest groźna... Osiągnie w końcu swój cel — mruknął jakby do siebie mistrz.

Poczuł, że gotów jest przebaczyć Pięciu Zakazom. Wu Zhao powiedziała mu kilka słów prawdy, Addai Aggai omal go nie udusił, Pięć Zakazów dał dowody, że nie żywi do niego urazy, lecz niezmiennie darzy go szacunkiem. Wielki mistrz *dhyany* doszedł więc do wniosku, że nadszedł czas, by okazać mu, jak bardzo go kocha.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa stary mahajanista poczuł, że ogarnia go od stóp do głów fala ogromnej czułości, a wraz z nią ogromna ulga.

Nie chciał już dusić w sobie nieodparte potrzeby wyłkania się. Nie przejmował się tym, co pomyślą inni. Doświadczył nagle silnego pragnienia, aby zrzucić maskę władczego, twardego i surowego przełożonego klasztoru, który zmusza swoich uczniów do ścisłego przestrzegania reguł *sanghi*, i poczuć się jak dziecko, spragnione matczynej czułości.

Miał już dość roli kogoś, kto bierze na siebie wszystko od początku do końca, podejmuje decyzje i dokonuje wyborów, od którego bezustannie oczekuje się słów i zawsze ich słucha, którego jedynym celem jest wzmocnianie potęgi swojej szkoły i który każe milczeć sercu, zastępując je intelektem.

Czystość Pustki, myśliciel i filozof, zdolny skomentować tysiące stronic sutr, których sens umykał zwykłym śmiertelnikom, zwierzchnik chińskiego Wielkiego Wozu, poczuł, że się zmienia.

Wielki mistrz *dhyany* uświadomił sobie, że nigdy nie jest za późno, aby to uczynić, i że aż dotąd jego życie nie było dobre. Dziękował Błogosławionemu, że udzielił mu tej łaski, choć nastąpiło to tak późno. Myśl, że mógłby nie dostrzec takiego daru, napełniła go nagle strachem i pragnieniem, aby odkupić swoje błędy.

— Niezmiernie żałuję, że nie okazałem ci zaufania. Kiedy Wu Zhao powiedziała mi, że wróciłeś z Samye z tą młodą

dziewczyną, przyjąłem to bardzo źle. Za każdym razem, gdy próbowała wstawić się u mnie za tobą, uparcie odmawiałem zadośćuczynienia jej prośbom. Byłoby lepiej, gdybym zaprosił cię na rozmowę. Porozmawialibyśmy w cztery oczy, jak w tej chwili.

—Wiem, że zmieniłem drogę i zlekceważyłem zakazy, obowiązujące mnichów Wielkiego Wozu... Co do reszty, jestem przekonany, że pozostałem taki jak zawsze, nawet jeśli moje postępowanie mogło was zranić i kazać zwątpić we mnie.

—Pięć Zakazów, gdyby nie ty, zawsze już odrzucałbym takie słowa. Aż dotąd patrzyłem na te sprawy w sposób wąski i ograniczony. Nieprzeniknione i niezliczone są bowiem drogi do oświecenia. Wypadło mi doczekać tak późnych lat, aby to dostrzec. Dzięki tobie, moje dziecko! — szepnął stary mahaja-nista.

—Jestem szczęśliwy, że mogę z wami o tym mówić, mistrzu. Znajduję w tym ogromne pocieszenie! — wykrzyknął z wdzięcznością Pięć Zakazów.

—Gotów jestem zwolnić cię ze ślubów. Dzięki temu będziesz mógł poślubić Umarę. Droga, jaką wybrałeś, wydaje mi się słuszna, i ją szanuję — rzekł Czystość Pustki, kładąc dłoń na ramieniu ucznia, któremu jeszcze dzień wcześniej gotów był grozić straszliwymi torturami najbardziej lodowatego piekła.

—Z głębi serca dziękuję wam za zrozumienie. Ale zanim dane mi będzie poślubić moją ukochaną, trzeba by jeszcze, żebym ją odnalazł! Półtora roku temu wybranka mego serca znikła z Samye — jęknął Pięć Zakazów.

—Ta chwila przyjdzie prędzej, niż myślisz... — odrzekł stary przełożony, w którego głosie znowu zaczęło pobrzmiwać znużenie.

—Bardzo bym chciał, żeby wasza przepowiednia okazała się prawdą!

—*Om!* Pięć Zakazów! Powinieneś wierzyć słowom Czystości Pustki. One są bardzo szczerze! — wykrzyknął manipa.

—Dzięki ci, manipo, że mi pomogłeś! — powiedział wielki mistrz *dhyany*.

—Czy rzeczywiście mogę mieć nadzieję, że mi przebaczy-cie? — spytał drżącym głosem Pięć Zakazów.

—Wydaje mi się, że wyraziłem się jasno. Dziesięć tysięcy razy tak! Ale czy ja też mogę liczyć na twoje przebaczenie? To dla mnie bardzo ważne...

—Moje przebaczenie? Co miałbym wam wybaczyć, mistrzu Czystość Pustki? — spytał zdziwiony młodzieniec.

—Wiele rzeczy. Motywy mojego postępowania nie zawsze były chwalebne. Dręczyła mnie obsesja triumfu szkoły Wielkiego Wozu i byłem zaślepiony tym celem niczym generał, który pragnie poprowadzić swe wojska do zwycięstwa. Jednak Wielki Wóz nie jest armią! Grzeszyłem pychą. Ty byłeś jedną z ofiar tych błędów i szczerze tego żałuję — wyjaśnił Czystość Pustki, a potem zamknął się w milczeniu, w którym wytrwał aż do Luoyangu.

Gdy Pięć Zakazów ujrzał Umarę na progu izby, do której poprowadził go Czystość Pustki, aby zaraz potem odejść bez słowa, wydał dziki okrzyk i rzucił się, żeby ją uściskać. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na pełen dezaprobaty grymas na twarzy starego mnicha, który z miotłą w ręku przyglądał się tej scenie i bez trudu go rozpoznał.

— Najdroższa! — Pięć Zakazów przywarł ustami do warg Umary.

Dwukolorowe oczy młodej chrześcijanki wydały mu się jeszcze bardziej zadziwiające i piękne niż w dniu, w którym oglądał je po raz ostatni, w pasterskiej chacie w kraju Bod.

— Moja jedyna miłości! — szepnęła nieprzytomna ze szczęścia dziewczyna.

Nie tracąc ani sekundy, wciągnęła go do izby, gdzie ich języki znowu się splotły, a dłonie błędziły po ramionach, piersiach i twarzach.

Zatraceni w szczęściu nie potrzebowali słów, ale po prostu

dotykali się, żeby nabrać pewności, że nie śnią. Trudno się dziwić, iż rychło ogarnęło ich pożądanie. Jednak na tego rodzaju intymne odnalezienie się nie pozwolił tłumek nowicjuszy, którzy stanęli przed drzwiami.

— Dokończymy wieczorem, gdy będzie spokój... Tu w nocy wszyscy śpią. Nikt nie będzie nam przeszkadzał — szepnęła Umara, muskając nabrzmiąły narząd, który sterczał pod materiałem spodni Pięciu Zakazów.

Wsparłszy się o ramię kochanka, opowiedziała mu w paru słowach, jak Czystość Pustki kazał ją porwać z Samye, przekonany, że to ona ma Oczy Buddy.

—Lepiej teraz rozumiem skruczę wielkiego mistrza *dhyan* — rzucił żartem Pięć Zakazów, kiedy dokończyła opowieść.

—Ale skoro dzięki Bogu znalazłeś się tutaj, można by rzec, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przeszłość nie ma już większego znaczenia. Postaramy się, żeby nie rozstać się nigdy więcej — powiedziała z uśmiechem.

—Przyrzekam, nigdy więcej nie zostawię cię samej nawet na chwilę... Nie masz pojęcia, jak wyrzucałem sobie, że tamtego popołudnia poszedłem z Lapiką na spacer — odparł Pięć Zakazów, głaszcząc ją po włosach.

—Pozostaje mi tylko odnaleźć ojca i będę u szczytu szczęścia.

—Addai Aggai przebywa teraz u cesarzowej Wu, w pałacu w Chang'anie! Czystość Pustki mówił mi, że spotkał go tam trzy dni temu! — oznajmił triumfalnie Pięć Zakazów. Zaskoczona Umara aż krzyknęła z radości.

—Tak było i ja to potwierdzam! Wu Zhao gości u siebie w sekrecie twego ojca, pani!

Był to wielki mistrz *dhyan*, którego łatwo rozpoznawalny głos zabrzmiał w uszach połączonych wreszcie kochanków. Mistrz stał w drzwiach izby, w której więziono Umarę. Chciał porozmawiać z nimi spokojnie o ich przyszłości i postanowił złożyć im wizytę po zakończeniu ostatniej wieczornej modlitwy.

—Kiedy mogłabym się z nim zobaczyć? Na pewno umiera z niepokoju. Od tak dawna nie miał ode mnie żadnej wiadomości... Jestem dla niego czymś najważniejszym na świecie, oprócz Pana Boga! — mówiła drżącym ze wzruszenia głosem młoda kobieta.

—Ojciec już wie, że jesteś tutaj, pani, i że cieszysz się dobrym zdrowiem. Myślę, że poczuł wielką ulgę — powiedział zwierzchnik Wielkiego Wozu, którego szyja nosiła jeszcze ślady wściekłego ataku biskupa nestorianów.

—Wu Zhao nadal pociąga za wszystkie sznurki... — szepnęła w zamyśleniu Umara.

—Nic nie umyka bystrym oczom cesarzowej. Ta kobieta gotowa jest ponieść każde ryzyko, kpiąc sobie z pułapek zastawianych przez jej wrogów, byle tylko przyjąć pod swoje skrzydła tych, których wspiera, i osłonić ich przed machinacjami agentów specjalnych Wielkiego Cenzoratu. Nie dość, że dała schronienie twemu ojcu, pani, to jeszcze gości Wielkiego Doskonałego z Turfanu, manichejczyka Napelnionego Spokojem — dodał przełożony z Luoyangu.

—Czy ona wiedziała, że przetrzymujecie mnie jak więźniarkę?

—Tak.

—A przecież cesarzowa Chin zawsze dawała mi dowody wielkiej życzliwości.

—Ta kobieta kocha władzę. Stawia sobie cele, których my nie rozumiemy — zauważył Pięć Zakazów.

—Nie zazdrozczę jej niczego. Nigdy nie zamieniłabym mojego życia na jej! — wykrzyknęła Umara.

—Pani, mam przyjemność poinformować cię, że jesteś wolna i możesz robić, co chcesz. Klasztor Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa nie ma już żadnego powodu, żeby cię przetrzymywać — oświadczył nie bez pewnej afekcji przełożony, przerywając dyskusję na temat postępowania cesarzowej.

Zakłopotana córka Addaia Aggaia spojrzała z niedowierzaniem na Czystość Pustki, zadając sobie pytanie, co mogło wywołać taką zmianę jego postawy.

—Więc niczego mi już nie zarzucacie? — spytała zdumiona.

—W każdym wieku można zmienić poglądy... Żałuję, że potraktowałem cię w taki sposób. Okazałem straszliwy brak przenikliwości, ale także i współczucia. Choć dożyłem tak sędziwego wieku, nie przypuszczałem, że mądrość nawiedzi mnie tak późno. To trochę jakby nawrócenie... i jestem jej winien Pięciu Zakazom — wyznał z rozpaczą przełożony, duchowy mistrz dziesiątków tysięcy mnichów, których wprowadzał w tajniki medytacji.

Zwykle tak wyniosły i surowy, wielki mistrz *dhyany*, którego wszyscy się bali, z trudem powstrzymywał płacz.

—A gdybyśmy tak poszli zobaczyć się z Niebiańskimi Bliźniętami... Bardzo mi ich brak, mistrzu Czystość Pustki!

— zaproponował Pięć Zakazów, żeby wydobyć przełożonego z wielkiego zakłopotania, które zdawało się go ogarniać.

—Chodźcie za mną! Dzieci znajdują się niedaleko stąd. Mają dla siebie osobny pawilon — odparł Czystość Pustki, przełknąwszy ślinę, a potem wsparł się na lewym ramieniu Pięciu Zakazów, dając mu do zrozumienia, że stan jego nog nie pozwala mu chodzić o własnych siłach.

Gdy weszli do pokoju Niebiańskich Bliźnięt, właśnie kończyły one swój dzień i jedna z mniszek rozbierała je do snu. Na spotkania z pielgrzymami wkładały codziennie ubranka w innych kolorach. Tego dnia były to czerwone tuniki i wąskie czarne spodnie, obszyte złotą nicią.

Umara rzuciła się ku nim niczym matka ku swoim dzieciom, żeby obsypać je pocałunkami.

—Ciekawe, czy mnie rozpoznajecie... To ja, Umara! Jakże one śliczne! — wykrzyknęła, uklękłszy przed nimi, i zaczęła głośno je po główkach.

—Tak! Poznają cię! — szepnęła cienkim głosem Klejnotka.



—Ja też! — wykrzyknął Lotos, który podbiegł i przytulił się do siostry.

—Kiedy je opuszczałam, ledwo zaczynały chodzić... Teraz mówią, jakby czytały z książki... — szepnęła Umara.

—Mają mnicha nauczyciela, który uczy je chińskiego. Poza tym są bardzo inteligentne — wyjaśnił Czystość Pustki.

—*Om!* Przypominają dwie gwiazdki! — dorzucił manipa, nie ukrywając radości.

Wędrowny mnich, który także był ogromnie przywiązany do Niebiańskich Bliźniąt, poszedł oczywiście za Umarą i Pięcioma Zakazami, kiedy Czystość Pustki zaproponował, że pokaże im dzieci.

—Klejnotka pięknieje z każdym dniem! — powiedziała cicho Umara, odciągając Czystość Pustki na bok. — Czy ona już wie, że jest trochę inna? — zapytała niespokojnie.

—Wu Zhao zażądała, żeby nie prowadzić nigdy Klejnotu na brzeg wody. Zdjęliśmy również lustra w pomieszczeniach, w których przebywa. Cesarzowa wyraziła życzenie, żeby to jej zostawić sprawę zapoznania dziewczynki z jej wyglądem... Na razie mała uważa się za normalną — odpowiedział szeptem przełożony.

—Tak będzie lepiej! Klejnotka przeżyłaby z pewnością wielki szok, gdyby odkryła to sama — odrzekła Umara.

Wzięła dziewczynkę na ręce i pogłaskała ją po buzi, jakby bała się okropnej chwili, w której Klejnotka odkryje w końcu swoją odmienność. Jakżeby chciała być koło niej, gdy do tego dojdzie! We dwie, razem z Wu Zhao, z pewnością pomogłyby dziecku przeżyć ten straszny wstrząs.

—Będę się uczył strzelać z łuku u cioci Wu! — zawołał Lotos, wydając radosne okrzyki.

—Kto to jest ciocia Wu? — zapytała Umara, wzruszona do łez.

—To cesarzowa Wu Zhao! — szepnęła Czystość Pustki. — Władczyni okazuje im wiele życzliwości i prosi, żeby je

przyprawdzać, gdy tylko przebywa w letniej stolicy, co zdarza się coraz częściej...

— Dzieci muszą już iść spać. Jutro rano czeka je spotkanie z pielgrzymami, którzy wystają w kolejce, żeby złożyć im hołd — powiedział Pięć Zakazów, widząc, że robi się późno.

Gdy z nadejściem wieczoru wrócili do izby Umary, manipa usiadł przed drzwiami, żeby nikt nie przeszkodził kochankom. Ci zaś, wreszcie sami, mogli się w końcu rozebrać i oddać miłosnym rozkoszom, sięgając po tak dobrze im znane pieszczoty, jakby rozstali się nie dalej niż wczoraj.

Po trwającej tyle czasu rozłące ich pierwsza miłosna noc w klasztornej izbie była długa i wypełniona rozkoszą.

Ciało Umary usunęło z pamięci jej ukochanego wszelkie wspomnienia pozostawione przez piękną i dziką Yarpę, tybetańską kapłankę, zaś Umara nieprzytomnie tęskniła za nefrytowym drążkiem byłego mnicha Wielkiego Wozu, toteż ledwo Pięć Zakazów zrzucił okrycie, złożyła mu hołd ustami.

Tej nocy dali tyle dowodów wyobraźni, że miłosne igraszki, jakim się oddali, na długo pozostały w ich pamięci.

—Kochany, od wieków czekam na tę chwilę! Mój brzuch wysechł jak pustynia Gobi pod koniec zimy... — poskarżyła się Umara, drżąc.

—Jestem gotów go zrosić... — szepnął Pięć Zakazów, opierając nogi kochanki na swoich ramionach, tak że bez najmniejszych trudności mógł dobrać się do jej pączka piwonii, podczas gdy ona pieściła delikatnie jego trzonek, nabrzmiały tak, że wydawał się bliski rozsadzenia.

—Chcę poczuć cię w sobie na wszystkie sposoby... — jęknęła, dając mu do zrozumienia, że z taką samą radością przyjmie go obiema furtkami.

—Ale przecież tegośmy jeszcze nie próbowali... — udał oburzenie Pięć Zakazów.

—Ale teraz możesz zrobić ze mną, co chcesz. Nie powinno

już być między nami żadnych barier. — Umara przyjęła odpowiednią pozycję w sposób tak wymowny, że nie mógł się oprzeć.

Dziewczyna odczuwała taką rozkosz, że jej głośne jęki mogły obudzić nowicjuszy, którzy spali nieopodal. Pięć Zakazów delikatnie przewiązał usta kochanki jedwabną chustką, co nie tylko nie uciszyło jej westchnień, ale przeciwnie, przydało im zadziwiającej różnorodności, jakby te słodkie więzy zdwajały rozkosz, nad którą nie potrafiła zapanować.

Ich złaknione ciała stopiły się ze sobą na długie nocne godziny, aż do białego rana, dopasowane do siebie niczym klucz do zamka, otwierającego cudowne drzwiczki schowka, w którym odkrywali skarby, o istnieniu których dotąd nie wiedzieli.

I tam, na wąskim posłaniu małej izby, przeznaczonej dla medytującego mnicha i urzędzonej tak, aby żaden szczegół nie zakłócał jego skupienia, przysięgli sobie wierność aż do śmierci.

Następnego ranka przełożony Czystość Pustki zaprosił oboje do swej izby.

—Pięć Zakazów, tej nocy opracowałem rytuał, który pozwoli mi zwolnić cię z twoich ślubów zakonnych przez nałożenie rąk! Obmyśliłem go szczegółowo właśnie z myślą o tobie! — zwrócił się do swego byłego pomocnika, otwierając ramiona niczym ojciec, który wita syna.

—Sądziłem, że takich ślubów nie można unieważnić... — odparł zaskoczony i zarazem zachwycony Pięć Zakazów.

—To, co usankcjonował jeden rytuał, inny może unieważnić. Czyż nie liczy się tylko to, aby iść ścieżką, którą każdemu z ludzi wyznaczył Błogosławiony?

—Możemy więc zostać mężem i żoną, a Pięć Zakazów, jako były mnich Wielkiego Wozu, który złożył śluby, nie narazi się na ogień piekła Awici? — szepnęła poruszona Umara.

Słowa mistrza *dhyany*, które usłyszała w odpowiedzi, w pełni ją uszczęśliwiły.

—Rzeczywiście, możecie, moje dzieci!

—W takim razie mój ojciec połączy nas z pewnością sakramentem małżeństwa według rytuału Nestoriusza!

—Bez wątpienia, będzie bardzo szczęśliwy, mogąc to uczynić... — dodał Pięć Zakazów.

—Ale w niczym nie zmieni to miłości, którą się darzymy, ani tego, że mój Jedyiny Bóg chciał naszej miłości, gdyż urządził wszystko tak, żebyśmy się spotkali. Jemu zawdzięczamy to, co się nam przydarzyło! — westchnęła córka Addaia Aggaia, która wierzyła w swego Boga, nie przejmując się rytuałami.

—Twoja wiara pozostała nietknięta. To dobrze. Ale nie zapominaj, że Budda czuwa także nad tymi, którzy go nie znają. Przyjmij więc ode mnie ten podarunek — powiedział wielki mistrz *dhyany*, wręczając dziewczynie łańcuszek, na końcu którego zwiisał maleńki srebrny *gau* z fragmentem sutry. Relikwiarzyki takie wkładano na szyję pustelnikom, wysyłanym do grot na wielomiesięczną samotną medytację.

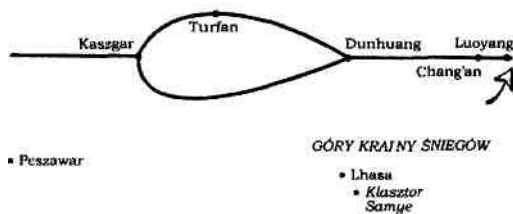
—Rozpieszczacie mnie, mistrzu Czystość Pustki! — odparła z uśmiechem Umara.

—Chciałbym, żebyś wybaczyła mi podejrzenia, które żywiłem względem ciebie, a które tłumaczą moją pomyłkę... a także całe zło, jakie ci wyrządziłem... Choć jestem mistrzem *dhyany*, Umaro, postąpiłem lekkomyślnie.

Umara z trudem rozpoznawała w stojącym przed nią ze szczerze zmartwioną miną starym człowieku surowego duchowego mistrza, który żelazną ręką prowadził tysiące mnichów i nowicjuszy największego mahajanistycznego klasztoru Chin.

Ale w każdym wieku można się nawrócić.

A najbliżsi świętości są i zawsze byli skromni i prości ludzie, wolni od jakichkolwiek ukrytych myśli.



## 13

### *Letni pałac, Luoyang, 5 marca 639 roku*

Mała Klejnotka była sama i zaczynała się nudzić w ogromnym letnim pałacu w Luoyangu, wsłuchując się w dziwne odgłosy dochodzące z pokoju kochanej cioci Wu.

Zbliżała się wiosna i przyroda zdawała się otrząsać z zimowego odrętwienia. Poprzedniego dnia cesarzowa Chin przybyła do letniej stolicy Tangów, dokąd udawała się coraz częściej pod pretekstem, że tutejsze powietrze jest czystsze niż w Chang'anie.

Po raz pierwszy dziewczynka nie miała koło siebie braciszka. Zwykle bowiem Niebiańskie Bliźnięta przebywały razem.

Korzystając z obecności cesarzowej, Czystość Pustki zapragnął wprowadzić Lotosa w arkana strzelania z łuku, polecił więc zaprowadzić dzieci do letniego pałacu, gdzie mały chłopiec mógł sobie postrzelać pod okiem łucznika z osobistej drużyny Wu Zhao. Strzelanie z łuku od tysiącleci zastrzeżone było dla mężczyzn, toteż mimo błagań Klejnotki wielki mistrz *dhyany* nie uznał za stosowne ustąpić prośbom dziewczynki, która chciała naśladować swego braciszka.

Mając na uwadze to, co się wydarzyło od czasu ostatniej rozmowy z cesarzową w Chang'anie, Czystość Pustki przezornie

uchylił się od stawienia w pałacu, licząc na to, że znajdzie lepszy sposób, aby poinformować cesarzową o tym, co dotyczy Umary, jak i o przebaczeniu Pięciu Zakazom. Poprosił więc Pierwsze z Czterech Słońc Oświełających Ziemią, żeby poprowadził wózek z dwojgiem dzieci, którym w drodze z Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa do letniego pałacu pobożne hołdy składał zbity tłum pielgrzymów. Chłopiec udał się od razu w głąb Parku Piwonii, na miejsce przeznaczone do strzelania z łuku, aby odbyć pierwszą lekcję. Protesty siostry nie zdały się na nic i dziewczynka musiała pogodzić się z odejściem braciszka. Zawiedziona, nadąsała się i mimo wysiłków służących cesarzowej nie dała się rozweselić.

—Gdzie jest ciocia Wu? — zapytała jedną z kobiet, które spędzały dni w pomieszczeniu wychodzącym na park, czekając, aż cesarzowa zadzwoni, żeby im wydać polecenia.

—Cesarzowa Wu Zhao odpoczywa w swojej komnacie. Będiesz mogła się z nią zobaczyć dopiero wtedy, gdy wstanie. A tymczasem, moja mała Klejnotko, jeśli chcesz jakąś zabawkę, wystarczy poprosić o to mnie! — odpowiedziała jej wiedź-mowata służąca, która nie potrafiła ukryć niesmaku i lęku, jaki budziła w niej owłosiona i zaczerwieniona buzia dziecka.

—Dziękuję, ale niczego nie potrzebuję! Wolę się bawić sama! — odparła dziewczynka nieznośnym sprzeciwu tonem, który w jej ustach brzmiał śmiesznie, ale też wskazywał, jak bardzo jest niezadowolona.

Służąca zostawiła ją więc samą w ogromnej komnacie, gdzie nikt jej nie przeszkadzał. Z początku trochę jeszcze nadąsana, Klejnotka z rosnącym zachwytem zaczęła się przyglądać wspinałemu meblom, przeznaczonym do wyłącznego użytku cesarskiej pary.

Tym, co najbardziej przyciągało wzrok dziecka odkrywającego stopniowo otaczający je świat, był stół do gry w szachy z różanego drewna, *shanghuqizhuo*, na którym stały imponujące figury z kości słoniowej. Mebel, którego blat intarsjowany był

arabeskami z purpurowego drewna sandałowego i żółtego drewna gruszy, otaczały wygodne krzesła typu *chanyi*, zapewniające tym, którzy mieli szczęście na nich usiąść, poczucie wielkiego komfortu. Model ten był bardzo popularny w tamtej epoce i można go było znaleźć w modlitewnych salach najbogatszych buddyjskich świątyń.

Przy ścianie stała także pokryta laką komoda, na której ściankach widać było obrazki, przedstawiające sceny z polowania i łowienia ryb, z drzewami, wodospadami, jeziorami, górskimi szczytami i chmurami. Dzięki ciepłej tonacji tych malowideł, podkreślanej cienkimi czarnymi i czerwonymi pociągnięciami pędzla, oddawały one typową dla taoizmu harmonię między człowiekiem i przyrodą, która przemawiała do wyobraźni małej Klejnotki.

Niebiańska Bliźniaczka nigdy dotąd nie widziała czegoś tak pięknego.

Rozglądając się na wszystkie strony, podniosła oczy w kierunku drewnianego kasetonowego sufitu, zdobionego złożonymi ptakami, a po chwili dostrzegła wspaniałe lustro z brązu, królujące na hebanowej etażerce, rozsiewając błyski niczym gładka tafla jeziora.

Z upływem czasu dziewczynka zorientowała się, że zabraniano jej zbliżać się do wszelkich lśniących powierzchni. Od tygodni daremnie próbowała wykorzystać chwilę nieuwagi swych opiekunek, aby obejść ten zakaz, którego powodów nie rozumiała.

Ale teraz, znalazłszy się w tej komnacie zupełnie sama, odniosła wrażenie, że piękne owalne zwierciadło w końcu wyciągnęło do niej rękę!

Pospiesznie przysunęła do ściany jedno z krzesel i, pomagając sobie małymi rączkami, zdołała wdrapać się na lakowaną komodę, skąd mogła już dosięgnąć lustra.

Lustro było bardzo ładne. Zdobiły je zwrócone ku sobie lwy, oplecione girlandami winorośli, a jego gruba rączka *ju* miała

dziurkę, przez którą przewleczony był szkarłatny jedwabny kordonek. Przetarłszy je o kraj sukienki, odwróciła je lśniąca powierzchnią ku sobie i spojrzała w nie. Ujrzawszy swoją buzię, nie mogła powstrzymać się od głośnego jęku, w którym strach i zdziwienie mieszały się z rozpaczą.

Miała przed sobą oblicze, które wydawało się przecięte na dwoje krawędzią nosa. Twarz niepodobną do żadnej, które dotąd widziała.

Zdała sobie sprawę, że bardzo różni się od innych ludzi.

Przecięgnęła rączką po policzku i zrozumiała nagle, dlaczego czuła zawsze, że część jej buzi pokrywa jakiś meszek.

Stojąc samotnie w salonie zastawionym wspaniałymi meblami i ściskając ze wszystkich sił rączkę lusterka, mała Niebiańska Bliźniaczka odkryła straszliwy sekret, którego nie знаła tylko ona, a który sprawiał, że tysiące pielgrzymów stających co dzień w kolejce, żeby ukorzyć się u jej stóp, obrzucały ją spojrzeniami pełnymi litości, albo przeciwnie, pobożnego uniesienia.

Znowu zbliżyła twarz do błyszczącej powierzchni, po czym w przyptywie emocji wybuchnęła łkaniem i skuliła się z paluszkami w buzi na jednej z wielkich sof salonu.

Ściskając lusterko w rączce, spoglądała na odbicie swej drobnej buzi w krążku polerowanego brązu.

Po chwili zauważyła, że im dłużej się sobie przygląda, tym mniejszy czuje strach, i to trochę ją pocieszyło. Znowu dobiegł ją dziwny hałas z komnaty cesarzowej.

Opuściła lustro i nastawiła uszu.

Było to taki sam jęk jak ten, który usłyszała, gdy tylko weszła do komnaty, ale tym razem silniejszy i jakby bardziej śpiewny. Przyszło jej do głowy, że być może w pokoju znajduje się jakieś zwierzątko.

Zaciekawiona, zsunęła się z sofy i postanowiła to sprawdzić. Drzwi do pokoju cioci Wu były zamknięte. Klejnotka przyłożyła do nich ucho i usłyszała rozmowę, na którą składały się



niezrozumiałe dla niej szepty cesarzowej, przedzielane coraz głośniejszymi westchnieniami: „Och, tak! Mocniej! Nie, za mocno! Jak dobrze!”, oraz władcze odpowiedzi mężczyzny, którego słowa brzmiały jak cięcie noża: „Teraz! Zaczekaj! Tak! Nie ruszaj się! Zobaczysz, poczujesz coś jeszcze mocniejszego!”.

Wciąż pod wrażeniem niedawnego odkrycia, Klejnotka zadała sobie pytanie, czy ktoś nie znęca się nad Wu Zhao, która zdawała się teraz jęczeć z bólu.

Gotowa bronić swej drogiej cioci przed złym panem, który najwyraźniej wyrządził jej jakąś krzywdę, postanowiła wejść do komnaty. Otworzyła bezgłośnie drzwi i z bijącym jak oszalałe serduszkciem wśliznęła się do środka.

Na widok tego, co ukazało się jej oczom, zaniemówiła.

Na wielkim łożu, zwrócona plecami w jej stronę, zupełnie naga ciocia Wu siedziała okrakiem na mężczyźnie o śniadej skórze, którego tułów przeбитo był pierścieniami. Pochylona nad jego płaskim jak deska brzuchem, na którym widać było jakieś dziwne blizny, poruszała się w rytm swych jęków i westchnień.

— Ciociu Wu! Ciociu Wu! Niedobrze się czujesz? Czy cię boli? — zawołała drżącym głosem Klejnotka.

Nie domyślała się, że zaskoczyła cesarzową Chin w trakcie miłosnych zmagañ ze swoim własnym ojcem!

— Ciociu Wu! Ciociu Wu! To ja, Klejnotka! Masz taką minę, jakbyś się źle czuła! — powtarzała, gotowa się rozpłakać.

Usłyszawszy jej krzyki, cesarzowa odwróciła się gwałtownie i przerażona widokiem ukochanej Niebiańskiej Bliźniaczki, pospiesznie narzuciła na ramiona prześcieradło, a potem dała mężczyźnie znak, żeby wyniósł się z łóżka.

—Moja najdroższa! Zupełnie zapomniałam, że zostałam tu, kiedy twój brat poszedł na lekcję strzelania z łuku! — szepnęła zażenowana, biorąc ją w ramiona.

—Tak się bałam, ciociu Wu, że jakiś pan robi ci krzywdę!

— wyjąkała dziewczynka i wybuchnęła płaczem.

W tym momencie Wu Zhao dostrzegła, że Klejnotka okręciła sobie wokół dłoni kordonek lusterka z brązu, zdobionego typową dla wyrobów z Luristanu\* dekoracją lwów i winorośli, które leżało na etażerze w salonie, sąsiadującym z jej pokojem.

—Po co ci to lustro, moja mała Klejnotko? — spytała władczyni Chin dziewczynkę, która szlochała coraz głośniej.

— Zobaczyłaś w nim swoją buzię? Odpowiedz mi! — dodała, bardzo zaniepokojona.

—Tak! I bardzo się przestraszyłam... — szepnęła dziewczynka, tuląc się do nagiej piersi cesarzowej.

—Moja droga, nie powinnaś bać się siebie samej.

—Moja buzia nie jest podobna do innych. Na przykład ciocia Wu nie ma żadnych włosów!

—Mimo to wszyscy chwalą twoją urodę. Masz tak samo delikatne rysy twarzy, jak najpiękniejsza figura Guanyin, która stoi w głębi wielkiej sali modlitewnej Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa... Tylko troszeczkę różnisz się od innych! — pocieszała ją cicho Wu Zhao, głaszcząc jej śliczne falujące włosy.

Uspokojona pieścizotami dziewczynka otarła łzy i patrzyła zakłopotana, nie bardzo wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać...

—Jesteś śliczna — zapewniła ją cesarzowa. Klejnotka ścisnęła rączką jej dłoń.

—Ale kiedy zobaczyłam się pierwszy raz w lustrze, to się bałam!

—Jak można się bać takiej ładnej buzi? Posłuchaj, Klejnotko: musisz raz na zawsze pogodzić się z tym, że połowa twojej ślicznej twarzyczki pokryta jest włoskami. Zgoda?

—Tak, ciociu Wu, zgoda! — szepnęła dziewczynka.

—Najważniejsze, żeby każdy pogodził się z tym, jak wygląda, a potem swoim zachowaniem powinien pokazać innym, jeśli na to zasługują, co ma w środku. Bo tak jak diamenty,

\* Luristan — region Azji Środkowej, słynący wyrobów z brązu.

zamknięte w skalnych otoczkach, nie mogą przebić się swoim blaskiem na zewnątrz, tak też i zalety człowieka nie zależą od jego wyglądu — wyjaśniała łagodnym tonem cesarzowa.

— Teraz lepiej rozumiem, dlaczego pokazuje się mnie pielgrzymom. Ciociu Wu, bardzo bym chciała przejrzeć się w rzece! Drzewa odbijają się w niej dużo wyraźniej niż moja buzia w tym lusterku! — dodała żałośnie. — Chcę iść na brzeg rzeki Luo! Tam, gdzie ciocia Wu wydobyła te magiczne głazy! Chcę zobaczyć, czy moja buzia wygląda tak samo w wodzie!

Zachwycona cesarzowa stwierdziła, że Klejnotka pamięta o tym, aby nigdy i nikomu nie wyjawiać faktu wyrzycia przez Niemowę proroczych napisów, zapowiadających bliskie wstąpienie na chiński tron kobiety, która przypominała ją pod każdym względem.

— Moja droga, bardzo mnie cieszą twoje słowa. Nie mogła bym spodziewać się więcej po mojej małej księżniczce! — wykrzyknęła władczyni przepelniona wdzięcznością. — Idzie my tam natychmiast!

Dziewczynka od razu przestała płakać. Lubiała te spacery, na które cesarzowa godziła się rzadko, aby nie tracić zbyt wiele cennego czasu.

—Niemowo, idę z Klejnotką nad rzekę! — powiadomiła Wu Zhao służącego.

—Tylko powieszę klatkę ze świerszczem i zaraz dołączę do Waszej Wysokości! — odpowiedział, podczas gdy wniebowzięta dziewczynka zbiegała ze schodków werandy z tekowego drewna, które prowadziły na murawę Parku Piwonii.

Prędko dotarły nad burzliwe wody rzeki i usiadły na ławce.

— Jak tu ładnie! — szepnęła Klejnotka, ściskając trochę mocniej pulchną i miękką jak jedwab rączką dłoń Wu Zhao, której palce, połyskujące kosztownymi pierścieniami, bardzo ją fascynowały, głównie dlatego, że kończyły się długimi jak szpony drapieżnego ptaka paznokciami.

—Woda zawsze ci się podobała, odkąd przyprowadziłam cię tu jako malutką dziewczynkę. Pamiętasz miejsce, w którym wpadłaś do rzeki?

—To było trochę dalej. Tam gdzie leżały w wodzie głązy, które wyciągnął z wody biały słoń, wielki jak góra — odparła Klejnotka, wskazując kępę drzew w dole rzeki.

—Powinnaś wiedzieć, że kocham cię tak, jakbym była twoją mamą — powiedziała Wu Zhao, biorąc dziewczynkę na kolana.

—Ale ja nie mam mamy — odparła Klejnotka, robiąc pocieszną minę.

—Masz wokół siebie mnóstwo osób, które bardzo cię kochają!

—Nawet mistrz Czystość Pustki?

—Dlaczego pytasz o niego?

Wydawało się, że pytanie dotknęło cesarzową do żywego.

—On jest dla nas bardzo surowy. Nigdy nie pozwala nam się bawić. Zawsze musimy być gotowi, żeby pokazać się wiernym, którzy przychodzą do klasztoru!

—Czy to nie jest zrozumiałe? Pomyśl tylko, niektórzy z tych wiernych maszerowali tydzień, dzień i noc, żeby się rzucić do twoich stóp...

—Co oni w nas widzą? Dlaczego okazują nam tyle ciekawości?

—Więcej niż ciekawości, tu chodzi o pobożność, mój mały Klejnocie!

—Więc oni wcale się mnie nie boją... — zauważyła w zamysleniu dziewczynka, a cesarzowa zaczęła obsypywać ją najczulszymi pocałunkami.

—Wiesz, moja droga, bardzo chciałam wyjaśnić ci sama, dlaczego masz trochę inną buzię... Dlatego zakazałam umieszczania w zasięgu twoich rącek najmniejszych błyszczących przedmiotów.

—Ciociu Wu, kiedy zobaczyłam cię na łóżku w twoim

pokoju, wydawało mi się, że coś cię boli... Bardzo się przestraszyłam. — Dziewczynka przytuliła się do cioci Wu.

— Za kilka lat, kiedy będziesz w wieku, który pozwoli ci rozumieć te rzeczy, odkryjesz, że rozkosz i ból są sobie bardzo bliskie — odparła bez najmniejszego zażenowania Wu Zhao, po czym stwierdziła, że mała Niebiańska Bliźniaczka zasnęła w jej ramionach.

Robiło się późno i cesarzowa, która nie miała ochoty nieść Klejnotki aż do pałacu, rozejrzała się za Niemową. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że sługi nie ma w pobliżu.

— Niemowo! Chodź tu i pomóż mi nieść małą! — zawołała przekonana, że olbrzym wyłoni się zza drzewa, jako że zawsze chodził za nią jak cień. Tym razem jednak wydawało się, że jej nie usłyszał!

Trochę zirytowana, zawołała głośniejszym głosem, ale i tym razem bez skutku. Rozejrzała się, zadając sobie pytanie, dlaczego Niemowa nie odpowiada. Nie dopuszczała myśli, że po prostu go tu nie ma.

Nie domyśliłaby się nigdy, że powodem nieobecności Niemowy było urzeczywistnienie zamiaru, który planował od miesięcy, asystując w milczeniu „zapasom” cesarzowej z dziwnym hinduskim joginem, jej „remedium na ból głowy”. Nie zdawała sobie sprawy, jak głęboko zaufany sługa się w niej zadurzył.

Niemowa zamordował tantrystę. Ba, zrobił to, gdy Klejnotka i Wu Zhao były w pokoju.

Była to dobra robota, wykonana w mgnieniu oka dzięki ogromnej sile jego potężnych tatuowanych ramion. Wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Podczas gdy w salonie dziewczynka po raz pierwszy oglądała odbicie swej niezwyklej buzi, Niemowa, stojąc w kącie komnaty swej pani, nie mógł już dłużej słuchać jęków rozkoszy.

Na początku tej dziwnej idylli, ujrzawszy, że do komnaty cesarzowej wchodzi mężczyzna ze słowem „tantra” na brzuchu,

uznał, że jest to kaprys tej nienasyconej kobiety, która chętnie zmieniała kochanków i wysługiwała się nim, kiedy nie miała pod ręką nikogo innego. Godził się z tym, gdyż był jej jedynym stałym kochankiem. Żywił zresztą przekonanie, że czas działa na jego korzyść, ponieważ Wu Zhao zdawała się znajdować coraz więcej przyjemności w obcowaniu z „kochankiem z konieczności”, jak go nazywała.

Ale z upływem czasu czuł się coraz bardziej zawiedziony. Wszystko wskazywało na to, że władczyni przyłgnęła do tantrysty jak grzyb do drzewa.

Pewnego dnia Niemowa zebrał się w końcu na odwagę i dał do zrozumienia cesarzowej, jak bardzo pogardza rywalem o nabiegłych krwią oczach, niezdolnym do życia bez łykania dziwnych pigułek. Wbrew jego oczekiwaniom Wu Zhao nie pomyślała nawet o tym, by położyć kres związkowi, który mógł źle się skończyć, co jeszcze bardziej rozwścieczyło i rozżaliło sługę. Przyrzekł sobie, że rozprawi się z Hindusem, żeby oddalić od niej wszelkie zagrożenie. Ale napady migreny kończyły się zawsze tym, że cesarzowa po raz kolejny wzywała tantrystę, żeby wymieniać z nim coraz bardziej skomplikowane i gwałtowne pieszczoty, z których żadna nie uszła uwagi zaufanego sługi, jako że przezorna Wu Zhao zawsze kazała mu pozostawać w zasięgu głosu.

Widział więc coraz bardziej szalone figle, w których wymyślność mieszała się z prymitywną, ale gwarantującą rozkosz rutyną. Oboje z zadziwiającą łatwością sięgali po subtelne, zalecane przez Kamasutrę pozycje, gdyż Szalony Obłok zapoznał swą partnerkę ze wszystkimi co do jednej, wspierając teorię praktyką.

Tego popołudnia, w komnacie sąsiadującej z salonem letniego pałacu w Luoyangu, Wu Zhao po raz kolejny oddawała się rozkoszom, wydając wrzaski, jęki i rżenie, których nieoczekiwanym skutkiem było to, że przyciągnęły uwagę Klejnotki.

Ukryty jak zwykle za kotarą Niemowa przyglądał się całej scenie.

Ujrzawszy dziewczynkę, cesarzowa ruchem ręki poleciła Białemu Obłokowi, żeby wyszedł z komnaty. Posłuchał niechętnie, nie lubił bowiem przerywać tak nagle przyjemnej zabawy. Połknął kolejną już tego dnia pigułkę i ukrył się w fałdach ciężkiej kotary ze szkarłatnego jedwabiu, za którą czał się Niemowa, tak że temu ostatniemu dość było wyciągnąć ręce, by chwycić kościstą szyję Hindusa.

Tak więc, w chwili gdy cesarzowa pocieszała dziewczynkę, Niemowa pociągnął swą ofiarę do tyłu, a potem ze wszystkich sił ścisnął tę jego przeklętą szyję, żeby zgruchotać mu kręgi szyjne. Dusząc się, Biały Obłok zdążył jeszcze wyszeptać imię Manakundy, ale ten patetyczny apel, którym w ostatnim przeblysku świadomości gwałcieł mniszki prosił swą ofiarę o wybaczenie, zabrzmiał jak niewyraźny pomruk.

Niemowa nie pozwolił na żadną szarpaninę, dając ofierze tylko tyle czasu, aby mogła wyszeptać owo błagalne „Manakunda”. Siłą swych rąk pokruszył mu kręgi szyjne, i jeśli sądzić po ilości żółtego śluzu, który trysnął z ust Szalonego Obłoku, musiały zostać błyskawicznie starte na miazgę.

Olbrzym owinął ofiarę w karminowe fałdy kotary, tuż pod nosem cesarzowej. Wu Zhao niczego nie zauważyła, zajęta rozmową z dziewczynką, która lała rzewne łzy w tej samej chwili, w której jej ojciec żegnał się z życiem.

Gdy władczyni wyszła nad rzekę, Niemowa wyniósł ciało z pokoju i wytarł odrażające plamy, pozostawione na czerwonej kotarze.

Gdy już się z tym uporał, stanął oczywiście wobec kwestii, co zrobić z trupem.

Gdzie mógł go ukryć tak, aby nikt i nigdy go nie odkrył? Park Piwonii nie wchodził w rachubę, ponieważ krzątało się w nim zbyt wielu ogrodników, poddając troskliwym zabiegom każdą roślinę. Zapach psującego się ciała prędko zwróciłby ich

uwagę. Niemowa musiał działać szybko. Wu Zhao wyszła, a przedłużająca się nieobecność zaufanego sługi mogła obudzić jej podejrzenia.

Nagle przyszło mu do głowy rozwiązanie, które wydało się idealne pod każdym względem.

Przeniesie trupa nad Luo i wrzuci go do wody tam, gdzie spoczywały głowy, które kilka miesięcy wcześniej wyciągnął z mułu biały słoń jego ofiary. A ponieważ nurkował w tym miejscu, znał głębokość rzeki i nie wątpił, że Biały Obłok padnie ofiarą żarłocznych ryb, zanim ktokolwiek zauważy jego zniknięcie.

Zarzucił owiniętego w prześcieradło trupa na ramię i jak strzała pomknął nad rzekę. Wrzuciwszy do wody makabryczny ładunek, obciążony wcześniej dwoma ciężkimi kamieniami, zaczekał, aż znikną wiry i bąbelki, po czym ruszył spieszenie w kierunku kamiennej ławy, na której siadała zwykle cesarzowa, gdy szła nad rzekę z Niebiańskimi Bliźniętami.

Ławka była pusta. Wu Zhao musiała wrócić już do pałacu. Puścił się biegiem, żeby ją dopędzić, i ujrawszy przy końcu alejki znajomą sylwetkę, przyspieszył jeszcze kroku.

—Wasza Wysokość! Wołaliście mnie? — krzyknął na wszelki wypadek do cesarzowej, która z trudem dźwigała Klejnotkę.

—Wołałam cię! Myślałam, że cię tu nie ma! — rzuciła wściekle żona Gaozonga, pokazując mu dziecko śpiące z zaciśniętymi piąstkami.

Niemowa ostrożnie odebrał od niej dziewczynkę, która nie otworzyła nawet jednego oka. Jego potężne ramiona pokryte tatuażami dopiero co pogruchotały jak gałązkę szyć Białego Obłoku, a teraz niosły dziecko, nie budząc go.

—Gdzie byłeś? — zapytała cesarzowa.

—Wasza Wysokość, Biały Obłok wyjechać! Próbować ukraść biżuteria, moja mu nie pozwolić! On niezadowolony i dużo strachu! Nagle zniknąć! — odrzekł zaufany sługa, który już wcześniej przygotował sobie odpowiedź.



—Z białym słoniem?

—Nie, iść na piechotę, sam!

—To dziwne... Biały Obłok nigdy nie chodzi pieszo! — mruknęła cesarzowa.

—Ruszyć nawet biegiem. On wielki strach przede mną!

—Od jakiegoś czasu chciałeś, żebym się go pozbyła! Musisz być zadowolony! — stwierdziła uszczypliwie.

—Ja niezmartwiony! Człowiek z białym słoniem niedobry dla was!

Gdy dochodzili do werandy, przy końcu szpaleru wspaniałych piwonii, które niebawem miały zakwitnąć, Wu Zhao z przyjemnością dostrzegła dwie znajome postaci, które do niej machały.

Byli to Umara i Pięć Zakazów, czekający na werandzie, w towarzystwie manipy i jeszcze kogoś.

—Umara i Pięć Zakazów! Nie wyobrażacie sobie, jaka jestem szczęśliwa, widząc was razem i w dobrym zdrowiu! — powiedziała Wu Zhao na powitanie, otwierając ramiona, w które Umara rzuciła się bez wahania.

—Los chciał, żebyśmy znowu się spotkali. Niech będzie chwała Błogosławionemu! Niech wspiera wielką cesarzową Chin Wu Zhao, tak jak wspierał nas, Umarę i mnie! — odpowiedział jej drżącym z przejęcia głosem Pięć Zakazów.

—Co do ciebie, manipo, to mam nadzieję, że nadal recytujesz swoje mantry! To tak dobrze robi wszystkim, którzy ich słuchają! — zwróciła się ciepło cesarzowa do wędrownego mnicha.

—Gdyby nie Wasza Wysokość, Umara i ja nie moglibyśmy połączyć się na nowo! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Myślałam o was każdego dnia... Wiedziałam, że ta chwila nadejdzie — zapewniła Wu Zhao, głaszcząc bujne włosy dziewczyny o dwukolorowych oczach.

—My też byliśmy tego pewni! — odparła córka Addaia Aggaia.

—Miłość, którą się darzycie, okazała się silniejsza niż wszystko inne!

—Wasza Wysokość, czy mogę przedstawić wam młodego Persa Ulika, który marzy o tym, żeby otrzymać któregoś dnia obywatelstwo chińskie? Jest wspaniałym tłumaczem. Dzięki doskonałej znajomości naszego języka, ten chłopiec bardzo mi pomógł. Gdyby nie on, Niebiańskie Bliźnięta nie dotarłyby aż tutaj...

—Jak Ulik was odnalazł? — chciała wiedzieć cesarzowa.

—Błąkał się w okolicach Klasztoru Wdzięczności za Cesarские Dobrodziejstwa. Poprosił o rozmowę z mistrzem Czystością Pustki, żeby mu powiedzieć, kim naprawdę jest Nefrytowy Księżyc. Uważał, że powinien to zrobić, prawda, Uliku?

—Gdybym mógł przewidzieć następstwa, powstrzymałbym się od tego... Nie miałem pojęcia, że ambasador trafi z tego powodu do więzienia — wyjaśnił z zakłopotaniem Ulik.

—W każdym razie informacja ta pozwoliła mi wywołać zamieszanie podczas oficjalnej audiencji! — parsknęła Wu Zhao, wyraźnie zadowolona z figla, jakiego spletała swoim wrogom.

Rozmowę przerwało hałaśliwe przybycie małego Lotosa i jego nauczyciela, którzy wracali z lekcji strzelania z łuku. Usłyszawszy głos braciszka, Klejnotka otworzyła oczy i zaczęła widać jak węgorz w ramionach Niemowy, który w końcu postawił ją na ziemi. Rzuciła się ku swemu bratu, żeby obsypać go pocałunkami, podczas gdy on dumnie prezentował jej mały łuk.

Przyjemnie było patrzeć na Niebiańskie Bliźnięta otoczone tymi, którzy je kochali, szczęśliwe, że znowu są z nimi. Wesole okrzyki dzieci uczyniły spotkanie jeszcze bardziej radosnym.

Powierzywszy Niebiańskie Bliźnięta mnichowi z Klasztoru Wdzięczności za Cesarские Dobrodziejstwa, który po nie przyszedł, i upewniwszy się, że piastunka położyła do łóżka małego Li Xiana, o którego sama, prawdę mówiąc, niezbyt się troszczyła, cesarzowa zaprosiła wszystkich na ucztę.

W chwili gdy Pięć Zakazów już miał usiąść na wskazanym mu przez Wu Zhao miejscu, znieruchomiał nagle, ujrawszy przez okno ogromne białawe cielsko.

—Czy to nie jest biały słoń? — zapytał.

—Tak, w istocie... — odparła obojętnie Wu Zhao, która wolała nie rozwodzić się nad powodami obecności zwierzęcia w Parku Piwonii.

—Nigdy nie widziałem podobnego zwierza. Przypomina świętego słonia z Peszawaru, którego opisał mi kiedyś Oręż Prawa, mnich z Klasztoru Jedynej Dharmy, zwierzę, które przełożony Buddhabadra zabrał ze sobą do kraju Bod. Tylko ono miało prawo nosić Oczy Buddy! — ciągnął Pięć Zakazów, który podszedł do okna, żeby przyjrzeć się słoniowi.

—Co za wspaniały okaz! — dodała Umara, równie zachwycona jak jej kochanek.

—To dar pewnego dłużnika. Mam nadzieję, że będę mogła pokazać go ludowi podczas Święta Wiosny, pod koniec cyklu księżycowego. Potem stanie się skarbem narodowym — wyjaśniła cesarzowa, okazująca w takich sytuacjach niezrównaną bystrość umysłu.

Gdy wreszcie usiedli, żeby skosztować ryb smażonych w imbirze i kulek ze słodkowodnych kielży, dań, za którymi cesarzowa przepadała i które jej osobisty kucharz przyrządzał co drugi dzień, zaczęto rozmawiać najpierw o przygodach, jakie spotkały Pięć Zakazów po uprowadzeniu Umary przez Czystość Pustki, a potem o Napelnionym Spokojem i Addaiu Aggaiu, dwóch kapłanach, których cesarzowa gościła w Chang'anie, w Pawilonie Rozrywek.

—To istny cud, że spotkaliśmy się wszyscy w Chinach! Gdybyście wiedzieli, jak mi pilno zobaczyć ojca — westchnęła Umara.

—Wystarczy, że udasz się do Pawilonu Rozrywek, w to samo miejsce, w którym mieszkaliście przed ucieczką! — wyjaśniła Wu Zhao.

—Wasza Wysokość, kilka dni temu daremnie próbowałem podejść do drzwi cesarskiego pałacu w Chang'anie. Strażnicy kontrolują dokumenty wszystkich, którzy proszą o audiencję u cesarza! Nie wiem, jak moglibyśmy dostać się do środka! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—To prawda, że biurokracja zdaje się przekraczać wszelkie granice! Wierz mi, Pięć Zakazów, gdybym tylko mogła, kazałabym usunąć bariery, które zagrażają naszemu ludowi swobodny dostęp do władcy. To oznaka słabej władzy.

—Wobec tego, że Umara nie posiada wymaganego dokumentu, obawiam się, że nie będzie mogła odwiedzić ojca...

—Za niecałe trzy tygodnie pałac cesarski opustoszeje, gdy cały dwór uda się na obchody Święta Wiosny na górze Tai, więc wejdziecie bez przeszkód. Gdy tam dotrzecie, nie zapomnijcie uwolnić Nefrytowego Księżyca, którą Gaozong sobie upodobał, co oznacza, że przetrzymuje ją, aby w każdej chwili była do jego dyspozycji. Nie zasłużyła sobie na los, jaki ją spotkał — odparła Wu Zhao.

Cesarzowa Chin pragnęła przy okazji spełnić obietnicę, jaką złożyła żonie Świetlistego Punktu, że uwolni ją z tej pozłacanej klatki, w której zamknął ją cesarz.

—Cesarz Chin uczynił z Nefrytowego Księżyca swoją nałożnicę? — zdziwił się Pięć Zakazów.

—Jest jego ostatnią miłostką! I niestety wygląda na to, że zatrzyma ją dłużej, niż to ma w zwyczaju... — westchnęła cesarzowa.

—Jej mąż, Świetlisty Punkt, który jest kuczanim i wyznaje manicheizm, schronił się w małym klasztorze w pobliżu Psiego Fortu! Kazałem mu przysiąc, że nie ruszy się stamtąd, póki nie dostanie ode mnie wiadomości... Jeśli mnie posłuchał, łatwo będzie go odnaleźć! — wykrzyknął były mnich.

—Musicie uwolnić Nefrytowy Księżyc ze szponów mojego męża. A potem postaram się, żeby ci młodzi ludzie otrzymali świadectwo potwierdzające, iż są małżeństwem. Zajmie się

tym cywilna administracja. Manichejczycy mają tu takie same prawa jak zwykli obywatele — podsumowała Wu Zhao.

—W odróżnieniu od nestorianów... — zauważyła córka biskupa Addaia Aggaia.

—Jeśli tylko będzie to w mojej mocy, sprawię, że nestorianie zaczną być traktowani przez chińskie władze tak samo jak manichejczycy — zapewniła cesarzowa, a potem podała młodej kobiecie piramidę ze smakowitych chrupiących kulek z kielży, karmelizowanych jak cukierki, które kucharz wyłożył właśnie na półmisek.

—Wasza Wysokość, moja wdzięczność będzie trwać do grobowej deski — oświadczyła uroczyście Umara, posyłając władczyni swój najpiękniejszy uśmiech, i jej dwubarwne oczy zaświeciły niezapomnianym blaskiem.

—Jeśli urzeczywistnię moje zamiary, to wierz mi, pod niebem wielkich Chin wiele się zmieni. Spotkamy się znowu, gdy wrócę ze Święta Wiosny, i wtedy pomówimy o tym wszystkim — obiecała Wu Zhao.

—Jesteś pani, dla mnie jak matka... — odpowiedziała młoda chrześcijanka.

Dwie kobiety uściskały się serdecznie. Wszyscy byli trochę zaskoczeni, gdy Wu Zhao odwróciła głowę, żeby ukryć łzę, która zalśniła w kąciku jej oka.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest pełnym życia drzewem, odpornym na suszę i mróz, które odczuwa radość, że wbrew wszelkim oczekiwaniom spotkało inne drzewo, jakimś cudem z takiej samej materii...



# 14

## *Pałac cesarski w Chang'anie*

Firuz przeczuwał, że dociera do celu.

Wysłannik Omajjadów skradał się jak wilk. Wciąż mając się na baczności, starał się, żeby pod jego stopami nie zatrzeszczał żwir, którym posypano małe podwórze. Musiał przejść przez nie tak, żeby nikt go nie zauważył.

Po lewej stronie miał oświetloną werandę, na którą otwierały się oszklone drzwi. Bez wątpienia o kilka kroków od niego byli jacyś ludzie. Musiał podwoić czujność, jeśli chciał uniknąć złapania na gorącym uczynku. Wszedł na teren zastrzeżony dla cesarza, a za taką zbrodnię z pewnością karano śmiercią.

Przebył już trzy murowane ogrodzenia i za każdym razem zdołał umknąć czujności strażników, którzy siedzieli w swoich

budkach, pilnując, by nikt nie przedostał się tą drogą do cesarskiego pałacu w Chang'anie ani z niego nie wyszedł.

Jeśli informacje, które otrzymał dzięki sztukom złota, wszytym przed wyjazdem z Palmyry pod podszewkę długiego płaszcza, były dokładne, to pozostało mu przeskoczyć już tylko ostatni murek, i znaleźć się w ogródku, do którego wychodziło się z komnaty Gaozonga.

Popatrzył na czubki swoich palców: były zakrwawione od wspinania się na kamienne ogrodzenia. Co dziwne, rany te nie sprawiały mu bólu. Tak bardzo pragnął odnaleźć Nefrytowy Księżyc, że gdyby było trzeba, przepłynąłby wpław ocean!

Porzuciwszy towarzystwo Świetlistego Punktu, dyplomata udał się najpierw na posterunek policji, żeby zadenuncjować swoich niedawnych współwięźniów. Po raz pierwszy w życiu zrobił coś takiego. Oto do czego doprowadziła go nienawiść: doniósł na niewinnych ludzi, którzy nie wyrządzili mu żadnej krzywdy, tylko dlatego, że jeden z nich był mężem Nefrytowego Księżyca!

Trochę tym zawstydzony, Firuz osłonił sobie twarz obszernym turbanem, po czym pokonał policyjne posterunki, gdzie sprawdzano dokumenty. Znalazłszy się w środku, przekupił jednego z niezliczonych dozorców z obciętymi stopami i dowiedział się od niego, gdzie znajduje się komnata, w której cesarz Gaozong przetrzymuje swoją ulubienicę.

Teraz pozostało mu tylko odczekać w ukryciu za jedną z wysokich kolumn sali audiencyjnej, otwartej tego dnia dla publiczności, aż zostanie ona zamknięta pod koniec dnia. Gdy zapadła noc, wyszedł przez okno i zabrał się do pokonywania owych murków, starając się posuwać pod ścianami i unikać najmniejszych nawet plam światła.

I oto wreszcie był blisko celu.

Niebawem jego zakrwawione palce zacisną się na szyi Nefrytowego Księżyca, aż ich czubki zrobią się białe jak ołowiana mąka.

Aby urzeczywistnić ponury zamiar, który powziął po ucieczce z Psiego Fortu, musiał już tylko przeskoczyć ostatni ceglany mur, opleciony gęstymi girlandami bluszczu.

W dzień po odejściu Pięciu Zakazów i manipy z małego wiejskiego klasztoru, w którym znaleźli schronienie, także on wymknął się bez słowa.

Zazdrość okazała się silniejsza od strachu, że może zostać



schwytany. Musiał zaspokoić swoją żądzę zemsty. Zamierzał sprawić, by Świetlisty Punkt znalazł się znowu w więzieniu, i ujrzeć u swoich stóp trupa tej młodej zepsutej kobiety, która okłamała go, ukrywając przed nim swoje małżeństwo i pochodzenie, co skończyło się na tym, że on, Firuz z Bagdadu, dyplomata wysłany z zadaniem nawiązania przyjaznych stosunków między Krainą Jedwabiu i sultanatem Palmyry, naiwny kochanek, który dał jej tak wiele, a którego ona wystrychnęła na dudka, został wtrącony do więzienia jak zwykły opryszek!

Nie do zniesienia, niczym cios zadany prosto w serce, okazał się dla niego fakt, że młoda kobieta jest żoną Świetlistego Punktu i że zaszła z nim w ciążę. Także zresztą słowa samego manichejczyka wiele mówiły o jego przywiązaniu do niej i o wielkiej miłości, jaką się darzyli. A Firuz dobrze wiedział, że źródłem owej miłości mogła być tylko wzajemność uczuć. Najwyraźniej Nefrytowy Księżyc kochała swego małżonka równie mocno, jak pierwszego dnia.

Zdaniem Firuza albo młoda Chinka nie potrafiła oddzielić miłości i seksu, jako że daremnie próbował znaleźć w jej pieszczotach, których rozkoszne wspomnienie przechowała każda cząstka jego ciała, najmniejszą powściągliwość, albo też Nefrytowy Księżyc była mistrzynią udawania.

Tak czy owak, dla tak żarliwego i szczerego kochanka jak on tego rodzaju dwulicowość była nie do zniesienia. Miłość, którą jej przysiągł, zamieniła się w zimną nienawiść. Stworzył sobie aż nazbyt wyidealizowany obraz dziewczyny, a teraz pragnął tylko tego, aby ją unicestwić. Chwycił w garść grubą gałąź bluszczu i zamknął oczy: miał wrażenie, że ścisła szyję kochanki...

Jednak być może z powodu ściśle przylegających do siebie cegieł, albo nawet samego bluszczu, który nie ułatwiał zadania, nie mógł mocno się uchwycić i ten ostatni mur wydał mu się trudniejszy do pokonania niż poprzednie.

Przyszło mu do głowy, żeby się podciągnąć, wykorzystując

bluszcz jako rodzaj sznurowej drabinki. Na wysokości wyciągniętego ramienia dojrzał długą gałąź, podskoczył i uczepił się jej. Już miał dźwignąć się w górę, gdy bluszcz się urwał, a on zwałił się ciężko na ziemię.

Omali nie krzyknął głośno, ale w porę ugryzł się w język. Wyprostował się szybko i odkrył z przerażeniem, że urwała się cała duża odnoga bluszczu, pozostawiając w okrywającej mur zieleni dziurę, odsłaniającą gołe cegły.

Popędził w kierunku werandy, którą zauważył, przechodząc na palcach przez wysypane żwirem podwórze, i pogratulował sobie refleksu. Ledwo zdążył skryć się za kolumną, a dojrzał dwóch mężczyzn, którzy wyszli z budynku.

— Popatrz no na ten mur! Cały bluszcz na ziemi... nie do wiary! Nigdy nie widziałem czegoś podobnego! — odezwał się jeden z nich. Poruszał się z trudem i miał na głowie dziwną jedwabną szlafmycę.

Drugiego okrywała tylko przepaska na biodrach. Na jego muskularnych bicepsach połyskiwały złote bransolety.

— Czy Wasza Wysokość życzy sobie, żebym przywołał żołnierzy? To rzeczywiście wygląda dziwnie. Ten bluszcz nie urwał się sam! — wykrzyknął drugi osobnik, który ponadto miał ogoloną głowę.

W pierwszym z nich Firuz rozpoznał ze strachem cesarza Gaozonga.

— Jak myślisz, Gomulu, czy to sprawa jakiegoś człowieka, czy może zwierzęcia? — odezwał się cesarz, nie odpowiadając na pytanie tamtego.

— Wasza Wysokość, nie mam pojęcia, jakie zwierzę mogłoby dostać się na zamknięte podwórze i urwać taki kawał bluszczu — odparł służący.

— Wracamy. Czuję w powietrzu wilgoć, a to nie jest dobre na reumatyzm... Mam coś lepszego do roboty! — zdecydował Gaozong.

Gomul musiał go podprowadzić do schodów werandy, na

które cesarz wspiął się z pewnym trudem. Omajjadzki ambasador poczuł paniczny strach. Wpadł w pułapkę i nie wiedział, jak się z niej wydostać. Jedynym rozwiązaniem było znalezienie drogi do wnętrza pałacu, a ta prowadziła przez komnatę, która otwierała się na werandę.

Wstrzymał oddech i przeniknął wzdłuż ściany aż do drzwi, przez które weszli cesarz Chin i jego sługa. Przyłgnąwszy do futryny, zerknął jednym okiem, żeby zobaczyć, co dzieje się w środku.

To, co ujrział, omal nie zważyło go z nóg: znalazł się przy wejściu do komnaty Gaozonga!

Cesarz leżał na sofie, a Gomul podsuwał mu Nefrytowy Księżyc, podtrzymując ją pod pachami i kolanami. Jej rozwarte uda odsłaniały słodki intymny zakątek, delikatny i gładki jak płatki róży.

Gdy cesarz, wydając lubieżne pomruki, zaczął łakomie zagłębiać język w niewysłowionej szparce, którą Firuz tak często smakował, ten ostatni z trudem hamował erekcję.

Gomul obracał się w lewo i w prawo, żeby ułatwić zadanie dotkniętemu impotencją cesarzowi, który mógł zaspokoić swoje zachcianki już tylko za pomocą języka.

—Jesteś równie ładna, co smakowita! — mruknął Gaozong.

—Tak mi dobrze z Waszą Wysokością! — odparła Nefrytowy Księżyc, ale jej zamknięte oczy świadczyły o tym, że ciało cesarza i jego natrętny język budzą w niej wstęś. Firuz miał wrażenie, że za chwilę zemdleje.

—Na szczęście Wu Zhao znowu wyjechała do Luoyangu! Nie przeszkodzi nam, prawda, Gomulu?

—Z pewnością, panie. Otwiera się przed wami noc miłości! — odparł służący, podsuwając gorliwie Nefrytowy Księżyc do złąknionych ust Gaozonga.

—Trzeba to wykorzystać. Za kilka dni będę musiał udać się na górę Tai na Święto Wiosny! Co za pomysł, żeby obchodzić je tego roku tak daleko! — jęknął cesarz.

—Wasza Wysokość, wszyscy są przekonani, że to Wasza Wysokość zdecydował, żeby urządzić je właśnie tam! — zauważył Gomul.

—Brednie! Gdyby to zależało ode mnie, obchodziłbym je w Mingtangu w Chang'anie, dzięki czemu mógłbym cieszyć się Nefrytowym Księżycem — odparł cesarz, pieszcząc piersi swej faworyty.

Chwilę potem Firuz stwierdził z przestachem, że młoda Chinka reaguje na te zabiegi westchnieniami, które zapowiadają szczytowanie. Udawała czy robiła to szczerze? Kiedy pomocnik ujął delikatnie cesarski członek, aby tchnąć w niego odrobinę życia, wkładając go między jej rozwarte uda, zareagowała na to tak przekonywającym jęczeniem, że samego bagdadczyka przeszedł dreszcz, a obrzydzeniu towarzyszyła, wbrew jego woli, przyjemność.

Jakże pragnął, pijany zazdrością, dowiedzieć się, kim jest naprawdę jego kochanka: komediantką czy dziwką!

Dla Firuz, którego ogarnęło straszliwe pragnienie, aby jego usta i członek znalazły się na miejscu członka cesarza, Nefrytowy Księżyc była zagadką, którą musiał rozwikłać.

Czy odczuwała przyjemność, jaką jego zdaniem jej dawał, czy tylko grała? Jej giętkie ciało o pełnych kształtach zdawało się wprost stworzone do dawania rozkoszy, ale świadoma swoich wdzięków, które przyciągały spojrzenia wszystkich mężczyzn, pozostała przecież wierna swej miłości do Świetlistego Punktu.

Firuz zacisnął pięści.

Tak się podniecił widokiem kochanki, że nie był pewny, czy uda mu się powstrzymać wytrysk.

Przyglądał się więc ze współczuciem i zazdrością, jak Gaozong po wielokroć przymierzał się i zbierał w sobie, zanim udało mu się wspiąć na nagie ciało Nefrytowego Księżycy, które Gomul podtrzymywał na brzegu sofy.

Przełykając ślinę, gapił się na jej płaski brzuch i rozchylone

wargi jej sromu, gotowe połknąć niczym usta członek cesarza. Gdy narząd Gaozonga skropił paroma białawymi kropelkami wspaniałe ciało Nefrytowego Księżycy, bagdadczyk omal nie rzucił się ku sofie.

— Słyszę hałas na dworze! Idź sprawdzić, czy ktoś nie wszedł na podwórze! — polecił nagle cesarz Gomulowi, który delikatnie uwolnił młodą kobietę od dostojnego cielska władcy.

Firuz miał tylko tyle czasu, żeby schować się za jedną z kolumn. Mężczyzna ze złotymi bransoletami rozejrzał się, a potem obszedł wszystkie kolumny, żeby się upewnić, czy kogoś tam nie ma. Kiedy doszedł do kolumny, za którą krył się intruz, ten musiał wstrzymać oddech i obejść ją z tą samą prędkością co Gomul. Dopiero gdy służący wrócił do komnaty, Firuz odetchnął z ulgą.

— Wasza Wysokość, sprawdziłem dokładnie, nie ma nikogo...

— Zażądasz dziś wieczorem od dowódcy straży, żeby przysłał oddział wartowników. Ten bluszcz oderwany od muru i hałasy, które na pewno słyszałem, każą mi przypuszczać, że dostał się tu jakiś intruz! — rzekł z nieufną miną Gaozong, gładząc Nefrytowy Księżyc po pośladkach.

— Wasza Wysokość, czy potrzebujecie mnie jeszcze tego wieczoru? Tak mnie boli głowa! Jedyne środki, który mógłby przynieść mi ulgę, znajduje się w mojej komnacie!

— powiedziała młoda Chinka.

Wiedząc, że oczarowała cesarza Chin, żona Świetlistego Punktu pozwalała już sobie na pewną poufalskość. Gaozong napełniał ją wstrętem, i za każdym razem zmuszała się do udawania orgazmu, co ogromnie ją wyczerpywało.

— Widzę, że sięgasz po te same argumenty co cesarzowa Wu Zhao! — odparł z lekkim rozbawieniem cesarz.

— Głowa po prostu pęka mi z bólu!

— Gomulu, możesz zaprowadzić tę młodą osóbkę do jej apartamentów... Dałem jej to, co mogłem. W magazynie nic już nie zostało — westchnął Gaozong.

Firuz nie wiedział, co robić. Gdyby został, mogłyby go odkryć strażę podczas obchodu. Korzystając z tego, że Gaozong ciągle siedzi na sofie, niezdolny się poruszyć, zaczął penetrować werandę i podwórze, w nadziei, że znajdzie jakiś ką, w którym będzie mógł się ukryć.

Jak na nieszczęście, niczego takiego nie znalazł.

Po cesarza przyszli tymczasem szambelani, żeby odprowadzić go do jego oficjalnych komnat.

Firuz zabierał się właśnie do zbadania po raz kolejny podwórza, kiedy usłyszał odgłosy rytmicznego stąpania. Musiały to być kroki strażników, którzy nadchodzili korytarzem prowadzącym z komnat cesarza Gaozonga.

Śmiertelnie przerażony, nie mógł zrobić nic innego, tylko rzucić się do środka i wcisnąć pod sofę, na której cesarz baraszkował przed chwilą z Nefrytowym Księżycem.

Po kilku sekundach do pomieszczenia obitego różowym jedwabiem wkroczyli uzbrojeni mężczyźni.

Ukryty pod sofą ambasador pełnomocny sułtana Palmyry zobaczył na wysokości swoich oczu stopy, które chodziły tu i tam we wszystkich kierunkach.

Strażnicy dokładnie przetrząsnęli też podwórko.

Ruch nagle ustał, jakby wszyscy żołnierze wyprostowali się jednocześnie na baczność.

—Szukać dalej! To nie parada! — rzucił ktoś gniewnie.

—Według rozkazu, panie prefekcie Li!

—Przeszukać dokładnie całą komnatę! Jeśli już cesarz Gaozong upoważnił nas do wejścia tutaj, to mam nadzieję, że okażecie się godni takiego zaufania!

—Wygląda na to, że nikogo tu nie ma, panie Wielki Cenzorze! — odezwał się głos, który musiał należeć do dowódcy.

—Macie wszystko dokładnie sprawdzić! Nie zapominajcie, że z Psiego Fortu uciekli więźniowie, których kazał tam zamknąć Wielki Cenzorat! Jeżeli więzienie, z którego nikt nie

był w stanie uciec, zamieniło się w budę, w której hulają wiatry, to uciekinierzy na pewno musieli mieć tam współników, których trzeba będzie zdemaskować...

—Czy to możliwe, aby znaleźli schronienie tutaj? — zapytał dowódca, nie zdając sobie sprawy, że tylko rozbudza gniew prefekta Li.

—Pilnuj tego, co do ciebie należy — warknął prefekt, po czym dodał ze znaczącą miną: — Ci więźniowie musieli korzystać z pomocy kogoś na najwyższym szczeblu, jeżeli wiesz, kogo mam na myśli!

—Nie, panie prefekcie. Nie domyślał się! Chyba że sam Jego Wysokość...

—Głupcze! Gdybym miał wymienić czyjeś imię, to tylko tej uzurpatorki Wu Zhao, zrozumiano?! — wrzasnął prefekt Li, i wymierzył kopniaka w sofę, omal nie trafiając Firuza w szczękę.

Wstrzymując oddech, ten ostatni poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, a potem zjeżdża z powrotem, jak u podróżników, którzy usiedli po raz pierwszy na grzbiecie wielbłąda. Zaciśnął usta, żeby nie szczekać zębami. Czas płynął niewiarygodnie powoli. Za każdym razem, gdy nogi się przybliżały, bagdadczyk spodziewał się ujrzeć dwoje wpatrzonych w niego oczu, a potem usłyszeć triumfalny okrzyk tego, który go odkrył, wzywający pozostałych.

Nagle zapadła cisza, oznajmiająca opuszczenie pokoju przez strażę. Był uratowany. Odczekawszy kilka minut, żeby mieć pewność, iż jest sam, wypełził z ukrycia i wyszedł na podwórko, chcąc się wysikać.

Zapadła noc, a on nie wiedział, gdzie szukać Nefrytowego Księżyca.

Czy mógł się zresztą domyślić, że komnaty przeznaczone dla konkubiny Gaozonga znajdują się dokładnie po drugiej stronie muru porośniętego bluszczem, którego nie udało mu się pokonać, gdzie niedługo po opuszczeniu buduaru cesarza młodą Chinkę odwiedził niespodziewanie prefekt Li?

Nefrytowy Księżyc, zmęczona wyczerpującym seansem z władcą, kazała zrobić sobie masaż z masłem z mleka jaka zaprawionym imbirem, gdy wszedł służący w turbanie i powiadomił ją, że prefekt Li, Wielki Cenzor we własnej osobie, pragnie natychmiast z nią porozmawiać.

— A jeśli odmówię? Jestem taka zmęczona! Nie mam o czym rozmawiać z tym człowiekiem — jęknęła.

Nie miała najmniejszej ochoty stawać przed urzędnikiem, który ścigał ją trzy lata temu po zamordowaniu Żywego Karminu. Wraz ze Świetlistym Punktem musiała wówczas opuścić nagle Chang'an.

—Na twoim miejscu, pani, zgodziłabym się na rozmowę. Prefekt Li jest jednym z najpotężniejszych urzędników chińskiego dworu. Jeszcze się do was, pani, uprzedzi i będzie was prześladował — ostrzegła masażystka.

—W takim razie powiedz mu, że będę do jego usług po zakończeniu masażu. To nie potrwa długo.

Żona Świetlistego Punktu czuła się nieswojo, stając możliwie jak najskromniej ubrana przed Wielkim Cenzorem, który polecił strażnikom zaczekać przed drzwiami.

Z surową miną usiadł samotnie w jednym z foteli w saloniku przylegającym do komnaty młodej Chinki, która kazała mu podać talerzyk pomarańczowych skórek w cukrze, żeby umilić mu oczekiwanie.

—Nefrytowy Księżyc! Twoje imię, pani, coś mi mówi... — zaczął.

—Jest to jedno z najczęściej spotykanych imion, jakie znam, panie prefekcie. Na kursie hafciarskim nosiły je przynajmniej trzy z nas... — wyjąkała dziewczyna, starając się ukryć zakłopotanie.

—W Świątyni Nieskończonego Przędziwa była śliczna farbiarka, która tak się nazywała... Mówiono mi, że wszyscy robotnicy kochali się w niej do szaleństwa. Nie miałem okazji jej poznać, jednak zgodnie z tym, czego się dowiedziałem,



jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody — ciągnął prefekt Li, zatapiając chłodne spojrzenie w oczach młodej kobiety.

—Nigdy nie postawiłam nogi w żadnej przędzalni jedwabiu

— wybąkała Nefrytowy Księżyc.

—A co powiesz, jeśli wymienię imię Świetlisty Punkt?

—Nic — odparła, zbierając wszystkie siły, żeby spojrzeć w oczy rozmówcy bez najlżejszego mrugnienia.

—Był uwięziony w Psim Forcie, skąd ulotnił się w tajemniczy sposób, w towarzystwie byłego mnicha Wielkiego Wozu o imieniu Pięć Zakazów...

—Imiona, które pan prefekt wymienia, nic mi nie mówią!

—Kłamiesz, pani! — wykrzyknął z groźną miną Wielki Cenzor.

Nefrytowy Księżyc miała bardzo mało czasu na zastanowienie się, jak wybrnąć z tej sytuacji.

— Proszę zostawić nas samych! Mam do powiedzenia panu Wielkiemu Cenzorowi Cesarskiemu coś ważnego, bez świadków! — zwróciła się do służącej, która natychmiast wyszła.

Nefrytowy Księżyc odpięła trzy guziki szlafrocza z niebieskiego jedwabiu. Prefekt Li ujrzał nagle jej nagie ciało. Jego surowe spojrzenie ustąpiło miejsca niekłamanemu zdumieniu.

Już od dawna zaprzysiężony wróg Wu Zhao nie miał okazji oglądać ciała kobiety, które byłoby tak doskonałe, jędrne i zarazem krągłe. Kobiety, której nogi o smukłych udach i jedwabistej skórze tak dobrze umiały obejmować szyje tych, którzy rzucali się chciwie na jej różaną szparkę, żeby wysysać z niej soki. A jeśli idzie o jej sterczące i jędrne piersi, to gdyby zaskoczony prefekt Li nie znieruchomiał w fotelu, zerwałby się bez wstydzenia, żeby namiętnie je kąsać.

Zdając sobie sprawę, że tę partię już w połowie wygrała, żona Świetlistego Punktu doszła do wniosku, iż może ruszyć do ataku.

W sytuacji, w jakiej się znalazła, nie liczyło się w jej oczach

to, że jeszcze raz użyje swego ciała, aby uciec śmierci i uniknąć najgorszego. Przyświecał jej jeden cel: chciała przeżyć dla tak jej drogiego Świetlistego Punktu, bo nie wątpiła, że ich drogi znów się skrzyżują. Nie miała więc poczucia winy, dając znak prefektowi, żeby się zbliżył.

Ten przyjął zaproszenie i zaczął odpinać pasek spodni, wpatrując się jednocześnie w dół jej płaskiego brzucha w kolorze mleka. Zdziwiona, że tak ważna osobistość drży z pożądania jak podrostek, Nefrytowy Księżyc dostrzegła dziwną narośl na czubku sterczącego członka prefekta, gdy ten wy dobył go nagle ze spodni.

Było to coś w rodzaju mięsistego zgrubienia, przypominającego guz *ju* w lustrach z brązu. Znajdowało się ono tuż pod żołądźdźcia i nadawało narządowi Wielkiego Cenzora Cesarskiego niezwykle kształt.

Kiedy przylgnął do jej ciała i zaczął w nią wchodzić, poczuła, że ta nieduża wypukłość powoduje doznania, które nie są bynajmniej nieprzyjemne. Mimo to, pragnąc ukryć przed nim to miłe wrażenie, Nefrytowy Księżyc przywdziała maskę chłodnej niechęci, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że przekroczył wszelkie granice. Bez ceregieli wezwała go, żeby się wycofał. Ale było już za późno. Narząd napastnika już w nią wszedł, niczym miecz zatopiony po samą gardę, i jego intymny płyn, którego wytrysku nie umiał powstrzymać, zalał różaną grocie kochanki.

—A teraz, jeśli chce pan uniknąć skandalu, proszę stąd wyjść jak najprędzej i zapomnieć o wszystkim, jakby pan nigdy mnie nie widział! — rzuciła prefektowi, który pospiesznie naciągał spodnie.

—Zrobiliśmy to bez świadków. Jeżeli mnie, pani, oskarżysz, przysięgnę, że kłamiesz! — odparł dotknięty do żywego Wielki Cenzor.

—Powieм komu trzeba, że pańska dzida ma narośl, po której można pana poznać. Nie ulega wątpliwości, że w razie

skargi z mojej strony cesarz będzie chciał wyjaśnić to osobiście! I nie pozwoli sobie wmówić, że to jego kochanka, zamknięta w cesarskim pałacu, zaprosiła pana do siebie! A wtedy będzie pan musiał zdać sprawę z tego, co pan zrobił — wyjaśniła chłodno, patrząc mu w oczy.

Prefekt zrozumiał, że ma przed sobą jedną z tych groźnych wojowniczych kobiet, których dewizą jest wcielać słowa w czyn.

—A jeśli natychmiast stąd wyjdę, czy wszystko zostanie tak, jakbyśmy się nigdy nie spotkali? — zapytał bezbarwnym głosem.

—Obiecuję zapomnieć, iż przekroczył pan próg tej komnaty! — odparła najpoważniej w świecie, wskazując mu drzwi.

Prefekt Li odwrócił się szybko i wyszedł. Nefrytowy Księżyc została sama, wyczerpana tym ostatnim aktem poświęcenia.

Gdy Cenzor wrócił w wisielczym humorze do swego biura, odesławszy strażników, którzy czekali pod drzwiami apartamentu kurtyzany, był wściekły, że dał się złapać w pułapkę jak młokos. Ocenił ryzyko, jakie podjął, ulegając urokom młodej Chinki, której główną bronią było wspaniałe ciało. Nie miało już większego znaczenia, czy była, czy też nie była farbiarką i uciekinierką, którą tropiły tajne służby. W pałacu cesarskim, w zasięgu ręki Gaozonga znajdowała się młoda kobieta, która mogła zniszczyć go jednym swoim słowem.

Jak zareagowałby cesarz, gdyby dowiedział się, co zaszło między prefektem Li i Nefrytowym Księżycem? Stawką w tej grze była bez najmniejszych wątpliwości głowa Wielkiego Cenzora, by nie wspomnieć o utracie urzędu i wygnaniu!

Pogrążył się w gorączkowych rozmyślaniach. Jeśli chciał uniknąć takiego losu, widział tylko jedno wyjście — zabicie tak groźnego świadka, i to w jak najbliższym czasie.

Nie wyobrażał sobie jednak, że mógłby wydać swoim pod-

władnym rozkaz zamordowania faworyty Gaozonga w samym środku cesarskiego pałacu. Dwór wiedziałby o wszystkim, nim jeszcze jego ludzie przystąpiliby do działania.

Być może najlepiej było zbadać przeszłość Nefrytowego Księżyca i mądrze wyłuskać obciążające ją fakty, które zostałyby następnie przekazane jego służbom przez anonimowego donosiciela, umożliwiając Wielkiemu Cenzorowi wszczęcie oficjalnego śledztwa.

A wtedy cesarz, bez względu na swoje do niej przywiązanie, nie mógłby pozostawić przy sobie faworyty, wobec której istniałyby podejrzenia, że jest szpiegiem na usługach obcego mocarstwa.

Prefekt Li siedział za biurkiem, zagubiony w dywagacjach, gdy ujrzał swego sekretarza, który wszedł z błogim uśmiechem i wręczył mu kawałek papieru.

—Wasza ekscelencjo, dobra wiadomość. Anonimowy donos, iż więźniowie, którzy uciekli z Psiego Fortu, znaleźli schronienie w gospodarstwie zapisanym przez bogatego rolnika mnichom mahajany.

—Czego domaga się w zamian informator?

—Niczego specjalnego! Wyglądało to raczej na zemstę z jego strony. Składając donos w Drugiej Dzielnicy, miał twarz zasłoniętą turbanem, jakich podróżni używają na pustyni, w czasie burzy piaskowej. Tym razem służby policyjne nie zwlekały z przekazaniem nam tej wiadomości — oświadczył sekretarz, robiąc w ten sposób aluzję do rywalizacji między różnymi działami policji, odpowiedzialnymi za donosy, utrzymanie porządku i tropienie przestępców.

—To dziwne. Prezenty należą w tym kraju do rzadkości... — westchnął prefekt Li. Jego umysł nadal obsesyjnie poszukiwał sposobu, który zapewniłby milczenie Nefrytowego Księżyca.

—Czy mam wziąć tę świątynię pod obserwację?

—Oczywiście.

—Wysyłam natychmiast dziesięciu ludzi.

—Jesteś pewny, że to nie jest jeszcze jeden fałszywy donos?

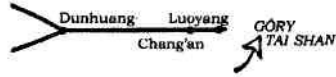
—Odnoszę wrażenie, że wątpi pan w moje słowa, panie prefekcie!

—Ileż to razy nasi agenci przybywali za późno, mając do czynienia ze spiskowcami, którzy byli w zмовie z cesarzową. Lepiej dmuchać na zimne — odparł Wielki Cenzor, a potem odesłał sekretarza pogardliwym gestem ręki.

Dopiero co popełnił niewybaczalny błąd, ulegając wdziękom cesarskiej faworyty, i przytrafiło się to człowiekowi tak inteligentnemu, by nie rzec: przebiegłemu! Pomyśleć tylko, że Wu Zhao i Nefrytowy Księżyc mogły się pokumać...

Prefekt Li uświadomił sobie, że jego przyszłość wisi na włosku.

Sprawa była jasna: ona albo on!



## 15

### *Góra Tai Shan w Sbandongu, 1 kwietnia 659 roku*

— Cześć i chwała boskiej parze: cesarzowi Gaozongowi i cesarzowej Wu Zhao! — powtarzał w uniesieniu niezmodowany tłum, podczas gdy władcy Państwa Środka wyciągali ramiona ku niebu, odpowiadając na uniżone pozdrowienia dziesiątków tysięcy ludzi stłoczonych u stóp góry Tai Shan.

W tym pierwszym dniu kwietnia wszyscy kronikarze cesarstwa z pewnością czuli się zobowiązani, aby zapisać na bambusowych tabliczkach, że tego roku Święto Wiosny miało szczególnie blask.

Wu Zhao przekonała małżonka, aby upamiętniające obrzędy odbyły się na górze Tai Shan, najświętszej z pięciu taoistycznych chińskich gór, albowiem wierzone, że tu mieszka bogini Bixia, Władczyni Lazurów Obłoków.

Cesarzowa osobiście nadzorowała organizację święta, które miało przejść do historii.

Aby wszyscy przedstawiciele prowincji cesarstwa mogli godnie uczcić nastanie nowej pory roku, splantowano dół świętej góry i urządzono na nim gigantyczny plac, na którym dziesiątki tysięcy jeńców wojennych pracowały dzień i noc przez dziesięć

kolejnych miesięcy, pod kierownictwem głównego architekta Wielkich Budowli Cesarskich.

Przy końcu ogromnego tarasu wzniesiono elegancki drewniany budynek o kilku piętrach, przypominający pagodę; Gaozong i Wu Zhao zajęli miejsca na balkonie. Zgodnie z *Traktatem o budowaniu*, którego skrupulatne przestrzeganie geomanci cesarscy stawiali sobie za punkt honoru, taras zwrócony był „plecami” do góry, co chroniło go od złych wpływów z północy, ucieleśnianych przez Czarnego Żółwia. Od wschodu wydrążono zbiornik z bieżącą wodą, aby zadowolić Zielonego Smoka, trakt wytyczony na zachodzie zapewniał opiekę Białego Tygrysa, zaś dzięki zwróceniu placu frontem ku południowi, mógł go zalać swymi promieniami Czerwony Ptak Słońca.

Plac, na którym miały odbyć się obrzędy, podzielono na cztery równe części.

Pierwszą ćwiartkę zajęli przełożeni buddyjskich klasztorów. Wu Zhao dostrzegła wśród nich, tuż przed wielką plamą szafranowych szat siedzących obok siebie mnichów, wysoką sylwetkę Czystości Pustki. Znalazła sposób, aby pozdrowić go dyskretnie lekkim skinieniem głowy. Pozostałe części oddano kolejno wysokim urzędnikom administracji i artystom, oficerom i „godnym tego cywilom”, wybranym przez władze w uznaniu ich obywatelskiej postawy, to znaczy w nagrodę za donosy na przestępców.

Cesarzowa nie raczyła rzucić spojrzenia swoim nieprzejednanym wrogom, ale wiedziała, że są tu wszyscy, od generała Zhanga aż po prefekta Li, łącznie z generalnym sekretarzem administracji cesarskiej Lin Shi, wielkim kanclerzem Han Yuanem i większością ministrów trzymających stronę konfucjanistów, wśród których był też Skuteczność Pozorów, nadzorujący wytwarzanie i handel jedwabiem.

— Chwała Gaozongowi i Wu Zhao! — skandowali żołnierze, tworzący poczet honorowy, stojąc na baczność z mieczami i łukami.

Cesarzowa przymknęła oczy i poczuła, jak rośnie w niej powoli upojenie władzą. To samo uczucie dumy i szczęścia powinno, tak przynajmniej myślała, ogarniać cesarza, gdy w Pałacu Światłości spływa na niego łaska Niebios.

W pewnym sensie była to więc dla niej generalna próba.

Stanąc wobec niezmierzonej ludzkiej masy! Czyż nie po raz pierwszy dzieliła z małżonkiem ten niesłychany honor?

Zgodnie z etykietą oficjalna małżonka cesarza miała trzymać się jego boku, ale nie wolno jej było pokazywać się w towarzystwie Syna Niebios tłumowi, jak tym razem. Wu Zhao domagała się od cesarskiej służby protokolarnej zmian, które pozwoliłyby jej zasiąść obok Gaozonga. Osiągnęła cel dopiero, po trwającej trzy miesiące walce, ku wielkiemu strapieniu wrogów, którzy skwapliwie potępiли to naruszenie prawa.

Wygrała dzięki temu, że rozbudziła nadzieję szefa protokołu, nadętego głupca w randze wiceministra, że zostanie ministrem.

Cesarscy geomanci w spiczastych kapeluszach utworzyli koło, trzymając w rękach cyrkle, busole *luopan*, kamienie magnetyczne i zwierciadła-krzesiwa, służące do wykrywania złowróznych tchnień *sha* i wzywania dobroczynnych tchnień *qi* nad "jamą smoka", którą tworzył obrzędowy plac cesarskiego Święta Wiosny.

Było ich ośmiu, tak jak osiem jest trigramów w *Księdze Przemian*, i obracali się powoli od lewa do prawa, przedstawiając niebiańską przestrzeń i jej osiem sekcji, w których elementy korzystne w kolorze czarnym wymieniały się ze szkodliwymi w kolorze czerwonym, a wśród nich zbawca ludzi, kara niebios, wielka katastrofa, dobrodziejstwa niebieskie, godności i pieniądze, wdowa i sierota, niebo zsyłające pomoc, wreszcie honory i awanse. Starali się robić to tak, aby żaden szkodliwy element nie zakłócił doskonałego porządku ceremonii.

Najstarszy z ośmiu geomantów obwieścił donośnym głosem:

— Mogę zapewnić obecnych, że Pani Wiosna już przybyła,



gotowa okryć kwiatami rośliny i dać nasienie zakochanym!  
Niech jej będzie chwała!

Obecni skwitowali brawami te słowa, na które czekali. Wu Zhao smakowała radość, że oklaskują ją jej wrogowie, którzy musieli podporządkować się wymogom obrzędu, ustalonym dla wiosennego święta za czasów dynastii Zhou, jakieś dwa tysiące lat temu.

Zgodnie z tradycją, po tym oświadczeniu następował szalony taniec dwudziestu piętnastoletnich chłopców w wieńcach z bluszczu na głowach, i tyluż dziewic w tym samym wieku z kwiatami we włosach.

Gdy po zakończeniu tańców mistrz ceremonii dał znak trębaczom, aby zagrali sygnał oznajmiający, że wszyscy obecni mogą się rozejść, Wu Zhao nagle wstała.

— Obrzęd nie skończył się jeszcze. Zechciejcie zaczekać cierpliwie jeszcze kilka chwil, gdyż Niebiańska Bliźniaczka o imieniu Klejnot pragnie przekazać wam ważną nowinę! — przemówiła donośnym głosem, przyciągając zdumione spojrzenia tysięcy obecnych.

Nikt nie spodziewał się bowiem, że cesarzowa zabierze głos w obecności swego męża, ani też że obwieści o wydarzeniu, które nie miało nic wspólnego ze Świętem Wiosny!

Dała się słyszeć fanfara trąb, a wraz z nią ukazała się Klejnotka, siedząca na krześle, które nieśli na ramionach czterech tragarzy.

Dziewczynka miała na sobie błękitną szatę z jedwabiu haftowanego w złote smoki.

— Niechaj się zjawią prorocze głazy! — wykrzyknęła, wprawiając obecnych w zdumienie.

— To mała bogini! — ozwały się tu i tam głośnie szepty.

Na plac wjechało osiem wozów zaprzężonych w woły, których rogi kryły się w girlandach kwiatów.

— Tych osiem głazów spoczywało w głębinach rzeki Luo! Legenda głosiła, że są na nich wyryte napisy oznajmiające

chińskiemu ludowi przyszłość państwa. I oto głązy te znalazły się dziś przed wami! — wykrzyknęła cesarzowa uroczystym tonem. Wozy zatrzymały się tak, że wszystkie głązy, od pierwszego do ostatniego, znalazły się naprzeciwko dziewczynki, zwrócone ku obecnym powierzchnią pokrytą napisami, aby można było przeczytać od lewej do prawej to, co znajdowało się na każdym z nich, niczym pierwsze zdanie księgi.

— Jestem specjalistą od prastarych inskrypcji! Bardzo bym pragnął odczytać te napisy i przekazać ich treść ludowi! — wrzasnął jakiś osobnik, wychodząc z części przeznaczony dla wysokich urzędników i artystów.

Był to znakomity kaligraf, opłacony potajemnie przez Wu Zhao. Podszedł do głązów, podskakując przy każdym kroku.

— To, co czytam, jest po prostu niezwykłe!

Wydawał się szczerze zaskoczony, uzgodnił bowiem z Wu Zhao, że nie pozna wcześniej treści napisów.

—Przeczytaj to nam! Przeczytaj to! Przeczytaj to nam! — zaczął skandować tłum.

—Przeczytaj głośno to, co widzisz! — poleciła kaligrafowi Wu Zhao.

—*Gdy nadejdzie czas, na cesarskim tronie zasiądzie kobieta. Wu cesarzowa Chin, takie będzie jej miano!* Oto, co przeczytałem na proroczych głązach. To coś, co brzmi jak przepowiednia! Jeśli ktoś w to wątpi, niech osobiście odcyfruje napisy! — wykrzyknął kaligraf i padł na kolana przed Wu Zhao, podszedłszy do cesarskiego balkonu.

Do głązów zbliżyli się oszołomieni geomanci. Najstarszy z nich długo obmacywał wszystkie osiem głązów, wreszcie pokiwał głową, wywołując ożywione okrzyki widzów.

Zachwycona Wu Zhao miała prawo uważać, że wygrała tę partię. Jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Niebiańskiej Bliźniaczki, bez której nie byłoby to możliwe. Klejnotka uśmiechnęła się do niej, szczęśliwa, że drogiej „cioci Wu” poszło tak dobrze.

W tym momencie z pierwszych rzędów dobiegł jakiś drżący głos. Cesarzowa zorientowała się od razu, że należy on do generała Zhanga.

— Wasza Wysokość, nie przekonuje mnie to, co widzę!

Tłum odwrócił się natychmiast w jego stronę. Ze składanego krzesła podniósł się człowiek noszący nefrytową odznakę byłego premiera.

— No cóż, generale, niech pan mówi! — rzuciła małżonka Gaozonga.

W jego słowach znalazła odbicie cała, znana zresztą Wu Zhao, nienawiść jej największego wroga.

— Muszę z zalem poinformować chiński lud, którego przedstawiciele zebrali się tutaj, że wątpię w to, co zostało odczytane! Wasza Wysokość, jak zdołaliście ustalić tak dokładnie miejsce, w którym te kamienie spoczywały? Ich zatopienie, jeśli w ogóle miało miejsce, sięga czasów dynastii Zhou!

— Cóż, generale, niech to panu wyjaśni Niebiańska Bliźniaczka! To ona wskazała mi miejsce zatopienia świętych gładów. Nie sądzę, żeby miał pan czelność wątpić w słowa tego niewinnego dziecięcia!

Odpowiedź cesarzowej była ostra jak grot strzały. Zapadło ciężkie milczenie, w którym można było wyczuć napięcie między tęskniącym za dawnymi czasami generałem a cesarzową, w której widział tylko awanturnicę.

Cesarz, pochłonięty rozmyślaniami o ślicznym tyłeczku Nefrytowego Księżyca, wytrzeszczył wielkie oczy, jakby nie wiedział, co się dzieje.

— Tak! Byłam na brzegu rzeki Luo, kiedy ciocia Wu, nasza cesarzowa, kazała wydobyć je z wody — powiedziała Klejnotka, starając się powtórzyć co do słowa to, czego cesarzowa ją nauczyła, na wypadek gdyby padły jakieś pytania.

— Możesz mi powiedzieć, dziewczynko o twarzy małpki, czy na tych gładach były napisy, kiedy Wu Zhao wydobyła je z rzeki Luo? — spytał stary konfucjanin.

—Zabraniam panu obrażania Klejnotu! Codziennie tysiące pielgrzymów padają do jej stóp w klasztorze w Luoyangu! — wykrzyknęła urażona władczyni, a jednocześnie Gaozong, ocknąwszy się w końcu z rozmarzenia, uniósł uspokajająco rękę.

—Kamienie wyglądały dokładnie tak samo! — wyjąkała Klejnotka.

Cesarzowa rzuciła dziewczynce spojrzenie wyrażające niewysłowioną wdzięczność.

W tym momencie ponad tłum wyrosła ascetyczna sylwetka Czystości Pustki, który uniósł rękę i zrobił kilka kroków, a potem przemówił donośnym głosem:

— Niech wszyscy wiedzą, że napisy na tych głazach od powiadają temu, co kryje się w *Sutrze Wielkiego Obłoku*, świętym tekście, który miałem okazję odczytać i wielokrotnie komentować. W wersach tej sutry ukryte jest przesłanie, iż Budda Przyszłości, Błogosławiony Maitreja, wcieli się pewnego dnia w kobietę, o której mówią te kamienie! — wykrzyknął, wywołując entuzjastyczną reakcję słuchaczy, z których wielu zaczynało już skandować imię „Wu Zhao”.

Wielki mistrz *dhyany* postanowił się wtrącić, wykorzystując swój ogromny prestiż, jaki zapewniała mu pozycja duchowego zwierzchnika chińskiego Wielkiego Wozu. Nie uzgodnił tego wcześniej z cesarzową i zrobił to w nadziei, że Wu Zhao wybaczy mu jego nieczne postęпки.

Cesarzowa, w której oczach gest ten mógł zostać zainspirowany tylko przez samego Błogosławionego Buddę, zamknęła z ulgą oczy. Czyż nie był to jeszcze jeden znak, że kroczy właściwą drogą, a jej cele zbiegają się z planami Oświeconego?

Tłum wrzał i ze wszystkich stron składano Wu Zhao hołdy, choć wiele osób opuszczało już plac. Jedni korzyli się przed władczynią, podczas gdy inni usiłowali podejść do Niebiańskiej Bliźniaczki w nadziei, że dotkną jej błękitnej szatki. Najodważniejsi, nie bacząc na uderzenia pałek żandarmów, którzy próbowali skierować ich do wyjścia, dotykali świętych głazów,

a niektórzy posuwali się nawet do ich całowania, w przekonaniu, że ten gest stanie się dla nich i ich bliskich dobrą wróżbą.

W części przeznaczonej dla artystów i urzędników panowało wzburzenie.

Ciskali tam gromy przeciwnicy Wu Zhao, a stary generał, który śmiał rzucić wyzwanie uzurpatorce, opadł przygnębiony na krzesło, niczym opróżniony do połowy worek ryżu. Po skandalu, jaki Wu wywołała podczas oficjalnej audiencji, demaskując fałszywą tożsamość Nefrytowego Księżycyca, przepowiednie wieszczące jej bliskie wstąpienie na cesarski tron nie mogły pojawić się w gorszym momencie. Trzeba było widzieć miny ministrów i wysokich urzędników! Wszyscy ze strachem stwierdzili, jak kochana jest cesarzowa przez lud, i to było oczywiście najbardziej niepokojące.

W części przeznaczonej dla buddyjskich mnichów panowała natomiast radosna euforia.

Jeśli ich protektorka zasiądzie na tronie, buddyzm zostanie uznany za oficjalną religię. I tak już ogromny majątek Wielkiego Wozu powiększyłyby jeszcze donacje bogatych wiernych. A później na czele Chin stanąłby duchowy zwierzchnik maha-jany. Dotychczas taki bieg wypadków przełożeni wielkich klasztorów omawiali wyłącznie między sobą.

— Cześć i chwała Wu Zhao! Cześć i chwała Wu Zhao! — wrzeszczała w uniesieniu tłuszcza.

W części placu, na której zgromadził się lud, dały się słyszeć pojedyncze śpiewy, które prędko zamieniły się w pieśń intonowaną przez wszystkich.

Boskie głązy rozpełtały euforię. Cesarzowa była pewna, że podstęp się udał.

Prowadzący ceremonię polecił w końcu, aby zagrały trąby obwieszczające koniec święta, gdy dały się słyszeć głosy, dobiegające tym razem z głębi porośniętego trawą sektora przeznaczonego dla mnichów Wielkiego Wozu.

Gaozong, którego całe to zamieszanie zdruzgotało i chciał jak

najprędzej wrócić do Chang'anu i Nefrytowego Księżycy, skrzywił się z niechęcią. Jakiś mówiący słabo po chińsku mężczyzna wrzeszczał:

— Chcieć mówić z cesarzem! Chcieć mówić z cesarzem! Ważne! Ważne!

Policja rzuciła się, aby złapać i usunąć intruza, który ośmielił się zakłócić przebieg Święta Wiosny, ustalony za czasów dynastii Zhou.

— Pozwólcie mówić temu człowiekowi, być może pragnie przekazać coś cesarzowi Chin — poleciła strażom cesarzowa.

Był to Madżib, który stanął twarzą do drewnianego pawilonu, na którego balkonie siedzieli Gaozong i Wu Zhao.

W chwili gdy Pers miał otworzyć usta, aby przedstawić dworowi Chin naiwną propozycję dobicia targu, wyszedł na plac mnich Wielkiego Wozu. Prowadził za rękę mężczyznę o smągłej cerze, którego rysy zdradzały hinduskie pochodzenie. Zatrzymali się tuż przed cesarską parą, nie pozwalając zdumionemu Persowi dojść do głosu.

—Mam na imię Cudowny Uzdrowiciel i jestem kapłanem mahajany z klasztoru na Łysej Górze. Proszę Wasze Wysokości o udzielenie mi głosu.

—Co chcesz nam powiedzieć, Cudowny Uzdrowicielu? — zapytała Wu Zhao, wcale niespeszona tym nieoczekiwanym wystąpieniem.

—Wasza Wysokość, pragnę w jak najlepszej wierze przeszkodzić dokonaniu podłego czynu. Ten człowiek jest perskim zbrojcem, który wbrew tradycjom gościnności łączącym buddyjskie szkoły chce w zamian za pieniądze przekazać władzom buddyjskiego mnicha z Peszawaru, obecnego tu Oręża Prawa, którego trzymam za rękę, a także jego pomocnika, *tripitakę* Szlachetną Ośmioraką Ścieżkę, który stoi tam, z tyłu!

—Wszystko, co mówi ten mnich, jest prawdą! — wykrzyknął Szlachetna Ośmioraką Ścieżka, wysuwając się z pierwszego rzędu mnichów.

—Nie sądzisz, pani, że najwyższy czas zakończyć uroczystości i wrócić do Chang'anu? — szepnął Gaozong do ucha żony, zirytowany tym niespodziewanym wydarzeniem.

—Czy potwierdzasz słowa Cudownego Uzdrówiciela, Madźibie? — zapytała władczyni z niezmaconym spokojem.

—Moi jeńcy na pewno warto dać dużo pieniędzy... Wystarczy beczułka złote taele i ja oddać wam wszystkie, Wasza Wysokość! Mam tu dwóch, co są z hinajany! Co do tych z mahajany, bo i takich prowadzę, oni mieć doskonale zdrowie i robić każda robota. Dołożyć ich wam na dodatek! — oświadczył perski herszt, który nie miał zielonego pojęcia, co się właśnie dzieje, i prezentował zadowoloną minę, pogarszając swoje położenie.

—Ten człowiek oszalał! Chce zapędzić do pracy buddyjskich mnichów! Chyba nawet nie wie, że istnieje jałmużna! — parsknęła cicho Gaozong.

Cesarzowa, aż nazbyt szczęśliwa, że może skorzystać z okazji, powtórzyła głośno słowa wypowiedziane przez jej dostojnego małżonka, które wywołały żywą reakcję zebranych. Pojęła w lot, że oto może jeszcze raz wykazać się przed poddanymi mądrością i wspaniałomyślnością.

— Straże, brać tego Persa! — rozkazała. Rozwścieczony Madźib zaczął przeklinać chińskiego mnicha i życzyć mu spalenia żywcem w ponurym piekle Arymana. Zorientował się w końcu, że ten zręcznie go wymanewrował, olśniewając go bajeczną kwotą, jaką chiński dwór gotów był zapłacić za pojmanych przez niego zakładników.

Żołnierze natychmiast otoczyli broniącego się zaciekle Madźiba, żeby go związać i odprowadzić do więzienia. Chwilę potem po Madźibie nie było śladu.

Z szeregu wysunął się wówczas Czystość Pustki i zwrócił się głośno do cesarzowej:

— Wasza Wysokość, mam do powiedzenia coś ważnego na temat tego mnicha o imieniu Oręż Prawa!

Wielki mistrz *dhyany* wskazał Hindusa, który stał obok Cudownego Uzdrowiciela, aby w razie potrzeby poprzeć jego słowa. Jego boku trzymał się wielki pies o płowej sierści, z rasy tych, które bronią stad przed wilkami, niedźwiedziami i śnieżnymi panterami.

Na placu zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że wielki mistrz *dhyany* nie jest człowiekiem, który zabiera głos, nie mając nic do powiedzenia. Tylko cesarz Gaozong, który coraz bardziej niecierpliwie wyczekiwał zakończenia uroczystości i powrotu do Chang'anu, gdzie czekała na niego wilgotna szparka Nefrytowego Księżyca, zdawał się pragnąć czym prędzej opuścić to miejsce.

—Wasza Wysokość, ten człowiek jest prawą ręką mistrza Buddhabadry, przełożonego hinajanicznego Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze. Odpowiadam za niego i jeśli się na to zgodzicie, gotów jestem gościć go tak długo, jak będzie trzeba, w Klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa.

—Zgadzam się, mistrzu Czystość Pustki! Wszyscy znamy waszą gościnność! — odrzekła Wu Zhao.

—Moja droga, czy moglibyśmy już stąd odjechać? — jęknął znużonym głosem Gaozong.

—Święto Wiosny dobiegło końca! — krzyknęła cesarzowa, puszczając oko do wielkiego mistrza *dhyany*.

Po odjeździe lektyki z cesarską parą tłum opuścił powoli plac, aby zejść do podnóża góry. Przed drewnianym pawilonem, z którego Gaozong i Wu Zhao oglądali ceremonię, zostali tylko Czystość Pustki, Cudowny Uzdrowiciel, Oręż Prawa i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Oręż Prawa, którego Lapika nie odstępowała na krok, jakby świadoma była czyhających na niego niebezpieczeństw, przyjrzał się nieufnie przełożonemu z Luoyangu, o którym tyle słyszał w ostatnich miesiącach. Wydało mu się, że dostrzega w nim cechy wskazujące na dwulicowość. Wpatrując się w jego



ascetyczną i obojętną twarz, Oręż Prawa utwierdzał się w przekonaniu, że rozmówca musi być jednym z tych, którzy zawsze ukrywają swe myśli.

— Mistrz Buddhadra zmarł niedługo po nieudanym spotkaniu w Samye. Zamordował go tantrysta Szalony Obłok, rozpruwając mu brzuch, podczas gdy wy w tym samym czasie wysyłaliście do Samye mnicha Pięć Zakazów po *Sutrę o logice Czystej Pustki!* — zwrócił się do przełożonego z Luoyangu, mając nadzieję, że te słowa nim wstrząsną.

Przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa zmrużył oczy i zbladł.

—Byłem pewny, że musiało mu się przydarzyć jakieś nieszczęście... Uzgodniliśmy, że złoży mi wizytę w Luoyangu, no i nie pokazał się. Pomyślałem, że Buddhadra jest człowiekiem, który nie wypełnia swoich zobowiązań. Postanowiłem więc wysłać Pięć Zakazów do Samye, żeby odzyskał sutrę, którą on miał mi dostarczyć — szepnął, błędą jeszcze bardziej.

—Czy nie uzgodniliście, że dostarczy wam coś innego?

—Twoje pytanie pozwala mi domyślać się, że znasz odpowiedź... — odparł Czystość Pustki smutno.

—Czy nie podejrzewaliście nigdy, że mój nieoceniony przełożony mógł was oszukać? — zapytał mnich z Peszawaru, zdecydowany zapędzić wielkiego mistrza *dhyany* w kozi róg.

—Dlaczego stawiasz mi to pytanie? Wydajesz się wątpić w moją dobrą wolę. Nie mam nic wspólnego z tą potworną zbrodnią i oplakuję go tak samo jak ty — odpowiedział tonem usprawiedliwienia ten ostatni.

—Próbuję tylko odtworzyć to, co się wydarzyło, a jestem przekonany, że między Buddhadra i wami, mistrzu Czystość Pustki, musiało wydarzyć się mnóstwo rzeczy...

—Faktem jest, że dużo rozmawialiśmy po nieudanym spotkaniu w Samye!

—Za plecami mistrza Gampo...

—Potwierdzam to i szczerze tego żałuję. Możesz mi wierzyć, że gdyby można było cofnąć czas, postąpiłbym inaczej.

—Niebawem będziecie mieli okazję wyjaśnić to wszystko przełożonemu z Same! — rzekł z obojętną miną Oręż Prawa.

—Bardzo tego pragnę! — westchnął mistrz *dhyany*.

—Mistrz Gampo zjawi się u was niedługo! Także i mnie pilno jest wziąć udział w tym spotkaniu, podczas którego trzeba będzie wszystko wyjaśnić! Zbyt wiele niedopowiedzeń i nieporozumień zmało dobre stosunki, jakie łączyły wcześniej waszą trójkę!

Poruszony tymi słowami Czystość Pustki otworzył szerzej oczy, w których błysnęło zdumienie.

—Czyżby ten niewidomy starzec był w drodze do Chin? Nigdy bym się tego po nim nie spodziewał! — wykrzyknął.

—Nie wypaczę jego intencji, jeśli zapewnię was, że mistrz Gampo pragnie gorąco, aby spotkania pojednawcze nie ustały. Świadom tego, że problemy są w dużej mierze skutkiem zdrady Szalonego Obłoku, gotów jest odbudować zaufanie i pokojowe stosunki między trzema buddyjskimi szkołami — wyjaśnił Oręż Prawa, po czym dodał z tajemniczą miną: — Ja sam jestem w posiadaniu czegoś, co może okazać się ważne i przyczynić się do wygaśnięcia wzajemnych pretensji, jakie mogły się zrodzić w sercach tak jednych, jak i drugich!

—Mógłbyś powiedzieć coś więcej? Odnoszę wrażenie, że wiele spraw mi umyka... — wyjąkał przełożony z Luoyangu.

—Nie teraz! Wolę podzielić się moimi odkryciami, kiedy do Luoyangu przybędzie lama Gampo! — odparł mnich z Pe-szawaru tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego determinacji.

—Mogę cię zapewnić, że Oręż Prawa jest człowiekiem honorowym i prawym — wtrącił Cudowny Uzdrowiciel, który pragnął podzielić się z Czystością Pustki swą doskonałą opinią o przyjacielu z Małego Wozu.

—Nie wątpię.

—Czy jesteście gotowi podjąć spotkania w Lhasie? — zwrócił się do Czystości Pustki Oreż Prawa.

—Myślę, że dobrą rzeczą będzie przywrócić ducha, jaki unosił się nad spotkaniami w Lhasie. Buddhabadra i ja ulegliśmy pokusie wycofania się, uważając, że działamy w interesie naszych szkół. On stracił życie, podczas gdy ja omal nie utraciłem duszy! — wyznał Czystość Pustki.

Góra Tai Shan zaczęła zabarwiać się refleksami zachodzącego słońca. Niebawem złotą aureolą zaślniły sosny, kolory i kształty zyskały na wyrazistości, przydając krajobrazowi, pośród którego w powszechnym mniemaniu zamieszkiwała Władczyni Lazurowych Obłoków, niezwyklej tajemniczości.

Lapika wymachiwała ogonem, ciesząc się, że wkrótce wszyscy znowu ruszą w drogę.

—Popatrz tylko, jaką zadowoloną minę ma ten pies! — powiedział Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Z pewnością zrozumiała, że odzyskaliśmy wolność! Kiedy lama Tö Ling powierzał ją Pięciu Zakazom, żeby zapewniła Niebiańskim Bliźniętom codzienną porcję mleka, nie domyślał się nawet, jak długą drogę będzie musiała przebyć, żeby znaleźć się z dziećmi w Luoyangu! — odparł z uśmiechem jego towarzyszy doli i niedoli.

Wędrówka z Tai Shan do Luoyangu przebiegła zgodnie z planem. Mnisi podróżowali żwawo, jako że Czystość Pustki zdecydował się odbyć podróż dwukołowym wozem, pełnym czarek na jałmużnę mnichów z Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, którzy wyprawili się tu razem z nim.

Pięć razy przekraczali wezbraną po wiosennych deszczach Żółtą Rzekę na barkach wyładowanych po brzegi ludźmi i zwierzętami.

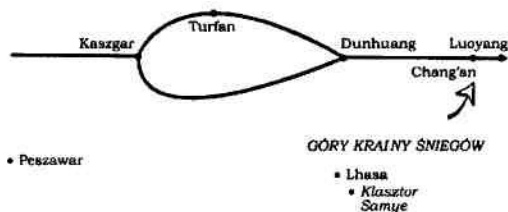
Równiny ustępowały miejsca górom i roześcianym dolinom z granitowymi rumowiskami, na których nie rosło nic prócz

karłowatych jałowców, bo tylko one miały dość siły, aby uczepić się skalnego podłoża. Wiosna ożywiała kolory i na gałęziach drzew widać było pączki i młode pędy.

Zimowy sen ustępował miejsca wiosennym porządkom.

Powoli wracała też harmonia po miesiącach chaosu wywołanego nieudanym spotkaniem w Samye.

Pozostawało już tylko poczekać na godzinę wielkich wyjaśnień.



## 16

### *Pałac cesarski w Chang'anie*

Podczas gdy na górze Tai Shan trwały obchody Święta Wiosny, Pięć Zakazów, Umara, manipa i Ulik mogli dzięki Wu Zhao wśliznąć się do pałacu cesarskiego w Chang'anie, w którym pozostali tylko wiekowi słudzy i jednonodzy dozorcy.

I tym razem cesarzowa przewidziała wszystko. Śladem cesarskiej pary cały dwór przeniósł się do Shandongu, łącznie ze strażami i dobytkiem, a pałac wyglądał na opuszczony.

Wielkie i małe spiski, intrygi i nieustanne konfrontacje, których celem było zniszczenie konkurentów, przeniosły się na świętą górę taoistów, ustępując miejsca atmosferze marazmu, która teraz zapanowała i przypominała pokój, jaki zapada po długiej wojnie domowej.

Nie tracąc ani minuty, Umara i Pięć Zakazów skierowali się prosto do Pawilonu Rozrywek. Ujrzawszy ojca, który siedział w fotelu w towarzystwie Napelnionego Spokojem w ślicznym ogródku, gdzie swego czasu Niebiańskie Bliźnięta uczyły się stawiać pierwsze kroczki, Umara popędziła w jego stronę, przepelniona radością i wzruszeniem.

—Błagam cię, ojcze, wybacz mi! — wykrzyknęła, rzucając się do jego stóp.

—Moja ukochana córko! Liczy się tylko to, że cię odnalazłem. Nasz Wszechmogący i Miłosierny Bóg udzielił mi tej łaski. Straciłem nadzieję, że to uczyni — odparł łamiącym się głosem biskup, wzruszony do łez.

—To wszystko moja wina. To ja omotałem twą córkę, panie! Jeśli chcecie postawić komukolwiek zarzuty, to tylko mnie — odezwał się Pięć Zakazów.

—Mój Jedyne Bóg jest Miłością. Skoro obdarzyliście się nawzajem miłością i to ona dyktuje wasze kroki, nie mam wam nic do zarzucenia... Akceptuję wasze decyzje, moje drogie dzieci! — odparł biskup z Dunhuangu, otwierając szeroko ramiona.

—Dziękuję ci, ojcze. Nie wątpiłam, że nas zrozumiesz — szepnęła Umara.

—Niech wam Bóg pobłogosławi! Życzę wam szczęścia! Zaslugujecie na nie. Widzieć was razem, to dla mnie wielka radość. Od dawna czekałem na ten dzień! — odparł Addai Aggai i zamknął oczy, uczyniwszy znak krzyża na czole obojga.

—Pozwolisz, panie, że dołączę dziękczynną inwokację do Błogosławionego Buddy, który od naszego pierwszego spotkania wziął Umarę i mnie pod swoje skrzydła — szepnął Pięć Zakazów, po czym złożył dłonie, dotknął złączonymi kciukami czoła i skłonił się trzy razy.

—Zgoda na Błogosławionego Buddę! To, co o nim wiem, skłania mnie do wniosku, że Błogosławiony i Chrystus mają wiele wspólnego...

—Tyczy się to także Maniego, proroka Kościoła Światłości. Był to człowiek dobrej woli, który nie chciał wyrzec się swej wiary i z tego powodu cierpiał tak samo jak Chrystus — dodał Napelniony Spokojem, którego to szczęśliwe spotkanie poruszyło równie mocno, jak jego przyjaciela nestorianina.

Nie starając się powstrzymywać łez, biskup uściskał Umarę

i Pięć Zakazów, pośród donic z piwoniami i stuletnimi krzewami, nie większymi od ostrza sztyletu, którym ogrodnicy obcinali codziennie liście i skracali korzenie.

—Oby Bóg sprawił, żebyśmy mogli pozostać razem na zawsze! Tego właśnie pragnę najbardziej na świecie — szepnął do uszu młodej pary nestoriański kapłan.

—Jeszcze bardziej niż wprowadzenia Kościoła Świętego Proroka Nestoriusza do środkowych Chin? — zapytała jego córka.

—Zdaję sobie sprawę, że przekładając nad wszystko interesy sprawy, której służę, nie tylko zaniedbywałem moich bliźnich, ale postępowałem jak grzesznik, a nie jak duszpasterz! — wyznał Addai Aggai, wywołując zdumienie w oczach Umary, która nie przypuszczała, że jej ojciec zdolny jest okazać aż taką skruchę.

—Gdybym zdołała dożyć moich dni u boku Pięciu Zakazów, pozostając w zgodzie z moim ojcem, byłabym najszczęśliwszą z kobiet... — powiedziała Umara, a potem rzuciła się na szyję Addaia Aggaia i uściskała go serdecznie.

—Tak mi cię brakowało, że zrozumiałem, iż jesteś treścią mego życia! — wyszeptał ojciec do ucha córki.

—Pozostaje uwolnić Nefrytowy Księżyc. Zaczekajcie tu na nas, nie zabawię tam długo! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Idę z tobą! — oświadczyła Umara.

—Moja droga, to nierozsądne! Dlaczego nie zostaniesz ze mną, żeby poczekać, aż Pięć Zakazów wróci? — zaprotestował biskup.

—Nic i nigdy nie rozdzieli mnie z Pięcioma Zakazami! Pójdę wszędzie tam, gdzie i on! — odparła dziewczyna.

Trzymając się za ręce, pospieszyli razem z Ulikiem i manipą do prywatnych komnat cesarza.

Znaleźli Nefrytowy Księżyc zamkniętą w komnacie przeznaczonej dla faworyty, w towarzystwie kosmetyczki, która czesała jej włosy, namaściwszy je olejkiem palmowym.

—Umara, Pięć Zakazów! Co za cudowna niespodzianka! Jakaż jestem szczęśliwa, że was widzę! — wykrzyknęła, rzucając się w ramiona młodej pary.

—Doszły nas słuchy, że cesarz trzyma cię jak więźniarkę. Przyszliśmy cię uwolnić — oznajmiła Umara.

—Odkąd przybyłam do Chang'anu, cesarz Gaozong traktuje mnie jak niewolnicę, która ma dostarczać mu przyjemności. Nie śmiałabym nawet opowiedzieć ci, co kazał mi znosić! Bezustannie wzywa mnie do siebie, do ośmiokątnej komnaty obitej różowym jedwabiem, która znajduje się tuż za tym podwórzem! Dość mi pomyśleć o jego tłustych paluchach i olbrzymim trzęsącym się brzuchu, żebym dostała mdłości — jęknęła żona manichejczyka z Kuczy i wybuchnęła płaczem jak mała dziewczynka.

Nie była już przeciętną kurtyzana, umiejącą udawać rozkosz, ale zwykłą, pewną siebie młodą kobietą, która w końcu mogła robić to, na co miała ochotę.

—Na szczęście nie cierpię już tak bardzo, odkąd wyjechał na górę Tai Shan — powiedziała cichutko.

—Świetlisty Punkt czeka na ciebie niedaleko stąd, w małej buddyjskiej świątyni! — oznajmił Pięć Zakazów, który chciał tą dobrą wiadomością zatrzeć złe wspomnienia.

—Co za cudowna nowina! Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż to, że usłyszałam ją z twoich ust, Pięć Zakazów. Powinnam chyba dziękować Błogosławionemu Buddzie, a może nawet i Maniemu, prorokowi Kościoła Światłości! — wykrzyknęła młoda Chinka.

Była całkowicie odmieniona: na jej pięknej twarzy i w pełnych łez oczach malowała się teraz ogromna radość.

— Jak już uściskasz swego męża, będziesz miała czas na dziękowanie temu, komu będziesz miała ochotę! — zażartował były mnich mahajany.

— Czy on ciągle o mnie myśli? Nie zakochał się w innej? Gdyby tak było, nie miałabym do niego żalu...



—Jest w tobie zakochany jak pierwszego dnia! Ogień w jego sercu nadal płonie. Odkąd zgubił w Turfanie twój ślad, stara się na wszystkie sposoby cię odnaleźć. Nie wie, że tu jesteś! Wyobrażam sobie, jaki będzie szczęśliwy, widząc cię zdrową i całą! — powiedział Pięć Zakazów.

—Prosto stąd pójdziemy tam, gdzie czeka Świetlisty Punkt! Im prędzej się to stanie, tym większą poczujesz radość! Jak ja, kiedy Pięć Zakazów przyszedł do mnie, do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu, gdzie więził mnie przełożony Czystość Pustki — dodała Umara.

—Nasze losy wydają się dziwnie podobne — zauważyła z uśmiechem była robotnica Świątyni Nieskończonego Przędziwa.

—Ja też tak myślę! Niewątpliwie dlatego, że miłość prowadzi zakochanych tymi samymi ścieżkami — szepnęła Umara, trzymając dłoń Nefrytowego Księżycza w swojej.

—Mam wrażenie, jakby ktoś nas podsłuchiwał! — szepnęła Pięć Zakazów, dając im znak, żeby umilkły.

Podszedł do ceglanej ściany zamykającej wewnętrzne podwórze, o którym wspomniała Nefrytowy Księżycz.

—Chcesz, żebym sprawdził? Wydaje mi się, że ten murek da się łatwo przeskoczyć! — zaproponował Ulik.

—Jeśli chcecie się tam dostać, musicie przejść przez to małe podwórze. Nawet kiedy nie ma cesarza, dwaj strażnicy dzień i noc trzymają wartę przed drzwiami jego komnaty — wyjaśniła Nefrytowy Księżycz.

—Na wszelki wypadek pójdziemy tam obaj — zdecydował Pięć Zakazów i ruszył pierwszy.

Przesadzili mur, a zaraz potem bez najmniejszych kłopotów za ich przykładem poszła Umara. Wydawało się, że na małym podwórku nie ma żywej duszy.

— Zajrzyjmy do środka! — zaproponował były mahajanista, wskazując werandę.

Zaskoczyło go wyrafinowanie wnętrza, podkreślone jeszcze przez różowy jedwab na ścianach. Harmonizował on doskonale z wielką liczbą poduszek z frędzlami, których stos leżał na ogromnej sofie, ustawionej na środku pokoju.

Rzuciwszy się na nią, żeby się upewnić, czy jest tak miękka, na jaką wygląda, Pięć Zakazów ze zdumieniem ujrzał wystające spod niej stopy.

Umara, która także je zauważyła, dawała mu gorączkowe znaki.

— Kto się tam chowa? — krzyknął Pięć Zakazów, starając się złapać tajemnicze stopy.

Wraz z Ulikiem wyciągnęli spod sofy mężczyznę.

— Firuzie, co ty tu robisz? Kazałem ci przecież zostać w klasztorze na wsi! — zawołał Pięć Zakazów.

Omajjadzki ambasador miał kilkudniowy zarost. Jego wychudzona i pomarszczona twarz przypominała skórkę suszonego owocu. Zawstydzony, starał się wymyślić odpowiedź na to pytanie.

— Ukrywam się tu od dobrych dwóch tygodni. Na szczęście cesarz niemal nie tyka jedzenia, które mu przynoszą. Gdy zostaję sam, wyciągam się na sofie, żeby jak najwygodniej się wyspać. Jeśli idzie o potrzeby naturalne, to zaspokajam je na podwórzu... — wyznał w końcu.

— Wiesz, że ryzykujesz głową, przebywając bez zezwolenia w prywatnych komnatach cesarza? Nikt nie wda się w taką awanturę dla przyjemności — nie ustępował Pięć Zakazów, widząc, że omajjadzki ambasador stara się wykręcić od odpowiedzi na postawione mu pytanie.

— Opowiem ci ze szczegółami, jak się tu znalazłem, kiedy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu — odparł Firuz, który stopniowo odzyskiwał przytomność umysłu.

Korzystając z zamieszania, ukradkiem sięgnął do podręcznego przybornika Gaozonga po mały, ostry jak grot strzały nożyk, który służył kosmetycznie do czyszczenia paznokci

władcy. Potem, upewniwszy się, że ani Umara, ani Ulik i Pięć Zakazów tego nie zauważyli, wsunął go pospiesznie za pas.

— W takim razie najlepiej będzie przeskoczyć przez ten mur. Po drugiej stronie jest wystarczająco spokojnie, żeby posłuchać twoich wyjaśnień — zaproponował z surową miną mahajanista.

Po drugiej stronie czekała na nich zaniepokojona małżonka Świetlistego Punktu.

—Nefrytowy Księżycu, byłem pewny, że jestem w zasięgu twojego głosu! — wykrzyknął bagdadczyk.

—Nie wiedziałam, że tam jesteś!

—Całymi dniami leżałem wciśnięty pod cesarską sofę. Jeśli sądzić po tym, co słyszałem, pieszczoty cesarza nie były ci obojętne...

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie szepnąć tej wymówki do ucha Nefrytowego Księżycu, starając się mówić jak najciszej, żeby nie usłyszeli go inni.

— Robię z moim ciałem, co mi się podoba. Nigdzie nie jest napisane, że należę do ciebie! — odcięła się oschle.

Przez twarz Firuza przemknął cień, znak, że jej odpowiedź go zabolala. Stracił spokój, który z takim trudem przed chwilą odzyskał.

Trzewia ścisnęła mu zazdrość i nienawiść, poczuł, że jest zdolny do popełnienia jakiegoś szaleństwa.

—Nigdy bym nie przypuszczał, że tak to może wyglądać!

— odparł, ozdabiając oczywistą groźbę wymuszonym uśmiechem.

—Domagam się wyjaśnień: dlaczego opuściłeś wiejską świątynię? — ponowił pytanie Pięć Zakazów. Zachowanie ambasadora bardzo go zaniepokoiło.

Ale Firuz nie zdążył odpowiedzieć. Z korytarza dobiegły niepokojące odgłosy, które zdawały się wskazywać, że strażnicy, być może zaalarmowani hałasami

dochodzącymi z pokoju faworyty cesarza, zamierzają wedrzeć się do środka.

—Mogą nas tu zaskoczyć! — wykrzyknął Ulik.

—Jeśli tak się stanie, będziemy zgubieni! — rzucił Pięć Zakazów.

—Czy zamiast się kłócić na próżno, nie czas zaprowadzić Nefrytowy Księżyc do jej męża? Na pewno są siebie spragnieni! — dodała Umara.

—Powinien czekać tam, gdzie go zostawiliśmy. Ośmielam się mieć nadzieję, że nie okazał się takim szaleńcem jak ty i został na miejscu! — rzucił Pięć Zakazów Firuzowi.

—Musiałabym włożyć welon, żeby przejść niezauważona! Jeśli napotkamy służących i mnie rozpoznają, będzie po nas! — szepnęła Nefrytowy Księżyc.

Przeszukawszy jedną z szaf, wyjęła długi płaszcz z kapturem z zielonego jedwabiu i owinęła się nim.

— Gdybyś miała jeszcze jeden, chętnie bym go włożyła. Z powodu moich kręconych włosów wszyscy się za mną oglądają! — powiedziała Umara.

Nefrytowy Księżyc z uśmiechem podała Umarze to, czego potrzebowała.

—Gdyby mnie pytali, co mam im odpowiedzieć? —jęknęła przez lzy kosmetyczka.

—Że spałaś w sąsiedniej komnacie! I niczego nie widziałaś! A ja ulotniłam się jak ptaszek!

Opuścili pałac cesarski bez kłopotów dzięki przepustce, którą dała im Wu Zhao. Nie zapomnieli też zabrać Napelnionego Spokojem i Addaia Aggaia, którzy czekali na nich niecierpliwie w Pawilonie Rozrywek. Minęli ostatnie drzwi i znaleźli się na dworze, nareszcie wolni.

Nefrytowy Księżyc ze wzruszeniem patrzyła na pełne ludzi ulice stolicy imperium Tangów. Zapachy, od najsubtelniejszych do najbardziej mdlących, ożywiły w jej pamięci wspomnienie spaceru po mieście, jaki odbyła kilka lat temu ze Świetlistym

Punktem, kiedy to przyszedł po nią do Świątyni Nieskończonego Przędziwa.

Była tak oczarowana, że nie dostrzegała ponurego spojrzenia ani zaciśniętych pięści Firuza, który wyglądał tak, jakby szykował się do walki ze śmiertelnym wrogiem. Przeszła przez miasto jak we śnie, kiedy więc dotarli do przedmieść i za nędznymi domkami z gliny, wokół których bawiły się półnagie dzieci, ukazały się pola, poczuła żal.

Jednak gdy ujrzała przylepioną do zbocza małego pagórka świątynię o szarawym dachu, w której czekał na nią mąż, młoda Chinka nie mogła powstrzymać łez szczęścia.

Doczekała się w końcu tak upragnionego uwolnienia, ale dostała też od życia lekcję, która po tylu dramatycznych epizodach kończyła się szczęśliwie.

Nareszcie mogła połączyć się z młodym kuczanimem, którego nie przestała kochać!

Okazało się, że nigdy nie wolno wpadać w rozpacz: człowiek zawsze wychodzi w końcu cało z najgorszych sytuacji, pod warunkiem że nie stracił nadziei i nie zaprzestał walki. Z Turfanu do Bagdadu, potem do Palmyry, a stamtąd do Chang'anu — jakąż drogę przebyła, nie pomyślałszy nawet, że zatacza jedynie wielkie koło! Czasami ludzkie istoty myślą, że błądzą bez celu, podczas gdy ich krokami kieruje siła, której nie pojmują, ale która ich prowadzi.

W przypadku Nefrytowego Księżyca była to dobroczynna energia, jakby czuwały nad nią tajemne siły *tao*.

Pragnęła czym prędzej dotrzeć do celu, toteż przyspieszyła kroku, nie zwracając uwagi na grupkę pasterzy, stojącą koło zagajnika surmii. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni chustkę i pomachał nią w kierunku farmy.

Uciekinierzy nie zdawali sobie sprawy, że otoczyli ich już agenci Wielkiego Cenzoratu, których nakazał rozstawić tu sekretarz prefekta Li. Szykowali się do ataku na klasztor.

Ujrzawszy Świetlisty Punkt, który stał w drzwiach wycho-

dzących na wewnętrzne podwórze, Nefrytowy Księżyc rzuciła mu się z łkaniem w ramiona, wykrzykując jego imię.

— Świetlisty Punkcie! Moja jedyna miłości! Mój ukochany! Jestem, wróciłam. Zawsze już będę z tobą! Mój Świetlisty Punkcie...

Krzyki dziewczyny podziały na Firuza jak ostry miecz, który zagłębiał się w jego udręczonym sercu.

Rozgoryczenie zamieniło się w zimną nienawiść, gdy zobaczył, że jego ukochana obejmuje swego męża, nie rzuciwszy mu nawet jednego spojrzenia. Zupełnie o nim zapomniała, jakby nie istniał.

Zawahał się w progu, nie wiedząc, czy ma wejść do środka, tak obco się poczuł, patrząc na tych ludzi, którzy odnaleźli się po długim rozstaniu i teraz dzielili się wspomnieniami i przeżyciami. Pięć Zakazów przedstawił biskupowi manichejczyka, który porzucił w końcu rezerwę i chwilę potem ścisnął serdecznie Napelnionego Spokojem.

Firuz obawiał się, że wskutek jego donosu klasztor mógł znaleźć się pod obserwacją, odwrócił się więc i poszedł się dąsać na szczyt wzgórza.

Gdy wspinał się stromą i wąską ścieżką, jego ręka musnęła rękojęść noża, który wsunął sobie za pas. Pomyślał, że będzie to narzędzie zemsty.

Postanowił, że zabije Świetlisty Punkt, wbijając mu nóż w samo serce. Będzie to jedyna rzecz, jaką zrobi, gdy tylko wróci do wiejskiej świątyni, uśmiechnięty, żeby nie budzić podejrzeń.

Nie martwił się zbyt tym, że znowu wpadnie w ręce chińskiej policji. Jego jedynym celem była zemsta.

Odetchnął głęboko kilka razy, żeby się uspokoić, i ruszył powoli w dół. Jakież było jego zdziwienie, gdy wpadł na Ulika!

— Pięć Zakazów kazał mi cię odszukać! Pyta, czy wszystkie te przygody cię nie zmęczyły. Chce wiedzieć, dlaczego znalazłeś się w komnacie cesarza. Twoje zachowanie go zdziwiło! — powiedział Pers z nieufną miną, rzuciwszy okiem na sztylet w jego dłoni. Firuz natychmiast wsunął go za pas.

— Poszedłem za potrzebą. Ulżyło mi! Jestem gotów wy tłumaczyć się przed nim, kiedy tylko sobie życzy! — mruknął.

Świetlisty Punkt i Pięć Zakazów czekali na nich na progu. Zbliżywszy się do znieawidzonego rywala, Firuz rzucił się do przodu niczym tygrys, wymachując sztyletem. Jednak Ulik, domyślając się, że Firuz coś knuje, miał się na baczności.

Dzięki temu w chwili, gdy ostrze już muskało pierś Świetlistego Punktu, zdołał złapać napastnika za ramiona i Firuz upadł ciężko na ziemię.

Między mężczyznami wywiązała się gwałtowna walka, w której przewagę miał Pers.

Pięć Zakazów i Świetlisty Punkt odwrócili bagdadczyka, który leżał na brzuchu, i stwierdzili, że w jego piersi tkwi aż po rękajeść mały sztylecik.

—To moja wina! — jęknął Ulik. — Nie potrafiłem mocno go złapać! Zobaczyłem, że ostrze noża wycelowane jest w niego, dopiero w chwili, gdy go obezwładniłem! Nie mogłem nic zrobić!

—Jesteś ranny? — spytał Pięć Zakazów, ujrawszy zakrwawioną dłoń Ulika.

—To krew Firuza! — odparł tamten, wycierając rękę o spodnie.

—Niewiele brakowało, a jego ofiarą padłby Świetlisty Punkt! Prawdopodobnie zaślepiała go zazdrość! — szepnęła mahajanista, przeciągając palcem po rozprutej koszuli męża Nefrytowego Księżyca.

—To nic! Tylko lekkie zadrapanie — szepnęła wstrząśnięty Świetlisty Punkt.

Przyjaciele padli sobie w ramiona. Ich młode żony, zajęte wymianianiem wrażeń w małej salce, do której zaprowadził je stary przełożony klasztoru, niczego nie zauważyły.

Podskoczyły dopiero wtedy, gdy usłyszały krzyki dochodzące zza ogrodzenia.

— Dziesięciu uzbrojonych ludzi zbliża się do nas ze szczytu wzgórza! — wykrzyknął Ulik, który pobiegł zobaczyć, co się

dzieje, a potem szybko pozamykał drzwi prowadzące na małe podwórko otoczone zabudowaniami.

—Atakuje nas oddział żołnierzy! Mają na rękawach opaski Wielkiego Cenzoratu! Ci ludzie sięją śmierć i trwogę wszędzie, gdzie się pokażą! — wrzasnął przerażony nowicjusz, zsunąwszy się z dachu, na który wdrapał się jak kot.

—Jak mamy się bronić? — jęknął Świetlisty Punkt.

—Mamy gołe ręce przeciwko mieczom! — stwierdził z posępną miną Pięć Zakazów.

—Trzeba zastawić na nich pułapkę! Na przykład wciągnąć ich w jakiś kąt i podłożyć ogień — podsunął Ulik.

—Jest tu szopa, która mogłaby się nadać. Pełno w niej suchej słomy — powiedział nowicjusz.

—Gdzie stoi?

—O, tam!

Naprzeciwko głównej bramy po drugiej stronie podwórza, za wrotami, których oba skrzydła nowicjusz otworzył na oścież, znajdowała się szopa wypełniona aż po dach słomą.

—Trzeba ich tam zwabić, zamknąć drzwi i podłożyć ogień! Upieką się żywcem, jakby znaleźli się w paszczy żarłocznego smoka Taotie — wykrzyknął z zapalem mnich.

—Co tu się stało?

Dwie młode kobiety, zaalarmowane przekleństwami napastników, którzy walili już w bramę klasztoru, odkryły ciało Firuza, leżące pod ścianą na podwórku.

—Próbował zamordować twojego męża! Obezwładnił go Ulik, ale jego sztylet obrócił się przeciwko niemu samemu!

— wyjaśnił Pięć Zakazów Nefrytowemu Księżycowi, która wtuliła się w ramiona męża.

—Trzeba coś zrobić! Atakują nas agenci tajnej policji — przypomniał Świetlisty Punkt.

—Pójdę otworzyć zewnętrzną bramę, a potem rzucę się do szopy z sianem, krzycząc do żołnierzy, żeście się tam schowali. Wy dwaj zanikniecie za ostatnim żołnierzem drzwi, a potem



wrzucicie do środka zapaloną żagiew! — szepnął Pers do Świetlistego Punktu i Oręża Prawa.

—Narazisz się na spalenie żywcem! — zaprotestował Świetlisty Punkt.

—Nie bójcie się, jestem zwinny jak kot i szybko się stamtąd wydostanę — zapewnił Ulik.

Kiedy wszyscy ukryli się tak, że nie było ich widać, Ulik ruszył do bramy, którą żołnierze rozbijali już siekierą, i otworzył ją gwałtownie.

—Za mną! Uciekinierzy ukryli się w tamtej szopie! — wrzasnął, wskazując szeroko otwarte wierzeje po drugiej stronie podwórza.

—To ty doniosłeś na nich na posterunku policji w Drugim Obwodzie? — zapytał jeden z żołnierzy, wyglądający na dowódcę.

—Tak, to ja! — potwierdził Ulik, chwytając w lot jego sugestię.

Żołnierze weszli do szopy, a Pers zamknął za nimi wierzeje.

Pięć Zakazów, który czekał, trzymając płonąca żagiew przyniesioną z kuchni przez nowicjusza, zawahał się.

Czy ma ją wrzucić do środka, jak powiedział Ulik? Bał się, że jeśli wprowadzi ten plan w życie, młody Pers zginie.

—Nie zdobędę się na to! — wykrzyknął, czując napływające do oczu łzy.

—Jeżeli nie podpalisz tej szopy, będziemy zgubieni! A razem z nami nasze kobiety... — zauważył Świetlisty Punkt.

Ich uszu dochodził hałas, jaki żołnierze robili w szopie, gdzie zamieszanie sięgnęło szczytu. Agenci Wielkiego Cenzoratu, którzy błyskawicznie przetrząsnęli siano, nie potrzebowali dużo czasu, żeby zwietrzyć podstęp...

Przygnębiony Pięć Zakazów nie miał wyboru. Zdusił szloch i wrzucił rozżarzoną żagiew przez okrągłe okienko nad drzwiami szopy.

Siano zajęło się natychmiast. Ogień objął rozdrobnioną i rozrzuconą paszę tak prędko, że ściany szopyomal nie rozleciały się od podmuchu.

Po chwili, która pozostałym na dworze wydawała się wiecznością, rozległy się rozdzierające krzyki, a jednocześnie w powietrzu rozszedł się straszliwy swąd palonych ciał.

—To straszne! — szepnęła Umara, tuląc się do ukochanego.

—Biedny Ulik! Nigdy nie zdoła się stamtąd wydostać! — jęknęła Nefrytowy Księżyc, która także schroniła się w ramionach męża.

—Ulik poświęcił się dla was! Oto szlachetny gest, godny żarliwego buddysty — powiedział łagodny głos, z pewnością należący do mędrca, który rozumiał wszystko.

Odwrócili się. W towarzystwie Addaia Aggaia i Napełnionego Spokojem zbliżał się ku nim stary przełożony klasztoru. Na podwórzu nadal leżał trup Firuza. Wszyscy wbili wzrok w płonący dach szopy, z której dobywał się ogromny słup czarnego dymu.

—Ogień oczyszcza wszystko! — szepnął wstrząśnięty i zarazem zafascynowany tym widokiem manichejski Wielki Doskonały.

—*Om!* — wykrzyknął manipa, wyskakując z izby, w której spał z zaciśniętymi pięściami. Zbudził go dopiero ten harmider.

—W naszej religii ogniem wypełnione jest piekło! — odezwał się zakłopotany biskup nestorianów, którego twarz wykrzywił grymas przerażenia.

—Ten Pers, który uratował nam życie, nie był nawet wyznawcą Siddharty Gautamy! — zawołał Pięć Zakazów, z trudem powstrzymując łzy.

—Mógłby nim zostać. Jestem pewny, że Błogosławiony Budda nie pozwoli, aby w następnym wcieleniu Ulik odrodził się jako niższa istota. Ten człowiek postąpił jak bodhisattwa — dodał stary mahajański mnich, który spędził życie na medytacji

nad niezmiernym bólem istnienia w maleńkiej izbie wiejskiego klasztoru.

— Możliwe, że nim był! — odrzekł wzruszony Pięć Zakazów.

Być może stary mnich wcale się nie mylił.

Bo czyż od ich pierwszego spotkania w kraju Bod Ulik nie kierował się współczuciem wobec innych?

W licznych wcześniejszych wcieleniach Budda odżywał w osobach bodhisattwów, którzy przyjmowali zaskakujące powłoki cielesne, czasami bardzo odległe od powszechnych wyobrażeń na temat świętości.

Pięć Zakazów nie widział niczego dziwnego w tym, że Budda Przyszłości mógł obrać sobie siedlisko w ciele Ulika. Być może za tysiące lat będzie się opowiadać o jednym z przeszłych żywotów Buddy pod postacią młodego perskiego tłumacza, dzięki któremu Niebiańskie Bliźnięta uniknęły ponurego losu, jaki gotowali im bandyci z gościńca.

—Musicie wynieść się stąd wszyscy, zanim wieści o tych wypadkach dotrą do uszu policji. Słup dymu, który unosi się nad klasztorem, musi być widoczny z Chang'anu. Uciekajcie, póki czas! Pragnie tego Błogosławiony! Gdyby tak nie było, nie zesłałby wam na pomoc Ulika! — dodał cicho staruszek.

—Ale mogą was aresztować! — odpowiedział Pięć Zakazów.

—Nasze życie jest tutaj! Kiedy policja stwierdzi, że w moim klasztorze nikt się nie ukrywa, zostawi nas w spokoju.

—*Om mani peme hung! Om!* — wykrzyknął manipa, poruszony tym, co właśnie przeżył, po czym fiknął kozła do tyłu, wprawiając wszystkich w zdumienie.

—Awalokiteśwara z pewnością wysłucha prośb tego manipy — powiedział stary przełożony, błogosławiąc swoich gości, którzy zaczęli się już zbierać do drogi.

Tak więc pospiesznie i we łzach porzucili to miejsce, w któ-

rym bez pomocy Persa Ulika zostaliby wylapani jak szczury. Ruszyli przez pola w kierunku wioski, gdzie przystanęli, żeby się orzeźwić.

—Dokąd się teraz udacie, żeby założyć rodzinę? — zapytała Umara, zwracając się do Świetlistego Punktu i Nefrytowego Księżyca.

—Przede wszystkim chciałabym zobaczyć Niebiańskie Bliźnięta. Widziałam je tylko przez chwilę w okolicy Nefrytowej Bramy, podczas tej pamiętnej nocy, kiedy to szczęśliwy los chciał, żebyśmy was poznali. Jestem pewna, że mają coś wspólnego z tym, żeśmy się odnaleźli! — wykrzyknęła młoda Chinka, ku wielkiemu zaskoczeniu Umary.

—A ja myślałem, że nie wierzysz w nic, prócz samej siebie! — zażartował jej manichejski małżonek, wywołując lekkie zdziwienie Wielkiego Doskonałego.

—Z wielką przyjemnością weźmiemy was pod nasze skrzydła aż do Luoyangu, jako że Klejnot i Lotos przebywają w Klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa! — oświadczył Pięć Zakazów.

Pięć Zakazów i Umara siedzieli, trzymając się za ręce. Najdalej za trzy dni powinni dotrzeć do Luoyangu.

— A jeśli ty też jesteś reinkarnacją jakiegoś bodhisattwy? Po tym, co powiedział ten stary mnich, zadałam sobie w końcu to pytanie... — szepnęła Umara, kiedy płynęli barką na drugą stronę kanału.

Pięć Zakazów spojrział na nią, żeby sprawdzić, czy nie żartuje. Ona spoglądała jednak na niego poważnie. Jej dwukolorowe oczy lśniły niczym szlachetne kamienie. Uśmiechnął się do niej.

Za ich plecami, skuleni obok siebie na ławkach, leżeli głęboko uśpieni manipa, Addai Aggai i Napelniony Spokojem. Natomiast Nefrytowy Księżyc i Świetlisty Punkt, którzy usiedli trochę dalej, obejmowali się namiętnie i bez skrzepowania, na

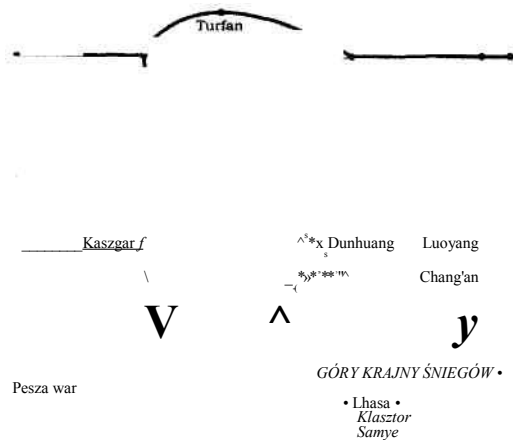
oczach trochę zdziwionej kupieckiej rodziny, która udawała się do Luoyangu, żeby sprzedać na tamtejszym rynku haczyki do łowienia ryb.

Umara uśmiechnęła się, opierając głowę na ramieniu ukochanego.

Powietrze pachniało upajająco.

Aromaty przyrody, która rozsiewa je z nadejściem wiosny. Wyczerpana Umara zamknęła oczy.

Wszystko szło doskonale.



# 17

## *Chang'an, stolica Tangów*

W zadymionym biurze generała Zhanga panowała ciężka atmosfera. Wydawało się, że powietrze można kroić nożem.

—Należy przeszukać koryto rzeki Luo, tam, gdzie uzurpatorka znalazła kamienie, które pokazała nam na Święcie Wiosny. Nie da się wydobyć z wody tak wielkich głazów bez maszynierii, a takową cesarzowa nie dysponuje. Jestem pewny, że prawdziwe prorocze kamienie jeszcze tam są! — zagrział były pierwszy minister cesarza Taizonga.

—A co ze słowami dziewczynki o twarzy koczkodana, które zdają się potwierdzać prawdziwość twierdzeń Wu Zhao? — zaoponował Han Yuan, gruby kanclerz, który zaciągał się dymem z długiej fajki.

—Znając spryt cesarzowej, można przypuszczać, że kazała małej nauczyć się na pamięć tego, co ma powiedzieć, żeby przysłużyć się dobrej sprawie. Trzeba wyciągnąć to wszystko na światło dzienne — odparł pełnym nienawiści głosem stary zgorzkniały konfucjanista.

—Dajcie mi kilka dni, a dostarczę wam odpowiedź! —  
powiedział cicho prefekt Li.

Wiedział, że nieszczęścia chodzą parami, i pokazanie przez Wu Zhao głązów z rzeki Luo postawiło Wielkiego Cenzora, który powinien był wiedzieć o wszelkich knowaniach w Państwie Środka, w niezręcznej sytuacji. Przyjaciele wyrzucali mu, że nie przewidział tak celnego uderzenia!

—Być może powinno się przesłuchać dziewczynkę o małej buzi. Z pewnością ma do opowiedzenia ciekawe rzeczy — wtrącił Skuteczność Pozorów, który jako minister jedwabiu cudem przetrwał wszystkie burze i nie utracił stanowiska.

—To nie jest zła myśl. Zamierzam zresztą udać się do Luoyangu osobiście.

—Sam będzie ją pan przesłuchiwał? — spytał zdziwiony minister jedwabiu.

—Są zadania, których nie można powierzyć nikomu innemu. A to jest wyjątkowo delikatne — zaznaczył Wielki Cenzor.

Pragnąc dowieść kolegom, że potrafi przywrócić porządek, był gotów na wszystko. Wiedział, że jeśli mu się nie uda, skończy karierę w lochu...

— Pewne jest, że te prorocze napisy wyjątkowo dobrze służą interesom uzurpatorki. Kamienie, oznajmiające chińskiemu ludowi, że cesarzem zostanie wkrótce kobieta, zjawiły się w możliwie najlepszym dla niej momencie! Nie mogę uwierzyć, że Wielki Cenzorat nic o tym nie wiedział — zrzędził generał Zhang.

Stary konfucjanista nie był człowiekiem skłonny do poddania się bez walki. Tego dnia postanowił, że każe prefektowi Li zapłacić za wszystko.

—Zdając sobie sprawę, że mogę wyjść na głupca, potwierdzam, że tak rzeczywiście było. O głązach z Luo dowiedziałem się w tym samym momencie co i pan, u stóp góry Tai Shan! Skłoniło mnie to zresztą do aresztowania chyba z dziesięciu moich podwładnych — zaprotestował z ponurą miną prefekt.

—Cesarzowa ukartowała wszystko po mistrzowsku! Następnym razem pozostanie nam jedynie rzucić się do jej nóg



z nadzieją, że uratujemy głowy! — podsumował gorzko Han Yuan.

—Wielki Cenzor powinien użyć teraz wszelkich sposobów, żeby uchronić nas przed niekorzystnymi skutkami jej ostatniego wyczynu! Mam nadzieję, że tym razem doprowadzi swoje śledztwo do końca i nie utknie ono w piaskach pustyni Gobi! — dorzucił poważnym tonem stary generał.

—Zapewniam was, że zrobię wszystko co w mojej mocy, aby rozwikłać tę zagadkę! — jęknął prefekt.

—Byłoby to bardzo pożądane dla wszystkich, poczynając od pana! — rzekł były pierwszy minister Taizonga, nie próbując ukryć groźby zawartej w tych słowach.

Prefekt Li miał więc powody, żeby czuć się nieswojo, gdy kilka chwil potem opuszczał krąg starych konfucjanistów.

Po awanturze z proroczymi głazami, a także po fiasku wyprawy jego ludzi do świątyni, w której mieli się schronić uciekinierzy z Psiego Fortu, jego służbom i jemu samemu groziła kompromitacja.

Dla Wielkiego Cenzoratu wybiła godzina prawdy.

Należało zareagować natychmiast, a w razie potrzeby zorganizować kontratak, aby dowieść przynajmniej tym urażonym mandarynom, że agenci policji specjalnej nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

Gdy tylko prefekt Li dotarł do Luoyangu na czele oddziału dwudziestu agentów, skierował swe kroki do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa.

—Mistrz Czystość Pustki prowadzi w wielkiej sali modlitewnej południowe modlitwy. Nie mogę mu przeszkadzać — odpowiedział dozorca, któremu Wielki Cenzor wyjaśnił, że pragnie niezwłocznie rozmawiać z wielkim mistrzem *dhyany* na temat, jak się wyraził, „sprawy najwyższej wagi”.

—Ma tu przyjść natychmiast albo będę zmuszony sprowa-

dzic go siłą, choćby nawet z sali modlitewnej! — syknął prefekt Li.

— Pójdę go uprzedzić! — Dozorcę przekonał w końcu widok opasek.

Prefekt nie zdziwił się więc zbytnio, gdy po chwili zobaczył na końcu korytarza wysoką sylwetkę Czystości Pustki, na którego obliczu malowało się zaskoczenie.

— Proszę zaprowadzić mnie do Klejnotki! Chciałbym zadać jej kilka pytań na temat kamieni z rzeki Luo.

— O tej porze dziewczynka odbiera hołdy pielgrzymów.

— Sprawa jest bardzo pilna. Chodzi o oficjalne śledztwo, wszczęte na najwyższym państwowym szczeblu, jeśli rozumiecie, panie, co chcę przez to powiedzieć! — rzucił nerwowo prefekt.

— Dziś wieczorem, kiedy zamkniemy bramy klasztoru, a wszyscy wierni, którzy przybyli złożyć jej hołd, wrócą do siebie — odparł wielki mistrz *dhyany*.

Ponieważ było już późne popołudnie, prefekt Li postanowił poczekać. Gdy przyprowadzono Niebiańską Bliźniaczkę, Wielki Cenzor, ujrzawszy ją po raz pierwszy z bliska, poczuł niesmak, jak ci wszyscy, w których wygląd dziewczynki budził nieufność, jako że z powodu własnych niegodziwych postępków wszędzie dostrzegali zło.

— Panno Klejnot, proszę mnie zaprowadzić nad rzekę Luo, dokładnie tam, gdzie wskazałaś cesarzowej Wu Zhao miejsce, w którym leżały prorocze głązy.

— Ja też chcę iść! — wykrzyknął Lotos.

— No cóż, jeżeli chcesz, to chodź! Nie widzę przeszkód! — zgodził się prefekt Li.

— Nie mogę pozwolić, żeby dzieci poszły z wami na brzeg Luo bez opieki. Nie umieją pływać. Wystarczy najmniejszy fałszywy krok, a wpadną do wody i znikną w odmętach. W tamtym miejscu prąd jest bardzo silny, a w ostatnich dniach przybyło dużo wody. Wezbrany nurt rzeki Luo toczy się ze

straszliwą siłą. Jeśli coś im się stanie, cesarzowa Wu Zhao mnie zamorduje — oświadczył Czystość Pustki Wielkiemu Cenzorowi, który nie mógł się powstrzymać od skrzywienia ust na dźwięk znieawidzonego imienia.

Następnego ranka wyruszył z klasztoru w kierunku rzeki prawdziwy orszak, do którego dołączyli Oręż Prawa i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Pochód zamykał coraz bardziej znużony i zmęczony Czystość Pustki, wspierając się na ramieniu Pierwszego z Czterech Słońc Oświełających Ziemię. Na czele sunęła lektyka Niebiańskich Bliźniąt, w cieniu olbrzymiego parasola, niesionego przez dwóch nowicjuszy. Wokół nich nie przestawał gromadzić się tłum wiernych, którzy byli przekonani, że to procesja. Był tak gęsty, że idący musieli rozpychać się łokciami, aby dotrzeć do rzeki w miejscu, gdzie rozszerzała się, tworząc małe jezioro, z którego biały słoń wyciągnął proroczy głazy.

— Oddalcie się od rzeki, smok, którego za chwilę rozdrażnicie, może nagle wyskoczyć i pożreć wasze stopy! — wykrzyknął prefekt Li do najodważniejszych z tłumu, którym ciekawość kazała podejść do samego brzegu.

Wszyscy odeszli natychmiast parę kroków, niczym chmara przestraszonych wróbli. O tak wczesnej godzinie od rzeki wiało nocnym chłodem, a jej powierzchnię zakłócały niezliczone wiry, które znikwały równie szybko, jak się tworzyły.

—Mój poprzednik, który usłyszał o tym z ust poprzedniego przełożonego, mówił mi, że głazy zatopiono właśnie tu — powiedział Czystość Pustki, zwracając się do Wielkiego Cenzora.

—Jak mam się upewnić, że ich tu nie ma? A gdyby nawet było tak, jak mówicie, to za sprawą jakiej cudownej siły zostały wyciągnięte z tych burzliwych wód, mistrzu Czystość Pustki? — spytał z powagą prefekt Li.

—Głazy obwiązano sznurami, a potem wyciągnął je z wody

biały słoń. Zrobił to z taką łatwością, jakby to były małe kamyczki! — rozległ się cienki głosik Klejnotki.

—Tak, wyciągnął je biały słoń! On jest wielki jak góra śniegu. A swoją trąbą potrafi wyrwać drzewo z korzeniami!

— potwierdził Lotos.

—Biały słoń? Wielce zagadkowa sprawa! Gdzie może znajdować się to zwierzę? — szepnął do Szlachetnej Ośmio-rakiej Ścieżki Oręż Prawa, któremu słowa dzieci przywiodły na myśl świętego słonia Jedynej Dharmy.

—Jeszcze kilka dni temu można było zobaczyć, jak się bawi i zjada owoce i młode pędy drzew w Parku Piwonii letniego pałacu. Znajduje się on trochę dalej, w górę rzeki! Jeżeli sobie życzycie, pójdę z wami i go wam pokażę — zaproponował Czystość Pustki.

—Skąd on się tu wziął? — zapytał indyjski mnich, którego serce waliło jak oszalałe.

—Nikt tego nie wie. Mówią, że słoniem opiekował się dziwny osobnik, który kręcił się koło cesarzowej, ale ja nigdy go nie widziałem! — odparł z posępną miną wielki mistrz *dhyany*, który z zasady unikał mówienia czegokolwiek, co mogłoby nadszarpnąć reputację Wu Zhao.

Ten co najmniej zdumiewający dialog toczył się na oczach osłupiałych wiernych, którzy nie mieli pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

— Wydaje się, że dzieci mówią prawdę. A przynajmniej trudno podejrzewać, aby tak młode istoty kłamały... Mimo to nie ma żadnego dowodu na prawdziwość ich słów... — rzekł z trochę nieufną miną Wielki Cenzor, dokonawszy szybkiej inspekcji brzegu rzeki.

Jak widać, jego nieufność względem Czystości Pustki nie zniknęła.

—Nie jestem kłamczucha! Powiedziałam prawdę! — wykrzyknęła Klejnotka i zaczęła płakać.

—Pan jest niedobry! Moja siostra rozpląkała się przez

pana! To niegrzecznie! — dodał rozgniewany Lotos, który zaczął uderzać ze złością zaciśniętymi piąstkami w wydatny brzuch prefekta Li.

—Trzeba to sprawdzić! Jeżeli głazów nie ma już pod wodą, będzie to oznaczało, że ten słoń rzeczywiście je wyciągnął! — ośmielił się zaproponować Czystość Pustki, który chciał położyć kres dyspacie między Niebiańskimi Bliźniętami i Wielkim Cenzorem Państwa Środka.

—Kto z was umie pływać?! — wrzasnął prefekt Li do swoich ludzi, których przerażone spojrzenia wiele mówiły o ich pływackich umiejętnościach.

—Nie wygląda na to, żeby znaleźli się tacy, którzy mieliby ochotę zanurzyć się w Luo... — zauważył z rozbawieniem przelożony z Luoyangu.

—Czasami zadaję sobie pytanie, w jaki sposób rekrutuje się moich agentów! Trzeba było przejść taki kawał drogi, żeby się dowiedzieć, że żaden z moich ludzi nie umie pływać. To już naprawdę szczyt wszystkiego! W końcu sam będę musiał skoczyć do tej rzeki!

—Ekscelencjo, ja spróbuję zanurkować... — wyjąkał drżącym głosem jeden z najmłodszych agentów.

—Zostaw to mnie, głupku. Zaraz zobaczysz, co potrafi prefekt Li! Popatrzcie i bierzcie ze mnie przykład!

Nikt z tłumu widzów nie podejrzewał Wielkiego Cenzora o udawanie, kiedy zaczął się pospiesznie rozbierać.

To, że jeden z najwyższych urzędników państwowych poczuł się zmuszony osobiście skoczyć do wody dla potrzeb prowadzonego przez siebie śledztwa, wydało się czymś niezwykle tym prostym ludziom, którzy wyobrażali sobie, że Wielki Cenzorat jest jedną z najskuteczniejszych i najgroźniejszych służb policyjnych Chin.

A jednak coś takiego działo się właśnie na ich oczach.

Prefekt Li, przeczuwając, że Wu Zhao celowo wplątała go w całą tę historię, tak bardzo pragnął uwieńczyć sukcesem

swoje poszukiwania, że gdy tylko stanął z gołym torsem, nie włożył do wody nawet palca u nogi, żeby się upewnić, czy nie jest zbyt zimna, ale skoczył nogami do przodu.

— Jest trochę chłodniejsza, niż myślałem! — zdążył wykrzyknąć, zanim wiry wessały go na dno rzeki.

W miejscu, w którym zniknęły trzepocące jak pletwy stopy prefekta, na powierzchni ukazało się kilka niedużych bąbelków. Po chwili wychynęła jego głowa, okryta algami.

— Popatrzcie tylko, na co natrafiła moja ręka, właśnie tu taj! — wykrzyknął, łapiąc ciężko powietrze.

Ciągnął za sobą bezkształtne ludzkie zwłoki, a właściwie szkielet, który ryby objadły już w połowie z ciała. Jedną z brodawek na piersi, która jakimś cudem ocalała, przebijał pierścień z brązu. Wielki kamień, uwiązany płataniną sznurów do jego szyi, zdawał się wskazywać, że ciało zostało tu rzucone przez kogoś, kto nie chciał, aby kiedykolwiek wypłynęło.

Podbiegło dwóch agentów, żeby wyciągnąć trupa na brzeg pośród krzyków tłumu, w których mieszało się zaskoczenie, podziw i przestrasz.

Tyle tylko zostało z Szalonego Obłoku kilka tygodni po tym, jak Niemowa udusił go i rzucił w to miejsce z kamieniem uwiązanym do szyi.

— Trup! Nie do wiary!

— Prawie same kości.

— Popatrzcie na tę brodawkę, przekłutą pierścieniem!

Słysząc było coraz więcej uwag i komentarzy.

— Nie myliłem się, sądząc, że wszystko to jest w najwyższym stopniu podejrzane! — dodał Wielki Cenzor, który pozostał w wodzie i starał się złapać oddech.

— Panie prefekcie, życzy pan sobie, żebyśmy zanieśli te zwłoki do kostnicy? — zapytał jeden z jego ludzi.

Ale Wielki Cenzor Cesarski, zamierzając przeszucać warstwę mułu, w której natrafił już na tak interesujące znalezisko, znowu zanurzył się w burzliwych wodach rzeki.

Wszyscy wstrzymali oddech, z wyjątkiem Niebiańskich Bliźniąt, które rozpląkały się z przerażenia na widok w połowie zgniłego trupa i prawie nie reagowały na słowa Oręża Prawa i Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki, którzy próbowali je uspokoić.

Dzieci asystowały przy wyciąganiu z rzeki trupa ich ojca. Nigdy nie miały się o tym dowiedzieć.

Kwestia ta nie miała już zresztą żadnego znaczenia: uznanie ich w Luoyangu za żywe bóstwa eliminowało potrzebę jakichkolwiek dociekań na temat ich pochodzenia.

Czystość Pustki był wstrząśnięty: co ten trup robił w wodach Luo?

Tajemnice nie przestawały się mnożyć.

Co do Wielkiego Cenzora, to nikt nie domyślał się, iż lodowata woda, do której skoczył, wywołała nagle zatrzymanie pracy jego serca.

Upłynęły długie minuty, ale Wielki Cenzor nie wynurzył się. Zaniepokojenie zaczęło ogarniać gapiów, których było coraz więcej, gdyż wieść o odkryciu trupa w mig się rozeszła.

—To dziwne, że Wielki Cenzor tak długo nie wypływa! — zauważył po dłuższej chwili Oręż Prawa.

—Niepokoi mnie to. Już dawno temu powinien wystawić głowę, żeby zaczerpnąć powietrza. Chyba że w którejś z poprzednich egzystencji był rybą—dodał przygnębiony Czystość Pustki.

Mimo iż nieostrożny prefekt Li nie należał do ludzi budzących sympatię i współczucie, coraz bardziej przerażony tłum był przekonany, że to, co mu się przydarzyło, było sprawką smoka z rzeki Luo.

Tylko agenci, pewni, że ich zwierzchnik jest niezniszczalny, nie wydawali się szczególnie zaniepokojeni. Dopiero po chwili najmłodszy z nich wykrzyknął:

— Banda głupców! Nie widzicie, że cenzorowi musiała przeszkodzić w wynurzeniu się jakaś nieprzewidziana prze-

szkoda? — Po czym sam rzucił się do rzeki i zniknął równie prędko jak jego zwierzchnik.

Po jakimś czasie wszyscy musieli uświadomić sobie oczywistą prawdę, że zielonkawe wody Luo na dobre pochłonęły zarówno młodego agenta specjalnego, jak i Wielkiego Cenzora. Na powierzchnię nie wypłynął żaden z nich, co uniemożliwiło zdobycie jakiegokolwiek dowodu na to, że święte kamienie wciąż się tam znajdują.

—Wracajcie do domów! Tu nie ma nic do oglądania! Rzeka zabrała tych dwóch ludzi! — wykrzyknął potężnym głosem Czystość Pustki, co wywarło taki skutek, że większość ciekawskich zaczęła się rozchodzić.

—Moje słowa odnoszą się także i do was. Na waszym miejscu natychmiast zawiadomiłbym przełożonych, zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót! — dodał wielki mistrz *dhyany*, zwracając się do agentów, którzy zaczęli uświadamiać sobie rozmiary katastrofy, w jakiej pogrążyło ich utonięcie przełożonego.

Odeszli w milczeniu.

—Czy nie należałoby przygotować stosu do spalenia tych zwłok, w połowie zjedzonych przez ryby? U nas, w Indiach, tak właśnie postępujemy, kiedy znajdujemy w dżungli ludzkie ciało rozszarpane przez tygrysy — zaproponował pomocnik świętej pamięci Buddhabadry, pochylony nad ciałem jego zabójcy.

—Doskonała myśl. Zaraz wydám stosowne polecenia! — odparł wielki mistrz *dhyany*.

—Ten pan popełnił błąd, że nam nie uwierzył! Głazy były zatopione w wodzie właśnie w tym miejscu, kiedy wyciągał je biały słoń! Powiedziałam prawdę! — zawołała Klejnotka, w której oczach wciąż błyszczały łzy.

—Moje dzieci — westchnął Czystość Pustki — zniknięcie Wielkiego Cenzora nie jest stratą, w przeciwieństwie do śmierci młodego agenta, któremu wielkoduszność i nieświadomość



kazały popełnić nieodwracalny czyn. Prefekt Li spędził życie na czynieniu zła i sianiu strachu... Jestem pewny, że odrodzi się jako znacznie łagodniejsza istota niż ta, którą był w tym wcieleniu! W każdym razie nie życzę mu niczego gorszego...

Gdy wracając do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, weszli do Parku Drzewiastych Piwonii, wciąż jeszcze poruszeni tym, co właśnie przeżyli, Oręż Prawa zatrzymał się nagle na widok słonia albinosa, który wyglądał dokładnie tak, jak Niebiańskie Bliźnięta opisały go prefektowi Li. Stał spokojnie, przywiązany do palika, a wokół niego krzątały się stajenni.

Z jego szyi zwisał gruby łańcuch z czystego złota, a przed słońcem chronił go daszek. Tuż obok niego stał młody służący, trzymając tacę z bananami i owocami mango.

—Z całą pewnością jest to święty słoń z mojego klasztoru. Nie było drugiego takiego. Rozpoznałbym go pośród tysiąca innych! To istny cud, że odnalazłem go na chińskim dworze!

— wykrzyknął Oręż Prawa, a potem podszedł do zwierzęcia i uważnie obejrzał jego kły i trąbę.

—To na pewno on! Nie znam żadnego słonia, którego dałoby się z nim porównać! Wydawało mi się zawsze, że jego czerwone oczka śmieją się do mnie, kiedy przynosiłem mu banany — dodał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, któremu słoń urządził serdeczne powitanie, kiwając w górę i w dół ogromną pomarszczoną głową.

—Gdyby umiał mówić, opowiedziałby nam mnóstwo dziwnych historii! Jakim cudem się tu znalazł? Tylko on to wie!

—To ten słoń, biały jak śnieg, wyciągnął kamienie z wody! Pan Li powinien był mi uwierzyć! Pan Li niegrzeczny! — zawołała Klejnotka.

—Powiedziała świętą prawdę! — dodał Lotos. Oręż Prawa i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka spojrzeli na niego z rozczuleniem.

Niebiańskie Bliźnięta podbiegły do słonia, którego niewiarygodne umaszczenie upodabniało do boskiej istoty. Z wyraźną przyjemnością święte zwierzę z Peszawaru przyjmowało pieszczoty dzieci Manakundy i Szalonego Obłoku, które rozplywały się w zachwytach nad „słoniem cioci Wu”...

— Moje drogie dzieci, najwyższy czas wracać do klasztoru! Wybija godzina obiadu — przypomniał Czystość Pustki.

Byli w drodze do klasztoru, gdy nagle wyrosły przed nimi sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden z nich opierał rękę na ramieniu drugiego.

—Lama Gampo i Tö Ling! — wykrzyknął Oręż Prawa, który rozpoznał ich natychmiast i ruszył ku nim biegiem.

—Nie do wiary! Niech będą dzięki Świątemu Buddzie! Lama szczęśliwie do nas przybył! — dodał z przejęciem wielki mistrz *dhyany*.

—Dopiero co tu dotarliśmy. Długa jest droga z kraju Bod! Ty też się tu zjawiłeś, dotrzymałeś słowa, to dobrze — rzekł stary niewidomy lama, zwracając się do mnicha z Peszawaru, którego poznał po głosie. — Ale, ale, Orężu Prawa, jak ci poszło po powrocie do twojego klasztoru?

—Bardzo źle. Omal mnie nie zlinczowano, gdy tylko dotarłem do Jedynej Dharmy! Miejsce Buddhiabadry zajął jeden z moich dawnych współbraci. Zamierza despotycznie rządzić klasztorem!

—Zapomniałeś mi o tym powiedzieć! — odezwał się Czystość Pustki, poruszony jego słowami.

—Upowiedziałem ci, że czekam na właściwy moment, aby wszystko wyjawić!

—Musisz upomnieć się o swoje prawa! Żadnemu mnichowi nie wolno przywłaszczać sobie władzy kosztem duchowego spadkobiercy przełożonego, gdy ten umiera — ciągnął wielki mistrz *dhyany*.

—Mnisi z Klasztoru Jedynej Dharmy są zdezorientowani i sami już nie wiedzą, któremu bodhisattwie się poświęcić.

Pewnego pięknego dnia Buddhadra wyjechał bez uprzedzenia, pozostawiając wspólnotę w szponach strachu i zgryzoty! Uzurpator, którym jest mnich Klejnot Doktryny, wykorzystał tę ich niepewność — wyjaśnił Oręż Prawa.

— Klejnot Doktryny obrócił na swoją korzyść nieszczęście i chaos, w jakie popadła *sangha* Jedynej Dharmy po zaginięciu mistrza Buddhadry! — dodał ze smutkiem Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Czystość Pustki ogarnęło przygnębienie. Gdybyż o tym wiedział! Bez wątpienia zachowałby się inaczej, bardziej odpowiedzialnie i godnie!

Nie ulega wątpliwości, mówił sobie w duchu, iż godna pożałowania intryga, jaką snuł razem z Buddhadra, nie uprzedzając o niczym mistrza Gampo, nie wyrządziłaby tyle zła tak wielu niewinnym istotom...

Tymczasem dotarli do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa i Czystość Pustki zaprowadził wszystkich do jadalni. Mnisi i nowicjusze kończyli właśnie zupę, która stanowiła ich obiad. Wielki mistrz *dhyany* posadził gości i poprosił kucharza, żeby przyniósł czarki z pachnącym kleistym ryżem, jedyną nieco bardziej wyszukaną potrawą, na jaką sobie pozwalał.

—Czego potrzebujesz, żeby wrócić do siebie i usunąć tego nieuczciwego mnicha? Jeśli będzie trzeba, jestem gotów zapalić dziesięć tysięcy świec, byle tylko oddano ci sprawiedliwość, Orężu Prawa — zapewnił Czystość Pustki, którego oburzenie nie było udawane.

—Wystarczyłoby nowe spotkanie w Lhasie i wszystko będzie jak dawniej! To takie proste... — odparł cichym głosem Oręż Prawa, patrząc w oczy wielkiemu mistrzowi *dhyany*.

—Niestety, jeszcze długo nie da się do niego doprowadzić! — westchnął przełożony z Luoyangu znużonym głosem, w którym pobrzmiwała rozpacz.

—Może wcale nie tak długo... — odparł tajemniczo hinajamista z Peszawaru.

—Oby wysłuchał cię Błogosławiony. Jakże tęsknię za czasami, kiedy się spotykaliśmy. Dążyliśmy wtedy do zjednoczenia! Bardzo bym chciał usunąć chmury, które zawisły nad naszymi stosunkami — rzekł Czystość Pustki.

Lama Gampo uronił łzę. Nigdy dotąd Czystość Pustki nie mówił w taki sposób o spotkaniach w Lhasie. Nie był to już dumny przełożony, któremu tak bardzo zależało na wspieraniu interesów jego szkoły, że gotów był sprzeczać się o drobiazgi. Teraz był człowiekiem kierującym się sercem. Mistrz Gampo zauważył, że przyjaciel z Wielkiego Wozu zmienił się nie do poznania.



*fM rfa n^V*  
Kaazgar / \      ^X^Dunhuang      Luoyang  
    ^000^      Chang'an ^

Peszawar

GÓRY KRAINY ŚNIEGÓW •

• Lhasa •  
Klasztor  
Samye

## 18

### ***Klasztor Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu***

Był to istny cud, że zebrali się tu razem, w tej godzinie wyjaśnień i usuwania wątpliwości, która w końcu wybiła.

Niektórzy z nich trafili tu przypadkiem, inni dlatego, że tego pragnęli.

Obecni byli ci, którzy często z powodu nieufności i pokusy obracania wszystkiego na swoją korzyść ukrywali prawdę.

Ale byli też inni, którzy nie mieli żadnego wpływu na bieg wydarzeń, ale ponieśli ich konsekwencje, przez co byli czasami bardzo nieszczęśliwi.

W wielkiej sali modlitwowej Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa zebrali się ludzie w dziwny sposób połączeni przez Jedwabny Szlak, a tak bardzo spragnieni rozwikłania nagromadzonych zagadek, których rozwiązanie każdy znał tylko częściowo.

Wszyscy przemierzili wielokrotnie tę drogę karawan, umożliwiającą prowadzenie handlu, a przede wszystkim nieustannego

dialogu między Wschodem i Zachodem. Wędrowali między  
środkowymi Chinami, Krainą Śniegów, Peszawarem i północ-

nymi Indianami, poprzez rozsiane na niej oazy — Dunhuang, Turfan, Hami, Kaszgar i Hetian, docierając nawet do Palmyry i Bagdadu.

Na podwyższeniu z cedrowego drewna, które lśniło jak laka dzięki temu, że zostało wypolerowane przez nowicjuszy, usiedli Czystość Pustki, Oręż Prawa, Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, lama Gampo i Tö Ling.

U stóp podwyższenia, na wąskiej ławce z drewna tekowego, na której zwykle zasiadały mniszki i nowicjuszki, zajęli miejsce Nefrytowy Księżyc i Świetlisty Punkt, a obok nich Umara i Pięć Zakazów. Tuż za nimi manipa pilnował Lapiki, która przytuliła się do jego nóg, jakby zdawała sobie sprawę, że jest to chwila szczególnie uroczysta i ważna. Na ustawionej z tyłu ławce przysiedli dyskretnie Addai Aggai i Napełniony Spokojem.

W ogromnej sali, w której jednakowo ascetyczni Chińczycy i Tybetańczycy usiedli twarzą w twarz w pozycji lotosu, gardłowy głos niewidomego lamy brzmiał niczym bębniecie deszczu o dach.

—Mam nadzieję, że dobrze spałeś, mistrzu Gampo — powiedział na powitanie Czystość Pustki.

—Zmęczenie wędrówką sprawia, że nam, starcom, potrzebny jest odpoczynek. Noc była spokojna i krzepiąca!

—Mogę tylko pochwalić twoją odwagę. Podjąłeś tak daleką wędrówkę!

—Czułem, że muszę z tobą porozmawiać. Jesteśmy sobie winni wyjaśnienia! Jednego z nas spotkała śmierć, myślę o naszym przyjacielu Buddhabadrze. Uważam, że nie musiało do niej dojść! — rzekł powoli i cicho stary lama z Same.

—Wyrażam nadzieję, że Błogosławiony pozwolił mu przyjąć cielesną powłokę, która przybliży go do nirwany, bez względu na jego winy! — powiedział Czystość Pustki.

—Podzielam twoje zdanie. Pokój jego prochom. Życzę pomyślnych wiatrów jego duszy! Ale dziś chodzi nie o śmierć

Buddhabadry, ale o ciebie i o mnie, o nasze stosunki, które nie są już tak dobre jak niegdyś; o nasze słowa wypowiedziane i niewypowiedziane! Musimy dokonać rachunku sumienia i wyjawić prawdę! — odparł Tybetańczyk.

—Myślę, że przyświeca nam słuszny cel. Jeśli tego nie zrobimy, to wątpliwości i podejrzenia nadal będą siać między nami spustoszenie! Nigdy nie zdołam odwdziżyć ci się za to, że zrobiłeś pierwszy ruch — rzekł łagodnie wielki mistrz *dhyany*.

—Tylko od ciebie zależy, czy powróci zaufanie, podkopane niewłaściwymi uczynkami! Dobrze wiesz, co mam na myśli!

— powiedział mistrz Gampo głosem, który zdawał się dobiegać z tamtego świata.

Milczenie Czystości Pustki świadczyło, że był zakłopotany. Przełożony z Luoyangu wiele sobie wyrzucił, a jego rozmówca po mistrzowsku znajdował miejsca, które bolały.

—Abym mógł zrozumieć, co masz na myśli, musisz wyrazić się jaśniej, mistrzu Gampo! — wymamrotał w końcu.

—Gdy przybyłem tu po raz pierwszy, żeby się z tobą spotkać, musiałem długo cię przekonywać, że spotkania w Lha-sie są pożyteczne. Bez wątpienia obawiałeś się, że twoja szkoła, najliczniejsza i najpotężniejsza, utraci przewagę nad innymi! Jednak to silnym jednostkom wypada zawsze zrobić pierwszy krok. Pycha jest złym doradcą. Kto dziś jest wielki, jutro może być mały, i na odwrót!

—Skłamałbym, gdybym zaprzeczył twoim słowom, mistrzu Gampo. W tamtej epoce Wielki Wóz kwitł. Jednak mimo wątpliwości zgodziłem się na grę, którą mi proponowałeś! — zaprotestował zwierzchnik chińskiej mahajany. — Twoje słowa i twoja postawa przekonały mnie o potrzebie spotkań co dziesięć lat, i potwierdzenia ustaleń co lat pięć.

—Gdybyś zechciał, między trzema prądami buddyzmu znów mogłyby zapanować pokój i zgoda. To, co nas łączy, jest



dużo mocniejsze niż to, co nas dzieli — powiedział stary lama, aby przejść do sedna sprawy.

— Twoje rozumowanie zbiega się z moim. Jednak wobec braku cennych rękojmi nie da się nic zrobić! Próba ich odzyskania nie była błędem z mojej strony. Posunąłem się do tego, że poleciłem przyprować tu, nie pytając jej o zdanie, czego żałuję teraz z głębi serca, córkę Addaia Aggaia, ale nie zdało się to na nic! — odparł wielki mistrz *dhyan*.

Wskazał Umarę, którą tak uszczęśliwiło odnalezienie Pięciu Zakazów, że mimo powagi okoliczności, jej piękną twarz rozjaśniał promienny uśmiech.

—Wybaczyłam wam to, mistrzu Czystość Pustki. Działaliście w dobrej wierze, nawet jeśli Pięć Zakazów i ja sama czuliśmy się skrzywdzeni — powiedziała.

—W tym, co dotyczy mojej osoby, nie mógłbym zarzucić wam niczego. Złamałem przecież regułę! Poza tym nigdy nie zdołałem odwdziżyć się wam za zwolnienie mnie ze ślubów czystości! — wykrzyknął Pięć Zakazów, który ścisnął dłoń ukochanej.

—Wszystko jest tutaj, w podróźnej torbie lamy Tō Linga — wtrącił mistrz Gampo.

—Masz na myśli cenne rękojmie spotkań w Lhasie? — wyszeptał drżącym głosem Czystość Pustki.

—Przecież to właśnie mówię! To jest główny powód, dla którego uznałem za właściwe, mimo podeszłego wieku, przybyć aż tu. Wcześniej poprosiłem Oręż Prawa, żeby stawił się w imieniu Małego Wozu, wobec tragicznej śmierci zwierzchnika tej szkoły...

—To cud! — wykrzyknął poruszony Czystość Pustki, którego twarz dziwnie pobladła.

—Nie musisz nazywać tego cudem. Czuwa nad nami Błogosławiony Budda.

—Odzyskałeś więc rękojmie tybetańskiego lamaizmu, którą

ten sprytny Szalony Obłok zatrzymał dla siebie? — szepnął coraz bardziej oszołomiony wielki mistrz *dhyany*.

—I którego nieobecność spowodowała zerwanie naszego ostatniego spotkania — dokończył niewidomy lama.

—Jak ją zdobyłeś?

—Wcale jej nie szukałem! Trzy cenne rękojmie same wróciły w końcu do Samye.

—Łącznie z *Sutrą o logice Czystej Pustki!*

—Wszystkie relikwie znalazły się tam jednocześnie, jakby sam Błogosławiony prowadził tych, którzy wzięli to na swoje barki...

—Kogo masz na myśli?

—Pięć Zakazów, jeśli chodzi o sutrę, po którą go wysłałeś, oraz pewnego młodego Chińczyka o imieniu Kłębek Kurzu, jeśli idzie o Oczy Buddy i mandalę wadźrajany.

—Jestem szczęśliwy! Muszę ci wyznać, mistrzu Gampo, że zmieniłem mój punkt widzenia...

Najsławniejszy mistrz *dhyany* w Luoyangu i w całych Chinach uśmiechnął się jak niewinne dziecko.

—Mam co do tego wątpliwości! Rozmyślając nad niewytłumaczalnym zachowaniem Buddhadrady, doszedłem do wniosku, że ty i on musieliście zawrzeć za moimi plecami jakiś układ — rzekł ze smutkiem niewidomy lama.

—Odnoszę dziwne wrażenie, że Buddhadrada ukrył przed nami coś niezmiernie ważnego, i zrobił to bardzo sprytnie. Zacząłem w końcu przypuszczać, że próbował oszukać nas obu, i ciebie, i mnie! — wyjąkał z zakłopotaniem Czystość Pustki.

—Trzeba skończyć z tym jątzeniem starych ran.

—Jeśli moje zachowanie nie było przykładne pod każdym względem, to tylko dlatego, że chciałem zabezpieczyć interesy Wielkiego Wozu, ponieważ uważałem, iż są zagrożone! — wyznał mistrz *dhyany*, poruszony do głębi wyrzutami sumienia.

—Brak zaufania jest grzechem, Czystość Pustki, ponieważ

prowadzi do zaniku współczucia względem innych! Ale Błogosławiony Budda przebacza w swym miłosierdziu wszystkim tym, którzy wyrażają szczerą skruchę.

— Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że jestem tylko zwykłym grzesznikiem, to nie będę zaprzeczał! — odrzekł Czystość Pustki, w którego oczach pojawiły się łzy.

Wszyscy patrzyli na niego zdumieni. Nikt nie widział nigdy przełożonego z Luoyangu tak wzruszonego.

—Czystość Pustki, twoje łzy są pierwszym krokiem ku zbawieniu! — zapewnił go niewidomy Tybetańczyk.

—Czy nie uważasz, że Buddhabadra prowadził z nami jakąś grę?

—Tak.

—Pomyśl tylko, ile trudu kosztowało nas wymuszenie na nim, żeby nam przyniósł Oczy Buddy, w sytuacji, gdy wcześniej ograniczał się do przynoszenia jedynie Świętej Rzęsy Błogosławionego... — powiedział Czystość Pustki.

—To prawda, że kolejne losowanie skończyło się odzyskaniem przez wszystkie szkoły relikwii. Nagle okazało się, że rękojmie przestały pełnić swoją rolę — odparł mistrz Gampo.

Jego głos drżał, tak jakby odpowiedź, której właśnie udzielił, nie była pełna.

— W istocie, kłopoty zaczęły się od tego i od niewytłumaczalnej nieobecności Szalonego Obłoku... — wyszeptał zamyślony Czystość Pustki, a po chwili podjął: — Tego samego wieczoru, kiedy spotkanie zostało zerwane z powodu braku świętej mandali i niestawienia się człowieka mającego ciągnąć losy, usiadłem z Buddhabadra na jednej z kamiennych ław na głównym dziedzińcu twojego klasztoru. Zapropomował mi wtedy układ, zgodnie z którym miał mi przekazać Oczy Buddy, żebym mógł je umieścić w tutejszym relikwiarzu, na głównym ołtarzu tej sali modlitwowej. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że dysponując relikwią, którą czciły już miliony hinduskich wyznawców, uczyniłbym z mojego klasztoru największy ośro-

dek buddyzmu na świecie. Co byś zrobił na moim miejscu, mistrzu Gampo?

—Każdy układ kryje jakiś rewanż. Co miałeś dać Buddhadrze w zamian? *Sutrę o logice Czystej Pustki*? — zapytał lama.

—Zażądał, żebym dostarczył mu sadzonki morwy i jaja jedwabnika. Zamierzał założyć w Peszawarze przędzalnię i tkalnię jedwabiu. Twierdził, że dzięki temu Klasztor Jedynej Dharma zarobi mnóstwo pieniędzy, za które będzie mógł kupić wiele relikwii!

—Mistrzu Czystość Pustki, przypominam sobie, że kiedy wysyłałście mnie do Same, widziałem w waszej izbie sadzonkę morwy! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Masz dobrą pamięć i zmysł obserwacji, mój chłopcze!

—Ale dlaczego był on gotów wymienić tak cenną relikwię, jak Oczy Buddy, na rzeczy, które pozwoliłyby mu zdobyć inne relikwie, z pewnością o mniejszym znaczeniu? — wymknęło się młodzieńcowi, w oczach którego postępowanie Buddhadrzy pozbawione było sensu.

—Zrozumiesz to niebawem... — szepnął mu do ucha Oręż Prawa, który specjalnie po to zszedł z podwyższenia.

—I ty przyjąłeś oczywiście tę niewiarygodną propozycję! Cóż za naiwność! — westchnął mistrz Gampo.

—Rzeczywiście, zaczynam teraz wątpić w szczerłość naszego zmarłego kolegi... Bo kiedy miał już moją zgodę, próbował podjąć na nowo pertraktacje, proponując mi Świętą Rzęsę Błogosławionego...

—Można by rzec, że to posługiwanie się Rzęsą Błogosławionego zamiast jego boskimi Oczami weszło mu w zwyczaj! — wtrącił Pięć Zakazów.

—Oczywiście, nie zgodziłeś się na zmianę... — dodał mistrz Gampo.

—Jasne, że nie! Czy da się porównać unikalne Oczy Buddy z jego niezliczonymi rzęsami, które zapełniają tysiące relik-

wiarzy buddyjskich klasztorów wzdłuż całego Jedwabnego Szlaku? — odparł mistrz *dhyany*, jakby odpowiedź rozumiała się sama przez się.

Wszyscy obecni wsłuchiwali się w skupieniu w słowa wymieniane przez przywódców dwóch szkół.

—Wobec mojej odmowy — podjął wielki mistrz — Buddhabadra obiecał, że za trzy miesiące przywiezie mi do Luoyan-gu Oczy Buddy, a w tym czasie ja przygotuję jajeczka i gąsienice jedwabnika oraz sadzonki morwy. Aby zabezpieczyć swoje interesy, zażądał ode mnie, żebym zostawił w Samey moją cenną sutrę, na co chętnie przystałem, choć było to poważne ustępstwo...

—A raczej cena, którą musiałeś zapłacić, żeby zdobyć jego zaufanie — zauważył mistrz Gampo.

—Nie zapominaj, że brakowało mandali, „cennej rękąmi” twojej szkoły. Przypomnij sobie, jak to każdy z nas zaczął w końcu podejrzewać pozostałych o konszachty z Szalonym Obłokiem! — Czystość Pustki najwyraźniej próbował się usprawiedliwić.

—W istocie, było mnóstwo rzeczy, które mogły obudzić podejrzenia! — potwierdził ze smutkiem lama Gampo.

—Co do mnie, to pochłonęło mnie bez reszty pragnienie zabezpieczenia interesów Wielkiego Wozu, no i zabrakło mi lojalności i otwartości w stosunku do ciebie. Wierz mi, szczerze tego żałuję!

—Te Oczy Buddy, których domagaliśmy się od niego tak stanowczo, zasiały w końcu między nami ziarno niezgody! Gdybym wiedział... — rzekł z goryczą lama Gampo, dając do zrozumienia, że w całej tej sprawie ma wiele do zarzucenia także samemu sobie.

—Prawdą jest, że te dwa niewysłowione diamenty zawładnęły moimi myślami! Kiedy Buddhabadra położył je po raz pierwszy na mojej dłoni, świeciły jak płomień, blaskiem tak potężnym, że bałem się oparzenia! — wyznał wielki mistrz *dhyany*.

Wyrzuty sumienia dręczyły go tak bardzo, że nie dostrzegł pomocnej dłoni, którą wyciągnął ku niemu przyjaciel, pragnąc oczyścić sumienie.

—Podczas gdy w istocie były dwoma bezwartościowymi kamykami! — wtrącił obojętnie Oręż Prawa, który siedział ciągle u stóp podwyższenia, obok Pięciu Zakazów.

—Orężu Prawa, chcesz powiedzieć, że... — spytał ze zdumieniem Czystość Pustki.

—...że nie ma w tym niczego dziwnego! W końcu sam zacząłem domyślać się pewnych rzeczy... — dokończył grobowym głosem niewidomy lama.

—Dowiedziałem się o tym podczas bardzo pozytywnej rozmowy z jubilerem ze starej dzielnicy Peszawaru, do którego udał się Buddhabadra, żeby go poprosić o ekspertyzę rzeczonych kamieni...

—Masz na myśli człowieka, który przyszedł do Klasztoru Jedynej Dharmy? — spytał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Właśnie jego! Bardzo mu zależało na rozmowie ze mną. Opowiedział mi wszystko — wyjaśnił mnich z Peszawaru.

—Wychodzi na to, że choć zostaliśmy tam przyjęci jak psy, nasza wędrówka do Peszawaru nie poszła na marne! — dorzucił jego przyjaciel z Turfanu.

Siedzący w ogromnej sali modlitewnej uczestnicy tego spotkania prawdy wstrzymali oddechy, świadomi tego, że właśnie docierają do sedna całej historii.

— Próbowałem odnaleźć tego człowieka w dzielnicy złotych ników już wcześniej, kiedy wróciłem z pierwszej wyprawy śladami Buddhabadry. Poszedłem zapytać murarza, na którym co cztery lata ciążył obowiązek zamurowywania skrytki w wielkim relikwiarzu, gdzie wstawiano szkatułę z Oczami Buddy, czy był tam niedawno. Przysiągł mi, że od czasu ostatniej Wielkiej Pielgrzymki nie wspinał się na Wieżę Kaniszki, wyjaśnił też, że widział, jak Buddhabadra wchodził do warsztatu

jubilera, dokładnie po drugiej stronie ulicy. Niestety, nie mogłem porozmawiać z tym jubilerem, ponieważ się wyprowadził.

—A potem, powiadomiony o twojej wizycie przez murarza, on sam do ciebie przyszedł, żeby oczyścić sumienie! — wtrącił mistrz Gampo, tak jakby wiedział już, co Oręż Prawa zamierza wyjawić.

—Człowiek ten, którego szczupłe ręce, a także narzędzia zwisające mu u pasa zdradzały bez żadnych wątpliwości, że jest szlifierzem kamieni szlachetnych, opowiedział mi o wizycie Buddhabadry. Dodał też, że od tamtej pory bał się tak bardzo, że postanowił wrócić do rodzinnej wioski i żyć tam w odosobnieniu. Gdzie przebywa, wiedział tylko ów murarz z Peszawaru.

—I zapragnął uwolnić się od straszliwej tajemnicy, której nie śmiał nikomu wyjawić.

—Rzeczywiście! Opowiedział mi, że gdy pewnego wieczoru, zachowując wszelkie środki ostrożności, kończył szlifowanie ogromnego rubinu, złożył mu wizytę Buddhabadra. Miał czapkę nasuniętą głęboko na oczy, a zdjął ją dopiero wtedy, gdy szlifierz zamknął za nim drzwi. Wyjaśnił mu, że nie chce, aby go rozpoznano.

—Twój nieżyjący przelozony przyszedł do tego rzemieślnika, żeby zapytać go o opinię na temat dwóch diamentów zwanych „Oczami Buddy”! — szepnął znużonym głosem lama Gampo.

—Wyjął je z tajemniczą miną z kieszonki i kazał przysiąc szlifierzowi na głowy jego dzieci, że nie powie nikomu o tej wizycie. Potem spytał go, ile jego zdaniem warte są te dwa kamienie. Rzemieślnik zapewnił mnie, że wystarczył rzut oka, aby odkryć, że w rzeczywistości Oczy Buddy to zwyczajne kryształy górskie! Był jednak tak zakłopotany, że z początku nie śmiał wyjawić Buddhabadrze prawdy. Ten jednak zauważył jego zmartwioną minę i zażądał, żeby mu wyjaśnił powody swego zakłopotania!

—To odkrycie musiało go załamać! — stwierdził Czystość Pustki, zdumiony opowieścią Oręża Prawa.

—Według słów szlifierza, Buddhabadra zdenerwował się i zaczął go przekonywać, że to niemożliwe, ponieważ chodzi o bezcenne relikwie. Na potwierdzenie swoich słów szlifierz pokazał mu, że aby zadrapać te dwa kamienie, wystarczy czubek noża...

—Faktem jest, że czysty diament można zarysować, tak jak nefryt, wyłącznie przedmiotem z tego samego materiału — wykrzyknął Czystość Pustki.

—Będziecie mogli sprawdzić to osobiście...

Tō Ling sięgnął do podróżnej torby po serce z sandałowego drewna, wyjął z niego oba kamienie. Oba miały na tej samej ściance cienką, niemal niedostrzegalną rysę, pozostawioną przez czubek noża szlifierza kamieni szlachetnych z Peszawaru, co mógł zobaczyć każdy po kolei.

—Nie ma najmniejszych wątpliwości. Oba kamienie zostały zarysowane w tym samym miejscu! — stwierdzili zgodnie Pięć Zakazów i Umara.

—Co za spryciarz z tego Buddhabadry! — prychnął wzburrzony lama Tō Ling, który aż do tej pory milczał.

—Lub raczej co za przedsiębiorczość i odwaga! Jednak to nie jego wina, że kamienie są fałszywe! Wyobrażam sobie, jak się przestraszył, kiedy odkrył prawdę, a domagaliście się od niego, żeby przyniósł Oczy Buddy do Samye! Jakże żałuję, że nam o tym wszystkim nie powiedział! Ja sam podejrzewałem go o najgorsze rzeczy, ale w końcu powiedziałem sobie, że mój były przełożony, znalazłszy się w tak niezwykłym położeniu, mimo wszystko starał się, na ile tylko mógł, zadbać o interesy swojego klasztoru! — wykrzyknął Oręż Prawa.

—Stajesz w obronie swego mistrza! Dobrze, że jesteś lojalny. Ale nie mam wcale pewności, czy sprawa tego człowieka dałaby się obronić! — odciął się zirytowany Tybe-tańczyk.



—Wciąż jednak bez odpowiedzi pozostaje pytanie: dlaczego Buddhadrę poczuł potrzebą sprawdzenia autentyczności Oczu Buddy? — zauważył Pięć Zakazów, który nie zadał tego pytania bez powodu.

—Prawdą jest, że gdyby tego nie zrobił, nie dowiedziałby się nigdy, że Oczy Buddy są zwykłymi kryształami górskimi — dodała Umara.

W sali modlitewnej zapadła śmiertelna cisza.

—To z mojego powodu. Muszę wyjawić wam coś, czego jeszcze nie wiecie... Dziś musimy powiedzieć sobie wszystko! — odezwał się w końcu lama Gampo.

—Słuchamy cię, mistrzu! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Aby mieć pewność, że Buddhadrę przyniesie nam Oczy Buddy, dałem mu do zrozumienia, że gdyby zaszła taka potrzeba, mógłbym mu za nie dużo zapłacić! Oto moja tajemnica! Powiedziałem prawdę, choć nie ma w niej nic pięknego! Wierzajcie mi, żałuję tego postępu tak samo, jak Czystość Pustki żałuje swego — rzekł głośno i wyraźnie przełożony Samye.

—To szczyt wszystkiego, mistrzu Gampo. Wy też chcieliście wyprowadzić Buddhadrę w pole! — syknął Oręż Prawa.

—Była to czysto taktyczna propozycja! Mogę wam to przysiąc na imię Błogosławionego!

—Ale ona musiała go skusić, i dlatego postanowił sprawdzić kamienie — zauważył Czystość Pustki.

—Gdybym mu jej nie złożył, to nie ulega wątpliwości, że nie przyniósłby Oczu Buddy do Samye.

—A że w końcu je przyniósł, można by rzec, że połknął haczyk!

—Targany wyrzutami sumienia, chciałem mu powiedzieć, że było to z mojej strony czysto taktyczne posunięcie, ale on nie przyszedł na spotkanie, które mu wyznaczyłem po fiasku spotkania pojednawczego. Opuścił Samye, zanim zdążyliśmy wszystko sobie wyjaśnić! — oświadczył ze smutkiem stary lama.

—Pamiętam doskonale, że mistrz Gampo odpoczywał, kiedy Buddhabadra zwierzył mi się, iż chciałby porozmawiać z nim w cztery oczy. Wyzaczyłem mu rozmowę na dzień następny. Ale wtedy nie było go już w Samye! — dodał lama Tö Ling, pragnąc pomóc swemu przełożonemu.

—A przed wyjściem zawarł jeszcze układ ze mną! — wtrącił Czystość Pustki.

—Wyobrażam sobie rozpacz tego człowieka! Wpadł we własne sidła — wykrzyknął Pięć Zakazów. — Buddhabadra był z pewnością daleki od domyślania się, że Oczy Buddy są kamykami bez wartości. Dopiero kiedy postanowił zabrać je w nadziei, iż uzyska za nie dobrą cenę u lamy Gampo, odkrył, że to zwykłe kryształy górskie!

—I w tym momencie wszystko zaczęło się psuć! — podsumowała Umara.

—Uznał niewątpliwie, że jest za późno, aby się wycofać! — powiedział z żalem Oręż Prawa.

—Mógł przecież powiedzieć prawdę! Ale tego nie zrobił! — odparła młoda chrześcijanka.

—Bał się pewnie wyjawić mistrzowi Czystości Pustki, że przyjął propozycję mistrza Gampo! — odrzekł Oręż Prawa, który postanowił bronić pamięci swego przełożonego.

—Wtedy właśnie popełnił błąd, próbując wyciągnąć możliwie największe korzyści z klęski, jaka spadła na jego klasztor. Dlatego zabrał w podróż do Samye białego słonia, ponieważ tylko jemu wolno było przenosić święte relikwie! Biedny Buddhabadra pragnął uniknąć najmniejszych podejrzeń, zarówno ze strony Gampo w Samye, jak i wspólnoty Jedynej Dharmy z Peszawaru. Mnisi załamaliby się na wieść o tym, że Oczy Buddy są bezwartościowymi kamykami! — zauważył Pięć Zakazów.

—Mój przełożony padł ofiarą nadmiernej gorliwości swoich towarzyszy, którzy wynieśli interesy własnych szkół nad umowę ze spotkania w Lhasie! — stwierdził nie bez satysfakcji Oręż

Prawa, rad, że może powiedzieć parę słów prawdy obu przełożonym.

—Czy nie czas na przywrócenie ducha naszych spotkań? Ludzie wierzący w Szlachetną Prawdę Świętego Buddy powinni sobie ufać! — oświadczył stanowczo Pięć Zakazów.

—Wiem coś niecoś o skutkach walk między ludźmi, którzy wierzą przeciw w tego samego Boga! — powiedział Addai Aggai, wystarczająco głośno, aby wszyscy go usłyszeli.

—W imię pamięci mego mistrza, który stracił życie... podpisuję się pod tym, co powiedział mój przyjaciel Pięć Zakazów. Musimy odnaleźć ducha tolerancji i zaufania, jaki unosił się nad spotkaniami w Lhasie! — dodał Oręż Prawa.

—Jeśli o mnie chodzi, to gotów jestem przyłożyć rękę do tego dzieła. To jest powód, dla którego postanowiłem przybyć tu z Samye! — odpowiedział mu lama Gampo.

—Ja też jestem gotów! — rzucił jak echo Czystość Pustki.

—Ale kto zastąpi Buddhabadrę? — spytał, jak zwykle naiwnie, mnich Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Dwaj przełożeni pochylili się ku sobie, by wymienić opinię na ten temat.

—Orężu Prawa, wszystkie świadectwa czynią z ciebie kogoś, kogo nie sposób pominąć! Mistrz Gampo i ja uważamy, że to ty powinieneś reprezentować teraz Mały Wóz na spotkaniach w Lhasie! — oznajmił przełożony z Luoyangu.

—Wydaje mi się, że to słuszny pogląd! — powiedział Pięć Zakazów.

—*Om!* Także i mnie! — dodał manipa.

—Kiedy wrócisz z tą nowiną do Peszawaru, zostaniesz przyjęty jak bohater! Twojemu rywalowi pozostanie tylko ustąpić ci miejsca... — dorzucił Tö Ling.

—Akceptujecie mnie zatem jako równego sobie? — zapytał cicho Oręż Prawa, zwracając się do dwóch skruszonych przełożonych. Gardło ścisnęło mu wzruszenie.

—Oddajemy ci tylko sprawiedliwość! — wykrzyknął lama Gampo.

—Ale ja nie mam pojęcia, na czym polegają spotkania w Lhasie! Mistrz utrzymywania wszystkiego w tajemnicy, jakim był Buddhabadra, unikał mówienia mi o tych spotkaniach.

—Co byś powiedział, gdybyśmy niezwłocznie dopełnili rytuału? — zapytał Czystość Pustki.

Lama Tō Ling wyłożył na stół Oczy Buddy Małego Wozu, *Sutrę o logice Czystej Pustki* Wielkiego Wozu i świętą mandalę wadźrajany. Rozpostarł troskliwie jedwabny kwadrat, umieścił dokładnie na środku zwój z *Sutrą o logice Czystej Pustki*, w taki sposób, aby dzielił powierzchnię mandali na dwie równe części, wreszcie położył w jednakowych odstępach po obu stronach sutry święte kamienie zwane Oczami Buddy.

Całość przypominała maskę, której nosem był zwój, a oczami kamienie.

—Ale jeśli Oczy Buddy są tylko górskimi kryształami, czy zachowują wartość jako relikwie? — zapytał Szlachetna Oś-mioraka Ścieżka.

—Liczy się ich wartość symboliczna!

—Buddhabadra musiał myśleć inaczej niż wy, mistrzu Czystość Pustki! — zaoponował Pięć Zakazów.

—Z pewnością! Ale moim zdaniem Oczy Buddy z kryształu górskiego nadal pozostają Oczami Buddy!

—Zawarlibyście więc umowę z Buddhabadra, gdyby wyjawiał wam, że to nie są prawdziwe diamenty? — chciała wiedzieć Umara.

—Bez najmniejszego wahania!

—Rzeczywiście, tym, czego całej waszej trójce zabrakło, było zaufanie! — stwierdził kwaśno Oręż Prawa.

—Ono powróci dzięki temu, że tu jesteś, i to dużo głębsze, niż na pierwszym spotkaniu! — rzekł Czystość Pustki.

Na oczach Oręża Prawa, głęboko poruszonego słowami wielkiego mistrza *dhyany*, cenne rękojmie zajęły należne sobie

miejsca. Oczy Buddy połyskiwały ogniście na mieniącej się powierzchni świętej mandali. Tylko zwój mahajany zdawał się prezentować nie tak imponująco, jako że nie odkrywał swego wnętrza.

— Zgodnie z rytuałem, powinniśmy podać sobie ręce! — rzekł wielki mistrz *dhyany*.

Trzej mnisi uczynili to.

—Utworzone przez nas koło przedstawia unię trzech szkół, do której dążymy. Rytuał spotkania w Lhasie powinien zaczynać się zawsze od takiego połączenia naszych rozproszonych sił — wyjaśnił Czystość Pustki Orężowi Prawa, któremu okoliczności pozwoliły przejąć pochodnię po jego Nieocenionym Przełożonym.

—Rzeczywiście, czuję płynącą od was siłę! — wykrzyknął zdumiony.

—Bo też dokładnie o to nam chodzi... — odparł lama Gampo, który odzyskał dobry humor.

Wzruszony Oręż Prawa, nie śmiejąc się poruszyć, ścisnął dłonie swoich partnerów. Zamknął oczy i doświadczył dziwnego wrażenia, że jest częścią ogromnego łańcucha miłości i współczucia, łączącego miliony wyznawców z trzech buddyjskich szkół, dla których Błogosławiony Gautama pozostawał punktem odniesienia.

Stał się jednym z jego najważniejszych ogniw!

Wzdłuż jego ramion płynęło łagodne ciepło, idące z dłoni dwóch starszych przyjaciół. Poczul się tak, jakby jakieś małe zwierzątko szukało schronienia w jego sercu, jak w norce.

—Czyja ręka, wolna od wszelkich podejrzeń, przystąpi do losowania cennych rękojmi? — spytał lama Gampo.

—Proponuję powierzyć tę czynność Pięciu Zakazom! To młodzieniec o czystej duszy, który nikogo nie faworyzuje — powiedział bez wahania Czystość Pustki.

—Zechcesz wyświadczyć nam tę przysługę? — spytał niewidomy Tybetańczyk.

—To dla mnie ogromny honor, którego z pewnością nie jestem godzien!

—Wystarczy przydzielić rękojmiom kolejne numery, ale tak, żebyś ich nie znał. Potem ponumerujemy trzy małe kamyki, wydobyte z koryta rzeki Luo. Wybierzesz spośród nich jeden, przypisany z góry jednej z trzech szkół, i szkoła ta otrzyma odpowiadającą mu rękojmię, następnie tak samo postąpisz z drugim. Trzecia szkoła odziedziczy rękojmię, która pozostanie. To jest równie łatwe, co skuteczne! — wyjaśnił Czystość Pustki, kładąc na stole trzy wypolerowane przez wodę otoczaki.

—Kamyk numer jeden dla Małego Wozu! — ogłosił Pięć Zakazów.

—Odpowiada on *Sutrze o logice Czystej Pustki* Orężu Prawa, zabierzesz ją do Peszawaru. Tym razem ręka Błogosławionego spisuje się doskonale. Byłoby szczytem wszystkiego, gdyby los zwrócił Oczy Buddy Małemu Wozowi! — wykrzyknął wielki mistrz *dhyany*.

—W takim przypadku zrobiłbym dobrą minę do złej gry. Podzielał zdanie Czystości Pustki na temat nienaruszonej, symbolicznej wartości tych kamieni — odparł Oręż Prawa.

—Kamyk numer dwa dla lamaizmu kraju Bod!

—Dzięki temu przejmie on Oczy Buddy, które trafią do Samey! A mnie przypadnie przechowywanie świętej mandali wadzrajany! — ogłosił z zadowoloną miną Czystość Pustki.

—Losowanie udało się doskonale! Dłoń Pięciu Zakazów zdecydowała, że trzy buddyjskie szkoły mogą znowu żyć w pokoju, a za pięć lat każda z nich zadba o dostarczenie dowodu, iż nadal przechowuje cenną rękojmię — obwieścił mistrz Gampo.

—Nie zastanawiałem się nad tym. Po prostu wymówiłem głośno liczby, które zostały przypisane poszczególnym kamykom — uznał za stosowne wyjaśnić były pomocnik Czystości Pustki.

—Zrobiłeś to tak, że lepiej by się nie dało... W tym rytuale

nie na miejscu byłyby kalkulacje czy ukryte myśli — odparł jego dawny mistrz.

— Gdybyśmy chcieli dokładnie odtworzyć rytuał spotkania w Lhasie, powinniśmy teraz się objąć — dodał lama Gampo.

Oręż Prawa z trudem powstrzymał szloch, gdy wzięwszy w ramiona niewidomego starca, poczuł jedyny w swoim rodzaju zapach kraju Bod, w którym mieszały się wonie aromatycznych roślin i zjełczałego masła jaka. Przyszło mu do głowy, że Buddhabadra z pewnością doświadczył tych samych wzruszeń, uczestnicząc w pierwszym spotkaniu.

Sprawami jednych kierował przypadek, innych przeznaczenie, ale Oręż Prawa nie miał wątpliwości, że to ręka Buddy zadecydowała, że został spadkobiercą swego przełożonego, którego zamordował Szalony Obłok.

Mnich z Peszawaru zamyślił się głęboko i nie zauważył, że wszyscy uczestnicy wielkiego pojednania ruszyli do wyjścia.

Ale w tym momencie weszli goście, i to nie byle jacy. Była to cesarzowa Wu Zhao we własnej osobie, prowadząca za rączki Niebiańskie Bliźnięta.

—Przyszłam upewnić się, czy wszystko dobrze poszło i że, jak mówi przysłowie, „Każda roślina znalazła swoje miejsce pod słońcem”! — oświadczyła skromnie.

—Wasza Wysokość, gdyby nie wy, większość obecnych nie znalazłaby się tutaj — wykrzyknęła Umara.

—Wszystko to mogło się dokonać dzięki Niebiańskim Bliźniętom. Gdyby lama To Ling nie powierzył mi tych dzieci, nie ulega wątpliwości, że cała ta historia skończyłaby się inaczej... — powiedział Pięć Zakazów.

—Podły czyn Szalonego Obłoku wydał w końcu dobre owoce... — mruknął lama Gampo.

—W istocie, tak można powiedzieć! — przytaknął Pięć Zakazów.

—Niczego nie rozumiem. Co ma z tym wspólnego Szalony Obłok? — zapytał Czystość Pustki.

W paru słowach, starając się, aby nie usłyszały go Niebiańskie Bliźnięta, lama Gampo wyjaśnił wszystko mahajaniście, który był równie zaskoczony, co przerażony.

Cesarzowa Chin weszła z dziećmi na podwyższenie i pochyliła się nad trzema cennymi rękojmiami, które wciąż leżały na stole.

— Cóż za piękne przedmioty! — powiedziała tylko, daleka od jakichkolwiek podejrzeń, że Biały i Szalony Obłok, to ta sama osoba.

Ale w życiu zdarza się często, że dość jest nie wiedzieć o pewnych rzeczach, aby wszystko szło tak, jakby nie istniały... Dzięki temu nadal można spać spokojnie!

— W rzeczy samej, Wasza Wysokość! To, co widzicie po obu stronach sutry, to właśnie Oczy Buddy, o których tak często wam wspominałem! — powiedział Czystość Pustki.

— Nie robią na mnie wrażenia! — prychnęła cesarzowa.

W jednym z zakątków sali Nefrytowy Księżyc i Świetlisty Punkt, o tysiąc mil od wszystkich tych spraw, obejmowali się bez skrępowania, jak wszyscy zakochani, którym wydaje się zawsze, że są sami na świecie.

Co do Lapiki, płowej suki, zdolnej zabić niedźwiedzia i przepędzić watahę wilków, to oddawała się ona z zapalem lizaniu Niebiańskich Bliźnięt. Ich głośnie i dźwięczne śmiechy perliły się w półmroku wielkiej sali modlitewnej Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, w której dopiero co zakończyło się pierwsze spotkanie w Luoyangu.



# Epilog

W ów pamiętny dzień, dwudziestego czwartego września sześćset dziewięćdziesiątego roku, pomimo przerażającego bólu głowy, który nie dawał jej wytchnienia od poprzedniego dnia, Wu Zetian doświadczyła uczucia, którego się nie spodziewała.

Była to mieszanina radości, znużenia i smutku, jakby w chwili, gdy osiągnęła swój najważniejszy cel, który był przedmiotem jej marzeń przez całe dziesięciolecie, opuściły ją nagle siły.

Czy dało o sobie znać to, że ku jej bezgranicznej rozpaczce upływające lata uczyniły z niej starą kobietę, unikającą oglądania swego odbicia w lusterku z polerowanego brązu, które co rano podawała jej dama do towarzystwa? Czy też chodziło o zmęczenie i niepokój, z którymi walczyła od niepamiętnych czasów i które nagle zemściły się na niej, gdy najmniej się tego spodziewała?

Aby zaprezentować się jak najlepiej, poświęciła tego ranka wiele godzin na makijaż, domagając się od kosmetyczki, która znała jej twarz do ostatniej zmarszczki, aby usunęła je wszystkie. Potem wdziała suknię z żółtego jedwabiu, w kolorze cesarstwa, z haftowanymi srebrną nicią feniksami. Kazała uszyć ją z jednego z kuponów utkanych potajemnie jakieś trzydzieści lat

temu przez nestorianina Addaia Aggaia z jedwabnej przędzy, wytworzonej przez manichejczyka Napelnionego Spokojem.

To był jej sposób na to, aby nie przeklinać przeszłości.

Następnie zwińczo jej czoło złotą koroną, przyozdobioną przez najlepszego złotnika w Chang'anie smokami i feniksami o oczach z maleńkich szmaragdów. Był to dar omajjadzkiego poselstwa, które przybyło, aby złożyć hołd władcy Państwa Środka.

Dama do towarzystwa podsuwa jej lustro: chce wiedzieć, czy Wu Zhao jest zadowolona ze sposobu, w jaki ten wspaniały diadem został umocowany na jej głowie. Cesarzowa nie może się od tego uchylić.

Przeraża ją jej własne, powleczone bielą oblicze o śmiesznie zarysowanych, karminowych ustach. Na szczęście oczy pozostają jedyną częścią ludzkiego ciała, która się nie starzeje. Oczy Wu Zhao są wciąż tak samo piękne, czyste i jasne jak górskie jeziora, w które obfituje kraj Bod, położony na Dachy Świata, obok nieba nirwany, w której zamierza się roztopić.

Są to oczy kobiety, która była niegdyś bardzo piękna i której niezwykle życie zostawiło w nich ślady najwspanialszych i najobrzydliwszych czynów, na jakie może się zdobyć istota ludzka.

Lecz oto stoi już przed nią Wielki Mistrz Ceremonii.

— Wasza Wysokość, wystarczy, abyś zastosowała się, pani, do moich wskazówek! — mówi ten człowiek, którego warkocz, sięga pośladków.

Uwagę Wu Zhao zwracają też jego paznokcie, dłuższe i bardziej zakrzywione niż szpony drapieżnego ptaka. Unie-możliwiają mu one posługiwanie się rękami.

— Postaram się nie skompromitować!

Żart Wu Zhao skutkuje natychmiast, budząc paniczny strach w szambelanie, przekonanym, że popełnił nietakt. Ale Wu Zhao się tym nie przejmuje. Błądzi myślami gdzie indziej. Jest marzycielką.

A zresztą, nie mogłaby nią nie być. Zbliżająca się koronacja to niezwykle wydarzenie w długiej historii Chin.

Albowiem po raz pierwszy kobieta ma zostać „cesarzem” w pełnym znaczeniu tego słowa, suwerenem, który skupia w swym ręku najwyższą władzę, podczas gdy aż dotąd, jako małżonki lub matki Synów Nieba, kobiety poprzestawały na tytułach cesarzowej albo dożywotniej wdowy po cesarzu.

Musiała dożyć bardzo późnego wieku, aby zasiąść na chińskim tronie, i to pogarsza jeszcze jej posępny nastrój. Powinna jednak pokazać światu promienny uśmiech, ponieważ czeka na nią lud, który zbierał się od świtu, aby ją zobaczyć.

Za kilka chwil Wu Zhao dostąpi łaski Nieba, która uczyni z niej cesarza Chin. Nie przebierała w środkach, aby zrealizować ten zamiar. Pragnąc zagwarantować swemu panowaniu długo-trwałość, zadbała, aby zapewnić sobie tytuł „Świętego i Boskiego Cesarza”. Zmieniła także imię swego ojca na Zhou, będące zarazem nazwą jednej z najświetniejszych dynastii epoki archaicznej, i zastąpiła nim nazwę ówczesnie panującej dynastii Tang, ustanawiając tym samym dynastię Zhou.

Czemu jednak czuje się zmęczona? Z trudem zajmuje miejsce w lektyce ozdobionej srebrnymi liśćmi, którą dźwiga dziesięciu żołnierzy.

Myśli tylko o tym, żeby trzymać się i nie pozwolić, by ktokolwiek zauważył, że jej siły słabną, gdy cesarski orszak, poprzedzany przez grupę muzyków i tancerzy, rusza w kierunku miejsca, w którym odbędzie się koronacja. Nade wszystko nie może dać powodów do krytyki tym, którzy byliby gotowi dostrzec w jej znużeniu oznakę właściwej jej płci słabości.

Tak bliska triumfu, nagle myśli o śmierci. Ma siedemdziesiąt lat i ten moment się zbliża. Ale pozostanie sobą, gdy spłynie na nią niczym gwiazdna ulewa łaska Nieba, i każdy dzień będzie tylko kolejnym krokiem w stronę kresu. Wszak wszystkie żywe istoty zmierzają ku granicy, po przekroczeniu której obróć się w proch.

Od spotkania w Luoyangu upłynęło trzydzieści lat!

Oznacza to, że musiała czekać znacznie dłużej, niż spodziewała się na początku!

Wydawało się, że Gaozong, który długo trzymał się życia, choć lekarze na przeszło dziesięć lat przed jego śmiercią uznali, że jest stracony, nie chce ustąpić jej miejsca. Dopiero po jego śmierci, która dosięgła go siedem lat temu z powodu cukrzycy, mogła pomyśleć w końcu o tym, aby wspiąć się na najwyższy szczebel władzy.

I jak to zawsze bywa, gdy przemierza się kręte i trudne drogi, najdłuższy i najbardziej męczący wydaje się ostatni odcinek.

Po śmierci cesarza Wu Zhao musiała wyeliminować prawowitych następców tronu, którzy rościli sobie pretensje do przejęcia rządów. Ale okazali się zbyt ograniczeni, aby zrozumieć ambicje matki, co zmusiło ją do bezwzględnego okrucieństwa.

Usunęła ze swej drogi trzech synów.

Najbardziej niebezpieczny był najstarszy z nich, Li Hong. Okazał się jedynym, który mógł pokierować sprawami państwa i sprzeciwić się, czasami nawet ostro, woli matki w przedpokojach prywatnych apartamentów cesarza, z których Gaozong nie wychodził, przykuty do łóżka. Gdy Li Hong miał dwadzieścia dwa lata i cieszył się coraz lepszą opinią, został otruty. Jego ciało, skulone w śmiertelnych drgawkach, znaleziono w Pałacu Dziewięciu Doskonałości dwudziestego piątego maja sześćset siedemdziesiątego piątego roku.

Wu Zhao nie zawraca sobie głowy skrupułami. Gdy trzeba, potrafi uodpornić swą duszę na wszelkie wyrzuty sumienia. Gotowa jest zabijać w słusznej sprawie... Ku chwale Błogosławionego Buddy...

Po śmierci starszego brata, jego miejsce zajął drugi następca tronu, Li Xian, który miał wtedy dziewiętnaście lat. Ale według Wu za bardzo zbliżył się do Gaozonga, który uwielbiał chłopca. Dzięki zdumiewającej pamięci nauczył się pięciu tysięcy zna-

ków chińskiego pisma i potrafił napisać je bez najmniejszego wahania.

Po śmierci Gaozonga książę zasiadł na krótko na tronie pod imieniem Zhongzong, ale niemal natychmiast został usunięty na rzecz brata Li Tana, który miał dwadzieścia dwa lata.

Li Tan, ostatni w porządku dynastycznej sukcesji, był ulubieńcem cesarzowej. Zasiadłszy na tronie pod imieniem Ruizong, zgodził się jednak abdykować na rzecz matki. Prędko zrozumiał, w jakim jest położeniu: Wu Zhao nadała mu wprawdzie tytuł następcy tronu, ale nie otrzymał od niej nawet prawa do zajmowania cesarskich apartamentów. Miał dość inteligencji, aby pojąć, że lepiej będzie usunąć się z własnej woli, niż stać się kolejną ofiarą przyszłej władczyni.

Wu Zhao weszła do Mingtangu, okrągłej budowli symbolizującej świat, pośrodku której powinna spływać na nią łaska, która uczyni ją cesarzem Państwa Środka.

Zamknięto za nią drzwi Pałacu Światłości, aby mogła zostać sama. Przyjęcie łaski z Nieba musi odbyć się bez świadków.

Unosi oczy, żeby popatrzeć na sklepienie sali. Znajduje się w nim okrągły otwór. Tą właśnie drogą powinna osiągnąć ją kosmiczna energia Niebios. Zgodnie z wyjaśnieniami geomantów za kilka chwil ma poczuć tę ogromną moc, która spłynie z lazurowych przestworzy na jej ramiona.

Zamyka oczy i czeka. Na zewnątrz przez święty plac przetacza się grzmot uderzanych rytmicznie bębnow.

Pewne jest, że łaska Nieba da o sobie znać.

Mijają długie minuty, ale wydaje się, że z góry nic nie spływa.

Wu Zhao wraca myślami do wszystkiego, co przeżyła i co musiała znieść, nim stanęła w tym miejscu.

Począwszy od ośmiu proroczych głązów, które nazwała swoimi „Ośmioma Sprzymierzeńcami”. Wszystko uległo przyspieszeniu od chwili, gdy pokazała je ludowi podczas owego sławetnego Święta Wiosny na górze Tai Shan. Pojawiło się

wielu, którzy zaczęli oczekiwać zapowiedzianego przez święte głązy cesarza kobiety.

Ale nawet to nie wystarczyło. Wu Zhao musiała usunąć własne potomstwo, a przede wszystkim zdobyć życzliwość ludu. To było najważniejsze. Nie osiągnęłaby niczego także bez dyskretnego, ale skutecznego wsparcia Wielkiego Wozu, który potrafiła obłaskawić. Buddyjska szkoła, w której najważniejszy był duchowy przywódca Czystość Pustki, bardzo jej pomogła w realizacji zamysłów.

Na szczęście wielki mistrz *dhyany* i cały buddyjski kler popularyzowali *Sutrę Wielkiego Obłoku*, której główną tezą jest to, że w osobę Wu Zhao wcielił się Budda Przyszłości Maitreja, zesłany na ziemię przez Yamę z zadaniem ustanowienia na niej boskiego porządku.

Poręczenie tego świętego tekstu, dodane do proroczych napisów na głązach, udzieliło jej najcenniejszego wsparcia. Wierni zaczęli się modlić o jej wstąpienie na tron, a ona sama kazała się nazywać „Jej świątobliwością cesarzową”, przenosząc jednocześnie chiński dwór z Chang'anu do Luoyangu. Przy okazji ukarała wysokich urzędników, zbyt przychylnych arystokratom z północnego zachodu, których nie przestała nigdy zwalczać.

Tego dnia stwierdziła, że ma wolne ręce.

Aby zaspokoić prześladowające ją pragnienie zgromadzenia po swojej stronie wszystkich atutów, postanowiła zmienić imię i przyjęła nowe, wymawiane „Zetian”. Nie ma ono żadnego konkretnego znaczenia, podczas gdy jej pierwotne imię, Zhao, znaczyło „błyszcząca jasność”. Czyniąc tak, uniknęła karaniamy swego ludu, ponieważ istniał formalny zakaz wymawiania imienia cesarza od chwili jego wstąpienia na tron...

Następnie, na jej polecenie powiększono i przyozdobiono Mingtang, w którym cesarzem został Taizong, a potem także Gaozong. Zleciła też najlepszym artystom wykonanie wspaniałych bereł *gui* z nefrytu i złota.

Przewidziała w najdrobniejszych detalach przebieg ceremonii, układając wcześniej drobiazgowo cesarski protokół oraz planując przyjęcie przedstawicieli narodów korzystających z chińskiego protektoratu. Ich przybycie miało przekonać wszystkich sceptyków o wiernopoddaństwie tych ludów wobec nowego cesarza Wu Zetian.

Niestety, nadal nie odczuwa niczego szczególnego.

Jednak obrzęd przebiega zgodnie z ustalonym, niezmiennym od tysiącleci porządkiem i precyzją. Dobosze zaczynają rytmicznie uderzać w bębny na znak, że gwiazdy i słońce znalazły się w pożądanym położeniu, ustalonym dzięki długim i żmudnym obliczeniom cesarskich astrologów i geomantów. Jako wyznawczyni buddyzmu Wu Zhao nie wierzy w gwiazdy i we wróżby ani tym bardziej w geomancję. A jednak musi stanąć w miejscu oznaczonym na posadzce czerwoną farbą. Plama ta to centralny punkt, w którym krzyżują się i znoszą nawzajem siły negatywne i pozytywne, umiejscowione dokładnie na grzbietowym grzebieniu Wielkiego Smoka, śpiącego w trzewiach wzgórza, na którym wzniesiono Pałac Światłości.

Od czasu do czasu do świętej budowli, do której nie ma prawa wejść nikt prócz Syna Nieba, wsuwa głowę Wielki Mistrz Ceremonii, pilnując, by Wu Zhao nie poruszyła się nawet o cal. Ale ona stoi bez ruchu. Wie dobrze, że gdyby geomanci dostrzegli przesunięcie choćby jednego palca u nogi w czasie, gdy spływa na nią moc Nieba, mogliby z właściwej im, nadmiernej gorliwości, zobowiązać ją do powtórzenia ceremonii od początku. A wtedy cesarscy astronomowie, którzy stawiają się na wezwanie ze swymi cyrklami i busolami, stwierdzą, że chwila nie jest po temu odpowiednia, ponieważ gwiazdy zmieniły tymczasem położenie.

Zawsze tak sprytna Wu Zhao zaczyna rozumieć teraz coś, co wcześniej tylko niejasno przeczuwała: że cesarz jest wszystkim, tylko nie człowiekiem wolnym. Ale są to rzeczy, których się nie zauważa, dopóki nie doświadczy się ich samemu.

Jest to wielka tajemnica świątłych władców i monarchów: zdają sobie sprawę z marności swych funkcji i ze swej bezsilności, są jednak skazani na milczenie wobec ludu, który ma o nich zupełnie inne wyobrażenie.

Prawem paradoksu odnosi się to do Synów Nieba bardziej jeszcze niż do wszystkich innych królów, ponieważ chiński władca jest nie tylko więźniem etykiety, ale także procedur ukutych przez liczącą tysiące lat tradycję, zastygłą w nienaruszalnym *Rytuale Zhou*, do którego wszyscy władcy Chin zobowiązani są się stosować.

Zamknięta w Mingtangu Wu Zhao, ukryta przed spojrzeciami dworzan, stawia sobie pytanie, czy przypadkiem najwyższa władza nie jest jedynie wspaniałym niebiańskim jarzmem, którego nie sposób się pozbyć, gdy ma się unieruchomione ręce i szyję?

Uzurpatorka nie ma jednak wyboru.

Nie pozostaje jej nic innego, jak tylko czekać, aż Wielki Mistrz Ceremonii otworzy na oścież drzwi Niebiańskiej Świątyni, wołając: „Chwała Synowi Nieba!”.

Albowiem będzie to znak, że spłynęła na nią łaska.

A wtedy tłum gości, czekający u stóp Mingtangu w porządku zależnym od społecznego pochodzenia, wszyscy ci żołnierze, chłopci, urzędnicy i kupcy — musiała stoczyć upartą walkę, aby ich uznawana za nikczemną kasta też była obecna — a także posłowie z krajów korzystających z protektoratu Tangów, uniosą prawe ramię i trzykrotnie powtórzą okrzyk wzniesiony przez Wielkiego Mistrza Ceremonii.

Ale ta chwila opóźnia się, zmuszając Wu Zhao, która z racji swego wieku odczuwa już skurcze, aby cierpieć w milczeniu. Ból staje się tak nieznośny, że cesarzowa ma ochotę krzyczeć, ale nie wolno jej okazać słabości.

Jej myśli zwracają się nagle ku Niebiańskim Bliźniętom. Im zawdzięcza w dużej mierze to, że mogła stanąć tu, w Mingtangu, i usłyszeć wreszcie potężny okrzyk tłumu zgromadzonego na



świętym placu, gdy wyznaczony do koronacyjnego ceremoniału Wielki Szambelan unosi prawą ręką długą jedwabną chorągiew z atrybutami cesarza, która rozwija się na wietrze.

Niebiosa obdarzyły ją łaską.

Cesarzowa zamieniła się w cesarza.

Rytuał nakazuje, aby wyszła teraz z Mingtangu i pokazała swą pomarszczoną twarz.

Chwała Niebiosom!

— Niech żyje cesarz! Długich lat życia dla cesarza Chin Wu Zetian! — woła w uniesieniu lud, podczas gdy cesarz płci żeńskiej opuszcza świątynię, aby pozdrowić swych poddanych.

Znalazłszy się na świeżym powietrzu, czuje na policzkach palący powiew wiatru, oślepia ją światło. Jest niczym więcej niż starą rośliną ze szklarni.

Kolej na moment, w którym ubrani w galowe uniformy żołnierze zaczynają rozdawać obecnym bułeczki nadziewane mięsem. Tak życzyła sobie Wu Zhao. Pragnęła podziękować im w ten sposób za przybycie i zyskać ich przywiązanie. Dzięki temu gestowi będą wychwalali szczodrość nowego cesarza Wu Zetian.

Poczęstunek wywołuje falę gromkich „hurra!”.

Wu Zhao konstatuje jednak, że te wiwaty, za którymi przepada większość możliwych tego świata, gdyż pozwalają im zapomnieć o ich znikomości bądź schlebiają ich samolubstwu, w ogóle jej nie obchodzą.

Najwyższy czas, by pomyślała o tych, którym dobrze życzy.

Na początek o Umarze i Pięciu Zakazach. Aby wychować ósemkę swoich dzieci, wybrali życie nad morzem, z dala od zgiełku cesarskiego dworu, choć Wu Zhao marzyła o tym, aby zrobić z młodzieńca swego sekretarza do specjalnych poruczeń. On przełożył jednak szczęście nad zaszczyty. Czy szczęście to coś, co trudniej zdobyć niż władzę? Nie ma dnia, aby nie zadawała sobie tego pytania.

Para jej ulubieńców musiała się tu znaleźć, i to wśród gości

stojących w pierwszym rządzie. Za żadne skarby świata nie zrezygnowaliby zresztą z oglądania jej triumfu. Mimo oddalenia Wu Zhao koresponduje z nimi. Śmiało dzieli się swymi snami o potędze, posuwając się do odsłaniania przed nimi tajników swej strategii. Wierzy w nich i wie, że nie osądzając pochopnie. Oni zaś rewanżują się jej nowinami o rodzinie. Niebawem zostaną dziadkami: ich najstarsza córka oczekuje dziecka.

Wu Zhao potrzebowała dziesiątków lat upartej walki, aby dostać to, do czego dążyła, podczas gdy oni już bardzo dawno temu dotarli do celu, jaki sobie postawili, a którym było szczęśliwe życie we dwoje.

Myśli Wu Zhao biegną ku innym bohaterom tej historii.

Buddyjskie szkoły znowu współżyją w pokoju.

Wróciwszy do Peszawaru, Oręż Prawa został Nieocenionym Przełożonym Klasztoru Jedynej Dharmy, wybrany na miejsce Klejnotu Doktryny, którego wspólnota ukarała wygnaniem za to, że był uzurpatorem.

Manipa nie jest już wędrownym mnichem. Wrócił do Samye z lamą Gampo i Tö Lingiem, który zastąpił swego mistrza po jego śmierci.

Addai Aggai i Napełniony Spokojem umarli. Misjonarskie zadania przejęli ich następcy. Nestorianie i manichejczycy mają teraz w Chang'anie i w Luoyangu świątynie. Nowy cesarz Wu Zetian przyrzekła nad tym czuwać.

Świetlisty Punkt i Nefrytowy Księżyc, którzy doczekali się trójki dzieci — dwóch chłopców i dziewczynki — zamieszkali w Luoyangu, gdzie otworzyli duży sklep z jedwabiem. Cieszą się on wielkim powodzeniem. Ich miny mówią, że są równie szczęśliwi jak Pięć Zakazów i Umara.

Wu Zetian rusza w kierunku tłumu. Szuka wzrokiem Niebiańskich Bliźniąt. Są tu, promieniejący urodą, choć już trzydziestoletni!

Wykluczone, aby mogli przejść niezauważeni. Siedzą przecież na grzbiecie świętego białego słonia z Peszawaru, w lektyce

ze złoconego drewna, rzeźbionego w girlandy liści i inne roślinne ornamenty. Wu Zhao kazała zrobić ją specjalnie z myślą o nich. Dla niej nic, co im służy, nie jest zbyt piękne.

Niebiańska Bliźniaczka wyrosła na piękną kobietę. W cudowny sposób połowa jej buzi o zaczerwienionej i pokrytej włoskami skórze odzyskała prawie normalny wygląd w dniu, w którym jako młoda panienka dostała pierwszej miesiączki. Czerwonawa cera stopniowo zaczęła się rozjaśniać, a w końcu zrobiła się trochę tylko ciemniejsza od drugiej połowy twarzy. Rezultat tego procesu okazał się wspaniały. Można bowiem odnieść wrażenie, że jedną część jej oblicza oświetla księżyc, drugą zaś rozjaśnia słońce.

Wielu adoratorów Niebiańskich Bliźniąt kocha się w Klejnotce na zabój!

Buddyjscy wierni są coraz głębiej przekonani, że bliźniaczka para to dwa niosące pomoc bóstwa, toteż nieustannie płyną ku nim jałmużny i modlitwy pokornych, którzy przybywają, aby prosić je o uleczenie zarówno dolegliwości cielesnych, jak i ran duszy...

W chwili gdy spojrzenie Wu Zetian krzyżuje się ze wzrokiem Klejnotki, nowy cesarz odnosi wrażenie, że niebiańska moc zaczęła w końcu spływać na jego głowę, a potem rozchodzić się po całym ciele, aż po czubki palców.

Wu Zhao czuje przypływ rozkoszy, jakby pieścił ją któryś z jej niezliczonych kochanków, zarazem jednak ogarnia ją oddech śmierci, jakby jej dusza oddzielała się stopniowo od ciała.

Czy to potęga niebios wywołała w niej przedziwne połączenie pożądania i śmierci w chwili, w której doszła do godności cesarza?

Od stóp do głów przebiega ją mrowienie, tak bardzo przypominające przypływ rozkoszy poprzedzający szczytowanie, i wrażenie to jest tak silne, że wytrzymuje je z najwyższym trudem.

Dzięki Klejnotce nawiedziło ją w końcu uczucie naprawdę boskie!

Długo czekała na ten moment. Tak długo, że zadaje sobie nawet pytanie, czy nie przyszedł on zbyt późno. Czy jednak wolno jej odczuwać żal, gdy chiński lud wiwatuje na cześć nowego władcy?

Wu Zhao uświadamia sobie nagle coś nadzwyczajnego. Stwierdza, że ból głowy ustąpił.

To także zasługa Klejnotki i strumienia energii, który płynie od Niebiańskich Bliźniąt...

Jest tego pewna.

A zresztą one też o tym wiedzą, bo uśmiechają się do niej...

Wu Zhao zamyka oczy i w jej uszach ożywa znajomy śpiew jej świerszcza.

Chiński cesarz Wu Zetian może wreszcie posłać uśmiech Niebiosom.

# Słowniczek

**Anatman** — bezosobowość, nie-ja.

**Arhat** (sanskryt.) — dosł. „wartościowy człowiek”, „czcigodny” — najwyższy stan osiągnięty przez buddystów hinajany; ktoś, kto jest wolny od wszystkich pragnień i przez to od konieczności odradzania się.

**Atman** — w hinduizmie najgłębsza istota osobowości ludzkiej, jaźń niezmieniająca się w cyklu reinkarnacji.

**Awici** (sanskryt.) — dosł. bezlitosne, nieprzerwane — zwane również Piekłem Bezlitosnym, najstraszliwsze z piekieł.

**Bardo** (sanskryt.) — stan pośredni między śmiercią a kolejnymi narodzinami trwający 49 dni, kiedy w „świadomej zasadzie” zmarłego ukazują się piękne bądź straszne wizje, będące odbiciem jego karmy.

**Bodhi** (sanskryt.) — oświecenie, przebudzenie.

**Brahman** (sanskryt.) — w hinduizmie i filozofii indyjskiej moc przenikająca wszystko, skoncentrowana w czynnościach i słowach sakralnych oraz w ludziach mających do czynienia z sacrum — kapłanach i braminach.

**Cztery Szlachetne Prawdy** — tworzą ramy nauk Buddy. W skrócie można je ująć tak: Istnieje cierpienie. Cierpienie ma przyczynę. Cierpienie ma koniec. Istnieje droga prowadząca do końca cierpienia.

**Dharma** (sanskryt.) „prawda” — nauka udzielona przez Oświeconego (Buddę). Na jej kanon składają się trzy rodzaje nauk: Sutry (nauki wygłoszone przez samego Buddę), *Vinaja* (zasady dyscypliny podane przez Buddę) i *Abhidharma* (komentarz i dyskusje dotyczące Sutr i *Vinaji* autorstwa późniejszych uczonych). Te trzy rodzaje nauk noszą nazwę *Tripitaka*.

**Dhyana** (sanskryt.) — głęboka medytacja.

**Dukha** (sanskryt.) — cierpienie.

**Gandhara** — prowincja w starożytnych Indiach; obecnie należy w większej części do Pakistanu, w mniejszej do Afganistanu (Kandahar); po podbiciu przez Aleksandra Wielkiego stała się kwitnącym ośrodkiem kulturalnym i stolicą państwa hellenistycznego; od I wieku w państwie Kuszanów, ośrodek sztuki łączącej wpływy helleńskie i buddyjskie.

**Han, ludzie Han** (chin.) — Chińczycy.

**Hinajana** (sanskryt.), Mały Wóz — nurt buddyizmu; w hinajanie wzorem do naśladowania jest jedynie Budda. Postuluje się zajęcie w pierwszej kolejności własnym wyzwoleniem i dążeniem do osiągnięcia stanu *arhata* („godnego”). Takim podejściem hinajana różni się zdecydowanie od mahajany, gdzie współczucie i pomoc innym czującym istotom stawia się wyżej niż indywidualne oświecenie.

**Hipostatyczna unia** — w teologii chrześcijańskiej jedność bóstwa (boskiej natury) i człowieczeństwa w osobie Jezusa (Boga-człowieka), która dokonała się w chwili Jego poczęcia.

**Kaniszka** — władca indyjski z plemienia Kuszanów, protektor buddyizmu, mecenas naukowców i artystów; na jego dworze przebywali słynni filozofowie buddyjscy — Aśwaghosza i Nagardżuna.

**Karma** (sanskryt.) właśc. karman — pierwotnie słowo to oznaczało „czynny”, później jednak, w powiązaniu z teorią przyczynowości, zaczęło oznaczać swego rodzaju siłę, która powstaje w rezultacie każdego czynu popełnionego w przeszłości. Każde z naszych działań, pociągając za sobą dobro bądź zło, stanowi siłę (karman), która wpływa na naszą przyszłość. Każdy uczynek posiada wartość

moralną pozytywną, negatywną lub obojętną i prowadzi do odrodzenia się człowieka jako istoty mniej lub bardziej oddalonej od stanu Buddy.

**Kościół nestoriański** — czyli Święty Apostolski Katolicki Asyryjski Kościół Wschodni lub Kościół Wschodni — kościół działający pierwotnie na terenach na wschód od Cesarstwa Rzymskiego. Przez wiele stuleci w Europie zupełnie nieznan.

**Książki tybetańskie** — nie mają one na ogół formy zwoju ani nie przypominają znanych nam książek; są to luźne podłużne kartki, ułożone jedna na drugiej pomiędzy zazwyczaj drewnianymi okładkami. Całość owinięta jest kawałkiem tkaniny, np. jedwabiu.

**Kszatrija** (sanskryt.) — dosł. wojownik, rycerz od *kszatra* — posiadłość — członek dawnej wyższej kasty rycerskiej w Indiach.

**Kucza i Kaszgar** — oazy położone na południowym odgałęzieniu Jedwabnego Szlaku.

**Kundalini** (sanskryt.) dosł. „zwinięty” — w indyjskiej tradycji jogi mistyczna siła życiowa lub energia duchowa spoczywająca w uspieniu pod ostatnim kręgiem lędźwiowym do chwili, aż zbudzi ją praktyka jogi.

**Lishu** — chińskie pismo kancelaryjne, powstało na rozkaz cesarza Qin w 213 roku p.n.e. w wyniku uproszczenia pisma już istniejącego. W prawie niezmienionej postaci jest w dzisiejszych Chinach pismem urzędowym.

**Mahajana** (sanskryt.), Wielki Wóz — nurt buddyzmu, który wyodrębnił się w I wieku p.n.e. Jego charakterystyczną cechą jest wiara w bodhisattwów, czyli ludzi, którzy mimo iż osiągnęli oświecenie, zdecydowali się świadomie odradzać po śmierci.

**Manicheizm** — od imienia twórcy Mani, Manes, Manicheusz; dualistyczny system religijno-filozoficzny, powstały w III w. w Persji, rozprzestrzeniony w Imperium Rzymskim, a później w środkowej i wschodniej Azji, głoszący kosmiczny konflikt dobra (duch, światło) i zła (materia, ciemność).

**Mantra** (sanskryt.) — *mana* — „umysł”, *tra* — „wyzwolenie” — w buddyzmie i hinduizmie formuła, werset lub sylaba, której

powtarzanie ma pomóc w oczyszczeniu umysłu, co jest niezbędnym warunkiem uzyskania wyzwolenia i oświecenia.

**Om mani peme hung** (sanskryt.) — to tybetańska wersja najsłynniejszej mantry buddyjskiej, która w sanskrycie brzmi: *Om mani padme hum*. *Om* symbolizuje mądrość stanu Buddy; *mani* — „klejnot”, w domyśle „klejnot spełniający życzenia” — klejnotem tym jest oświecona i otwarta na potrzeby innych postawa; *peme* — „trzymający lotos” — lotos, którego piękne kwiaty wyrastają z bagna, symbolizuje przekształcenie tego, co nieszlachetne, w najwyższą jakość; *hung* symbolizuje aktywność stanu Buddy. W wersji chińskiej mantra ta brzmi: *Weng ma ni bei mi hong*.

**Państwo Kuzanów** — obecnie są to północne Indie, Pakistan, Afganistan, Uzbekistan, Tadżykistan oraz autonomiczny rejon chiński Xinjiang.

**Parinirwana** (sanskryt.) — całkowite wygaśnięcie, powrót do pierwotnej czystości Natury Buddy.

**Samadhi** (sanskryt.) — błogostan powstający ze skupionego stanu umysłu.

**Sangha** (sanskryt.) — wspólnota buddyjskich mnichów i mniszek, obecnie również wspólnota buddystów.

**Stupa** (sanskryt.) — „kopiec”, „szczyt” — najprostszy typ buddyjskiej budowli sakralnej, bywa mała jak kapliczka lub wielka jak dom.

**Sutra** (sanskryt.) dosł. „sznurek” — zapis nauk Buddy. W buddyzmie oznacza kompendium rozległego zakresu studiów z dziedziny religii czy nauki.

**Tantra** — w buddyzmie i hinduizmie system rozwoju oparty na filozofii niedualistycznej, uznający, że wszystko, co istnieje, stanowi manifestację jednego bytu. W buddyzmie tybetańskim jest to jedność świadomości i pustki. Adepti tantry stosują różnego rodzaju praktyki, zawierające elementy jogi, medytacji czy magii, uznając, że wszystko to, umiejętnie użyte, może prowadzić do oświecenia.



